

# Mofina Rick

## Sześć sekund

*KOBIETA, KTÓRA UKOI SWÓJ BÓL TYLKO POPRZEZ ZEMSTĘ, A SPOKOJU I SZCZĘŚCIA ZAZNA DOPIERO W NIEBIE*

*W Iraku zamaskowani żołnierze brutalnie mordują męża i syna angielskiej pielęgniarki. Nie zdołała ich uratować, ale ratuje życie Amerykaninowi, wierząc, że jest on jej szansą na pomszczenie śmierci najbliższych.*

*UDRĘCZONA MATKA, KTÓRA ROZPACZLIWIE POSZUKUJE SWEGO DZIECKA*

*Tak jak inne matki w Kalifornii, przyjechała odebrać swego syna ze szkoły. Odkryła, że jej mąż zabrał go wcześniej i zniknął bez śladu.*

*DETEKTYW, KTÓRY CHCE ODKUPIĆ SWOJĄ WINĘ*

*Policjant wszczyna prywatne śledztwo w sprawie śmierci małej dziewczynki. Trop prowadzi do szkoły, ale wtedy rozpoczyna się wyścig z czasem. Z każdą mijającą sekundą zbliża się wydarzenie, które może zmienić historię.*

*TROJE NIEZNAJOMYCH POŁĄCZONYCH WSPÓLNYM LOSEM. MAJĄ ODEGRAĆ SWOJE ROLE W WYDARZENIU, KTÓRE MOŻE ZMIENIĆ HISTORIĘ ŚWIATA... ZALEDWIE W SZEŚĆ SEKUND!*

## PROLOG

Kobieta na ekranie ma na sobie biały, wyszywany delikatnymi paciorkami hidżab, który sięga jej do ramion. Nie-skazitelnie biały szal okala twarz, podkreślając jej naturalne piękno. Lekko kiwa głową do kamery.

Rozlega się cichy sygnał i kobieta zaczyna mówić.

- Nazywam się Samara. Nie jestem dżihadystką. Jestem matką i wdową, ochrzczonej krwią mojego męża i dziecka, po tym jak zamordował ich wasz rząd.

W jej silnym, zdradzającym inteligencję głosie pobrzmiewa bliskowschodni akcent z naleciałościami ze wschodniego Londynu. Płonącymi oczami patrzy w kamerę, która powoli się oddala. Mówi wprost do publiczności, która już wkrótce będzie mogła ją obejrzeć w telewizji na całym świecie.

Milczy przez chwilę. Złożone ręce trzyma na zwykłym drewnianym stole. Na jej kciuku i serdecznym palcu połyskują pierścionki. Kamera ukazuje oprawione zdjęcie rodzinne, na którym kobiecie towarzyszą mężczyzna i chłopiec. Wszyscy się uśmiechają. Oczy kobiety są pełne radości. Ta fotografia pochodzi z innych czasów. Z innego życia. Teraz stoi obok niej niczym nagrobek jej szczęścia i świadek jej przeznaczenia.

By oddać ten ból.

Analitik wywiadu, który będzie badał tę wiadomość, nie

znajdzie tu oczywistego przekazu. Żadnego granatnika na stole. Żadnego kałasznikowa obok.

Kobieta nie intonuje wersetów ze świętej księgi.

Na ścianie nie wiszą czarno-złote flagi. Nie ma tam emblematów żadnego ekstremistycznego ugrupowania. Na podłodze nie ma dywanu czy chodnika. W tle znajdują się tylko ustawione pod kątem lustra.

Nic nie zdradza miejsca, gdzie dokonano nagrania, i kto jej w tym pomaga. Kobieta może się znajdować w bezpiecznym domu na Zachodnim Brzegu Jordanu. Albo w Atenach. Może w Manili. W Paryżu, Londynie lub w Madrycie. W Casablance albo na przedmieściach jakiegoś miasta w Stanach Zjednoczonych.

- Wasi żołnierze najechali mój dom, torturowali mojego męża i syna. Kazali im patrzeć, kiedy po kolei mnie gwałcili. A potem na moich oczach zabili mi męża i dziecko. Uciekli, kiedy wasze samoloty zrzuciły bomby na moje miasto. Niosłam mego martwego syna przez ruiny na brzeg Edenu. Tam pogrzebałam jego, mego męża i moje życie. Jednak zmartwychwstałam, by dochodzić sprawiedliwości za te zbrodnie. To z ich powodu chcę wam dać mój gniew. Gniew zbolełej matki i wdowy. Z powodu tych zbrodni poznacie śmierć. Umieranie nie jest dla mnie śmiercią. Jeśli umrę, dotrzymam tylko obietnicy. Pomszczę unicestwienie mojego świata, sprowadzając śmierć na wasz. Jeśli umrę, będzie to dla mnie nagrodą i będę mogła dołączyć do męża i syna w raju. To dla nich stałam się wieczną męczennicą. To dla nich stałam się zemstą.

**CZĘŚĆ PIERWSZA**  
**„GDZIE JEST MÓJ SYN?”**

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

*Blue Rose Creek, Kalifornia*

Maggie Conlin opuściła dom, wciąż wierząc w kłamstwa. Wierzyła, że wszystko wróciło do normy. Wierzyła, że fa-  
tum, które prześladowało jej rodzinę, już zniknęło, a Logan, jej dziewięcioletni syn, pogodził się z tym, co wydarzyło  
się w ich domu po powrocie ojca z Iraku.

Kiedy jednak jechała do pracy, powoli zaczęła docierać do niej prawda. Ich rany - te niewidzialne - jeszcze się nie  
zagoiły. Kiedy rano czekała z Loganem na szkolny autobus, chłopak znowu był niespokojny.

- Kochasz tatę, prawda, mamó? - zapytał.

- Oczywiście. I to bardzo.

Logan spuścił głowę i kopnął kamyk.

- O co chodzi? - spytała.

- Boję się, że stanie się coś złego. Że weźmiecie rozwód. Maggie ścisnęła mocno jego ramiona.

- Nie ma mowy. Ale to zrozumiałe, że masz wątpliwości. Było nam ciężko po tym, jak tata wrócił do domu. Ale to  
już za nami, prawda? - zapytała. Logan skinął głową. - Będziemy teraz mieszkać z tatą w naszym domu. Już zawsze.

W porządku, synku?

- Tak.

- Pamiętaj, że po szkole zabieram cię na basen. Nie wracaj więc autobusem.

- Jasne. Na razie, mamo.

Logan uściskał ją tak mocno, że zabołało. Podbiegł do autobusu, a potem pomachał jej i uśmiechnął się zza szybki, zanim zniknął z jej pola widzenia.

Jadąc do centrum handlowego Liberty Valley przez Blue Rose Creek, stutysięczne miasto, położone koło hrabstwa Riverside, Maggie rozmyślała o tym, co niepokoiło jej syna. Zaparkowała swego forda focusa i podbiła kartę pracowniczą w księgarni Stobel and Chadwick, gdzie pracowała jako kierowniczką jednego z działów.

Ranek minął jej szybko, gdyż zajęła się telefonowaniem do klientów z informacjami, że przyszły już zamówione książki, pomaganiem przy wyszukiwaniu kolejnych tytułów czy prezentów oraz zmianą ekspozycji z bestsellerami. Jednak mimo nawału pracy nie mogła uciec przed prawdą. Jej rodzina poniosła olbrzymie straty z powodu zdarzeń, które zupełnie wymknęły się spod kontroli.

Jej mąż, Jake, był kierowcą. W ciągu ostatnich paru lat wciąż psuła mu się ciężarówka i mieli coraz większe problemy ze spłacaniem rachunków. Sytuacja stała się bardzo ciężka. By wyjść z długów, Jake zdecydował się na pracę dla wojska w Iraku. Było to zajęcie niebezpieczne, ale wysoko płatne. Maggie nie chciała go puścić, ale przecież potrzebowali pieniędzy.

Kiedy Jake wrócił do domu parę miesięcy temu, okazało się, że bardzo się zmienił. Zdarzało mu się milczeć ponuro przez dłuższy czas, stał się nieufny, miewał paranoiczne, trudne do wytłumaczenia napady. Coś musiało się stać w Iraku, ale nie chciał o tym mówić. Twierdził, że obejdzie się bez pomocy.

Czy to wszystko już minęło? Spłacili długi i odłożyli nawet trochę pieniędzy na konto. Jake dostawał dobre, długoterminowe zlecenia i wyglądało na to, że się uspokoił, a Maggie zaczęła wierzyć, że być może najgorsze jest już za nimi.

- Maggie, telefon do ciebie! - dobiegł do niej komunikat z głośników. Odebrała koło działu z książkami na temat historii sztuki.

- Maggie Conlin, czym mogę służyć?

- To ja.

- Jake? Gdzie jesteś?

- W Baltimore. Pracujesz dziś cały dzień?

- Tak. Kiedy będziesz w domu?

- Na weekend przyjadę do Kalifornii. Jak tam Logan?

- Tęskni za tobą.

- Ja za nim też. I to bardzo. Zajmę się nim po powrocie.

- Ja również za tobą tęsknię, Jake.

- Wiesz, muszę już kończyć.

- Kocham cię - wyznała Maggie.

Nie odpowiedział. Cisza, która panowała w słuchawce, była znakiem, że Jake wciąż niesłusznie uważa, że Maggie go zdradzała, kiedy był w Iraku. Stała tak przy telefonie w księgarni na przedmieściu, pragnąc, by jej ukochany już do niej wrócił. Pragnęła, by wszystko było tak jak dawniej.

- Kocham cię i tęsknię, Jake - powtórzyła.

- Muszę już kończyć.

Tego popołudnia dwukrotnie wymykała się do łazienki, gdzie zamykała się w toalecie i przyciskała chusteczki do mokrych oczu.

Po pracy dotarła szybko i sprawnie do szkoły Logana. Kiedy się tam pojawiła, właśnie odjeżdżały ostatnie autobusy. Maggie wpisała się do książki w sekretariacie, a następnie ruszyła do sali, gdzie można było odebrać dzieci. Czekali tam dwóch chłopców i dwie dziewczynki pod opieką Eloise Pearce, nauczycielki odpowiedzialnej za młodych uczniów. Maggie nie dostrzegła tam Logana. Może jest w łazience?

- Dzień dobry - powitała ją z uśmiechem pani Pearce. - Pani tutaj? Przecież Logan już pojechał.

- Pojechał? Dlaczego miałby pojechać?
- Ktoś go dzisiaj wcześniej odebrał.
- Niemożliwe!

Eloise Pearce powiedziała, że osoba, która odebrała Logana, wpisała się rano do książki w sekretariacie. Maggie wróciła tam biegiem i uderzyła w dzwonek na kontuarze tak szybko, że zaraz pojawili się sekretarka i zastępca dyrektora, Terry Martens.

- Gdzie jest mój syn? Gdzie jest Logan Conlin?!
- Proszę spojrzeć, pani Conlin. - Zastępca dyrektora podsunął jej książkę. - Dziś rano odebrał go ojciec.
- Ale Jake jest w Baltimore. Parę godzin temu rozmawiałam z nim przez telefon.

Terry Martens i sekretarka wymienili spojrzenia.

- Przyjechał tu dziś rano - powiedział zastępca dyrektora. - Tłumaczył, że coś pani wypadło i nie może pani odebrać Logana.
- Co takiego?! - zawołała Maggie.
- Czy coś się stało?

Maggie oddychała ciężko, kiedy wybierała numer Jake'a na komórce, spiesząc do swego wozu. Usłyszała parę dzwonek, a potem włączyła się poczta głosowa.

- Jake, zadzwoń i powiedz, co się dzieje! Błagam! Kiedy jechała do domu, wydawało jej się, że musi stać całą wieczność na czerwonych światłach. Zadzwoniła do domu, a kiedy włączyła się sekretarka, zostawiła wiadomość dla Jake'a. Gdy wreszcie dotarła do swojej dzielnicy, zaczęła się zastanawiać, czy nie powiadomić o wszystkim policji. I co im powiem? - pomyślała. Lepiej sprawdzić, co dzieje się w domu. Może coś źle zrozumiała i obaj są już w domu? Może Jake dzwonił jednak z Blue Rose Creek? Ale dlaczego powiedział, że jest w Baltimore? Dlaczego skłamał? Maggie skręciła w ulicę, przy której mieszkali, spodziewając się, że zobaczy ciężarówkę męża obok ich parterowego domu. Ulica była pusta. Wjechała na podjazd przed



domem i zahamowała z piskiem. Podbiegła do drzwi i włożyła klucz do zamka.

- Logan!

Nie zauważyła plecaka syna przy drzwiach. Przeszła do jego pokoju. Ani Logana, ani jego plecaka. Przechodziła z pokoju do pokoju, na próżno szukając syna.

- Jake! Logan!

Znowu zadzwoniła do męża. A potem jeszcze raz i jeszcze. Następnie wykręciła do nauczycielki Logana i po kolei do jego kolegów. Nikt nic nie wiedział. Pobiegła do sąsiada, pana Millera, ale ten emerytowany hydraulik powiedział, że dopiero wrócił do domu. Zadzwoniła na basen do trenera Logana. I do warsztatu, w którym Jake naprawiał ciężarówkę. Nikt nic nie wiedział. Czyżby zwariowała? Nie można w ciągu paru godzin dojechać z Baltimore do Kalifornii.

Maggie zaczęła przeglądać biurko Jake'a, nie bardzo wiedząc, czego szuka. Zadzwoniła do operatora męża, by sprawdzić, czy można ustalić, skąd ostatnio dzwonił. Musiała długo przekonywać, ale w końcu powiedzieli jej, że Jake w ciągu ostatnich dwóch dni w ogóle nie korzystał z komórki. W końcu wczesnym wieczorem zadzwoniła na policję.

Oficer dyżurny starał się ją uspokoić:

- Zaraz przekażę markę i numery rejestracyjne tego wozu naszym patrolom, proszę pani. Sprawdzę też wypadki. Tyle na razie możemy zrobić.

Zapadł zmrok, Maggie straciła rachubę czasu. Nie wiedziała też, ile telefonów wykonała. Za każdym razem, kiedy jakiś samochód przejeżdżał obok, biegła do okna, przyciskając do piersi bezprzewodowy aparat. W narastającym mroku docierały do niej słowa Logana: „...stanie się coś złego...”.

## ROZDZIAŁ DRUGI

*Pięć miesięcy później*

*Faust's Fork koło Banff, prowincja Alberta, Kanada*

Haruki Ito był sam. Spacerował wzdłuż rzeki, gdy nagle zamarł w bezruchu.

Podniósł aparat do oka i wysunął długi obiektyw, aż w końcu widoczny w oddali niedźwiedź wypełnił cały celownik.

Samica grizzly polowała na pstrągi w dzikiej rzece Faust River w Górach Skalistych.

Ito marzył o tym, by sfotografować niedźwiedzia grizzly w czasie swoich wakacji. Na co dzień pracował jako foto-reporter w jednej z największych tokijskich gazet, *Yomiuri Shimbun*. Zrobił pierwsze zdjęcie i zaczął się szykować do następnego, kiedy coś mu zamajaczyło w tle. Nastawił ogniskową i nacisnął spust aparatu. Miał przed sobą małą, wystającą z rwącego nurtu dłoń.

Ito pobiegł w kierunku brzegu, by pomóc tonącemu. Przedzierał się przez krzaki i ślizgał po mokrych od mgły skałach. Widział najpierw dłoń, potem ramię i głowę, która obracała się w wirze. Zbliżył się ostrożnie do wody, zdjął aparat i szukając oparcia dla nóg, zanurzył się stopniowo aż po talię, sięgając po ciało dziecka.

Biały chłopiec. Ma pewnie osiem albo dziewięć lat, pomyślał Ito. Był ubrany w dżinsy, bluzę i tenisówki.

Dziecko nie żyło.

Ito poczuł dojmujący smutek.

Miał już wyciągnąć chłopca na brzeg, kiedy usłyszał za sobą głośny trzask. Skrzywił się i odwrócił głowę. Nieco dalej zauważył przewrócone canoe, które uderzyło w wystającą z wody skałę. Było puste.

Ito spojrział w górę rzeki i zadrżał.

Czy są jeszcze inne ofiary?

Pobiegł na szlak, gdzie udało mu się zatrzymać dwie kobiety - turystki z Niemiec na rowerach. W ciągu godziny strażnicy z parku rozpoczęli akcję ratunkową.

Ten obszar nosił nazwę Faust's Fork. Był dziki, pełen górskich rzek, jezior, lasów, lodowców i szczytów, które rozciągały się na terenie Parku Narodowego Banff i ziemiach regionu Kananaskis. Przecinały go turystyczne szlaki, przy których znajdowały się obozowiska. Można było się tam dostać pieszo lub konno, za wyjątkiem kilku obozów nad rzeką, gdzie można było dojechać samochodem, a także paru odległych obozów położonych przy leśnych drogach, wykorzystywanych przez drwali.

Przedstawiciele parku potwierdzili śmierć chłopca i, w obawie, że mogą być również kolejne ofiary, poinformowali o wypadku Kanadyjską Królewską Policję Konną, eksperta medycyny sądowej, ratowników medycznych, miejscowych strażaków, strażników i innych pracowników parku. Wyznaczyli też kolejne kwartały, w których miały się toczyć poszukiwania.

Na rzece pojawiły się łodzie ratunkowe, które nie mogły jednak szukać rozbitków w rejonie, gdzie znaleziono chłopca, ponieważ rzeka płynęła tam zbyt rwącym nurtem. Utworzono ekipy ratunkowe, które przeszukiwały teren pieszo, konno i na ądadach. Wszyscy mieli krótkofalówki, niektórym ekipom towarzyszyły psy. Cały obszar patrolowały helikopter i mały samolot, a także zespoły poszukiwawcze złożone z ochotników, które informowały o wszystkim turystów z Fausfs Fork.

Daniel Graham stał w obozowisku położonym na wzniesieniu w pobliżu rzeki, z którego miał doskonały widok na toczącą się z hukiem wodę, góry i niebo.

Spojrzał na mosiężną urnę, którą trzymał w dłoniach, i pogładził liście i gołębicę wygrawerowane na opasce, która biegła przez środek urny. Po chwili odkręcił jej wieko, przechylił urnę i wyrzucił jej zawartość na wiatr. Przypominające piasek popioły tańczyły przez chwilę na powierzchni rzeki, aż w końcu w niej zniknęły.

Daniel spojrzał na ośnieżone szczyty, jakby mogły one dać odpowiedź na dręczące go pytanie. Nie doczekał się jej jednak. Spokój, którego szukał, został przerwany przez łomot wirnika helikoptera, który przeleciał jakieś trzysta metrów nad rzeką. Po kilku minutach helikopter zawrócił i skierował się w przeciwnym kierunku. Pewnie kogoś szukają, pomyślał, odstawiając urnę. Spojrzał raz jeszcze na wodę, chcąc sprawdzić, co się dzieje. Po kolejnych minutach w jego obozowisku pojawili się ludzie ubrani w pomarańczowe kombinezony, którzy cały czas rozmawiali przez krótkofalówki.

- Jesteśmy ratownikami, proszę pana - wyjaśnił jeden z nich. - Na rzece wydarzył się wypadek i szukamy tych, którzy ewentualnie ocaleli. Proszę dać znać, gdyby coś pan zauważył.

- Na ile poważny? - zapytał Daniel.

Ratownicy zmierzili go wzrokiem. Mężczyzna miał na sobie džinsy i T-shirt. Wyglądał na około czterdzieści lat, miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i był mocno umięśniony. Jego twarz pokrywał parodniowy zarost, a mocna szczeka podkreślała intensywne spojrzenie jego głęboko osadzonych oczu.

Wyjął skórzany portfel i pokazał im złotą odznakę z koroną i wieńcami z liści klonowych, grawerowanymi słowami „Kanadyjska Królewska Policja Konna”, głową bizona i mottem: *Maintiens le Droit*. Identyfikator był wystawiony na nazwisko kaprała Daniela Grahama.

- Jest pan z policji konnej?

- Tak, pracuję w wydziale zabójstw w Calgary. Mam teraz wolne. Jak poważny był ten wypadek? Czy ktoś zginął?

- Z pewnością jedna osoba. Chłopak. Nie znamy jeszcze szczegółów.

- Czy są tu inne ekipy ratunkowe? Czy możecie skontaktować się z dyspozytorem?

Jeden z ratowników sięgnął po krótkofalówkę, rozmawiał przez chwilę z dyspozytorem i powiedział, że ekipy ratunkowe z Banff i Canmore są już w drodze. Inne miały się dopiero pojawić.

- Czy wiecie, kim są i gdzie znajdowały się ofiary? - zapytał Daniel.

Dyspozytor wyjaśnił przez krótkofalówkę, że znaleziono jedynie ciało około ośmio-dziesięcioletniego chłopca, który utonął kilometr w dół rzeki od obozowiska Daniela. Wyglądało na to, że przewróciło się jego canoe. Strażnicy przypuszczali, że mogą być też inne ofiary.

- Wszystko wydarzyło się bardzo niedawno - poinformował dyspozytor.

- Wobec tego pójdę brzegiem w stronę tego miejsca. Możecie je zostawić.

Członkowie ekipy ruszyli w górę rzeki, natomiast Daniel wziął parę swoich rzeczy i poszedł w przeciwną stronę.

Starał się przedzierać jak najszybciej przez las i zwały kamieni. Pozwoliło mu to zapomnieć o tym, dlaczego się tu znalazł. Odsunął od siebie swoje problemy, by ratować innych.

Zatrzymał się i przez lornetkę zaczął uważnie oglądać wzburzoną wodę, skupiając wzrok na wystających z niej skałach. Wokół nich tworzyła się piana i powstające w kurtynach z kropelek wody tęcze i refleksy. Raz jeszcze usłyszał w oddali silnik helikoptera, a potem odgłos małego samolotu.

Po drodze poślizgnął się na mokrych głazach i uderzył w kolano, ale szedł dalej. Przedzierał się przez skały,

stanowiące rodzaj bramy wodospadu, który nieco dalej spadał z wysokości dwóch pięter. Daniel słyszał jego huk. Sprawdził, czy stoi pewnie, a potem zerknął głębiej. Wydawało mu się, że dostrzegł coś kolorowego pomiędzy wielkimi skałami, o które woda rozbijała się na środku rzeki, tworząc wielkie gejzery. Znalazł bezpieczne miejsce i skierował lornetkę w tamtą stronę. Woda zasłaniała mu widok, ale był niemal pewny, że za jej kurtyną znajduje się coś różowego. Znalazł lepsze miejsce, z którego widział teraz więcej szczegółów: niewielką głowę, ramię, dłoń. To dziecko. Dziewczynka. Woda przyparła ją do skały. Za chwilę może zginąć, pomyślał. Dziecko znajdowało się zaledwie kilkadziesiąt metrów od niego, osłaniała je kopała rozpryskującej się wody. Za chwilę dziewczynka utonie albo też woda zepchnie ją w stronę wodospadu. Z pewnością nie przeżyje upadku. Nie miał czasu do stracenia. Nie wziął krótkofalówki ani komórki. Nie widział też nigdzie śladu ratowników. Sam musiał podjąć decyzję.

Daniel patrzył na różowy punkt, stojąc obok huczącej rzeki, i niemal czuł w klatce piersiowej potężne uderzenia wody. Wiedział, czym ryzykuje, jeśli wejdzie do rzeki. Miał niewielkie szanse na to, by ocalić dziewczynkę. Jeśli popełni błąd, prąd zniesie go wprost na wodospad.

Jednak po tym, co się stało, nie miał już nic do stracenia.

Daniel wiedział, że prawdopodobnie nie przeżyje upadku. Chciał jednak ratować to dziecko, które nie miało żadnych szans bez jego pomocy.

Musiał wejść do wody.

Przeszedł szybko jeszcze dalej w górę rzeki. Zdjął buty, a potem położył obok swoją odznakę policyjną i lornetkę, które w wodzie mogły mu tylko przeszkadzać, i wślizgnął się do lodowatej rzeki.

Nurt wody przesuwiał go do przodu. Poczł przyływy adrenaliny, gdy przemieszczał się od skały do skały, wciąż walcząc z prądem. Zrobiło mu się ciemno przed oczami,

kiedy uderzył nogą w podwodną skałę. Poczuł ból i na moment zanurzył się cały. Słyszał bulgotanie wody w uszach i czuł jej nacisk na żołądek.

Wynurzył się jednak, kaszląc i plując wodą. Wciągnął powietrze do płuc, a potem zaczął szukać bezpiecznego podłoża, wciąż wpatrując się w miejsce, gdzie powinna znajdować się dziewczynka. Nie widział już różowego punktu. Musiały go zakryć fontanny wody rozbijającej się o skały, która nawet w tej chwili zalewała mu oczy. Wpadł na ukrytą pod wodą skałę i na moment stracił oddech. Starał się na nią wdrapać i jej ostra krawędź przecięła mu dłoń. Daniel zanurkował i we wzburzonej wodzie dostrzegł niewielkie nóżki, które przywarły do skały przed nim. Zebrał siły i przesunął się w ich stronę. Napór wody sprawił, że przywarł do skały. Znajdował się pod wodą, nie mógł się ruszyć, nie mógł wydostać się na powierzchnię. W uszach mu dzwoniło. Zaczęło mu brakować powietrza. Pomyślał, że to już koniec.

„W górę, Daniel” - usłyszał głos żony. „Nie poddawaj się”.

Użył całej swojej siły, by zwalczyć napór wody i przesunąć się do góry. W końcu złapał powietrze i trwał przez moment przygwożdżony do skały. Po paru sekundach odzyskał świadomość i zaczął pełznąć wzdłuż skały, aż wreszcie sięgnął najdalej, jak mógł, i poczuł w dłoni małe palce, a potem dłoń i ramię dziewczynki. Przesuwał się dalej, aż w końcu znalazł się tuż przy niej.

Patrzyły na niego rozszerzone z przerażenia oczy. Jej usta były sine. Żyła, ale cała drżała. Mogła mieć pięć, najwyżej sześć lat.

Daniel przesunął się bliżej, objął ją ramieniem i odciągnął od skały. Dziewczynka miała krwawą ranę na głowie.

Daniel przesunął się wraz z dzieckiem na drugą stronę skały, gdzie nurt nie był tak silny. Modlił się w duchu, by jego wysiłki nie poszły na marne.

Gdy ją trzymał, spojrzała mu w oczy. Zbliżył usta do jej ucha, by ją pocieszyć.

- Nic ci nie będzie - powiedział. - Pomogę ci. Tylko się trzymaj, po prostu się mnie trzymaj.

Dziewczynka patrzyła na niego i zaczęła poruszać ustami Daniel przysunął do nich ucho, ale huk wody sprawiał, że nie był pewny jej słów.

- Nie... proszę... zostaw... tatusiu...



## ROZDZIAŁ TRZECI

### *Blue Rose Creek, Kalifornia*

W tej samej chwili, ponad trzy tysiące kilometrów od Faust River, Maggie Conlin zatrzymała się przed siedzibą gazety, rozmyślając o pięciu miesiącach, które minęły od zniknięcia Jake'a i Logana.

Dzień po tym wydarzeniu szeryf wysłał do niej swojego zastępcę, by sprawdzić, czy czegoś nie ukrywa, a następnie skierował Maggie do Vica Thompsona, gderliwego i wiecznie przepracowanego śledczego. Thompson powiedział jej, że Jake ma dziesięć dni od jej zażalenia na to, by podać prokuraturze okręgowej swój adres i telefon i rozpocząć postępowanie o ustalenie praw rodzicielskich. Jeśli to nie nastąpi, biuro szeryfa wyda nakaz jego aresztowania z powodu uprowadzenia dziecka. Maggie przekazała mu wszystkie dane dotyczące ich konta, karty kredytowej, szkoły, adresów mailowych i informacji medycznych.

Thompson poradził jej, żeby wzięła adwokata.

Trisha Hełm, najtańsza dostępna prawniczka, reklamująca się hasłem „pierwsza wizyta za darmo”, poradziła jej, żeby wniosła pozew o rozwód i wystąpiła o przyznanie jej syna.

- Nie chcę się rozwodzić. Muszę odnaleźć Jake'a i z nim porozmawiać - odparła na to Maggie.

Trisha zaproponowała więc, by wynajęła prywatnego detektywa, i poleciła Lyle'a Billingsa z Farrow Investigations. Maggie dała mu ksero wszystkich danych, którymi dysponowała, a także czek na kilkaset dolarów. Dwa tygodnie później Billings poinformował ją, że Jake nie zarejestrował swego prawa jazdy na terenie Stanów Zjednoczonych czy Kanady, a nazwiska Logana nie ma w żadnym szkolnym rejestrze.

- Musimy założyć, że zmienili nazwisko - powiedział Billings. - To łatwiejsze, niż mogłoby się wydawać. Wygląda na to, że pani mąż gdzieś się ukrył.

Agencja potrzebowała dalszych funduszy, by kontynuować poszukiwania. Maggie nie miała pieniędzy. Zostało jej tyle, by przez trzy, może cztery miesiące utrzymywać dom. Później będzie musiała go sprzedać. Ostatnio bez przerwy szukała oszczędności. Wciąż pracowała w księgarni, ale było jej coraz ciężiej.

Zrezygnowała więc z usług agencji. Zaczęła samodzielne poszukiwania, spędzając większość wieczorów przed komputerem. Kontaktowała się z organizacjami zrzeszającymi kierowców ciężarówek i takimi, które poszukiwały zaginionych dzieci. Pisała o swoim problemie do biuletynów informacyjnych i na blogach. Sprawdzała strony z informacjami na temat wypadków drogowych z udziałem ciężarówek, w których zginęły dzieci w wieku Logana. Każda nowa tragedia, o której czytała, sprawiała, że coraz bardziej ścisnęły jej się wnętrzności.

Chodziła na spotkania grup wsparcia. Poradzono jej, by zainteresowała swoimi poszukiwaniami media. Najpierw co parę tygodni, a potem co tydzień kontaktowała się z gazetami ze swojej listy: *Los Angeles Times*, *Orange County Register*, *Riverside Press-Enterprise* i niemal wszystkimi stacjami radiowymi i telewizyjnymi z południa Stanów Zjednoczonych.

- O tak, sprawdziliśmy tę sprawę - powiedział pewien

producent, gryząc przy tym jabłko, po tym jak zostawiła trzy informacje. -Nasz informator twierdzi, że chociaż oficjalnie sprawa dotyczy uprowadzenia, to chodzi o prywatne, rodzinne sprawy. Bardzo mi przykro.

Dziennikarze przestali odbierać jej telefony, za wyjątkiem Stacy Kurtz, która pisała do działu kryminalnego w *Star-Journal*.

- Nie wydaje mi się, żebym mogła o tym jeszcze napisać, ale proszę mi dać znać, gdyby coś się wydarzyło - powtarzała, kiedy Maggie do niej dzwoniła.

Przynajmniej słuchała tego, co Maggie miała jej do powiedzenia. Maggie nigdy nie poznała Stacy Kurtz, ale jej zdjęcie pojawiała się czasami obok jej artykułów. Nosiła okulary w ciemnej oprawie, kolczyki w kształcie kół i miała uśmiech, który robił się coraz twardszy z powodu charakteru jej pracy. To, że zajmowała się strzelaninami, pożarami, utonięciami, wypadkami i innymi ludzkimi tragediami, powoli odciskało na niej swoje piętno. Czasami wyglądała na starszą, niż była.

- Nie mogę zagwarantować, że o tym napiszę, ale obiecuję, że wysłucham panią, jeśli w tej sprawie pojawi się coś nowego. - Stacy nie owijała niczego w bawełnę, gdyż zwykle miała mało czasu.

Maggie również czuła, że brakuje jej czasu.

A jeśli nigdy nie znajdzie Logana? Jeśli już nigdy się z nim nie zobaczy?

Zatrzymała się teraz przed opustoszałym, jednopiętrowym budynkiem, stojącym przy czteropasmowej ulicy, w którym mieściła się redakcja *Star-Journal*. Znajdował się on między Sid's Check Cashing i Fillipo's Menswear i wyglądał bardziej na sklep, który zbankrutował, niż na siedzibę gazety. Przy wejściu rosła palma, której liście wisały smętnie nad drzwiami. Słaby wiatr z trudem poruszał niebiesko-biało-czerwoną flagę na dachu, gdzie ze starego klimatyzatora sączyła się rdzawa woda i spływała po ścianie budynku.

Dla ludzi z *Blue Rose Creek Star-Journal* stanowił wrzód na ciele miasta, którego trzeba było się pozbyć. Dla Maggie był on ostatnią szansą na znalezienie Logana, ponieważ jej nadzieja blakła coraz bardziej z każdym dniem, tak jak flaga na dachu budynku. Przyszła tu jednak dzisiaj, nie mając nic prócz modlitwy.

- Czym mogę służyć? - spytała otyła kobieta we wzorzystej sukni, siedząca za biurkiem w pobliżu kontuaru. Inne biurka stały dalej, ustawione jedno przy drugim jak w typowej redakcji. Było ich kilkanaście, większość wolnych. Kilku dziennikarzy o ponurych twarzach było skoncentrowanych na monitorach swoich komputerów i prowadzonych rozmowach telefonicznych.

Na brudnobiałych ścianach wisiały mapy, pierwsze strony gazet, fotografie i różne nagłówki. W kącie popiskiwał odbiornik do wychwytywania komunikatów policyjnych, stojący obok trzech telewizorów, nastawionych na najważniejsze programy informacyjne. Na końcu redakcji, w przeszklonym pomieszczeniu jakiś łysiejący mężczyzna z poluzowanym krawatem klócił się z młodzieńcem z aparatem fotograficznym na ramieniu.

- Chciałabym rozmawiać ze Stacy Kurtz - powiedziała Maggie.

- Jest pani umówiona?

- Nie, ale...

- Nazwisko?

- Conlin. Maggie Conlin.

- Maggie Conlin? - powtórzyła otyła recepcjonistka, a potem spojrzała na kobietę, która rozmawiała właśnie przez telefon.

- Nie, wykluczone! - powiedziała kobieta do słuchawki zdecydowanym głosem i wpisała coś do komputera, zerkając jednocześnie na Maggie. - Wasz rzecznik powiedział mi coś innego na miejscu przestępstwa. Niech pan powie śledczemu Wycheskiemu, żeby zadzwonił na moją komórkę. Tak, Stacy

Kurtz ze *Star-Journal*. Jeśli nie zadzwoni, uznam to za potwierdzenie tej informacji.

Stacy Kurtz, która w niewielkim stopniu przypominała siebie ze zdjęcia, wpisała coś jeszcze do komputera, a potem podeszła do kontuaru.

- Stace, to jest Maggie Conlin - powiedziała kobieta we wzorzystej sukience. - Nie jest umówiona, ale chce z tobą porozmawiać.

Stacy Kurtz wyciągnęła dłoń do Maggie.

- Tak, tak, kojarzę nazwisko...

- Mój mąż zniknął wraz z synem parę miesięcy temu.

- Właśnie, dziwny przypadek uprowadzenia. Czy wydarzyło się coś nowego?

- Nie. Mój mąż... - Maggie ścisnęła uchwyt torebki. - Czy możemy porozmawiać na osobności?

Stacy spojrzała na nią, jakby chciała się upewnić, czy nie zmarnuje czasu. Obróciła się w stronę przeszklonego pomieszczenia, gdzie łysiejący mężczyzna wciąż kłócił się z fotoreporterem, i zagryzła wargi.

- Bardzo proszę, chcę z panią porozmawiać - nalegała Maggie.

- Dobrze, ale mam tylko dwadzieścia minut.

- Dziękuję.

- Della, powiedz Perry'emu, że poszłam na kawę.

- Masz komórkę? - upewniła się Della.

- Tak.

- Włączoną?

- Tak!

- Naładowaną?

- Na razie, Della.

Jakiś czas później Stacy Kurtz siedziała na ławce parę ulic od budynku gazety i sącząc kawę, stukwała długopisem w swój notes. Nad ich głowami krzyczały mewy, a Maggie starała się wyjaśnić, co ją dręczy.

- Nie wydarzyło się nic nowego, prawda? - przerwała jej Stacy.
- Nie, ale miałam nadzieję, że teraz, po tych wszystkich miesiącach, będzie pani o tym mogła napisać.
- Nie wydaje mi się.
- Bardzo proszę. Mogłaby pani zamieścić ich zdjęcia i przekazać tę informację do wszystkich redakcji na całym świecie...
- Bardzo mi przykro, ale nie wydrukujemy tego artykułu.
- Błagam. Jest pani moją ostatnią nadzieją.

Z torebki Stacy dobiegły pierwsze gitarowe dźwięki *Sweet Home Alabama* i dziennikarka sięgnęła po komórkę.

- Przepraszam, muszę odebrać - rzuciła w jej stronę, a potem przez chwilę słuchała. - Dobra, będę tam za dwie minuty.
  - Ale czy pani o tym napisze? - Maggie wyciągnęła kopertę w jej stronę.
  - Co to takiego? - zapytała dziennikarka.
  - Zdjęcia Logana i Jake'a.
- Stacy machnęła ręką i zrobiła pierwszy krok w stronę biura. Maggie ruszyła za nią.
- Przecież nigdy nie mówiłam, że to opublikujemy - powiedziała Stacy.
  - Niech pani porozmawia z wydawcą.
  - Już to zrobiłam i w tym momencie nie jesteśmy zainteresowani tą historią.
  - W tym momencie?! - wybuchnęła Maggie. - Co to znaczy?! Czy musi się stać coś strasznego, żebyście mogli o tym napisać? Czy ktoś musi zostać zabity lub znaleziony martwy?
- Stacy nagle zatrzymała się przed wejściem.

Dotarły do *Star-Journal*. Wrzuciła papierowy kubek z resztką kawy do kosza i popatrzyła na Maggie. Nie przepadała za tym, ale potrafiła sobie radzić ze zdesperowanymi ludźmi. Polegało to na tym, że zawsze mówiła im prawdę.

- Rozmawiałam ze śledczym Thompsonem. Wspomniał

coś o tym, że pani mąż miał zatarg z trenerem piłkarskim. I to już wszystko, więc ta sprawa ma wyłącznie osobisty charakter.

- Co takiego? To nieprawda.

- Bardzo mi przykro - powtórzyła Stacy.

Wszystko wokół Maggie zaczęło wirować: domy, chodnik, ruch uliczny. Oparła się o skrzynkę na korespondencję. Uniosła wyżej głowę, pragnąc powstrzymać łzy, które pojawiły się już na jej policzkach.

- Mój syn jest całym moim życiem - powiedziała. - Mąż bardzo się zmienił, kiedy pracował za granicą. To już pięć miesięcy, a obaj zniknęli bez śladu. Zaczynam tracić nadzieję, że jeszcze ich zobaczę.

Znowu zadzwoniła komórka Stacy. Dziennikarka spojrzała na numer i się rozłączyła.

- Muszę już iść.

- A co by pani zrobiła na moim miejscu? - spytała Maggie. - Byłam na policji, u adwokata i prywatnego detektywa. I wszystko na próżno. Nikt mi nie chce pomóc. Nie mam rodziny czy przyjaciół. Jestem sama. Była pani moją jedyną nadzieją. Moją ostatnią nadzieją.

- Jestem pewna, że wszystko się jakoś ułoży. Naprawdę przykro mi z powodu tego, co się stało, ale muszę już iść. - Mówiąc to, otworzyła drzwi i weszła do budynku.

Maggie stała na chodniku, a łopot flagi i metaliczny stukot masztu stanowiły requiem dla jej nadziei. Wsiadła do samochodu, a kiedy popatrzyła we wsteczne lusterko, napotkała nieznaną twarz. Zamrugła, widząc zmarszczki, które pojawiły się na jej czole. Strasznie schudła i ostatnio w ogóle się nie uśmiechała. Jak to się stało, że zmieniła się tak bardzo? Kochali się z Jakiem i stanowili szczęśliwą rodzinę. Dobrze im się razem żyło.

Maggie wybuchnęła płaczem i ukryła twarz w dłoniach. Płakała, aż ktoś zastukał w boczną szybkę. Zobaczyła Stacy Kurtz, która stała na chodniku.

Maggie opuściła szybkę.

- Wie pani... - Stacy szukała swego notesu. - Szkoda, że to się tak skończyło.

Maggie zebrała siły, patrząc, jak dziennikarka przerzuca kolejne strony. Nie chciała pokazywać, jak bardzo jest załamana.

- Nie jestem pewna, czy to pomoże, ale proszę to wziąć.

- Dziennikarka zapisała coś na czystej kartce i wydarłszy ją z notesu, podała Maggie. - Niewiele osób wie o tym, czym ona się zajmuje. Nie bierze pieniędzy. Nigdzie się nie ogłasza, a kiedy chciałam o niej napisać, odmówiła. Unika rozgłosu.

Maggie wytarła lewą ręką łzy i spojrzała na kartkę: imię, nazwisko, numer telefonu.

- Kto to taki?

- Moja przyjaciółka, która pracuje w policji, twierdzi, że pomogła im odnaleźć podejrzanego o morderstwo, zlokalizowała też zaginioną nastolatkę, której szukało FBI. I dziecko, które wywieziono do Europy...

- Nie rozumiem. Czy to znaczy, że pracuje w policji?

- Nie. Potrafi wyczuć pewne rzeczy i zobaczyć coś odległego...

- To znaczy, że jest jasnowidzem?

- Kimś w tym rodzaju. Zrobi pani z tym, co zechce.

- Stacy wskazała kartkę. - Jeszcze raz przepraszam, ale mamy dziś sądny dzień w pracy. I proszę mnie poinformować, gdyby coś nowego się wydarzyło. Do widzenia.

Maggie jeszcze długo patrzyła na zapisane niebieskim atramentem słowa: „Madame Fatima”. Ścisnęła kartkę tak mocno, jakby to była jej ostatnia deska ratunku.



## ROZDZIAŁ CZWARTY

*Faust 's Fork w pobliżu Banff, prowincja Alberta, Kanada*

Daniel wciąż trzymał dziewczynkę. Jak długo to trwało? Pół godziny? Może godzinę? Nie miał pojęcia.

Był już zmęczony walką z rzeką, ale się nie poddawał. Gdzie jest helikopter? Powinni już nas wypatrzeć. No, dalej! Nie było sensu krzyczeć. Woda wciąż napierała na nich, a on był niczym sople lodu. Obawiał się, że lada chwila straci przytomność.

Pomyślał o Norze, swojej żonie. Ojej oczach. Jej uśmiechu.

To dodało mu sił.

Rzeka wciąż napierała, ale on się nie poddawał. Jego dłonie krwawiły, ale nie puszczał skały, przypominając sobie to wszystko, czego go uczono w czasie ćwiczeń w akademii policyjnej w Regina.

*Nie poddawaj się. Nie odpuszczaj. Walcz do końca.*

Trzymał się resztkami sił, aż w końcu poczuł, jak niebo nad nim zaczęło pulsować i drżeć.

To helikopter.

Próbował spojrzeć w górę, ale wszystko zamazywało mu się przed oczami. Jednak już po chwili ratownik obniżył się

wraz z koszem ratunkowym i Daniel pomógł umieścić w nim dziewczynkę. Trzymał się skały, dopóki ratownik nie wrócił po niego. Przypiął Daniela pasami i wyciągnął go z wody. Góry wirowały mu przed oczami, gdy przelatywali nad rzeką. Kiedy wylądowali na polanie, ratownicy ściągnęli z nich mokre ubrania i owinęli kocami termoizolacyjnymi. Następnie helikopter znowu wzniósł się w powietrze.

Ratownicy zajmowali się dziewczynką, a helikopter leciał przez dolinę, która wciniała się głęboko między szczyty. Po paru minutach wylądowali na polanie koło schroniska, gdzie czekało już kilka karettek, a także czerwony helikopter służby medycznej STARS z Calgary. Daniel zauważył, że maszyna ma otwarte tylne drzwi, a jej wirnik już się obraca.

- Dziewczynka nie reaguje! - krzyknął jeden z ratowników do lekarza i sanitariuszy.

Lekarz pogotowia, pielęgniarz i pielęgniarzka pracowali szybko. Mieli na sobie kaski i kombinezony. Natychmiast założyli dziewczynce wenflon i rozpoczęli resuscytację, podając jej maskę z tlenem. Przewieziono ją na wózku, a następnie helikopter ruszył do szpitala w Calgary.

Daniel pozostał na polanie. Leżał bosy i owinięty kocami, a ratownicy rozgrzewali go i opatrywali rany na rękach. Pozostali ludzie patrzyli na niego w milczeniu.

- Zawieziemy pana na badania do szpitala w Banff

- zakomunikował jeden z ratowników.

Daniel potrząsnął głową, wciąż patrząc na helikopter, który leciał na wschód.

- Nic mi nie jest. Chcę wziąć udział w poszukiwaniach. Jeden ze strażników ruszył do swego pikapa. Po chwili wrócił z pomarańczowym kombinezonem, skarpetkami i butami. Rzucił je Danielowi.

- Są suche. Powinny być dobre - powiedział. - Jak się pan przebierze, zawiozę pana do centrum poszukiwań.

- Mężczyzna uściskał dłoń Daniela. - Jestem Bruce Dawson.

Parę minut później Daniel siedział już w samochodzie na miejscu pasażera. Ruszyli leśną drogą, starając się omijać

wyboje. Kiedy jechali między sosnami, Dawson poprosił kolegów przez krótkofalówkę, by zabrali rzeczy, które Daniel zostawił na brzegu rzeki, a także jego torbę z obozowiska.

- Kogo szukamy? - zapytał Daniel. - Przecież te dzieci nie przyjechały tu same.

- Tak, pomyśleliśmy też o dorosłych. Przeszukujemy teraz kolejny sektor w dole rzeki. - Dawson wpatrywał się w drogę. - Słyszałem o tym, co się działo, zanim wypatrzyli pana z powietrza. To był prawdziwy wyczyn.

Daniel nie odpowiedział, popatrzył tylko na góry.

Droga była wyboista, ale po trzydziestu minutach dotarli do chaty strażników z tego rejonu. Stała na płaskowyżu w pobliżu przebiegającego przez grań szlaku. Wcześniej mieściła się tu wybudowana z bali świerkowych kuchnia, która na początku dwudziestego wieku służyła pracownikom kopalni.

Obecnie znajdowało się tu centrum ratunkowe. Na ścianach w największej sali wisiały poznaczone na czerwono mapy. W środku pełno było ludzi, a na dużym, drewnianym stole stało kilka laptopów, leżały GPS-y i kolejne mapy. Były tam też bez przerwy dzwoniące telefony i krótkofalówki, przez które ratownicy informowali na bieżąco o stanie poszukiwań.

Daniel odnalazł łazienkę, wziął gorący prysznic i przebrał się w swoje rzeczy. Kiedy dołączył do pozostałych, pomyślał przede wszystkim o dziewczynce.

- Czy wiadomo, co się dzieje z tą małą z rzeki? - zapytał.

- Nie mieliśmy jeszcze meldunku na temat jej stanu zdrowia - odparł Dawson, podając mu kawę i kanapkę. - Wiemy, że helikopter wylądował przed chwilą w szpitalu dziecięcym w Calgary. Musimy poczekać, a w tym czasie poinformuję pana o stanie poszukiwań.

Daniel przyjął kawę, ale podziękował za kanapkę. Dawson wskazał leżącą na stole mapę i dotknął końcem ołówka punktu przy rzece.

- Tutaj znaleziono martwego chłopca. Jest tam już policja z Banff i Canmore, a także specjalista medycyny sądowej.

- Czy wiadomo, jak się nazywa? Może jest na liście zaginionych dzieci albo szukają go rodzice?

Dawson pokręcił głową.

- Jeszcze nie. Za dużo tu możliwości. - Przesunął końcem ołówka wzdłuż rzeki. - Mamy tu sporo obozów i turystów. Sprawdzamy zarejestrowane osoby, a nasi ludzie szukają ich w obozowiskach. Jednak turyści bez przerwy się przemieszczają. Część jest na szlakach, część pojechała do Banff czy Calgary... Na wszystko trzeba czasu.

Daniel skinął ze zrozumieniem głową.

- Podzieliliśmy ten obszar na kwartały. Nasi ludzie sprawdzają wszystko z ziemi, wody i powietrza...

- Czy jest tu kapral Graham? - odezwała się z końca sali jedna z telefonistek.

- To ja. - Daniel podszedł do niej i wziął czarną słuchawkę, a następnie zakrył dłonią drugie ucho. - Dziękuję.

- Dan? Słyszeliśmy już o twoim wyczynie. Nic ci nie jest?

To był inspektor Mike Stotter, szef policji konnej południowego dystryktu Calgary.

- Wszystko w porządku.

- Zrobiłeś więcej, niż można oczekiwać w takiej sytuacji.

- To nic wielkiego.

- Bardzo mi przykro, ale mam smutne wieści...

- Co się stało?

- Mieliśmy właśnie telefon ze szpitala. Nie udało się jej odratować.

Daniel przypomniał sobie drżące ciało dziewczynki, rozszerzone ze strachu oczy, ostatnie słowa, które wciąż brzmiały mu w uszach. Zmęczonym gestem przeciągnął dłonią po twarzy.

- Daj mi tę sprawę, Mike - powiedział Daniel.
- Nie, jeszcze za wcześnie - odparł Stotter.
- W tym tygodniu kończy mi się urlop.
- Mam dla ciebie starsze sprawy. Poza tym to przecież tylko wypadek, nie ma w tym nic podejrzanego. Mogą się tym zająć ludzie Forniera z Banff.
- Chcę zająć się tą sprawą, Mike.
- Naprawdę chcesz?
- Czy dziewczynka mówiła coś może w trakcie lotu albo w szpitalu?
- Zaczekaj. Shane rozmawiał z pielęgniarzami i z lekarzem.

Daniel spojrział na góry za oknem, czując, jak ścisną się mu żołądek. Po minucie lub dwóch znowu usłyszał głos szefa.

- Nie, nic. Dlaczego pytasz?
- Bo coś mi powiedziała.
- Co takiego?
- Nie jestem do końca pewny, ale mam wrażenie, że to nie był wypadek. Dlatego to nasza robota, a ja chcę się zająć tą sprawą, Mike.

Szef zastanawiał się przez dłuższą chwilę.

- Dobra, powiem Fornierowi. Od tej chwili prowadzisz to śledztwo. Jeśli okaże się, że to tylko wypadek, przekażesz sprawę ludziom Forniera. Prell jest teraz w Canmore z innym zadaniem, więc przyślę go, żeby ci pomógł.
- Prell? Co za Prell? - zdziwił się Daniel.
- Posterunkowy Owen Prell. Trafił do nas z Medicine Hat.
- Dobra. Dzięki, Mike.
- Jesteś pewny, że sobie poradzisz? Jak do tej pory masz dwoje martwych dzieci, a może być ich więcej.
- Nic mi nie będzie.
- Więc sprawdź najpierw to miejsce, gdzie znaleziono chłopca.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

*Faust 's Fork w pobliżu Banff, prowincja Alberta, Kanada*

Na twarzy chłopca nie było najmniejszej skazy.

Tak jakby śmierć zupełnie ją wygładziła.

Miał zamknięte oczy. Żadnego śladu na ciele. Wyglądał jak śpiący aniołek, a wiatr delikatnie pieścił jego włosy, jak matka, która chce obudzić swoje uśpione dziecko.

Bardzo przypominał dziewczynkę i zapewne był jej starszym bratem. Miał na sobie spłowiałe džinsy, bluzę ze znakiem Canadian Rockies, a także zwykłe, ale nieznoszone sportowe buty. Mógł mieć osiem, dziewięć lat i jego ciało w worku na trupy wydawało się bardzo małe.

Kim był? Co lubił? O czym marzył? O czym myślał przed śmiercią? - zastanawiał się Daniel, klęcząc obok niego nad brzegiem rzeki. Obok stała Liz DeYoung, ekspert medycyny sądowej z Calgary.

- Co o tym sądzisz? - zapytał głośniejszym głosem Daniel, by usłyszała go przez szum wody. - Wypadek? A może masz jakieś podejrzenia?

- Jeszcze za wcześnie, żeby o tym rozmawiać. - Liz pochyliła się i ostrożnie obróciła chłopca. Na rękach miała niebieskie gumowe rękawiczki. Daniel zobaczył rozbitą niczym skorupka jajka czaszkę. - To go zabiło.

- Uderzenie o skały?

- Najprawdopodobniej. Będziemy wiedzieli więcej po sekcji zwłok. W tej chwili możesz za to winić tylko naturę. Daniel spojrzął na zegarek Liz i zapisał datę i godzinę w notesie, który pożyczzył od strażników z Banff.

- Nie miał kamizelki ratunkowej - zauważył.

- Słucham?

- Dziewczynka też była bez kamizelki. Widziałaś może jakąś gdzieś w pobliżu?

- Nie. Może powiesz mi, dlaczego jesteś taki podejrzliwy?

- To tylko przeczucia - odrzekł.

- Przeczucia?

- Nieważne. Muszę jeszcze odmarznąć. Znalazłaś przy nim jakąś legitymację? A może coś szczególnego w kieszeni?

- Nie. Tylko małą latarkę i baton muesli. No dobra, wracaj do pracy. Musisz sprawdzić, kim są, i poszukać ich rodziny, żebyśmy mogli zweryfikować dane od dentysty z tym, co tu mamy. Zresztą sam wiesz najlepiej. Daniel wiedział doskonale.

- Możemy już go zabrać? - upewniła się Liz. Miała jeszcze dużo pracy.

Daniel nie odpowiedział. Patrzył z troską na leżącego przed nim chłopca, tak że Liz się zaniepokoiła.

- Coś się stało? - zapytała. Nagle przypomniała sobie to, co ostatnio słyszała, i położyła dłoń na jego ramieniu. - Wiesz, spotkałam się z Norą tylko raz, w zeszłą Gwiazdkę. Byliśmy na przyjęciu u prokuratora generalnego. Wyszliśmy razem, pamiętasz?

Pamiętał.

- Bardzo mi przykro, że nie byłam na jej pogrzebie, ale pojechałam na konferencję do Australii.

- Nie ma sprawy.

- Jak się trzymasz? Tak naprawdę.

Daniel popatrzył najpierw na chłopca, a potem na rzekę, jakby tam właśnie znajdowała się odpowiedź. Wstał.

- Możecie go zabrać - powiedział.

Liz zamknęła torbę. Jej pomocnik zapiął worek i umieścił ciało na noszach. Następnie przymocował je do nich w trzech miejscach. Daniel patrzył na karetkę, która oddalała się wolno leśną drogą. Jej resory co chwila jęczały, chociaż kierowca prowadził naprawdę ostrożnie.

Daniel stał przez chwilę na opustoszałej polanie. Na rękach miał rękawiczki, na nogach ochraniacze na buty. Ta część nabrzeża była odgrodzona od lasu żółtą taśmą. Pracownicy laboratorium kryminalistycznego policji konnej, którzy w białych kombinezonach przeczesywali ten teren w poszukiwaniu śladów, wyglądali tu zupełnie nieziemsko. Fotoreporter robił kolejne zdjęcia głązów i rzeki.

Daniel znał podstawową zasadę, którą kierowali się śledczy z jego wydziału - śmierć w dziczy może stanowić przykrywkę doskonałego morderstwa. Dlatego takie przypadki należy traktować ze szczególną ostrożnością. Trzeba poznać wszystkie fakty, by móc w końcu dotrzeć do prawdy.

Daniel zaczął przeglądać swoje dotychczasowe notatki. Ciało odnalazł niejaki Haruki Ito, lat czterdzieści cztery, fotoreporter z Tokio. Następnie zatrzymał dwie cyklistki: Ingrid Borland, lat pięćdziesiąt jeden, bibliotekarkę z Frankfurtu, i Marlenę Zimmer, lat trzydzieści trzy, specjalistkę komputerową z Monachium. Cała trójka wyglądała na zwykłych turystów.

W ich zachowaniu nie było niczego podejrzanego.

Fotoreporter z Tokio potraktował całą rzecz ze stoickim spokojem. Wcześniej robił już zdjęcia ofiar wypadków, a także spustoszeń po przejściu tsunami, więc to zdarzenie nie zrobiło na nim większego wrażenia. Co innego obie Niemki. Próbowały ratować chłopca i były wstrząśnięte tym, co się stało. Wciąż powtarzały: „Biedne dziecko, takie biedne dziecko”.

Daniel usłyszał trzask radiostacji i spojrzał na zbliżającego się mężczyznę, który wyszedł spomiędzy wozów ratun-



kowych, minął grupę policjantów i świadków i zatrzymał się przy żółtej taśmie. Mądra decyzja.

- Kapral Graham?

Daniel podszedł w jego stronę. Nowo przybyły miał trzydzieści parę lat i był od niego odrobinę niższy. Miał na sobie koszulę w kratkę i dzinsy, a także skórzaną kurtkę.

- Jestem Owen Prell - przedstawił się nieznajomy.

- Przysłał mnie inspektor Stotter. Daniel uściskał jego dłoń.

- Szybko się tu zjawileś.

- Byłem już w Canmore.

- Mike mówił, że pracowałeś w Medicine Hat.

- Tak, zajmowałem się tam analizą danych geograficznych. W pracy dostałem biurko obok pańskiego. Z przyjemnością będę z panem pracował.

- Jestem Daniel.

Prell skinął głową, a potem spojrzał w stronę wozów patrolowych i strażników.

- Chcieli wiedzieć, czy mogą już zwolnić świadków

- rzucił. - Jak sądzisz, możemy ich puścić?

- Za chwilę - powiedział Daniel. - Ale najpierw weź ich paszporty. Sprawdzimy ich w Interpolu. Powiedz, że to formalność i że jutro je zwrócimy.

- W porządku.

Prell odszedł, a po chwili nad ich głowami pojawił się helikopter Królewskiej Policji Konnej z Edmonton. Gdy zniknął, Daniel usłyszał, że ktoś go woła. Jeden z ludzi z ekipy technicznej badającej canoe pomachał w jego stronę. To mogło być coś ważnego.

Po chwili Daniel trzymał w dłoni małą metalową tabliczkę z napisem „Przystań Wolfe Ridge” i numerem 27. Łatwo było dopasować ten kawałek metalu do miejsca, gdzie się poprzednio znajdował na dziobie łodzi.

Ktoś wynajął to canoe.

Można więc było sprawdzić nazwisko tej osoby.

- Prell! - zawołał Daniel.

Jego współpracownik zaraz się pojawił. Daniel wydał mu dyspozycje, a on porozumiał się przez krótkofalówkę z dyspozytorem, który miał sprawdzić, kto wynajął łódź z numerem 27 z przystani Wolfe Ridge.

Po dwudziestu minutach mieli już informacje.

Łódkę wynajął niejaki Ray Tarver z Waszyngtonu. Zezwolenie na wjazd do parku obejmowało Raya, Anitę, Tommy'ego i Emily Tarverow. Mieli zająć obóz numer 131.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

*Faust 's Fork w pobliżu Banff, prowincja Alberta, Kanada*

Obóz numer 131 znajdował się w górze Faust River, daleko od głównych szlaków. Otaczały go gęste lasy świerkowe i sosnowe. Z obozu rozciągał się wspaniały widok na rzekę i ciągnące się wzdłuż rzeki skały pasma Dziewięciu Niedźwiedzi.

Kiedy Daniel przyjechał na miejsce, nie odnalazł tam śladów życia.

Obok dużego namiotu stała stara terenówka. Obóz był typowo turystyczny: kuchenka gazowa, krzesła ogrodowe, a także cztery kamizelki ratunkowe, ułożone porządnie pod świerkiem. Jedzenie przechowywano w bezpiecznej odległości od namiotu, a na sznurze rozciągniętym między dwoma drzewami wisały wyprane ubrania. Strażnicy zaczęli nawoływać Tarverow, ale odpowiedział im tylko szum rzeki i huk silników dwóch helikopterów.

Miejsce było opustoszałe.

Bez życia.

Daniel nakazał otoczyć obóz żółtą taśmą policyjną. Kiedy policjanci się tym zajmowali, a Prell wzywał wsparcie przez krótkofalówkę, Daniel wszedł do namiotu sam. W środku wyczuł miły zapach mydła i kremu. Miał też nieodparte wrażenie, że coś tu przerwano, ale nie mógł dokładnie

określić co. Czas się tutaj zatrzymał. Popatrzył na duży śpiwór, w którym mogły spać dwie osoby. Po jego lewej stronie leżała powieść Danielle Steel, po prawej latarka.

Dalej obok siebie leżały dwa kolejne śpiwory. Na jednym znajdował się otwarty komiks ze SpongeBobem, a na drugim siedział różowy królik i z otwartymi łapkami oczekiwał powrotu właścicielki.

Daniel podniósł zabawkę i zajrzał w jej guzikowe oczy.

Westchnął i spojrział w bok. W dwóch plecaczkach leżały kolorowe, dziecięce ubrania: koszulki, sweterki, spodnie...

Dwa duże plecaki też były otwarte i wyjęto z nich część ubrań.

Wszystko wyglądało bardzo schludnie.

Daniel na próżno szukał torebki lub portfela. Turyści często chowali je gdzieś albo zostawiali w depozycie. Po zrobieniu notatek wyszedł na zewnątrz. Prell natychmiast poinformował go o tym, czego się dowiedział.

- Ta terenówka pochodzi z wypożyczalni na lotnisku w Calgary. Wynajęto ją na to samo nazwisko: Raymond Tarver.

Adres też się zgadza.

- Znalazłeś coś w środku?

- Jest zamknięta.

- Więc przekaz, żeby jak najszybciej dostarczyli nam kluczyki z tej wypożyczalni. Potem niech zajmie się tym wszystkim ekipa techniczna. Zadbaj też o to, żeby nikt tutaj się nie kręcił.

Prell skinął głową, a Daniel wyciągnął dłoń w stronę nadbrzeża rzeki.

- A co z turystami z pobliskich obozów? - zapytał.

- Posłałem już naszych ludzi do najbliższych punktów - odparł Prell.

- Doskonale. Chcę, żeby powiedzieli, co robili w ciągu ostatnich godzin. I sprawdź, czy nie byli notowani.

- W porządku. Jak sądzisz, co stało się z rodzicami tych dzieci?

- Nie mam pojęcia. - Daniel jeszcze raz rozejrzał się po

obozie: kamizelki ratunkowe, plastikowa lodówka, trochę śmieci obok ogniska. Żadnej wskazówki. Czy piekli kielbaski i pianki cukrowe na ogniu? Może śpiewali skautowskie piosenki? Czy zginęli razem? - To ludzie, którzy stosują się do przepisów, zachowują bezpieczeństwo i nie chcą narażać się na ryzyko. Na razie nie wiem, co się stało - dodał.

Późnym wieczorem, kiedy Prell wyjechał do Calgary, Daniel siedział na zewnątrz i obserwował światła lamp i latarek ratowników, którzy wciąż przeczesywali teren. Był sam w obozowisku i co jakiś czas dorzucał drewno do ognia. Co kilkanaście minut włączał pożyczoną krótkofalówkę, by wysłuchać kolejnych komunikatów.

Wciąż myślał o tej sprawie.

Kiedy mechanik z wypożyczalni otworzył samochód, znaleźli w nim portfel i torebkę, w której znajdowały się paszporty całej rodziny. Daniel mógł się dobrze przyjrzeć Raymondowi Tarverowi, jego żonie Anicie i dzieciom: Thomasowi i Emily, która umarła w jego ramionach.

Co tu się stało? To pytanie nie dawało mu spokoju.

Chciał wierzyć, że była to miła, amerykańska rodzina, ale wobec tego gdzie znajdowali się Ray i Anita Tarverowie? Czyżby utopili własne dzieci?

A może utonęli razem z nimi?

Co się stało?

Czy wyjechali na wakacje i do wypadku dobrze się tu bawili? A może jednak wydarzyło się coś innego? Może mieli jakieś kłopoty? Może nie mogli się dogadać?

A co z jego własnym życiem?

W świetle ogniska widział stojącą przy wejściu do namiotu urnę.

Przeciagnał dłonią po twarzy.

Miał za sobą straszny dzień. To było ulubione miejsce Nory i przyjechał tu po to, by wrzucić do rzeki jej prochy.

Chciał rzucić pracę w policji. Nie zostało mu już nic w życiu.

Zupełnie nic.

I to z jego winy.

A potem zdecydował się ratować to dziecko i gdzieś tam, kiedy szamotał się w wodzie, usłyszał głos żony. Nora powiedziała mu, żeby się nie poddawał.

Teraz już nie mógł się poddać.

Zwłaszcza po tym, jak usłyszał tajemnicze słowa Emily. Ostatnie słowa, które wypowiedziała przed śmiercią. Nie mógł zostawić tej sprawy. Był coś winny umarłym. Nagle usłyszał sygnał krótkofalówki.

- Sektor siedemnasty, powtórz!

- Coś tu mamy!

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

*Blue Rose Creek, Kalifornia*

Dochodziła pierwsza trzydzieści w nocy.

Maggie westchnęła ciężko i przeszła do sypialni. Straciła już nadzieję, że zdoła się skontaktować z Madame Fatimą. Parę razy nagrała się na jej sekretarkę, ale wszystkie jej wiadomości pozostały bez odpowiedzi.

Następnego dnia spróbuje ponownie.

Sięgnęła po narzutę i zamarła.

Co to było?

Usłyszała coś. Z dołu, od strony gabinetu dobiegły do niej jakieś dźwięki. Rozejrzała się dookoła i przez moment nasłuchiwała.

Cisza.

Była wyczerpana i chciała natychmiast zasnąć, ale gdy się tylko położyła, zwały się na nią najczarniejsze myśli.

Czy Jake i Logan nie żyją? Co się z nimi stało?

Po prostu podnieś słuchawkę i do mnie zadzwoń, Jake -ponaglała go w duchu. Chcę wiedzieć, że nic wam nie jest. Dlaczego mi to robisz?

Dlaczego?

Maggie zwykle lubiła samotność, ale teraz żałowała, że nie ma przyjaciółki, z którą mogłaby pogadać. Kiedy miała sześć lat, jej matka popełniła samobójstwo, po tym jak pijany

kierowca zabił jej starszą siostrę, April, gdy wracała do domu na rowerze. Ojciec wychowywał ją samotnie, aż wyszła za Jake'a. A potem związał się z młodszą kobietą, narkomanką, którą poznał na terapii. Przeprowadzili się do Arizony i Maggie nie widziała się z nim od wielu lat. Zadzwoiła do niego, by sprawdzić, czy nie wie czegoś o Jake'u, ale rozmowa była krótka i mało owocna.

Nie.

Jake też nie miał rodziny. Jego rodzice rozwiedli się, kiedy skończył szkołę średnią. Ojciec zmarł na raka pięć lat wcześniej, a matka trzy lata po nim.

Maggie i Jake nigdy nie mieli zbyt wielu przyjaciół

- wystarczało im własne towarzystwo. Razem radzili sobie ze wszystkimi problemami.

Przynajmniej do niedawna.

Co tak naprawdę stało się w Iraku?

Maggie wiedziała, że jej mąż brał udział w tajnych misjach, ale nie chciał jej niczego powiedzieć. Był tylko coraz bardziej ponury i coraz częściej zdarzały mu się napady gniewu.

Któregoś dnia pojechali do sklepu, gdzie natknęli się na Craiga Ullmana, trenera Logana. W czasie rozmowy na twarzy Jake'a pojawił się dziwny, pełen niechęci grymas. Parę dni później, gdy położyli się spać, mąż odwrócił się do niej tyłem.

- Wiem, że spałaś z Ullmanem, kiedy byłem w Iraku

- powiedział.

Była oszołomiona.

Nie tylko się mylił, ale w dodatku głęboko ją zranił. Miała wrażenie, że popadł w jakieś szaleństwo. A potem zrobił jej scenę w czasie jednego z meczów. Jake przyjechał spóźniony i ruszył w stronę trybun. Logan pomachał mu z boiska. Maggie pomachała z miejsca, gdzie siedziała wraz z innymi rodzicami.

Jednak Jake podszedł wprost do Ullmana.

40



- Wiem wszystko, ty dupku.

Ullman spojrział na niego zdziwiony znad swoich notatek.

- Coś się stało, Jake? - spytał.

- Pieprzyłeś moją żonę, kiedy mnie tu, kurwa, nie było!

- Co takiego?

Jake chciał go uderzyć, ale Maggie, która zdążyła do nich dotrzeć, złapała go za rękę.

- Przestań, Jake. Chodźmy do domu. Craig, bardzo mi przykro. - Maggie zerknęła przeproszająco w stronę trenera.

Jake spojrział na nią, potem na Logana, który to wszystko widział. Wszyscy to widzieli. Jake stał przez chwilę w milczeniu, a potem opuścił dłoń i ruszył do wyjścia. Tej nocy spał w ciężarówce, zaparkowanej na podjeździe przed ich domem. Tak blisko, a jednocześnie tak daleko od tych, którzy go kochali.

Maggie z Loganem przełknęli jakoś to upokorzenie. W ciągu następnych dni Jake w ogóle nie wracał do tematu tego incydentu. Wybrał się na kilka dłuższych tras, a Maggie dzwoniła do poradni psychologicznej, by znaleźć sposób na naprawienie ich życia.

Zrobiła wszystko, co mogła, by ratować rodzinę.

Nagle otworzyła oczy.

Znowu coś usłyszała.

Jakieś dźwięki.

Tym razem nieco głośniejsze.

Wstała, by sprawdzić, co dzieje się na dole.

Zeszła do holu i rozejrzała się dookoła. Poczula dziwny niepokój, gdy skierowała się do gabinetu, który znajdował się obok salonu. Gdy tam zajrzała, nie dostrzegła niczego szczególnego, a jednak poczuła się dziwnie. Zajrzała do łazienki i sprawdziła kabinę prysznicową.

Nic.

Przeszła do pokoju Logana. Nie dostrzegła tam niczego podejrzanego, więc wróciła do gabinetu i zajrzała nieco dalej, tam, gdzie we wnęce stał komputer, a także papiery dotyczące Jake'a i Logana.

Włoski zjeżyły jej się na szyi.

Ktoś przeglądał jej papiery. Parę kartek leżało nawet na podłodze.

Czyżby ktoś był w jej domu?

Spojrzała na drzwi, wychodzące na taras. Były uchylone. Czyżby zostawiła je otwarte?

Natychmiast je zamknęła. Oczywiście zdarzało jej się, że przez roztargnienie zapominała o tym czy o owym. Jeśli drzwi były otwarte, łatwo wyjaśnić, dlaczego parę kartek leżało na podłodze. Noc była wietrzna.

Maggie pociągnęła nosem.

Co to?

Poczuła coś. Jakiś zapach, którego nie udało jej się rozpoznać.

Może to nic takiego.

Czyżby była tak zmęczona, że umysł zaczął jej płatać figle?

Co gorsza, nie potrafiła nad tym zapanować. Wciąż wydawało jej się, że ktoś był w mieszkaniu.

Aż podskoczyła, kiedy nagle zadzwonił jej telefon.

Kto może do niej dzwonić o tej porze?

Najpierw poczuła nadzieję, a potem strach chwycił ją w swoje szpony. Sięgnęła po słuchawkę.

- Halo?

Jej słowa utknęły w głuchej ciszy. Ekran identyfikacji numeru wskazywał numer zastrzeżony.

- Halo? Kto mówi?

Nikt nie mówił. Nie słyszała nawet oddechu czy jakichś odgłosów w tle. Tylko ciszę.

- Do kogo pan dzwoni?

Przez okno zobaczyła samochód, który przejechał na światłach postojowych. Co się dzieje?

Odłożyła słuchawkę i ukryła twarz w drżących dłoniach. Czyżby zwariowała?

## ROZDZIAŁ ÓSMY

*Waszyngton*

Na północ od Białego Domu, za Kapitołem i Pomnikiem Waszyngtona, Carol Mintz analizowała możliwe zagrożenia bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych.

Zbliżająca się wizyta papieża sprawiła, że sytuacja stała się jeszcze bardziej napięta.

Jej szef powiedział, że powinna uważać na wszystko, zadbać o każdy szczegół i nie dać się zwieść pozorom.

Jasne. Żaden problem. Przecież tym właśnie zajmowali się dwadzieścia cztery godziny na dobę przez okrągły tydzień. I tak bez przerwy. Ich praca nigdy się nie kończyła.

Mintz spojrzała na ekran komputera i zaczęła przeglądać tajny raport z ambasady w Libii.

Francuski wywiad zdołał podsłuchać znajdujących się pod Trypolisem algierskich rebeliantów. Rozmowa wskazywała, że do wybrzeża USA zbliża się jakiś niebezpieczny ładunek wysłany z Afryki.

Nie mieli żadnych innych informacji.

Mintz, jako samodzielny analityk, sprawdziła archiwum, co potwierdziło jej podejrzenia. Najpierw, parę tygodni wcześniej, dotarła do niej wiadomość o podejrzanym parowcu wysłanym z Tangeru, na pokładzie którego znajdowały się najprawdopodobniej narkotyki z Etiopii. Według

najświeższych wiadomości ten statek przedostał się przez Kanał Sueski, przepłynął przez Ocean Indyjski i znajdował się w tej chwili prawdopodobnie gdzieś na Pacyfiku.

Te wiadomości wciąż nie były potwierdzone.

Skąd więc ten kolejny sygnał?

Ludzie z Trypolisu radzili poczekać na następne wiadomości.

No tak, czekał ją kolejny długi dzień w pracy.

Jej biuro znajdowało się w dawnej bazie marynarki wojennej, znanej jako Nebraska Avenue Complex. Na działce, która zajmowała trzydzieści osiem akrów, stało kilkadziesiąt budynków. Były zlokalizowane nieopodal Centrum Bezpieczeństwa Narodowego, jakieś dwadzieścia dwa kilometry od miejsca, gdzie samolot terrorystów uderzył w Pentagon.

Zadanie biura polegało na tym, by nie dopuścić do jakichkolwiek ataków w przyszłości.

Carol analizowała różne zagrożenia, a potem porównywała swoje dane z wynikami innych tajnych agencji rządowych: CIA, FBI, DIA i NSA, i innych. Jej zespół odpowiadał głównie za monitorowanie statków i samolotów.

Carol Mintz zagryzła wargi i spojrzała na poranne wydanie *New York Timesa*. Na pierwszej stronie znajdowała się informacja o tym, że zagraniczne agencje wywiadowcze odnotowały wzmożoną działalność terrorystów.

Działalność wymierzona we władze Stanów Zjednoczonych.

Taka była prawda.

Na początku tygodnia dostali informacje od wywiadu brytyjskiego i australijskiego na temat dwóch mężczyzn podejrzanych o terroryzm, którzy przelecieli boeingiem 747 z Hong Kongu do Sydney, skąd mieli połączenie do San Francisco. Powiadomiono o tym amerykańskich agentów.

Dwaj z nich uzyskali odciski palców obu mężczyzn w czasie lotu, które sprawdzono w Waszyngtonie i wykluczono możliwość ataku.

Cała operacja była tajna.

Pasażerowie ani przez moment nie podejrzewali, co się wokół nich dzieje.

Carol sięgnęła po kolejną marchewkę, kiedy na ekranie jej komputera pojawił się nowy komunikat.

Ambasada w Amsterdamie ostrzegała przed nowym niebezpieczeństwem. Aresztowany w Stambule fałszerz, który podrabiał paszporty, powiedział tureckiej policji, że na pokładzie statku znajduje się kilka ładunków wybuchowych, które zostaną zdetonowane, kiedy jednostka dotrze do Bostonu. Statek był zarejestrowany w Arubie, wypłynął z Rotterdamu i w tej chwili znajdował się już na amerykańskich wodach terytorialnych.

Carol chwyciła za słuchawkę, kiedy dostała komunikat z CIA.

Na pokładzie statku znajdowało się kilkanaście zamówionych przez Internet narzeczonych, które przemycono z Moskwy. Nie znaleziono tam żadnych materiałów wybuchowych. Obiekt nie stanowił zagrożenia. Kryminaliści często starali się podnieść swoje zasługi i opowiadali bajki w czasie przesłuchań, byle tylko dostać lżejszy wyrok. Dzięki, Langley, że podzieliłeś się tą informacją.

Carol zaczęła masować szyję. Nawet nie przypuszczała, że jest tak spięta. Spojrzała na komunikat Narodowej Rady Do Spraw Zagrożeń.

Dziś obowiązuje alarm żółty - podwyższone ryzyko ataków terrorystycznych.

Na komputerze pojawiły się dalsze dane, dotyczące frachtowca z Afryki. Wciąż płynął przez Pacyfik w kierunku wybrzeża Stanów. Na jego pokładzie znajdowały się najprawdopodobniej narkotyki, zapewne haszysz lub khat, liściasta roślina z Etiopii.

Świetnie. Wyglądało na to, że ma już informacje z wszystkich agencji.

Mimo to przesłała dalej ten komunikat.

Trzeba dzielić się informacjami, by mieć pełny obraz. Więc jeszcze raz powędrowały one do Straży Przybrzeżnej,

Urzędu Celnego, Administracji Obrotu Lekarstwami, a także ludzi z agencji w Connecticut, chociaż wszyscy i tak pewnie wiedzieli już, czego się spodziewać.

Następnie Carol zauważyła, że dostała raport z Tajnej Agencji Ochrony Dygnitarzy, odpowiedzialnej za bezpieczeństwo papieża w czasie jego zbliżającej się wizyty. Sprawdziła dane, dotyczące trasy przejazdu, odlotu, a także tego, czym powinny zająć się poszczególne agencje.

Stukała palcem w biurko i zastanawiała się nad informacjami, które do niej ostatnio dotarły.

Postanowiła przekazać je do Wydziału Analitycznego Służb Specjalnych. Doceniała to, że agencja zajmuje się wszystkim, chociaż w tej chwili jej priorytet stanowiła ochrona papieża. Było jej przykro, że dołoży jej pracy, ale miała rozkaz, by przekazywać dalej to wszystko, co do niej docierało.

Nawet informację o niepotwierdzonej dostawie narkotyków z Etiopii.

Należało mieć nadzieję, że tylko o to chodzi.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

*Calgary, prowincja Alberta, Kanada*

Ekipa przeszukująca sektor siedemnasty znalazła ciało Anity Tarver zakleszczone między pniami drzew, które leżały w potoku wypływającym z Faust River.

Niecałe dwadzieścia cztery godziny po tym zdarzeniu nagie zwłoki kobiety leżały na metalowym wózku w sali, gdzie dokonywano sekcji zwłok, w Biurze Medycyny Sądowej w Calgary. Parę metrów obok leżały ciała jej syna i córki.

Daniel obserwował doktora Bryce'a Colliera, patologa, który wraz z asystentem przystąpił do sekcji zwłok i jednocześnie starał się wyobrazić sobie, jak wyglądało życie tej rodziny. Urodziny jej członków. Boże Narodzenia. Przygotowanie dzieci do wyjścia do szkoły. Podniecenie związane z wakacyjną wycieczką w góry. Panią Tarver, całującą dzieci na dobranoc, kiedy szły spać w namiocie.

Czy mogli się spodziewać tego, co nastąpiło?

Daniel, tak jak większość policjantów, nie lubił sekcji zwłok, ale wiedział, że stanowią one część jego pracy. W ciągu lat spędzonych w policji konnej oglądał ofiary pożarów, wypadków samochodowych, porażeń prądem, utonięć, walk na noże, strzelanin, powiesznień, uduszeń, ataków

młotkami, kijami bejsbolowymi czy hokejowymi, a także ludzi, którzy zamrzli w wielkich bryłach lodu. Jednak niezależnie od tego nie mógł się przyzwyczaić do chłodu, który panował w sali, widoku organów wewnętrznych i zapachu formaldehydu i amoniaku. Wszystko to oznaczało dla niego nieunikniony koniec. A teraz jeszcze, bardziej niż kiedykolwiek winił siebie za śmierć swojej żony.

Kiedy sekcja się skończyła, Daniel przeszedł do biura Colliera. Bardzo lubił jego drzewko bonsai, a także ciche gulgotanie fontanny feng shui. Ich widok dodawał mu otuchy. Poza tym lubił reprodukcję obrazu Van Gogha „Montmartre, zmrok przed burzą”, która tu wisiała.

Najgorsze jeszcze przede mną, pomyślał Daniel.

Collier otworzył puszkę coli dietetycznej, wlał jej zawartość do kubka i zaczął notować w papierach, które miał przed sobą.

- Uważam, że przyczyną śmierci było uderzenie w skały i wychłodzenie. To był wypadek - powiedział doktor.

- I nie masz co do tego wątpliwości?

- Chyba że wiesz coś jeszcze, czego my nie wiemy.

- Emily próbowała powiedzieć mi coś przed śmiercią.

- Wiem. Stotter mówił, że było to niespójne.

Daniel wypuścił wolno nagromadzone w płucach powietrze.

- Prawda, Dan? - upewnił się Collier.

- Tak. Ale jak do tej pory nie znaleźliśmy ojca tych dzieci, a wszystko wskazuje na to, że był z nimi w parku.

- Myślisz, że to jego sprawka?

- Sam nie wiem, Bryce.

- Rozumiem. Cóż, na razie zakwalifikuję tę sprawę jako wypadek. - Collier napił się coli. - Potrzebuję jeszcze danych od dentysty, żeby móc dokonać ostatecznej identyfikacji. Masz kogoś z ich rodziny?

Daniel zajrzał do notatek. Kiedy Tarverowie meldowali się



w parku, napisali, że w razie wypadku należy powiadomić niejakiego Jacksona Tarvera z Beltsville, w stanie Maryland. - Tak, ojca Raya Tarvera. Zadzwoń do niego od siebie.

Daniel wyjechał nieoznakowanym chevroletem z parkingu i ruszył na wschód drogą Memorial Drive, biegnącą wzdłuż Bow River. Po drugiej stronie rzeki znajdowały się lśniące biurowce. Minął zoo i skręcił w drogę ekspresową Deerfoot Trail, która prowadziła do siedziby Królewskiej Policji Konnej okręgu Południowa Alberta.

Był to budynek imienia Stephena A. Duncana, położony niedaleko lotniska.

W wydziale do spraw przestępstw Daniel nie znalazł ani kaprała Shane'a Wilcoksa, odpowiedzialnego za koordynację działań, ani Prella. To dobrze. Daniel był częścią zespołu, ale lubił pracować sam. Wstawił kawę i przeszedł do łazienki, gdzie spojrzął w lustro.

Co się dzieje, do cholery?

Po co ma się tak starać? Bez Nory jego życie nie miało już przecież sensu. Być może dlatego zdecydował się ratować to dziecko. Kogo jednak tak naprawdę próbował ratować? Co wydarzyło się tam, w rzece? Mógł przysiąc, że słyszał głos żony, która powiedziała mu, żeby się nie poddawał.

A dziewczynka?

Wciąż ściagały go jej ostatnie słowa. Wszyscy uważali, że był to tragiczny wypadek, ale on miał wątpliwości.

Może jednak zwariował?

Obmył twarz, a następnie wrócił do pokoju. Jego biurko, w przeciwieństwie do innych, było niemal puste i schludne.

Nie stało też na nim zdjęcie ukochanej osoby. Żadnych drobiazgów, które zdradzałyby jego osobowość. Tylko telefon, kubeczek z długopisami i ołówkami, notatnik i akta sprawy Tarverow.

Tylko tyle mu zostało.

Otworzył teczkę i odnalazł numer Jacksona Tarvera.

Bycie posłańcem złych wiadomości również było częścią jego pracy. Najgorszą częścią. Zdarzało się, że ludzie rzucali się na niego z pięściami, inni zaś mdleli, kiedy mówił to, czego nikt nigdy nie powinien usłyszeć.

Czasami, kiedy zajeżdżał policyjnym wozem pod jakiś dom, jego mieszkańcy nie chcieli go wpuścić do środka. Ponieważ oni wiedzieli. Wiedzieli, że przynosi wieści, które mogą zburzyć spokój ich świata. Wierzyli, że jeśli nie usłyszą tych słów, ich córka lub syn, siostra, brat, matka czy ojciec, żona lub mąż pozostaną żywi.

Nikt nie wiedział, jak bardzo Daniel bał się, że coś takiego może się przytrafić również jemu.

I w końcu się stało.

„Nie mogliśmy powstrzymać krwawienia. Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy. Bardzo mi przykro”.

Po pięciu dzwonekch jakaś kobieta w Maryland odebrała telefon.

- Czy mogę rozmawiać z panem Jacksonem Tarverem?

- Chwila, jest na podwórku. - W słuchawce Daniel usłyszał odgłosy kroków na terakocie, a potem skrzypienie wychodzących na tyły drzwi. - Jack! Telefon do ciebie! To chyba znowu ten sprzedawca! - Mężczyzna podszedł do drzwi i coś mruknął. Daniel ścisnął słuchawkę, zadowolony, że jest sam w pokoju.

- Słucham?

- Czy pan Tarver, Jackson Tarver?

- Tak.

- Kapral Daniel Graham z Kanadyjskiej Królewskiej Policji Konnej w Calgary.

- Z policji?

- Tak. Bardzo mi przykro, że pana niepokoję, ale czy jest pan krewnym Raymonda, Anity, Tommy'ego i Emily Tar-verów z Waszyngtonu?

W słuchawce przez dłuższy czas panowała cisza. Tarver przełknął tylko głośno ślinę.

- Anita to moja synowa, a Tommy i Emily to wnuki. - Mężczyzna chrząknął. - Raymond jest moim synem. Dlaczego pan dzwoni?

Kiedy Daniel przekazał wiadomość, słuchawka wypadła z dłoni Jacksona Tarvera.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

*Calgary, prowincja Alberta, Kanada*

Dane uzyskane od dentysty potwierdziły tożsamość Anity, Tommy'ego i Emily Tarverow.

Ciała Raymonda nie udało się odnaleźć, ale nie zaprzestano poszukiwań.

Wszystkie gazety z Calgary pisały o tej tragedii: „Rzeka zabiła czworo Amerykanów”, „Śmierć w górach”. *Calgary Herald* i *Calgary Sun* zamieściły zdjęcia Tarverow, miejsc, w których wydarzyła się tragedia, a także mapkę tego rejonu. Wywiady przeprowadzone z przyjaciółmi rodziny ujawniły, że Raymond Tarver był dziennikarzem, który współpracował z różnymi gazetami, Anita bibliotekarką, a Tommy i Emily „najsłodszyimi dziećmi pod słońcem”. Poza tym Daniel nie znalazł żadnych istotnych informacji w internetowych wydaniach *Washington Post* i *Washington Times*.

W końcu pojechał na lotnisko w Calgary, by się spotkać z Jacksonem Tarverem. Zdjęcia, które widział wcześniej, zdradzały rodzinne podobieństwo, tyle że ojciec Raya miał siwe włosy, które zaczesywał na bok.

Jackson Tarver miał sześćdziesiąt siedem lat i był emerytowanym nauczycielem języka angielskiego. Uścisk jego dłoni wydał się Danielowi zadziwiająco mocny jak na kogoś, kto stracił najbliższych. Powiedział też, że chce od razu

„zająć się tym, co ma do zrobienia". Pojechali więc zaraz do hotelu, w którym zatrzymał się Daniel, gdzie w restauracji znaleźli cichą lożę. Tarver nie pił kawy, tylko ścisnął swoją obrączkę.

- Od kiedy pan zadzwonił, modłę się, żeby to nie była prawda - powiedział. - Muszę ich sam zobaczyć. Mam nadzieję, że mnie pan zrozumie.

Daniel rozumiał. Otworzył teczkę, w której znajdowały się wyraźne zdjęcia Anity, Tommy'ego i Emily jeszcze sprzed sekcji.

Na twarzy Jacksona Tarvera pojawił się ból i po chwili mężczyzna odwrócił wzrok.

Daniel odczekał chwilę, a potem wziął starszego mężczyznę za ramię, by zwrócić na siebie jego uwagę.

- Nasi ludzie skontaktowali się już z konsulem Stanów Zjednoczonych. Pomogą panu zarezerwować lot i odebrać ciała z kostnicy - oznajmił. - Poza tym mają odesłać rzeczy, które należały do pańskiej rodziny, po tym jak nie będą nam już potrzebne. Mam tu dokumenty, które musi pan wypełnić.

Daniel podał mu kopertę. Tarver potrzebował jeszcze chwili, żeby się pozbierać.

- Wie pan, jak to się stało? - zapytał cicho.

- W tej chwili wydaje nam się, że ich łódka przewróciła się na Faust River.

- I nie mieli kamizelek ratunkowych?

- Niestety.

- Nie rozumiem. Ray zawsze był taki ostrożny. W lepszych czasach zabierał Anitę i dzieciaki do Yellowstone.

Doskonale wiedział, jak trzeba się zachowywać w niebezpiecznych miejscach. Do licha, był kiedyś wytrawnym skautem!

- Powiedział pan w lepszych czasach? - zapytał Daniel, notując.

- Ray pracował kiedyś jako reporter w biurze World Press Alliance w Waszyngtonie.

- Jakimi sprawami się zajmował?

- Najpierw wszystkim, a potem sprawami dochodzeniowymi.
- Daniel skinął głową.
- Później zaczął się kłócić z wydawcami. W końcu jakiś rok temu stwierdził, że ma dosyć, i postanowił pisać jako wolny strzelec.
- I jak mu szło?
- Ciężko. Anita bardzo się martwiła. Zrezygnował przecież z dobrze płatnej pracy z różnymi świadczeniami.
- Zdarzały się sprzeczki?
- Czasami. Głównie z powodu pieniędzy i tego, że rzucił pracę w World Press.
- Dlaczego więc nie znalazł sobie innego etatu?
- Wydaje mi się, że Ray uważał, że ma w zanadrzu jakiś świetny temat, że może zdoła napisać książkę. W ciągu tego roku dużo od nas pożyczał, martwił się też o Anitę i dzieci. Jakies pół roku temu ubezpieczył się dodatkowo na życie, tak żeby jego rodzina miała pieniądze, gdyby coś mu się stało.
- Naprawdę? Na jaką sumę?
- Chyba na dwieście pięćdziesiąt tysięcy.
- Więc musiał płacić spore składki. Skąd wziął pieniądze na tę wycieczkę?
- Sam mu pożyczyłem. Powiedział, że naprawdę muszą wyjechać. Znalazł tanią ofertę. Sądziłem, że zwróci mi pieniądze, kiedy dostanie honoraria za artykuły o Kanadzie. Tak się zwykle działo. Trzeba było tylko poczekać. Daniel nie powiedział, że jest w tym wszystkim jakaś sprzeczność. Pan Tarver uważał, że Raymond nie należał do ludzi, którzy decydowaliby się na ryzyko, a jednocześnie porzucił dobrze płatną pracę. Jego rozmówca musiał chyba wyczuć, że ma wątpliwości.
- Czy chce mnie pan o coś spytać, panie kapralu? - zapytał Tarver.
- Usiłuję po prostu to wszystko zrozumieć - odparł Daniel.

- Powiedział pan, że to prawdopodobnie wypadek. Czy jest inna możliwość?
- Raczej nie, ale nie odnaleźliśmy jeszcze pańskiego syna.
- Trudno mi to wszystko wyjaśnić. Ray kochał swoją rodzinę. Jednocześnie traktował dziennikarstwo jak powołanie. Ciężko pracował i pisał doskonale artykuły. Prawdę mówiąc, chciałbym prosić o jego laptop. To dla mnie ważne, by przeczytać to, o czym ostatnio pisał.
- Laptop? Tam nie było laptopa - powiedział Daniel. Znowu otworzył teczkę z aktami sprawy i zaczął przeglądać spis znalezionych rzeczy.
- Bez niego nigdzie nie jeździł - podkreślił Tarver.
- Możliwe, że jest wśród innych dowodów rzeczowych. Albo w laboratorium.
- Miał go ze sobą, kiedy odwoziłem ich wszystkich na lotnisko.
- Zbadam tę sprawę.

Daniel był pewny, że nigdzie nie znaleziono laptopa, i przez pozostałą część wieczoru dzwonił do członków ekipy technicznej i ludzi z Banff, żeby zajęli się szukaniem urządzenia.

Rano wstał wcześniej i zawiózł Jacksona Tarvera dwie godziny na zachód od Banff i potem dalej w głąb parku, do miejsca, gdzie znaleziono członków jego rodziny. Jackson wrzucił róże do Faust River, w której zginęły jego wnuki, synowa i najprawdopodobniej również jego syn.

Po południu pojechali na lotnisko, gdzie, korzystając z odznaki, Daniel przeprowadził Jacksona Tarvera do miejsca, gdzie czekały na nich trzy metalowe trumny. Chwilę później obserwowali, jak trumny wjeżdżają po pasie transmisyjnym do luku samolotu.

Przed odlotem Jackson Tarver uściskał serdecznie dłoń Daniela.

- Słyszałem o tym, że narażał pan życie, ratując Emily. Bardzo panu dziękuję.

- Naprawdę nie ma za co.
  - Mam nadzieję, że uda się panu odnaleźć mego syna, tak by mógł spocząć wraz z rodziną. - Tarver zacisnął szczękę, jakby bał się rozplakać. - Proszę.
  - Zrobię wszystko, co w mojej mocy.
- Daniel stał przy oknie, obserwując samolot, który kołował na pas startowy, kiedy odezwała się jego komórka.
- Daniel, tu Fitzwald.
  - Cześć, Fitz. Znalazłeś tego laptopa?
  - Nie, ale mam tu coś, co powinieneś zobaczyć. Dwadzieścia minut później Daniel był już w biurze Fitzwalda i patrzył na buty trekkingowe.
  - Podejrzewamy, że należał do Raymonda Tarvera. Daniel zrobił zdziwioną minę. Przecież widział wcześniej te buty.
  - Nie rozumiem, przecież te buty były w namiocie.
  - Ale to znaleźliśmy w lewym. - Fitzwald rzucił na biurko niewielki, oprawiony w skórę notes. -1 co ty na to?
- Daniel zaczął przeglądać sporządzone niebieskim długopisem notatki. Były celowo niejasne, jakby zaszyfrowane, ale między skrótami odnalazł informację: „spotkać się z B. Walkerem” i dalej: „Spotkać się z X i Y, żeby potwierdzić trop z Blue Rose Creek”.
- Trudno powiedzieć, czy to coś ważnego - zastanawiał się Daniel.
  - Musi być ważne, bo schował to w bucie pod wkładką. Ten notes znaczył dla niego więcej niż paszport.



## ROZDZIAŁ JEDENASTY

*Tokio, Japonia*

Wieżowce centrum Tokio lśniły na tle nieba.

Setsuko Uchida patrzyła na nie z balkonu swego mieszkania na czterdziestym piętrze budynku położonego w Roppongi Hills, ale myślała przede wszystkim o wakacjach spędzonych w Górach Skalistych.

Czy naprawdę przemierzyła pół świata?

Westchnęła, po czym wróciła do rozpakowywania swoich rzeczy, zadowolona, że jest już w domu. Jutro zje lunch z córką Miki w restauracji koło cesarskich ogrodów i opowie o tych wspaniałych górach.

Wyjęła ostrożnie pudełko z prezentami i odwinęła bibułkę, aż jej oczom ukazały się wyrzeźbione w jadeicie dwa niedźwiedzie polarne. Matka ze swoim małym. Wiedziała, że spodobają się Miki. Ostatnio, po śmierci męża Setsuko, stały się sobie bliższe.

Toshiro.

Jej mąż uśmiechał się do niej z oprawionej w złotą ramkę fotografii, która stała na szafce nocnej. Pracował j ako urzędnik w ministerstwie sprawiedliwości i był dobrym człowiekiem. Zmarł z powodu choroby płuc, na którą cierpiał przez wiele lat po atakupłynnym sarinem w metrze, przeprowadzonym przez członków sekty „Aum - Najwyższa Prawda”.

57

Śmierć męża zachwiała całym światem Setsuko, która wykładała ekonomię na Uniwersytecie Tokijskim. W końcu zdecydowała się na wcześniejszą emeryturę i przeprowadziła się z mieszkania w Chiba, w centrum, by być bliżej córki.

Miki cierpiała bardzo po śmierci ojca i zaczęła prowadzić życie samotnika, skoncentrowała się tylko na pracy. Jednak Setsuko wcale nie spodobała się ta izolacja i dlatego często do niej dzwoniła i regularnie ją odwiedzała. Miki otworzyła się przed nią i Setsuko miała teraz wrażenie, że po raz drugi stała się jej matką.

Wiedziała, że zawdzięcza to swoim przyjaciółkom, Ma-yumi i Yukiko, które dbały o to, by nie pozwoliła córce zupełnie się zamknąć w sobie. Uwielbiała je za to. Była im również wdzięczna za to, że tak usilnie namawiały ją na wyprawę w najdziksze zakątki Kanady. Jej mąż marzył o tym, by zobaczyć te miejsca.

Wyprawa była cudowna, ale teraz cieszyła się z powrotu. Przerwała na chwilę rozpakowywanie. Podeszła do biurka, na którym leżały notatki, włączyła komputer i zaczęła przeglądać zdjęcia z podróży.

Oto one na szczycie góry, w puszczy, w pobliżu rzeki

1 dalej, na Icefields Parkway. A to łoś na polu golfowym w Banff. Mężczyzna w kowbojskim kapeluszu. Setsuko z uśmiechem przeglądała kolejne fotografie, aż zatrzymała się na jednym zdjęciu i w końcu zmrużyła oczy.

Uśmiech zniknął z jej twarzy.

Zrobiła to zdjęcie swoim przyjaciółkom, Mayumi i Yukiko. Miały na głowach kowbojskie kapelusze, śmiały się, siedząc w zbudowanej z bali restauracji w pobliżu Banff. To były ostatnie dni przed powrotem.

Jednak coś w tej fotografii ją zaniepokoiło.

Coś znajomego.

Wpatrywała się w to zdjęcie, starając się sobie przypomnieć, o co chodzi.

Tak, ludzie, którzy znajdują się w tle.

Znowu sięgnęła do torby. Z jej bocznej kieszeni wyjęła

magazyny, mapy i gazety. Przerzucała je, aż w końcu znalazła egzemplarz *Calgary Herald*, który dostała w samolocie.

Pamiętała, że przeglądała go w czasie lotu do Vancouver, zanim zasnęła. Potem musiały szybko przesiąść się na samolot do Japonii.

Teraz położyła gazetę na biurku i popatrzyła na nagłówek: „Rzeka zabiła czworo Amerykanów”, a także zdjęcia Raya i Anity Tarverow wraz z dziećmi. Pamiętała, że pomyślała sobie, że to wielka szkoda, bo rodzina wyglądała na bardzo miłą.

Nie miała problemów ze zrozumieniem wszystkich informacji, ponieważ studiowała najpierw w London School of Economics, a potem na Harvardzie. Artykuł informował, że odnaleziono ciała matki i dzieci, ale nie ojca, dziennikarza z Waszyngtonu. Kończyła go krótka notatka, że jeśli ktokolwiek posiada informacje na temat Tarverow, proszony jest

o kontakt z Kanadyjską Królewską Policją Konną.

Setsuko popatrzyła najpierw na ludzi na zdjęciu w gazecie, a potem na fotografię, którą zrobiła sama. Przy stole za jej przyjaciółkami siedział Ray Tarver.

Nie miała co do tego wątpliwości.

Sprawdziła datę, tragedia wydarzyła się dzień lub dwa po tym, jak zrobiła to zdjęcie.

Być może jest to ostatnie zdjęcie, jakie zrobiono Rayowi Tarverowi.

Możliwe, że przyda się ono kanadyjskiej policji. Setsuko sięgnęła po telefon i zadzwoniła do córki, która, jak przypuszczała, siedziała do późna w biurze. Kiedy opowiedziała Miki całą historię, ta spytała, czy może jej przysłać zdjęcie i artykuł.

Setsuko zeskanowała pierwszą stronę gazety, a następnie wysłała mailem dwa osobne pliki. Miki była sierżantem w wydziale zabójstw tokijskiej policji. Z pewnością będzie wiedziała, co zrobić z tym zdjęciem. Setsuko westchnęła, a następnie raz jeszcze wzięła do ręki gazetę i ponownie zaczęła czytać artykuł.

Miki Uchido studiowała materiały przysłane przez matkę w kwaterze głównej Keishicho w dzielnicy Kusumigaseki, położonej w centrum Tokio. Matka miała rację. Bez wątpienia mężczyzna, który siedział przy stole, był zaginionym Amerykaninem.

Miki zerknęła w stronę biura szefa, który skończył już pracę.

Powiedziała mu o wszystkim dopiero następnego dnia rano, gdy tylko pojawił się w pracy. Jak zwykle popijał kawę z małego termosu. Przez chwilę oboje patrzyli na powiększone na ekranie komputera zdjęcia.

- Wprowadź to do akt, a potem przekaz ambasadzie kanadyjskiej - powiedział. - I wracaj do roboty.

Sierżant Marc Larose był przedstawicielem Kanadyjskiej Królewskiej Policji Konnej w ambasadzie położonej przy Aoyama Dori. Sprawdził najpierw informacje, jakie uzyskał od Miki Uchidy z policji tokijskiej, a następnie przesłał mailem raport wraz z informacjami do Kanady.

Informacje przechodziły w dół urzędniczej struktury, aż w końcu wylądowały w komputerze kaprała Daniela Graha-ma, który zrozumiał, że ma przed sobą coś więcej niż zwykle przypadkowe zdjęcie Raymonda Tarvera sprzed wypadku.

Tarver siedział przy stole i patrzył w stronę aparatu.

Przed sobą miał otwarty laptop.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

*Okolice Banff, prowincja Alberta, Kanada*

Kiedy Carmen Navales zaczęła przeglądać zdjęcia, które Daniel położył przed nią na stole w restauracji Tree Top, na jej twarzy pojawił się strach.

Ray Tarver patrzył na nią ze zdjęcia w paszporcie, prawie jazdy, a także tego, które policja dostała z Tokio.

- Niech pani się zastanowi - zwrócił się Daniel do kelnerki. - Czy pamięta pani tego klienta?

Carmen zagryzła wargi.

Już wcześniej zauważył, że przyglądała mu się, kiedy przesłuchiwał innych pracowników restauracji, którzy zresztą niewiele mogli mu pomóc i traktowali całą sprawę dosyć obojętnie. Dlaczego więc ona była tak nerwowa?

Policja konna doskonale знаła takie miejsca jak motel Tree Top.

Pracowali w nich ludzie z całego świata, których zwabiły tu góry, obietnica dobrej zapłaty i zabawy. Czasami trochę przesadzali z alkoholem lub narkotykami, zdarzały się też bójki i kradzieże. W zeszłym miesiącu szef kuchni z Paryża dźgnął nożem alpinistę z Włoch z powodu jakiejś dziewczyny z Montrealu. Rana była głęboka i trzeba ją było zszyć.

Jednak Carmen nie miała żadnych kłopotów. Pochodziła

z Madrytu i niedługo kończyła jej się wiza. Nie miała się czym przejmować.

Była ostatnią osobą z obsługi, którą chciał przesłuchać. Pozostali nie pamiętali Tarvera. Mówili, że mają masę pracy, że nie zwracają uwagi na turystów, że ciągle przyjeżdżają tu jakieś autobusy z wycieczkami, a oni mają po prostu za dużo obowiązków. Wielka szkoda, taki tragiczny wypadek.

Daniel tracił nadzieję, że dojdą do czegokolwiek w tej sprawie, zwłaszcza że nie odnaleźli jeszcze ciała Tarvera. Milczenie Carmen zaczęło go denerwować.

Postukał palcem w zdjęcia.

- Pani Navales, to jest Raymond Tarver, członek rodziny, która zginęła w górach. Na pewno słyszała pani o tym wypadku.

- Tak, oczywiście, ale byłam wtedy w Kolumbii Brytyjskiej.

- Pani karta pracy wskazuje, że pracowała pani na dzień przed tym, jak znaleziono ciała dzieci w rzece. - Wskazał zdjęcie, które dostali z Tokio. - Właśnie wtedy był tu Raymond Tarver. Siedział w tej części restauracji, którą pani obsługiwała. Proszę się zastanowić.

Carmen złożyła ręce jak do modlitwy i dotknęła warg.

- O co chodzi? - spytał Daniel.

- Muszę przedłużyć wizę.

- A co to ma wspólnego z tą sprawą?

- Muszę wysłać pieniądze siostrze z Barcelony. Spalił jej się dom. Obawiam się, że jeśli okaże się, że byłam zamieszana w jakąś sprawę...

- Chwileczkę. Nie mogę pani pomóc z wizą, ale z pewnością będzie dla pani lepiej, jeśli będzie pani współpracować z policją. Rozumie pani?

Skinęła głową.

- Obsługiwała go pani?

- Tak.

- I jego rodzinę?

- Nie. Był z innym mężczyzną.

- Innym mężczyzną? - zdziwił się Daniel.

Carmen wskazała jakiś cień widoczny za głową roześmianej Japonki. Łatwo go było przeoczyć.

- To jego ramię.

Daniel spojrzął na zdjęcie i zaklął w duchu, zły, że wcześniej tego nie zauważył.

- Zna go pani? Widziała go pani wcześniej? Carmen pokręciła głową.

- Proszę go opisać.

- Był biały, ale mocno opalony. Szczupły, po trzydziestce.

- Miał może brodę lub wąsy, jakąś biżuterię albo tatuaż?

- Bardzo mi przykro, ale nie pamiętam.

- A ubrania? Co miał na sobie? Carmen spojrzała na Daniela.

- To co pan. Dżinsy, koszulę, wiatrówkę...

- Zapłacił kartą kredytową?

- Nie, gotówką. Amerykańskimi dolarami. Zapłacił za nich obu.

- Pamięta pani, jak się zachowywali? Kłócili się czy śmiali?

- Byli poważni, jakby rozmawiali o interesach.

- Może coś pani słyszała?

- Nie, było tu wtedy sporo osób. Te trzy Japonki kupiły sobie kapelusze i ciągle się śmiały.

- Jak długo tu byli?

- Jakąś godzinę.

- Pamięta pani, czy odjechali oddzielnie? Carmen potrząsnęła głową.

Daniel przepytывał ją jeszcze przez kolejne trzydzieści minut. W końcu stwierdził, że powiedziała mu już wszystko, co wiedziała.

- Jeszcze jedno - powiedziała, gdy wstał. - Co jakiś czas mężczyzna z komputerem przesuwiał swojego laptopa do tego drugiego faceta, żeby tamten mógł zobaczyć, co jest na ekranie.

Daniel nie miał pojęcia, na czym stoi.

W drodze powrotnej do Calgary zastanawiał się nad nowymi informacjami. Z obozu Tarverow do Tree Top jechało się jakieś trzy kwadranse. Zdjęcie zrobiono na dzień przed tym, jak znaleziono ciała.

Kim był ten drugi mężczyzna?

I dlaczego Ray pokazywał mu coś w laptopie? Czy umówili się na to spotkanie, czy może było ono przypadkowe?

Być może Tarver spotkał się z kimś, by zebrać informacje do artykułu?

Ta informacja mogła być bezwartościowa.

Jednak dwadzieścia cztery godziny później zginęła jego rodzina.

W dodatku nie udało im się do tej pory odnaleźć nie tylko Raya, ale i jego laptopa.

Daniel czuł, że zaczynają go dręczyć kolejne pytania. Było ich coraz więcej. Po artykułach na temat Tarverow dzwoniło do nich sporo osób, ale teraz zdarzało się to bardzo rzadko. Prell i Shane sprawdzili wiele informacji, ale bez rezultatu. Niektóre były nawet dosyć dziwaczne. Jakiś facet twierdził, że Tarverow porwali „kosmici poszukujący organów do przeszczepów”.

Inne wiadomości były bardziej realistyczne, co nie znaczy, że użyteczne. Jakiś rolnik twierdził, że widział kogoś podobnego do Raya Tarvera w ciężarówce okolicznych drwali. Daniel skontaktował się ze służbami leśnymi, ale okazało się, że nikogo ostatnio nie podwozili. Również laptop zapadł się jak kamień w wodę. Policja z Banff i Canmore sprawdzała, czy ktoś nie chciał ostatnio sprzedać podobnego urządzenia. Daniel przekazał jego numer seryjny do sklepów z używanym sprzętem w Calgary i Edmonton.

Jackson Tarver zgodził się ujawnić numer konta bankowego i internetowego rodziny. Jeśli ktoś ukradł komputer, mógł zechcieć z niego skorzystać, a te informacje powinny pomóc w namierzeniu przestępcy.



Do tej pory nie wydarzyło się jednak nic godnego uwagi. Co przeoczyliśmy? - zastanawiał się Daniel. W tym momencie zadzwoniła jego komórka.

- Dan, tu Horst. Jestem na miejscu poszukiwań. Daniel słyszał szum rzeki i odgłos silnika helikoptera.

- Znalazłeś coś?

- Nie, nic. Nasi ludzie pracują bez przerwy. Moim zdaniem zaklinował się gdzieś w skałach albo jakiś niedźwiedź zaciągnął go do swojej jaskini. W tym rejonie widziano kilka dużych samic. Możemy go znaleźć albo i nie. Wiesz, co chcę przez to powiedzieć...

- Mhm.

- Postanowiłem, że będziemy szukać jeszcze do końca tygodnia. Potem straci to sens.

Zbliżała się pierwsza i Daniel zjadł lunch przed budynkiem policji przy stojącym tam stoliku.

Przeżuwał wolno kanapkę z szynką, którą zrobił w domu. Patrzył na biurowce w centrum miasta i odległe Góry Skaliste. Starał się nie myśleć o swoim życiu.

Mam się zająć tą sprawą, powtarzał w duchu.

Już prawie skończył jeść, kiedy podeszła do niego asystentka nadinspektora, która zwykle w czasie przerwy urządzała sobie spacer po okolicy.

- A, tu jesteś. Jak się miewasz, Dan?

- Jakoś leci, Muriel.

- Słyszałeś o imprezie nad jeziorem Sundance, którą organizują nam w pracy? - spytała Muriel.

- A, tak.

- Więc może się na nią wybierzesz. Oczywiście, jeśli masz ochotę. - Dotknęła jego ramienia.

- Dzięki za propozycję. Jeszcze się zastanowię.

- Zaczyna się o trzeciej w niedzielę. I nie musisz nic przynosić.

Daniel skinął głową.

Kiedy kobieta weszła do budynku, stwierdził, że nie ma ochoty na imprezę. Zmiał torbę, w której trzymał lunch,

i wrzucił ją do kosza. Potem wrócił do swego pokoju i znowu zaczął przeglądać akta sprawy Tarverow. Na jego prośbę Jackson Tarver przysłał mu kserokopie polis na życie, które Ray przygotował dla rodziny. Zarówno Anita, jak i on byli ubezpieczeni na dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Gdyby zginęli oboje, te pieniądze przechodziły na rodziców Raymonda. To było sporo forsy. Ludzie popełniali przestępstwa dla mniejszych sum, ale Daniel nie widział sensu takiej zbrodni. Chyba że Raymond Tarver pojawiłby się któregoś dnia, by odebrać pieniądze, co wydawało się mało prawdopodobne. Z kolei popatrzył na zdjęcie, które dotarło do niego z Tokio. Znowu odniósł wrażenie, że nie zauważył czegoś ważnego. Siedział tak, aż zaczęło się ściemniać. Dzień powoli się kończył, większość jego kolegów była już w domu, a on bał się wracać do siebie.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

*Blue Rose Creek, Kalifornia*

Po kolejnych próbach jakaś kobieta wreszcie odebrała telefon.

Wysłuchiwała prośby Maggie, a potem powiedziała, by zadzwoniła do Madame Fatimy następnego dnia. Maggie tak zrobiła.

- Niestety, Madame nie może dzisiaj z panią rozmawiać. - Usłyszała w słuchawce. - Proszę zadzwonić jutro.

- A czy nie mogłabym do niej przyjechać?

- Madame ma mało czasu. Proszę zadzwonić.

- Bardzo proszę, chciałabym się z nią zobaczyć. Błagam panią...

Maggie usłyszała przyciszoną rozmowę, a następnie kobieta zakryła dłonią mikrofon słuchawki. A potem dotarła do niej kolejna informacja:

- Madame mówi, że może pani zadzwonić dziś koło trzeciej.

Maggie podziękowała i już w lepszym nastroju zabrała się do pracy w księgarni. Zmieniła ekspozycję, a potem zajęła się zamówieniami, kiedy usłyszała pobrzękiwanie kluczy. Jakaś kobieta chciała zwrócić na siebie jej uwagę. Kiedy na nią spojrzała, tamta położyła przed nią serwetkę

z wypisanym tytułem książki. Maggie poczuła od niej silny zapach papierosów.

- Potrzebuję tego w tej chwili. To na urodziny siostry. Kiedy okazało się, że nie mają tej książki na składzie, kobieta wyszła, mrużąc pod nosem:

- I to ma być księgarnia?!

Maggie była przyzwyczajona do niegrzecznych klientów. Po prostu wzruszyła ramionami i spojrzała na zegarek. Zbliżała się trzecia. Jej przerwa. Przeszła do działu z książkami dla dzieci i poprosiła Louise, żeby ją zastąpiła.

- Widziałas go Maggie? Znowu tu jest. Był w dziale książek historycznych, ale zgubiłam go na trzecim piętrze.

- Kogo?

- Tego wariata, co udaje, że czyta.

Louisa weszła na stołek w kształcie muchomora i rozejrzała się uważnie dookoła.

- Nie wygłupiaj się, przecież to tylko księgarnia. Wychodzę na przerwę, dobra?

- Wciąż się w nas wpatruje. Powiem Robertowi, żeby się nim zajął.

- Wrócę za piętnaście minut.

Maggie poszła do budki telefonicznej położonej nieopodal kawiarni. Kiedy usłyszała sygnał w słuchawce, poczuła niepokój. Co przyniesie jej ta rozmowa? Czy Madame Fatima doprowadzi ją do Logana? Czekala, modląc się w duchu. Jednocześnie zastanawiała się, jak to się stało, że zaczęła wierzyć, że jakaś nawiedzona mistyczka pomoże jej znaleźć męża i syna.

Nieważne, pomyślała. Zrobię wszystko, by ich odnaleźć.

Maggie poczuła, że ma łzy w oczach, kiedy znajoma kobieta odebrała telefon, a ona podała swoje nazwisko.

- Tak, Madame powiedziała, że może pani przyjść dziś wieczorem.

- Wieczorem?

- Tak, o siódmej.

- Och, dziękuję. Bardzo dziękuję.

- Oczywiście rozumie pani, że nie wiadomo, czy Madame będzie pani mogła pomóc.
- Tak, rozumiem.
- Proszę przyjść sama, dobrze?
- Tak.
- Madame prosiła, by wzięła pani coś, co należało do męża i syna. Coś, czego często dotykali, najlepiej metalowego.
- Dobrze.

Maggie zapisała adres na kartce, którą dostała od Stacy Kurtz, następnie złożyła ją i umieściła w kieszeni. Wróciła do pracy i nie zauważyła, że mężczyzna, którego Louisa określiła jako „wariata”, obserwował ją zza regału z magazynami.

Mógł ją stamtąd dokładnie widzieć. W czasie jej rozmowy przeglądał najnowsze wydanie *The Economist*.  
Albo tak to tylko wyglądało.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

*Calgary, prowincja Alberta, Kanada*

Przyszła chwila, by stanąć czołem temu, co zrobił.

Daniel jechał na południe. Spoglądał jednak na zachód, na poszarpane szczyty, które stały w zachodzącym słońcu niczym wcielenie prawdy.

Nie muszę się spieszyć, powiedział sobie w duchu.

Udało mu się przejechać dość szybko przez zatłoczone centrum i pełne jednakowych domków przedmieścia. Po czterdziestu minutach zjechał z autostrady numer 2 na brukowaną, polną drogę, która skręcała na zachód, prowadząc do podnóża gór.

Poczuł, że serce zabiło mu szybciej. Musiał się przygotować na to, co go czekało.

Pierwszy kilometr, drugi, trzeci, czwarty, piąty...

Zacisnął mocniej dłonie na kierownicy, a potem zatrzymał się na poboczu.

Musiał tu przyjechać. Zobaczyć to miejsce. Nawet jeśli miało mu to sprawić ból.

Wyłączył silnik i przeszedł w stronę drzewa.

W miejscu, gdzie zginęła Nora, stał zwykły, biały krzyż.

To właśnie tu ją zabił.

Obok przejechał samochód i Daniel odruchowo przesunął się bliżej symbolicznego grobu. Nora była nauczycielką,

uczyła czwarte klasy. Poznali się, kiedy pracował w drogówce i przyszedł do szkoły, żeby opowiedzieć uczniom o zasadach bezpieczeństwa na drodze. Była w tym gorzka ironia.

Odsunął od siebie tę myśl i dotknął krzyża. Przesunął dłonią po jego powierzchni. Postawili go tutaj jej uczniowie, oni też zostawili tu te wszystkie karteczki, kwiaty i maskotki w celofanie.

Na jednej kartce znajdował się napis: „Brakuje nam pani. Bardzo panią kochamy”.

Na innej: „Spotkamy się w niebie”.

Te słowa sprawiły, że przypomniał sobie tamtą noc.

Pojechali na mecz Flamesów, bo chcieli spędzić razem trochę czasu. Nora bardziej niż on interesowała się hokejem. Daniel wtedy dużo pracował, czasami na nocnych zmianach, i trochę ziewał w czasie kolejnych tercji.

- Mogę prowadzić, jeśli jesteś zmęczony - zaproponowała Nora.

- Nie, dzięki. Wszystko w porządku - zapewnił. Jechali wtedy do drogi ekspresowej dłużej niż zwykle, ale potem było już lepiej. Droga była sucha i odśnieżona. W wozie było ciepło i przytulnie. Czuł się wspaniale, siedząc obok Nory. Wokół panował spokój i kiedy wyjechali z miasta, Daniel zamilkł.

- Nic ci nie jest? - spytała. Ponownie ziewnął.

- Nie, nic.

Kiedy wjechali na drogę, zmierzając w stronę gór, Nora wypatrywała kolejnych konstelacji i podawała ich nazwy.

- Kasjopeja, Cefeusz...

Jej cichy głos i szum silnika sprawiły, że zupełnie się odprężył.

Mała Niedźwiedzica, Smok, Wielka Niedźwiedzica... Było mu tak miło, że zapomniał o bożym świecie. Ostatnia rzecz, jaką pamiętał...

- DANIEL!

Samochód drżał, Nora chwyciła go za ramię.

- DANIEL!

Wypadli z drogi. Próbował na nią wrócić, ale zareagował zbyt gwałtownie. Droga wiła się tu i nagle poszybowali w powietrze. Samochód przetoczył się dalej, Daniel miał w uszach chrzęst miazdzonego metalu i rozpryskującego się szkła. Zatrzymali się nieopodal drzewa, ale on już tego nie pamiętał.

*Ocknął się na ziemi, cały we krwi. Patrzy na światła, które świecą w dwóch różnych kierunkach. Czuje zapach benzyny. Gra radio. Widzi ją w wozie, przyciśniętą do siedzenia poduszką powietrzną.*

*Nora ma dziwnie przekręconą głowę. Niczym szmaciana lalka.*

*Ktoś krzyczy.*

*Woła ją po imieniu.*

*To on.*

*Wszystko zamazuje mu się przed oczami. Słyszy syreny, ludzi rozmawiających przez krótkofalówki. Leży na noszach, które suną szybko w powietrzu.*

*Bardzo szybko.*

*Słyszy łopot nad głową.*

*Hałas go ogłusza.*

*Leci. Leci coraz wyżej. Po chwili widzi przed sobą światła, setki, tysiące światel. Całą miejską galaktykę.*

*Czuje szpitalny zapach i znowu zapada się w ciemność. Budzi się na łóżku i czuje pod palcami wykrochmaloną pościel. Żyje, ale jest strasznie obolały. Obok ma wieszak z jakąś cieczą, podłączoną plastikowym przewodem do jego dłoni. Gdzieś z przestrzeni dobiega do niego jego nazwisko.*

*- Panie Graham. Nie, nie śni.*

*- Jestem doktor Simpson. Miał pan wypadek i przewieziono pana helikopterem do naszego szpitala. Ma pan*

72



*połamane żebra, trochę obrażeń i lekkie wstrząśnienie mózgu. Proszę skinąć głową, jeśli pan rozumie. Czuje, że udało mu się poruszyć głową.*

*- No... Nora?*

*- Pańska żona była poważnie ranna. Bardzo mi przykro... Czuje, że serce chce mu się wyrwać z piersi.*

*- Ratownicy robili, co mogli, ale nie odzyskała przytomności. Miała skręcony kark i poważne obrażenia wewnętrzne. Ziemia wokół zaczyna się zapadać.*

*- Jeśli idzie o dziecko...*

*Jakie dziecko? To chyba pomyłka. Nie mieli przecież dziecka.*

*- Była w trzecim tygodniu ciąży i mogła nie zdawać sobie sprawy z tego, że nosi w sobie dziecko.*

*Krew huczy mu w uszach, wszechświat zapada się w ciemność, która przygniata go swoim ciężarem.*

*ZASNAŁ ZA KIEROWNICĄ IZABIĘ ŻONĘ INIENARODZONE DZIECKO.*

Żył jedynie dlatego, że miał tak olbrzymie poczucie winy.

Dlatego właśnie pojechał w góry. Aby wrzucić prochy żony i dziecka do rzeki, a następnie strzelić sobie w łeb, by jak najszybciej się z nimi połączyć.

Nic innego mu nie pozostało.

Stał teraz sam na prerii i to samo poczucie winy kazało mu paść na kolana. Chwycił krzyż.

- Wybacz mi, Noro. Powiedz, co mam robić. Co powinienem teraz zrobić?

Spojrzał na gwiazdy, szukając odpowiedzi. Wiał lekki wiatr, a on znowu zobaczył dziewczynkę w wodzie i usłyszał głos żony: „Nie poddawaj się, Daniel”.

To była jej odpowiedź.

Ta sprawa miała być odkupieniem, gdyż głos Nory nie był jedynym, który go prowadził. Wciąż miał w uszach dziecięcy głosik: „Zostaw... tatusiu...”.

Tyle tylko usłyszał, reszta utonęła w rzece. Nie rozumiał tego, co chciała mu powiedzieć Emily Tarver. Teraz jednak uważał, że jej słowa stanowią klucz do całej tragedii.

W tym momencie zadzwoniła jego komórka.

- Daniel? Tu Prell. Rozmawiałem właśnie z ludźmi z ekipy technicznej. Sprawdzili odciski palców z samochodu Tarverow w naszym systemie informacyjnym. Mam nazwiska. Możesz je zapisać?

Daniel pospieszył do wozu.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

*Bonita Hills, Kalifornia*

Maggie starała się nie rozbudzać za bardzo swoich nadziei.

Kiedy jechała autostradą, czuła, że coraz bardziej zaciska się jej żołądek.

Czy ten koszmar kiedyś się skończy?

Czy zobaczy jeszcze Logana i Jake'a? Gdzie oni mogą być?

Mijały kolejne dni, a ona nie miała żadnych wiadomości. Policja chyba w ogóle przestała się interesować tą sprawą.

Tak samo jak prokuratura. Ludzie z grupy wsparcia nie mogli jej pomóc. Lekarz Logana pewnie już o nim zapomniał. Nie miała żadnych sygnałów ze szkoły. Agencja detektywistyczna zawiesiła tę sprawę. Sama nie mogła niczego znaleźć w Internecie.

Nie wiedziała nic o zaginionych.

Powoli pogrążała się w coraz większej rozpacz.

Cholera, dlaczego Jake to zrobił?!

Maggie na próżno szukała odpowiedzi. Być może Jake potrzebował czasu, by przemyśleć swoje postępowanie.

Starała się tym pocieszać, a jednocześnie rosła w niej nadzieja, że Madame Fatima dokona dziś cudu.

Ale kim ona w ogóle jest?

Dzwoniła do Stacy Kurtz, która starała się wydobyć od policji więcej informacji, a ta ostrzegła ją, by zachowała dla siebie to wszystko, czego dowie się od tej kobiety. Nazywano ją Madame Fatima Soleil i wywodziła się ona z francuskich Cyganów, którzy uciekli z Senegalu i wędrowali po Europie na początku dwudziestego wieku. Jej rodzina przeniosła się następnie do Quebecu i Luizjany.

W młodości pracowała w kawiarniach w Niemczech, Polsce, Austrii i Czechosłowacji. Wróżyła z fusów. Któregoś dnia przepowiedziała żonie jednego z czeskich oficerów policji, że jej córka utonie w ciągu roku. Po dziesięciu miesiącach dziewczynka była na wycieczce w Rzymie i znaleziono ją nieprzytomną w basenie. Na szczęście dziecko udało się uratować.

Kobieta opowiedziała o tym mężowi, ale ten nie chciał w to wierzyć. Kiedy jednak parę miesięcy później uprowadzono w Pradze dla okupu syna sowieckiego dyplomaty, zwrócił się po pomoc do Madame Fatimy.

Fatima spotkała się z rodzicami chłopca, posiedziała trochę w jego sypialni, a następnie powiedziała policjantom, by szukali w określonym miejscu w lesie, godzinę drogi na północ od Pragi. Znaleźli oni malca zakopanego żywcem w trumnie, wyposażonej w pompę powietrzną. Właśnie ta pompa doprowadziła policję najpierw do sklepu, gdzie ją kupiono, a następnie do samych porywaczy.

Jednak na życzenie Madame Fatimy nie ujawniono jej roli w tej sprawie. Poza tym nie chciała przyjąć pieniędzy.

Wraz z upływem czasu jej sława w Europie rosła, tak że po odziedziczeniu niewielkiego majątku zdecydowała się dla świętego spokoju przeprowadzić do Kalifornii. Początkowo odmawiała, ale wraz z upływem czasu zaczęła pomagać kalifornijskiej policji, która z jakichś źródeł dowiedziała się o jej umiejętnościach.

Maggie zobaczyła zjazd do Bonita Hills i włączyła kierunkowskaz.

Na pierwszym czerwonym świetle sprawdziła swoje nota-

tki. Znajdowała się koło klubu dla zmotoryzowanych Serenity Valley, gdzie Madame Fatima mieszkała w wielkiej przyczepie kempingowej. Obok znajdowało się schludne podwórko z kwiatową rabatką, duże okno oraz markiza, która ocieniała miejsce przed domem. Maggie przeszła do drzwi po kamiennym chodniku i zadzwoniła.

Powitała ją niska, pękata kobieta w koszuli w hawajskie wzory i w szortach.

- Jestem przyjaciółką Fatimy, nazywam się Helga - przedstawiła się, a następnie wskazała jej miejsce przy stole w dużym pokoju. Cały czas mówiła półgłosem. - Proszę usiąść. Niestety, Fatima jest chora i zostało jej bardzo mało czasu, więc musi pani...

- Helga! - cichy, ale wyraźny głos dotarł do nich z ciemnego pokoju na tyłach. - Chodź, pomóż mi.

Helga pospieszyła, a Maggie popatrzyła w tamtą stronę, nie wierząc własnym oczom. Zobaczyła wątłą, zgiętą staruszkę, która wynurzyła się z ciemności. W pokręconej przez artretyzm dłoni trzymała laskę, którą starała się podpierać, drugą rękę zarzuciła niespełna półtorametrowej Heldze na szyję. I tak właśnie szły w jej stronę.

Fatima miała na sobie szmaragdowe *muumuu*, czyli rodzaj hawajskiej sukienki, i zielony szal na głowie. Maggie wyczuła od niej zapach jaśminu, a kiedy siadała przy stole, srebrny krzyżyk na jej szyi błysnął w poświacie księżyca. Maggie siedziała naprzeciwko, myśląc, że Madame Fatima przypomina więźniarkę z obozu koncentracyjnego. Jej pomarszczona skóra wyglądała jak pergamin. Na nosie miała za duże okulary. Maggie spojrzała w jej świdrujące oczy, a Fatima uśmiechnęła się lekko, ukazując brązowe zniszczone zęby.

- To już koniec - powiedziała Madame Fatima, odsłaniając głowę. Zamiast włosów miała jedynie delikatny puszek. - Rak. Zostało mi mało czasu. To pani jest Maggie?

- Tak.

- Chce pani odnaleźć syna, którego zabrał pani mąż?

- Tak. Jake jest dobrym człowiekiem, ale ostatnio... Fatima uniosła w górę dłoni.

- Czy przyniosła pani rzeczy, które do nich należały? Maggie sięgnęła do torebki. Wyjęła z niej „piracki” breloczek do kluczy Logana i scyzoryk męża, który znalazła w zagłębieniu na kanapie. Jake prawie się z nim nie rozstawał. Uśmiechnęła się czule na widok tych rzeczy, a następnie podała je staruszce.

- Helgo, podaj mi lód.

Helga postawiła na stole naczynie z lodem.

- Zaczynamy - oznajmiła Fatima. - Niezależnie od tego, co pani usłyszy czy poczuje, proszę nic nie mówić i się nie bać. Na pytania proszę odpowiadać tylko tak lub nie. Nic więcej. Jasne?

- Tak.

- Helgo, zasłoń okno i podaj świecę. - Madame Fatima włożyła do ust parę kawałków lodu. - Lód chłodzi mi gardło i żołądek - wyjaśniła.

Helga wzięła białą świecę, którą zapaliła i postawiła na stole, a następnie zasłoniła okno. W pokoju zapanowała całkowita cisza. Fatima położyła swoje pokręcone dłonie na breloczku i scyzoryku.

Helga zdjęła jej okulary. Maggie odniosła wrażenie, że zapach jaśminu stał się bardziej intensywny. Płomień świecy odbijał się w oczach Fatimy, a ona gładziła brelok i scyzoryk. Pokój wypełniło mruczenie i Maggie dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że wydobywa się ono z ust staruszki.

Fatima powoli wchodziła w trans, świeca tworzyła wokół niej złocistą aureolę. Kiedy zaczęła się kołysać, jej wzrok utknął gdzieś w przestrzeni, jakby starała się tam coś zobaczyć.

Cały czas gładziła rzeczy należące do męża i syna Maggie. Robiła to coraz bardziej energiczniej jakby czerpała z nich siły. Wyczuwała myśli, które otaczały te przedmioty.

W końcu zamknęła oczy.

Jej ciało unosiło się w dół i w górę, a ona mruczała.

- Widzę ciężarówkę. Maggie zapało dech w piersi.

- Dużą ciężarówkę w pobliżu gór.

Zacząła kołysać się tak, jakby znajdowała się w kabinie samochodu.

Maggie poczuła, że Logan siedzi tuż obok. Wyczuła jego zapach.

- Logan, to ja! Mama! Gdzie jesteś?

- Cii. - Helga dotknęła jej nadgarstka. Fatima przestała mruczeć.

Maggie naruszyła jej spokój.

Jednak po chwili Madame Fatima znowu wprowadziła się w trans. Wciąż pocierała breloczek i scyzoryk, chybocząc się jak pasażerka ciężarówki.

Jej głowa odskoczyła do tyłu.

Maggie westchnęła.

Ciało Fatimy podskoczyło, jakby je ktoś pchnął. Staruszka niemal spadła z krzesła. Fatima wypuściła przedmioty, broniąc się przed kolejnymi uderzeniami.

Maggie poczuła, że ma gęsią skórę.

Fatima wytrzeszczyła oczy. Jej źrenice gdzieś uciekły i widać było tylko białka. To był upiorny widok.

Przez chwilę siedziała bez ruchu.

Minuty mijaly powoli, aż w końcu Helga odsłoniła okno i zgasła świecę.

Fatima zaczęła kaszleć.

Helga przyniosła jej kolejne kostki lodu. Maggie patrzyła, jak staruszka bierze go do ust. Robiła to tak, jakby była zupełnie pozbawiona siły. Helga włożyła jej okulary i założyła szal na głowę.

- To wszystko - powiedziała Helga. - Może już pani iść.

- Czy widziała pani mego męża i syna? - Maggie zwróciła się bezpośrednio do Fatimy.

- Nie widziałam niczego, co mogłoby pani pomóc. Maggie otworzyła usta.

- Ale coś pani widziała, prawda? Fatima wzięła laskę do ręki.
- Proszę mi pomóc. Niech mi pani powie, co mam robić - błagała Maggie.

Helga pomogła starszycie wstać.

- Proszę już iść, Maggie. - Helga wskazała głową drzwi.
- Tak, muszę iść spać - powiedziała Fatima. To już wszystko? - pomyślała Maggie.
- Proszę wyjść - powtórzyła Helga.

- Nie! Musi mi pani pomóc! Proszę powiedzieć, co pani widziała.

Fatima wyciągnęła w jej stronę drżącą rękę i podała jej breloczek i scyzoryk. Przez moment patrzyła jej prosto w oczy.

- Nikt pani nie może pomóc, a zwłaszcza ja.

- Co to znaczy?

- Powinna się pani modlić.

- Modlić o co? Nic nie rozumiem - powiedziała Maggie, a Helga zaczęła ją niemal wypychać za drzwi. - Bardzo proszę. Może pani jeszcze spróbuje. Czuję obecność Logana! Wiem, że coś pani widziała!

Kiedy Maggie wyszła z przyczepy, usłyszała trzask zamka. Oparła się o drzwi, a potem opadła na kolana i ukryła twarz w dłoniach.



## ROZDZIAŁ SZESNASTY

*Calgary, prowincja Alberta, Kanada*

Daniel dostrzegł przez lornetkę napis „Jezus rządzi”.

Właśnie te słowa miał wypisane na T-shircie Neil Bick. Poza tym jego ciało zdobiły tatuaże wykonane w więzieniu federalnym w Stony Mountains, gdzie odsiedział trzy lata za kradzieże komputerów z przyczep kempingowych, schronisk i domów.

Ten facet strzelał też - na szczęście chybił - do dwóch policjantów z Winnipeg, którzy go w końcu aresztowali.

Jak to się stało, że jego odciski palców znalazły się w wynajętym przez Tarvera samochodzie? - zastanawiał się Daniel, wciąż obserwując byłego więźnia. Bick szedł chodnikiem w Calgary, nie spodziewając się, że czekają go kłopoty.

Policja otoczyła już jego rozpadający się dom. Zadbano

o to, by z okolicy zniknęli przypadkowi przechodnie. Gdzieś w oddali zaszczekał niewidoczny pies.

- Wszystko w porządku, możecie go brać - szepnął do krótkofalówki szef oddziału uderzeniowego.

Uzbrojeni funkcjonariusze wyskoczyli z krzaków, ganków i samochodów; dwóch z nich rzuciło Bicka na ziemię i wymierzyło w niego broń.

- Co się tu, cholera, dzieje?! - zawołał zaskoczony mężczyzna.

Skuli go, sprawdzili, czy nie jest uzbrojony, i poinformowali o jego prawach.

- Czego, kurwa, chcecie?! - Bick był wyraźnie zdziwiony.

Dwadzieścia pięć minut później siedział w pokoju przesłuchań naprzeciwko Daniela Grahama, który po raz trzeci przeglądał jego akta.

Neil Frederick Bick, trzydzieści cztery lata, urodzony w Winnipeg w prowincji Manitoba. Jego matka była prostytutką, którą zamordował członek gangu motocyklowego, kiedy Bick miał sześć lat. Od tego czasu stał się dzieckiem ulicy. Najpierw miał kłopoty w szkole, potem w wojsku. Parę razy trafił też do więzienia.

Daniel spytał go, czy chce adwokata.

- Pieprzę to! Przecież nic nie zrobiłem. Dlaczego mnie zamknęliście? Muszę zapalić.

W budynku nie wolno było palić, ale Daniel zwrócił mu jego papierosy. Bick wyjął jednego i zapalił.

- Chodzi o Tarverów - wyjaśnił Daniel.

Bick zmrużył oczy, patrząc na niego przez dym.

- Tak, pamiętam, pisali o nich w gazetach.

- Więc może wyjaśnisz, jak to się stało, że znaleźliśmy twoje odciski palców w ich samochodzie?

- Pracuję w wypożyczalni samochodów na lotnisku. Musiałem zatankować ten wóz i przetarłem przednią szybę. A potem wytłumaczyłem im, jak się dostać na autostradę transkanadyjską. Moje odciski są na różnych samochodach, zresztą już wiecie.

Daniel wiedział.

Wiedział też, że policja przeszukała dokładnie dom Bicka.

- Po co ci aż cztery laptopy? Skąd je masz?

- Mam je naprawić ludziom z mojej parafii. Nauczyłem się tego w więzieniu. To oni pomogli mi z przeprowadzką do Calgary. To miał być dla mnie nowy początek.

Bick strząsnął popiół do podsuniętej przez Daniela pustej puszkę.

Żaden ze znalezionych komputerów nie należał do Tarvera. Policja sprawdziła ich numery seryjne, a ludzie z parafii potwierdzili zeznania Bicka.

Poza tym Daniel rozmawiał już przez telefon z szefem policji w Banff. Jego ludzie pokazali zdjęcie Bicka obsłudze motelu Tree Top, łącznie z Carmen Navales.

- Nie, nikt nie rozpoznał Bicka. Tarver musiał tam być z kimś innym - powiedział policjant.

Po południu Daniel wiedział już wszystko o tym, co Bick robił w dniu tragedii. Z pewnością nie był w górach. Jego pastor powiedział, że Bick zawiózł grupę starszych parafian kościelnym samochodem do Parku Dinozaurów. Miał nawet zdjęcia, które potwierdzały jego zeznania.

Daniel chciał jeszcze porozmawiać o Bicku z przełożonymi. Pojawił się nawet inspektor Stotter, który wcześniej obserwował część przesłuchania.

- Obawiam się, że to błędny trop - powiedział Daniel. Stotter popatrzył na niego z czymś w rodzaju współczucia.

- Wypuść go, Dan, i jedź do domu. Pogadamy jutro rano.

W drodze do domu musiał minąć krzyż przy symbolicznym grobie żony. Codziennie przejeżdżał obok niego, ale starał się nie patrzeć w tę stronę. Prowadziła tędy jedyna droga, którą mógł się dostać do domu. Biały krzyż był niczym oskarżenie, ale tym razem się przy nim nie zatrzymał.

Poczuł chłód w żołądku, ale jechał dalej, prosząc w duchu o wybaczenie.

Ich dom stał na samotnym wzgórzu na południowy zachód od Calgary. Był to jeden z ostatnich domów farmerskich w zupełnie przyzwoitym stanie. Obok płynął czysty potok i mieli stąd wspaniały widok na góry.

Od swego przyjazdu do Alberty Daniel miał ochotę na

kupno tej posiadłości, znanej jako Sawtooth Bend. Kiedy pokazał ją Norze, ona też zakochała się w tym cichym zakątku. Kupili ten dom sześć miesięcy po ślubie. Czuli, że tu jest ich miejsce.

Marzyli o tym, by wyremontować dom i tu właśnie wychowywać swoje dzieci.

Jednak te marzenia rozwiały się niczym prochy, które wrzucił do rzeki.

Kiedy otworzył drzwi, powitała go samotność.

Wziął gorący prysznic, włożył dżinsy i koszulkę. Był głodny. Nalał szklanekę soku jabłkowego i wcisnął się w fotel na biegunach, skąd mógł obserwować zachód słońca nad Górami Skalistymi.

Jak ma teraz żyć bez Nory?

Jak ma sobie poradzić z poczuciem winy?

Spojrzał na stojące na kominku zdjęcie ślubne, z którego się do niego uśmiechała. Była niczym anioł w słońcu. On też uśmiechał się, wbity w czerwony mundur galowy. Był wtedy naprawdę szczęśliwy.

Daniel urodził się w robotniczej dzielnicy, położonej koło High Park w Toronto. Dorastał z myślą o tym, że tak jak ojciec, zostanie policjantem, a potem znajdzie sobie odpowiednią dziewczynę. Ojciec, szanowany śledczy, spotkał Marie, miłość swego życia, w biurze wydziału zabójstw w Montrealu, gdzie wyjechał w związku z prowadzoną sprawą.

Daniel dorastał w Montrealu, mówiąc głównie po angielsku, ale dzięki matce znał również francuski. Marzył o tym, by pracować w policji konnej, najbardziej znanej formacji kanadyjskiej. Jego rodzice mieli łzy w oczach, kiedy przyjechali do akademii w Regina na promocję i Daniel przemaszerował obok nich wraz z innymi absolwentami.

Zaczął pracę w południowej Albercie, gdzie aresztował paru poważnych przestępców na granicy z Montaną. Dzięki temu dostał pracę jako śledczy w wydziale w Calgary. Dostyc szybko awansował i miał na swoim koncie poważne sukcesy.

A teraz?

Przejechał dłonią po twarzy.

Teraz brakowało mu pewności. Nie wiedział, czy jest na właściwym tropie, czy może stacza się w odmęty szaleństwa, na co wskazywałoby dzisiejsze spojrzenie Stottera. Bick nie miał związku z tą sprawą. Wszystkie dowody wskazywały na to, że mają do czynienia jedynie z wypadkiem.

Dlaczego więc próbował udowodnić, że chodzi o coś innego?

Czy coś umknęło jego uwadze?

Nie miał pojęcia. Nie mógł w tej chwili myśleć. Na dworze zrobiło się już ciemno, a on poszedł do łóżka. Jednak wiatr bił w okna i dręczyły go kolejne pytania.

Może to jednak nie był wypadek? Co się stało z laptopem Tarvera? Kim był nieznajomy w restauracji? Co znaczą słowa: „Blue Rose Creek”, które Tarver zapisał jako ostatnie w swoim notesie? Daniel sprawdził to w bazie danych policji, ale nie znalazł niczego konkretnego.

Poza tym skąd pomysł, by ubezpieczyć się na życie? Daniel wiedział, że u Tarverów nie działo się ostatnio zbyt dobrze i że mieli kłopoty finansowe. Poza tym strażnicy nie odnaleźli jeszcze ciała Raya...

Czy Tarver zamordował członków swojej rodziny, by zgłosić się później po pieniądze?

To było podstawowe założenie Daniela, ale teraz zaczął mieć wątpliwości.

A jeśli Tarver wpadł na trop jakiejś sprawy i ktoś zamordował go wraz z rodziną?

Jak poważna musiałaby to być sprawa?

Daniel doskonale wiedział, że wypadek w górach może stanowić przykrywkę niemal doskonałego morderstwa.

Matka natura staje się wówczas świetnym narzędziem zbrodni.

Wiatr napierał na dom. Daniel przewracał się na łóżku, nie mogąc zasnąć, aż w końcu usłyszał głos żony, jak wtedy, kiedy znajdował się pod wodą.

„Nie poddawaj się, Daniel. Nie możesz się poddać”.

Prześladowały go ostatnie słowa Emily Tarver: „Zostaw... tatusiu”.

Dziewczynka mówiła jednak tak cicho, a rzeka niemal go ogłuszyła i Daniel zaczął mieć wątpliwości. A może w ogóle nic wtedy nie powiedziała i tylko mu się wydawało?

Nie był nawet pewny, czy w tej chwili śpi. Być może dochodzi teraz do głosu jego podświadomość albo poczucie winy... Znowu usłyszał głos Emily. Tym razem powiedziała coś jeszcze.

Słyszał wyraźnie.

Poczuł mrowienie na karku i usiadł w łóżku całkowicie przebudzony.

Spojrzał na zegarek. Była druga czterdzieści siedem.

Zrobił sobie kawy i usiadł, zastanawiając się nad tą sprawą. Następnie włączył komputer i przed świtem skończył nowy raport. Potem wziął prysznic, zrobił świeżą kawę i jajecznicę na śniadanie. Następnie pojechał do pracy i położył raport na biurku szefa.

Był przekonany, że wie, co powiedziała mu Emily Tarver.

„Zostawcie mojego tatusia...”.

Inspektor Stotter przeczytał raport, a następnie zdjął marynarkę i powiesił ją na drewnianym wieszaku.

- Wiem, jak wiele zawdzięczamy twojej dokładności, Dan - zaczął.

Daniel siedział na przeznaczonym dla gości krześle i patrzył na szefa.

- Nie poddawałeś się, chociaż wielu myślało, że się mylisz...

Stotter poluzował krawat i podwinął do łokci rękawy koszuli.

- Ale obawiam się, że w tym wypadku nie masz racji. Nie wiem, po co miałbyś jechać do Stanów...

- Mogę jednak to zrobić.

- Moim zdaniem ta sprawa stała się dla ciebie czymś w rodzaju pokuty.
- Co takiego?
- Nie wiem, po co byłeś wtedy w górach i wlałeś do tej rzeki...
- Chciałem ratować tę dziewczynkę.
- Prawdziwie bohaterski czyn, ale wiesz, że to było niemal samobójstwo.

Daniel spojrział w bok.

- Dan, powinieneś przestać dręczyć się tym, co się stało. Nie przywrócisz w ten sposób życia Norze. To był wypadek, tak jak u Tarverow.

- Ona wtedy coś mi powiedziała.
- Kto?
- Już mówiłem, Emily Tarver. To były jej ostatnie słowa.
- Dan - zaczął Stotter, a potem umilkł na dłuższą chwilę. - Jesteś pewny, że powinieneś wracać do pracy?
- Przysięgam, że ją słyszałem, Mike.

Stotter zmarszczył brwi i spojrział na niego poważnie.

- Nie znalazłem tego w twoim raporcie.
- Nie byłem tego pewny. Musiałem pozbierać myśli.
- Co powiedziała?
- Zostawcie mojego tatusia.
- Zostawcie mojego tatusia?
- Właśnie.
- Jesteś pewny?
- Tak.
- Powiedziała coś jeszcze?
- Nic istotnego. A potem: „Zostawcie mojego tatusia”. Dziwne, prawda? Tam się musiało coś wydarzyć.

Inspektor przyglądał mu się przez dłuższy czas, a potem podrapał się w brodę.

- Pracowałeś w drogówce, Dan. Widziałeś ludzi w szoku po wypadkach. Wiesz, że rzucają się na tych, którzy chcą im pomóc, i mówią różne rzeczy. Trudno oprzeć decyzję na takich słowach. Brak nam dowodów, by móc prowadzić śledztwo.

- Wciąż nie mamy laptopa Tarvera. Poza tym wiemy, że na dzień przed śmiercią spotkał się z kimś w Tree Top. Ten facet pracował jako dziennikarz w Waszyngtonie! I jeszcze jedna rzecz. Tuż przed śmiercią napisał w notesie: „Blue Rose Creek”.

- To nie są poważne dowody.

- Ale...

- Doskonale wiesz, że prawdziwe przestępstwa nie przypominają tych z filmów. Zawsze jest coś, co nie pasuje do układanki, co wskazuje, że mamy do czynienia ze zbrodnią.

- Mam przecucie, że to poważna sprawa.

- Przecucie?

- Przecież niczym nie ryzykujemy, jeśli będę dalej prowadził to śledztwo.

- Nie mamy pieniędzy na zabawę. Poza tym jeśli chcesz wrócić do pracy, będę cię potrzebował przy innych sprawach.

- W grę wchodzi poczwórne morderstwo w niejasnych okolicznościach. I ty to nazywasz zabawą?

Stotter założył ręce na piersi. Zdawał sobie sprawę z tego, że Daniel jest jednym z jego najlepszych ludzi. Być może musi zająć się tą sprawą, by odzyskać równowagę psychiczną. Po chwili wziął do ręki jego raport.

- Daj mi godzinę.

Jakieś czterdzieści minut później, wymachując raportem niczym pałką, zaprosił Daniela do swego biura.

- Zamknij drzwi. Rozmawiałem z nadinspektorem.

- I?

- Poza polisą na życie - Stotter zaznaczył coś w raporcie - Tarver ubezpieczył się też w kanadyjskim biurze podróży.

- Tak, na niewielką sumę.

- W myśl przepisów, kiedy nie można odnaleźć ciała, istnieje podejrzenie zabójstwa.

- Więc jednak pozwolisz mi jechać do Stanów?

- Posłuchaj tego, co mam ci do powiedzenia. Graham wyjął notes.



- Skontaktujesz się z przedstawicielem firmy ubezpieczeniowej z Waszyngtonu i przekażesz mu wszystkie potrzebne informacje. Masz powiedzieć, że zajmujesz się dokumentami potrzebnymi do jego polisy. Chodzi o to, by ustalić, czy nie był w chwili wypadku niepoczytalny lub nie cierpiał na amnezję. To dlatego, że nie odnaleźliśmy jego ciała. Bardzo możliwe, że przeżył i dotarł jakoś do Stanów.
- W porządku.
- Powiesz, że twoja robota ma wyłącznie papierkowy charakter. W ten sposób nie wejdiesz w drogę amerykańskiej policji. Mam nadzieję, że nie będą się tobą przejmować, bo mają teraz na głowie wizytę papieża. Rozumiesz, o co mi chodzi?
- Oczywiście.
- Nie masz prawa prowadzić dochodzenia na terenie Stanów Zjednoczonych. Czy to jasne?
- Jak kryształ.
- Weź delegację z działu podróży. Masz tydzień, może dwa, chyba że wezwę cię tu wcześniej.

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

*Los Angeles, Kalifornia* O Boże, żeby to był Logan.

Maggie miała przed oczami rozmazany obraz jakiegoś chłopca.

Proszę, niech to będzie on.

Parę dni po wizycie u Madame Fatimy pojawiła się nowa nadzieja.

- Wydaje nam się, że to pani syn - powiedział Ned Rimmer i zatrzymał wideo.

Rimmer pracował w policji Los Angeles. Sześć lat wcześniej, kiedy handlarz narkotykami strzelił do niego tak, że stracił oko, przeszedł na rentę. Rimmer nosił czarną opaskę na oku, kucyk i niemal przez cały czas chodził skwaszony. Wciąż był śledczym, ale miało się to nijak do jego aspiracji.

Rimmer i jego żona, Sharmay, która nosiła brzęczące kolczyki i zajmowała się rozsyłaniem wiadomości, byli członkami organizacji Guardian Rescue Society. W jej skład wchodziłi ludzie, którzy poświęcali swój czas i pieniądze, by odnaleźć zaginione dzieci.

Dostali akta sprawy Logana parę miesięcy wcześniej, kiedy to Maggie rozsyłała je do różnych grup wsparcia, których adresy znalazła w Internecie.

Maggie zdążyła już dawno o nich zapomnieć, a jednak

dziś rano Sharmay zadzwoniła do niej z informacją, że być może jeden ze strażników Rescue Society zdołał namierzyć jej syna, Logana Conlina.

Maggie zamilkła wówczas i ścisnęła mocniej słuchawkę.

- Halo, czy jest tam pani?

- O Boże! Naprawdę? Gdzie on jest? Czy nic się mu nie stało? Muszę się z nim zobaczyć!

- Jeszcze go nie mamy. Chcielibyśmy z panią porozmawiać w naszym biurze w Los Angeles. Proszę przyjechać najszybciej, jak będzie pani mogła.

Godzinę później Maggie zgodnie ze wskazówkami zaparkowała samochód przy ulicy położonej między Culcer City i zachodnim Los Angeles.

Biuro organizacji znajdowało się w budynku na piętrze nad barem „Smaragdowy Smok”, który serwował dania na wynos. Maggie czuła teraz zapach pieczonego kurczaka i smażonych warzyw.

- Proszę bardzo - powiedział Rimmer. - Dostaliśmy ten film z oddziału w Nowym Jorku, od emerytowanego porucznika policji, Wayne'a Kraychńskiego.

Rimmerowie wyjaśnili, że Kraychński sprawdzał dane Logana, tak jak innych zaginionych dzieci, w miejscowych szkołach. Udało mu się odnaleźć w Queens chłopca, który pasował do opisu Logana. Dowiedział się, że przeprowadził się on ostatnio do Nowego Jorku wraz z ojcem, kierowcą, który odpowiadał opisowi Jake'a.

Kraychński wraz z paroma innymi strażnikami rozpoczęli obserwację.

- Mamy kilka krótkich filmów zrobionych w ciągu paru ostatnich tygodni - powiedział Rimmer i ponownie włączył wideo.

Tym razem zobaczyła chłopca, który szedł ulicą w otoczeniu rówieśników. Obraz był jednak rozmazany i Maggie nie widziała dokładnie jego twarzy. Trudno jej było nawet określić, jakiego jest wzrostu.

- Tu właśnie mieszkają.

Na filmie ukazał się rząd zniszczonych, wolno stojących domków, wciśniętych między inne budynki dzielnicy Queens. Przed jednym z nich stała ciężarówka, ale bez naczepy. Był to zielony peterbilt. Maggie знаła się na ciężarówkach. Jake jeździł kenworthem, ale mógł sprzedać swój wóz i kupić peterbilta.

Na kolejnym filmie chłopiec jeździł wraz z innymi na łyżworolkach w parku.

Tym razem był do niej odwrócony plecami. Miał na głowie czapkę. Usiadł na trawie przy torze dojazdowej. Maggie wstrzymała oddech, kiedy obrócił się, ukazując profil, ale tuż przed nią pojawił się jakiś cień.

Maggie zasłoniła usta, by nie jęknąć z rozczarowania.

Czy miała przed sobą Logana? Nie mogła być tego pewna.

- Następna scena jest najważniejsza - powiedział Rimmer. - Nakręciła ją przyjaciółka Kraychńskiego, Ella Bell, która pracowała wcześniej w urzędzie celnym. Ella miała miniaturową kamerę ukrytą w kapeluszu i posłużyła się podstępem, żeby porozmawiać z chłopcem.

Obraz drżał i podskakiwał, ale po chwili zobaczyła grupę chłopców, siedzących na ławce w parku. Usłyszała głos kobiety, w którym pobrzmiwał akcent Long Island. Maggie nie widziała jej, a jedynie grupę na ławce.

- Przepraszam, chłopcy, zgubiłam się. Możecie mi pomóc?

Rozłożyła mapę na ławce.

- Szukam Vander Building. Wiecie, gdzie to jest?

Chłopcy zaczęli się tłoczyć wokół mapy. Maggie obserwowała ich twarze. Kobieta starała się skupić na jednym z nich, który miał koło dziesięciu lat i nosił czapkę z daszkiem.

- Niech pani teraz uważa - rzucił Rimmer.

- Fajna czapka - powiedziała kobieta do chłopca. - Lubisz drużynę Yankee?

- Taa.

Daszek zasłaniał jego czoło i oczy.

- Jesteś tu chyba nowy, co? Skąd przyjechałeś?

- Z Ohio - odpowiedział inny chłopak.

- Naprawdę?

Teraz zobaczyła całą twarz chłopca, który skinął głową.

- Vander Building jest tam - powiedział jeszcze inny chłopiec. - Niech pani idzie prosto, a potem w lewo.

Obraz rozmazał się przed oczami Maggie, która zaczęła wycierać płynące jej po policzkach łzy.

- To nie on - powiedziała.

- Jest pani pewna? - spytał Rimmer. - Czasami rodzice po uprowadzeniu dzieci farbują im włosy i zmieniają fryzury.

- Ten chłopiec nie jest moim synem! - krzyknęła Maggie.

- Zatrzymaj wideo, Ned. - Sharmay położyła dłoń na jej ramieniu. - Nic pani nie jest?

- Przepraszam, że się uniosłam, ale to nie jest Logan. Bardzo mi przykro. Proszę podziękować wszystkim. Przepraszam. - Maggie wzięła torebkę i podeszła do drzwi.

- Będziemy go dalej szukać - zapewniła ją Sharmay. - Jestem pewna, że go pani odnajdzie.

Zaczęło się ściemniać.

Maggie bała się, że zaraz się rozplacze, i przeszła szybko do swego wozu.

Dlaczego była tak głupia? Dlaczego wciąż trzymała się tej nadziei?

Wyjęła kluczyki z torebki i zaraz je upuściła. Schyliła się, by je podnieść. Kiedy wstawała, skierowała wzrok w stronę końca ulicy. Chociaż nie była tego do końca pewna, zobaczyła mężczyznę w samochodzie, który czytał gazetę.

Kiedy wsiadła do auta, mężczyzna odłożył gazetę, wyprostował się i włączył silnik. Maggie wyjechała ze swojego miejsca, a mężczyzna ruszył za nią.

Cały czas utrzymywał bezpieczny dystans. Jego niebieska

impala z przyciemnionymi szybami miała odrapany po stronie kierowcy zderzak.

Maggie ponownie go zauważyła, kiedy spojrzała we wsteczne lusterko, ale niewiele się nad tym zastanawiała, zmierzając w stronę autostrady. Miała inne problemy.

Ruch był bardzo duży.

Radio podało komunikat o wielkim, spowodowanym wypadkiem korku na autostradzie do San Bernardino. Maggie pojechała więc inną drogą, wciąż wspominając to, co zobaczyła na ekranie telewizora. Nagle dotarło do niej, że być może już nigdy nie odnajdzie Logana.

Nie, tylko nie to! Nie przeżyje tego. Jake, gdzie jesteś? Jak mogłeś mi zrobić coś takiego?

Wytarła łzy i starała się skoncentrować na przesuwających się wolno przed nią czerwonych światłach, przypominając sobie jednocześnie pożegnalne słowa Sharmay: „Jestem pewna, że pani go odnajdzie”.

Chciała w to wierzyć.

Musiała w to wierzyć.

Kiedy wreszcie po półtorej godziny dotarła do swego wyjazdu, jej rozpacz ustąpiła zmęczeniu. Gdy dojechała do Blue Rose Creek, zauważyła, że ma już niemal pusty bak. Skreśliła w stronę całodobowej stacji, gdzie lubiła tankować.

Była czysta i dobrze oświetlona.

Mogła tu tankować bezpiecznie po zmroku.

Napełniła bak i zapłaciła kartą przy dystrybutorze. Po chwili zamarła.

To dziwne.

W odległym kącie parkingu przy stacji benzynowej dostrzegła niebieską impalę z porysowanym po stronie kierowcy zderzakiem.

Czy to ten sam wóz, który widziała w Culver City?

Niemożliwe. Wydaje jej się. Chyba jest przemęczona. Maggie z westchnieniem wsiadła do samochodu i wyjechała ze stacji.

Parę chwil później, gdy czekała na czerwonych światłach,

pomyślała, że przydałaby się jej gorąca kąpiel. A potem w bocznym lusterku znowu zobaczyła niebieską impalę. Co się dzieje?

Zapaliło się zielone światło i Maggie szybko zmieniła kierunkowskaz i pojechała w prawo, zamiast w lewo, wciąż patrząc w boczne lusterko.

Impala także skręciła w prawo.

Ktoś ją śledził!

Nie powinnam się tym przejmować, pomyślała. To tylko przypadek. By to potwierdzić, na następnym skrzyżowaniu skręciła w lewo.

Tym razem spojrzała we wsteczne lusterko. Impala jechała za nią.

Poczuła, że ma gęsią skórę. Wcisnęła pedał gazu. Nie знаła tej okolicy i przy najbliższej sposobności skręciła w prawo. Samochód za nią zrobił to samo.

Maggie rozglądała się bezradnie po mijanych ciemnych domach. Nie wiedziała, co zrobić. W końcu znowu skręciła, a kiedy zobaczyła pusty podjazd, zajeżdżała szybko pod daszek i wyłączyła silnik i światła. Zaraz też zdjęła nogę z hamulca i schowała się za siedzeniem. Zobaczyła, jak impala z rykiem silnika mknie dalej ulicą. Po chwili światła wozu zniknęły w mroku.

Siedziała w wozie, ciężko oddychając. Oparła głowę o kierownicę, otworzyła okienko i wciągnęła świeże powietrze do płuc.

Czy ktoś ją śledził? Czy powinna zawiadomić o tym policję? Już sobie wyobrażała, jak zareagują policjanci z Blue Rose Creek.

„O tak, znowu ta wariatka. Czym możemy służyć? Ktoś usiłował panią porwać? Może zgwałcić? No tak, wiadomo, czego można się spodziewać po zrozpaczonej kobiecie”.

Maggie spojrzała na zegarek, czując, że powoli się uspokaja. Odczekała kwadrans, a następnie włączyła silnik i pojechała do domu.

W okolicy nie było impali.

Odetchnęła z ulgą.

Otworzyła drzwi, czując potworne zmęczenie.

Chciała spać.

Kapiel może poczekać.

Pójdzie od razu do łóżka.

Zobaczyła jednak czerwone, mrugające światełko automatycznej sekretarki.

Miała jedną wiadomość. Maggie od razu rozpoznała głos, który wydobywał się z głośnika:

„Tu Helga, przyjaciółka Madame Fatimy. Fatima prosiła, bym pani przekazała, że ma informacje na temat pani syna. I że chce je pani przekazać”.



**CZĘŚĆ DRUGA**  
**KRWAWA ZEMSTA**

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

*Cold Butte, hrabstwo Lone Tree, Montana*

Ksiądz Andrew Stone spoglądał na trawy falujące na wietrze na wielkiej równinie. Ciągnęły się kilometrami aż do miejsca, gdzie ziemia stykała się z niebem.

Wspaniałe w swoim majestacie.

Nieśmiertelne ze względu na swoją historię.

To miejsce niewątpliwie zasługiwało na to, co miało się tu zdarzyć.

Już wkrótce przyjedzie tu papież i pobłogosławi ziemię Buffalo Breaks, gdzie zmarło lub zginęło tak wielu przodków księdza Stone'a.

Jego serce wezbrało dumą.

Nie przejmował się pogłoskami na temat odwołania papieskiej wizyty w tej odległej części kraju. Nauczył się bowiem tego, że nie można zmienić bożych planów.

- Proszę księdza, już zaczynamy!

Dyrektor miejscowej szkoły wyszedł z budynku, informując go o posiedzeniu komitetu, przygotowującego wizytę papieża. Spotkanie miało dotyczyć listu, który dostali z Waszyngtonu.

Ksiądz Stone znał już jego treść.

Amerykański wywiad ostrzegł w nim Watykan przed możliwością ataku terrorystycznego. Ostatnio odnotowano

wzmoczoną działalność agentów wrogich państw na terenie Stanów Zjednoczonych. Poza tym *Washington Post* donosił, że wielu amerykańskich dostojników kościelnych w obawie przed zagrożeniami nalegało, by papież skrócił trasę swojej wizyty, co oznaczałoby, że nie przyjechałby wówczas także tutaj, do hrabstwa Lone Tree.

Ksiądz ścisnął w dłoni kopię listu, a także gazetę z artykułem i ruszył w stronę szkoły. Był pewny, że wizyta dojdzie do skutku. Pokładał wielką ufność w Opatrzności Bożej i czerpał siły ze swego przywiązania do tej ziemi.

Stone pochodził z małego plemienia Swift Fox, żyjącego kiedyś na równinach, które niemal wyginęło w czasie epidemii ospy w latach osiemdziesiątych dziewiętnastego wieku. W tym czasie pojawiła się na tych terenach wraz z jezuitami siostra Beatrice Drapeau, zakonnica z Francji, która opiekowała się chorymi, aż w końcu sama zmarła.

Ci, którzy modlili się, pamiętając o jej wskazówkach, ocaleli z zarazy.

To właśnie ta historia natchnęła Stone'a tak, że postanowił zostać księdzem. Po nauce w seminarium wysłano go do Watykanu, by zbadał rolę, jaką Kościół odegrał w życiu amerykańskich Indian. Tam właśnie zaprzyjaźnił się z pewnym kardynałem, który zainteresował się spuścizną po siostrze Beatrice.

- Nie możemy zapomnieć o jej poświęceniu - powtarzał Stone'owi, wyciągając palec w górę. - Któregoś dnia odbędę pielgrzymkę do Lone Tree, by uczcić jej pamięć.

Stone wkrótce powrócił do Montany. Po paru latach ku jego zaskoczeniu okazało się, że ów kardynał został papieżem. Parę miesięcy później Stone otrzymał list napisany osobiście przez Ojca Świętego.

„Kochany Bracie! Tak jak obiecałem, by uczcić siostrę Beatrice, odbędę pielgrzymkę na wielkie równiny w kolejną rocznicę jej śmierci. Możesz przekazać tę informację wszystkim ludziom dobrej woli, by wzięli udział w naszej uroczystości”.

Stone zatrzymał ten list dla siebie, ale umieścił w Internecie informacje o papieskiej wizycie w Montanie. Podał też jej datę.

W przeciwieństwie do wizyt prezydenckich, te papieskie były wcześniej zapowiadane ze względu na ich skalę i potrzebne przygotowania. Jednak wiadomości przekazane przez Stone'a poważnie wyprzedziły oficjalne zapowiedzi ze strony Watykanu. Bardzo zaniepokoiło to agencje wywiadowcze z całego kraju, gdyż w ten sposób wszelkiej maści terroryści mieli bardzo dużo czasu, by dokładnie przygotować zamach. Sytuacja była bardzo poważna.

Teraz Stone wszedł do sali i zajął miejsce za stołem, przygotowując się na gorącą dyskusję na temat odwołania tej części wizyty.

- Te wszystkie informacje nie są poważne - odezwał się przedstawiciel kurii biskupiej diecezji Great Falls.

- Zgadza się - poparła go przedstawicielka ratusza.

- Do wizyty zostało zaledwie parę tygodni. To niepoważne, żeby ją odwoływać na tym etapie przygotowań.

- Jak czytaliście państwo w liście, nasz wywiad ostrzega przed zagrożeniami - odezwał się przez słuchawkę urzędnik Secret Service z Waszyngtonu. - To oczywiście nic nowego, ale w tym wypadku jesteśmy bardzo zaniepokojeni całą sytuacją, ponieważ liczba sygnałów o potencjalnych zagrożeniach jest zdecydowanie większa niż zazwyczaj. Wywiad nie może radzić przedstawicielom Watykanu, by odwołali wizytę. Przekazujemy jedynie zebrane informacje, by pomóc im w podjęciu decyzji.

- Wiemy z prasy, że niektórzy dostojnicy kościoła chcą odwołania wizyty w Lone Tree - zauważył przedstawiciel kurii.

- Ale to nie ma nic wspólnego z tajnymi służbami

- odparł agent rządowy.

- Zdajemy sobie sprawę z zagrożeń, ale Ojciec Święty pragnie trzymać się wyznaczonej trasy - powiedział przedstawiciel biskupstwa z Waszyngtonu. - Wszystkie te miejsca

są ważne dla Jego Świątobliwości z ekumenicznego punktu widzenia.

Uroczystość w Montanie miała się rozpocząć od występu chóru w szkole, a następnie Ojciec Święty miał odprawić mszę polową w Buffalo Breaks dla około stu tysięcy wiernych. Miał też pobłogosławić te ziemie w imię Ducha Świętego, by czuwał nad wszystkimi żyjącymi tu ludźmi.

- Czy ktoś pomyślał o tym, jaki wpływ miałyby odwołanie tej wizyty na żyjących tu mieszkańców? - odezwał się dyrektor szkoły. - Wszyscy włożyli olbrzymi wysiłek w przygotowania. Ludzie od Great Falls aż po Billings, Lewistown i Miles City przygotowali miejsca dla pielgrzymów. W dodatku wiązało się to ze sporymi kosztami. Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy, by papież był tu bezpieczny. I jeszcze chór. Nasze dzieci ćwiczyły od paru miesięcy, żeby dobrze wypaść.

Stone zauważył, że wszyscy kiwają głowami, i na chwilę przestał śledzić dyskusję.

- W tym momencie decyzja nie leży po naszej stronie - powiedział rzecznik CIA.

- Racja - przytaknął przedstawiciel biskupstwa z Waszyngtonu. - Czekajmy więc na decyzję Watykanu.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

*Cold Butte, hrabstwo Lone Tree, Montana*

Logan cały poczerwieniał.

Wszyscy przerwali, by na niego popatrzeć.

W sali gimnastycznej, gdzie odbywała się próba chóru szkolnego, było tak cicho, że można by usłyszeć spadającą szpilkę. Pięćdziesięcioro dzieci z różnych klas miało zaśpiewać na powitanie papieża.

Sobił Mounce-Bazley, dyrygentka, postukała batutą o pulpit. Mali śpiewacy zaczęli przewracać nuty, ktoś zakaszłał, ale nikt nie odważył się nic powiedzieć. Sobił szukała nazwiska na liście, aż w końcu znalazła to, o które jej chodziło. Numer dwadzieścia siedem. Alt. Dziewięć lat.

- Logan Russell?

- Tak.

- Znowu się spóźniłeś. Zmyliłeś całą grupę, Logan.

- Wszystko mi jedno.

Przeszło go spojrzenie stalowoniebieskich oczu znad okularów. Ktoś zachichotał, ale zaraz umilkł.

- Chciałabym z tobą porozmawiać po próbie.

Sobił była starą panną. Była też legendarną dyrygentką, która kiedyś prowadziła chóry dziecięce w Londynie i Nowym Jorku, aż w końcu na emeryturze osiadła na ranchu

102

brata w Cold Butte. Kiedy okazało się, że papież ma odwiedzić te okolice, uległa prośbom miejscowych władz i zgodziła się raz jeszcze przygotować do występu amatorski chór szkolny.

Muzyka była całym jej życiem, oddała jej wszystko i tego samego oczekiwała od swoich podopiecznych. Dlatego zupełnie nie wiedziała, co się dzieje z numerem dwudziestym siódmym, który dysponował pięknym altem. Gdyby nie jego głos, chętnie wyrzuciłaby go z chóru.

- Może powiesz mi, o co chodzi - powiedziała, kiedy wszyscy wyszli już z sali gimnastycznej.

Chłopak milczał.

- Przecież wiesz, że to niepowtarzalne wydarzenie. Tylko raz w życiu będziesz mógł zaśpiewać dla papieża.

- Brakuje mi mamy.

- A gdzie jest?

- W Kalifornii. Rodzice się rozstali albo coś takiego. Przeniosłem się tu z tatą i jego nową dziewczyną.

- Rozumiem, ale to nie usprawiedliwia twojego zachowania.

Kiedy pracowała w Londynie i Nowym Jorku, stykała się z dziećmi, których rodziców zamordowano, albo takimi, które oddawano za narkotyki. Rozwód nie wydawał jej się największą z tragedii.

- Nie będę się do tego wtrącać. Dam ci trochę luzu, ale popracuj trochę nad tą piosenką. Jeśli do końca tygodnia się nie poprawisz, wylecisz z chóru, jasne?

Chłopak skinął głową.

Jadąc do domu szkolnym autobusem, Logan oparł czoło o szybę i patrzył na chmury, które unosiły się nad bezkresną równiną.

Nigdy nie czuł się tak samotny. W jego oczach pojawiły się łzy.

Logan Russell.

Oczywiście nie nazywał się Russell, tylko Conlin.

Przestawał już nawet rozumieć, kim tak naprawdę jest.

Niczego już nie rozumiał. Od wyjazdu ojca do Iraku wszystko zaczęło się zmieniać na gorsze. Tata nie mówił, co się tam stało, ale zachowywał się dziwnie. Bardzo się zmienił. Często bolała go głowa, wpadał w złość i bez przerwy kłócił się z mamą. Jego przyjaciel Robbie powiedział, że jego rodzice też się tak zachowywali przed rozwodem.

Logan nie chciał, żeby rodzice się rozwiedli.

Miał nadzieję, że będą razem. Tak jak kiedyś.

A potem wydarzyło się to najgorsze, na boisku z panem Ullmanem, jego trenerem. Logan przestraszył się, widząc, że ojciec chce się z nim bić. Pan Ullman patrzył na niego tak, jakby miał do czynienia z wariatem. Tej nocy Logan usłyszał, jak mama płacze w swoim pokoju. Później było nieco lepiej, ale Logan wciąż bał się rozwodu.

A potem to się stało.

Nie było sądu i prawników, o których mówił mu Robbie. Tata przyjechał po niego do szkoły swoją ciężarówką.

- Musimy jechać, synu.

Nie powiedział, gdzie i dlaczego jadą. Loganowi wydawało się najpierw, że to fajna przygoda. Po prostu wciąż jechali przed siebie. Jednak ojciec miał coraz poważniejszą minę i Logan zaczął się bać.

- Nie ukrywam, że sprawa jest poważna - powiedział w którymś momencie. - Nie zdziwię się, jeśli tego nie zrozumiesz. Sam tego nie rozumiem. Twoja matka zakochała się w innym mężczyźnie i nie chce już mieć z nami nic wspólnego.

- To nieprawda!

- Żałuję, ale tak właśnie jest, synu. Bardzo mi przykro. Wiem, co czujesz. Sam nie wiem, co powiedzieć. Rozstaliśmy się i masz zostać ze mną.

- Zawracaj!

- Nie mogę. Sąd nakazał mi, żebym wyjechał. To bardzo skomplikowane. Opowiem ci o tym później. Chodzi głównie o to, że nie możemy już wrócić do domu.

104



- Nie, nie! Zawieź mnie do domu!

- Nie mogę, bo mnie aresztują.

- Więc do niej zadzwonię.

- Nie, tego też nie możemy zrobić. Żadnych kontaktów, rozumiesz?

Próbował uderzyć ojca, ale chybił. Coś się w nim załamało. Poczuł przejmujący ból. Tak wielki, że nie rozumiał, dlaczego nie krwawi.

A potem już nic nie czuł.

Kiedy zatrzymali się w Barstow, Logan wymknął się do łazienki i próbował zadzwonić do domu z aparatu, który znajdował się obok. Nie pamiętał numeru do księgarni i nie znał numeru kierunkowego do Kalifornii. W końcu do-dzwonił się na informację, ale ojciec przyłapał go i zakończył rozmowę. Następnie kazał mu iść do ciężarówki.

- Przecież ci mówiłem, że nie możemy do niej dzwonić. Musimy trzymać się przepisów. Naprawdę bardzo mi przykro.

Logan płakał przez parę godzin, kiedy jechali przez pustynną drogę Kalifornii. Próbował zrozumieć to, czego nie mógłby zrozumieć żaden chłopiec.

Wiedział tylko, że umarło w nim coś, co kochał.

Że odeszło coś, czego potrzebował.

A on mógł tylko płakać.

Kiedy dotarli na przedmieścia Las Vegas, ojciec powiedział, że są tam umówieni. Zadzwonił ze swojej nowej komórki. Podjechali pod jedną z restauracji, gdzie stała jakaś kobieta.

- Logan, to jest Samara. Samaro, poznaj mojego syna.

- Cześć, witaj. - Kobieta mówiła z obcym akcentem i miała zimne dłonie. - Twój tata dużo mi o tobie opowiadał.

Loganowi było wszystko jedno.

Jadł zamówiony przez ojca deser bananowy, nie czując jego smaku. Miał wrażenie, że wszystko, co się wokół dzieje, jest tylko jakimś okropnym snem.

- Nigdy o tym nie mówiłem, Logan, ale Samara bardzo mi pomogła, gdy byłem w Iraku. Uratowała mi życie. Jest pielęgniarką i pochodzi z Anglii, ale teraz pracuje w Stanach, konkretnie w Montanie. Właśnie tam z nią zamieszkamy.

- Nie! Musimy wrócić do domu!

- Rozumiem, że jest ci trudno...

- Nienawidzę cię, ty pojebie!

Deser bananowy wyleciał w powietrze i wylądował na podłodze, eksplodując kremem i szkłem, tuż przed wystraszoną kelnerką.

Usłyszał chrobot w skrzyni biegów, zapiszczały hamulce i autobus się zatrzymał.

Logan ruszył wolno w stronę domu. Zastygł na chwilę przy skrzynce pocztowej z nazwiskiem Russell, kolejnym kłamstwie, które musiał znosić. Ojciec powiedział, że muszą zmienić nazwisko, że to z powodu nakazu sądu, jakichś skomplikowanych spraw majątkowych.

Logan nienawidził tego domu.

Ojciec zwykle wyjeżdżał swoją ciężarówką, a on zostawał z Samarą, która pracowała w miejscowym szpitalu i coraz częściej miała spotkania organizacyjne w związku z wizytą papieża. Na początku, kiedy się tu przeprowadzili, inne dzieci myślały, że jest jego matką.

Logan wybił im to z głowy pięściami.

Po przeprowadzce często lądował w gabinecie dyrektora. Ojciec i Samara uważali, że brakuje mu zajęcia, dlatego zapisali go do chóru.

Samara powtarzała, że jej zdaniem ma ładny głos.

Nie interesowała się nim specjalnie. Sprawdzała tylko, czy odrobił lekcje, gotowała i sprzątała w domu. Robiła rzeczy, które lubił, na przykład chili.

Jednak daleko jej było do mamy.

Poza tym wciąż była zajęta, bo zapisała się na kurs i bez przerwy się uczyła. Wciąż pisała coś na swoim laptopie i rozmawiała przez komórkę z przyjaciółmi, i to nawet

w nocy. Powiedziała tylko, że Logan nie może dotykać jej laptopa i komórki ze względu na poufne dane pacjentów, które się tam znajdowały.

Logan nie miał na to najmniejszej ochoty. W ogóle jej nie lubił.

Czasami późno w nocy rozmawiała z kimś w jakimś dziwnym języku. Logan widział parę filmów akcji i domyślił się, że to arabski albo coś w tym rodzaju. Pochodziła więc z Iraku. Powiedział o tym ojcu, a on wyjaśnił, że Samara ma wielu przyjaciół na całym świecie, w organizacjach takich jak Czerwony Krzyż.

Nieważne.

Ale dlaczego on sam nie mógł porozmawiać ze swoimi przyjaciółmi z Kalifornii? Nie mógł tego zrozumieć.

Mógł kiedyś napisać e-mail do mamy z komputera kolegi, ale nie znał jej adresu. Próbowali więc dotrzeć do niej przez stronę internetową księgarni, ale pojawił się komunikat na temat bezpieczeństwa korzystania z karty kredytowej i Logan się wycofał.

A jeśli ojciec mówił prawdę i rzeczywiście nie powinien się z nią kontaktować?

Wciąż za nią tęsknił, tak jak choćby dzisiaj, kiedy szedł do brzydkiego żółtego domu, stojącego w szczerym polu.

Równie dobrze mógłby się znajdować na Marsie.

Zobaczył zaparkowaną pod drzewem ciężarówkę, którą ojciec naprawiał.

- Co tam w szkole? Logan wzruszył ramionami.

- Dzieciaki pewnie są podniecone tym, co ma nastąpić, prawda? - zapytał ojciec.

- Chyba wyleją mnie z chóru.

- Niby dlaczego?

- Pani Mounce-Bazley powiedziała, że się nie staram. Mam czas do końca tygodnia.

- Więc się lepiej postaraj. To poważna sprawa. Tak

107

jakbyś miał się spotkać z prezydentem. Chyba nie chcesz zawalić sprawy. Samara musiała się za tobą wstawić, żebyś się dostał do chóru.

Logan popatrzył w przestrzeń i zamrugął oczami.

- Może mi powiesz, co cię gnębi - rzucił ojciec.
- Chcesz się ożenić z Samarą? - zapytał Logan. Ojciec wytarł dłonie w szmatę.
- Jeszcze nie wiem. Widzisz, żyjemy tak z dnia na dzień...
- Nie wrócisz do mamy?
- Już ci mówiłem.
- Skoro ta wizyta jest taka ważna, to dlaczego nie mogę zadzwonić do mamy i jej na nią zaprosić? Na pewno chciałyby zobaczyć, jak śpiewam. Proszę, tato.

Ojciec usiadł na stopniu ciężarówki i przyciągnął go do siebie.

- O tym też mówiłem. Nie możemy do niej dzwonić, a tym bardziej się z nią spotykać. To koniec naszego małżeństwa i musisz to zrozumieć. Mnie też się to nie podoba, ale muszę się pogodzić z wyrokiem sądu.
- Próbowałem do niej dzwonić i skontaktować się z nią przez Internet.
- Co?! Cholera, kiedy?
- Kiedy się tu przeprowadziliśmy.
- Przecież ci mówiłem, żebyś do niej nie dzwonił, Logan. Chcesz, żeby mnie zamknęli?

Logan pokręcił głową.

- Było mi bardzo smutno, a ty wyjechałeś. Próbowałem dzwonić, ale nie miałem sygnału. Tak jakby coś się działo z naszym telefonem.

Ojciec skinął głową i wyjaśnił, że mają zablokowane rozmowy z Kalifornią. W związku z postanowieniem sądu.

- Nie rozumiem. Co się stało, tato? - W oczach chłopca pojawiły się łzy.
- Twoja matka po prostu nie chce o nas słyszeć. Właśnie dlatego się tu przeprowadziliśmy. Wiesz, jak to jest w czasie rozwodów. Ludzie bardzo się zmieniają...

- Przecież nie mogła przestać mnie kochać. Nie uwierzę, że się tak stało. Kiedy ją ostatni raz widziałem, trochę się niepokoiłem o was. Przytuliła mnie i powiedziała, że na pewno się nie rozwiedziecie i że wszystko będzie dobrze. Nie mogła tak kłamać!

- Przestań.

- Przecież jest moją matką. Musi mnie kochać. Wiem, że nie mogła mnie oszukać. Muszę do niej zadzwonić, tato. Ojciec położył dłoń na jego ramieniu i spojrzał mu w oczy.

- Rozumiem, że jest ci ciężko, ale powinienes zapomnieć o przeszłości. Wiem, że to niełatwe. Mamy jednak Samarę i uwierz mi, naprawdę możemy na nią liczyć.

Usłyszeli silnik i po chwili van Samary zatrzymał się na podjeździe.

- Cześć, chłopaki - powiedziała z uśmiechem. - Co tam u was?

- Nic - odparł Logan. - Umiesz robić *tacos*!

- Jasne. - Samara popatrzyła na Jake'a, a potem znowu na Logana. - Pomożesz mi nosić zakupy?

Tego wieczora zjedli cichą kolację.

Ojciec położył się wcześniej, ponieważ musiał wstać następnego dnia rano i jechać do Spokane, potem do Salt Lake City i na koniec do Great Falls.

Logan i Samara pozmywali po kolacji, a następnie wyszli przed dom i usiedli pod wielkim drzewem. Nad nimi świeciły gwiazdy, słychać było świerszcze, a Samara pomagała mu ze śpiewem. Logan widział, jak zmarszczyła czoło, jakby gnębiło ją coś poważnego.

- Wiesz, Logan - odezwała się w pewnej chwili - chcę, żebyś wiedział, że niezależnie od tego, co o mnie myślisz i co usłyszysz, ty i twój ojciec jesteście dla mnie najważniejszymi ludźmi na świecie.

Logan milczał, patrząc na Drogę Mleczną. Samara była bardzo smutna.

- Wkrótce stanesz się częścią historii. I wszystko będzie takie, jak być powinno.  
Zobaczył łzę, która spłynęła po jej policzku.
- Wszyscy będziemy mieli powody do radości. Obiecuję.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

*Missoula, Montana*

Jake jechał na zachód. Wiózł złom i wciąż myślał o Loga-nie.

Nagła przeprowadzka do Montany była dla chłopca ciężkim doświadczeniem. Jake widział, jak jest rozdarty, i zaczął się zastanawiać, czy zrobił dobrze, że zostawił za sobą dawne życie.

Zacisnął dłonie mocniej na kierownicy.

Czuł, że znowu zaczyna go boleć głowa. Ból wzrastał się z minuty na minutę. Wziął dwa proszki, a następnie zaczął się rozglądać po równinie w poszukiwaniu Bitterroot, mówiąc sobie w duchu, że przeprowadzka nie była błędem.

Samara uratowała mu życie.

Sprawa była więc prosta.

Jednak Maggie jest jego żoną. Matką Logana. Do niedawna byli szczęśliwi...

Jak to się stało, że stracił kontrolę nad biegiem zdarzeń?

Jake zamrugał, odprowadzając wzrokiem przydrożne słupki. Nagle przypomniał sobie, jak się spotkali z Maggie w szkole. Tańczyli oboje w sali gimnastycznej. Przypomniał sobie wspólne wycieczki na plażę. Długie rozmowy. Byli dwojgiem samotnych ludzi, których połączyło głębokie uczucie. To dzięki niej zaczął czytać. Podobały mu się

zwłaszcza mroczne powieści Josepha Conrada. On zaś nauczył ją prowadzić samochód, choć parę razy zarysowała mu wóz.

Mieli wspólne marzenia.

W końcu się pobrali.

Był wówczas bardzo szczęśliwy. A potem pojawił się Logan i ich życie stało się pełniejsze i bardziej radosne. Jake poczuł, że dopisuje mu szczęście, podjął więc ryzyko i kupił większą ciężarówkę. Ale któregoś dnia w drodze do Taos w Nowym Meksyku zepsuła mu się skrzynia biegów w najgorszym możliwym momencie. Miał wtedy dużo zamówień, które musiał odwołać, i jeszcze zapłacił słono za naprawę. Ceny paliwa skoczyły w górę. Mieli coraz więcej niezapłaconych rachunków. I, co najgorsze, opóźnienia w spłacie kredytu hipotecznego.

To był straszny okres.

Wyjazd do Iraku wydawał się najlepszym wyjściem. Oczywiście wiązało się to ze sporym ryzykiem. Wiele osób tam zginęło. Potrzebowali jednak pieniędzy, więc Jake podpisał umowę z wojskiem.

I nagle znalazł się w piekle.

Zaczęło się od ataku.

Nigdy o tym nie mówił. Nawet nie wspomniał Maggie o tym, co się stało. Bał się nawet o tym wspomnieć Loganowi. Atak.

Nie powinien o tym myśleć. Dosyć. Poczul świdrujący ból w głowie. Dość!

Musi zachować spokój. Trochę dojść do siebie.

Problemy zaczęły się po powrocie, tego dnia, kiedy natknęli się w sklepie na trenera Logana. Ullman był przystojnym mężczyzną, wykształconym, inteligentnym... Jake słyszał, jak rozmawiało o nim parę kobiet, których synów trenował.

A Maggie się do niego uśmiechnęła.



Nigdy do nikogo się tak nie uśmiechała. I wtedy wszystko zrozumiał. Zdradziła go z Ullmanem.

Oczywiście Maggie zaprzeczyła, on jednak wiedział, że tak się stało.

Ale czy na pewno?

Teraz, patrząc na zamglone góry, zaczął się zastanawiać, czy się jednak nie mylił. Być może była to jednak jego chora wyobraźnia. To, że nigdy do siebie nie doszedł po tym ataku.

Wrrum, wrrrum!

Serce podskoczyło mu w piersi. Nagle minął go jadący z olbrzymią prędkością motocykl. Wrrum, wrrrum!

Ten dźwięk był jak karabin maszynowy. Wrrrum, wrrrum!

Głowa bolała go tak, jakby ją ściśnięto w imadle. Powinien się zatrzymać, zjechać na pobocze. Wrrum, wrrrum!

Te dźwięki przebijały mu czaszkę. Zmienił bieg i zjechał na pobocze, wzniesając tuman kurzu. Zamknął oczy.

Wrrum, wrrrum!

Jake ścisnął rękami głowę, czując, że ma kurz w gardle. Chciał wrócić do rzeczywistości, ale... na próżno. Dostyc tego. Proszę... - powtarzał. Był w Iraku.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

*Linia frontu w Tal Afar, Irak, niedaleko granicy z Syrią To nie wygląda dobrze...*

*Jego ciężarówka jedzie wolno przez zatłoczony rynek. Jakies osiem kilometrów wcześniej odcięto ich od głównego konwoju i ubezpieczających ich transporterów.*

*Radio zaczyna trzeszczeć.*

*- No, jedź dalej! Dalej!*

*Jake ma złe przeczucia. Jechali w konwoju złożonym z dwudziestu ciężarówek z dostawą dla żołnierzy, którzy mają tajną misję na granicy. Jednak rozdzielono ich i w tej kolumnie zostało tylko sześć ciężarówek. Z przodu i z tyłu jadą wozy humvee. Mercedes Jake 'a jest ostatni w konwoju. Pozostałe samochody prowadzą jakiś Hiszpan, facet z Amsterdamu, a także kumpel Jake'a z Teksasu, którego żona właśnie urodziła dziecko.*

*Jake 'owi nie podoba się cała sytuacja.*

*Czuje się tak, jakby odłączył się od stada.*

*Jadą za wolno. Zdecydowanie za wolno. W tej strefie pełno jest rebeliantów.*

*To strefa śmierci.*

*Jake chce tylko cało dojechać do obozu. Nie chce, by do niego strzelali czy rzucali kamieniami w jego wóz. Po prostu dojechać do obozu. Wykąpać się. Zjeść. Ispać. Mieć za sobą*

*kolejny dzień. Zbliżyć się choć trochę do powrotu do domu, do Maggie i Logana.*

*Teraz wloką się w żółtym tempie.*

*Zeby to tylko nie był punkt kontrolny, modli się w duchu. Zeby to nie był punkt kontrolny irackiej policji.*

*Rebelianci często podszywają się pod policję.*

*- Dobra, musimy się zatrzymać. - Słyszy głos w radiu. - Punkt kontrolny.*

*Jake klnie. Ma zupełnie sucho w ustach.*

*Dieslowskie silniki mruczą gniewnie w palącym słońcu.*

*Jake ma szeroko otwarte oczy, czuje pragnienie, ale nie sięga po wodę, obserwuje bacznie to, co się dzieje przed nim, a pot spływa strumykami po jego plecach. Słucha rozmów przy straganach, widzi żebraków z wózkami, starców, którzy podgrzewają herbatę na otwartych paleniskach, dzieci, biegnące z kijami za psem. Musi uważać, musi być czujny, starając się tu zaprowadzić demokrację.*

*Maggie i Logan uśmiechają się do niego ze zdjęcia, przyklejonego taśmą do deski rozdzielczej.*

*Boże, pozwól mi przeżyć ten dzień. Daj mi powrócić do domu, modli się w duchu.*

*Szybciej. To trwa już zbyt długo.*

*Jake obserwuje starców, dzieci, psa, spalone samochody, żebraków z wózkami, a silniki ciężarówek wciąż pracują.*

*Parę głosów z radia. Gdzieś dalej widzi zamazany obraz. Wrrum, wrrum!*

*Odgłosy karabinów maszynowych. Płomienie zaczynają obejmować stragany. Hayes z pierwszego humvee krzyczy coś przez radio.*

*- Uwaga! Tuż za nami!*

*Buch! Hummerza Jakiem staje w ogniu. Strzały pochodzą z wózka jednego z żebraków.*

*- Zasadzka! To zasadzka!*

*Hayes strzela z M2, celując w obiekty za Jakiem. Ludzie krzyczą i zaczynają uciekać.*

*Jake jest w pułapce.*

*Powietrze nabrzmiewa. Żebrak odpala granatnik.*

*Buch! Ziemia się trzęsie. Ciężarówka przed nim eksploduje, a jej szczątki sypią się na wóz Jake 'a. Coś dużego spada na jego maskę.*

*Głowa.*

*Mitchell ma otwarte usta i wpatruje się w Jake 'a.*

*O Boże!*

*Mitch!*

*Na miłość boską!*

*Po prawej stronie ze spalonego samochodu wydobywa się dym. Ktoś rzuca granatem w humvee na czele. Czuje dudnienie. Patrzy we wsteczne lusterko i widzi cienie, które zaczynają polewać jego wóz wodą. Zapach. Nie, to nie woda, tylko benzyna.*

*Chcą go zabić.*

*Żołnierze z konwoju zaczynają się bronić. Ludzie z hum-vee wyskoczyli na drogę z pistoletami maszynowymi. - Brać skurwysynów!*

*Cienie tłoczą się ze wszystkich stron, wskakują na ciężarówkę Jake 'a. Są tuż obok. Wrrum, wrrum!*

*Jeden z żołnierzy zaczyna do nich strzelać.*

*Jake sięga po nóż. Tłum napiera na drzwi jego ciężarówki. Rozbijają okna, zaczynają przez nie wchodzić.*

*Zaraz umrze. Ktoś wyszarpuje mu nóż. Nie poddaje się i w czasie walki podrzyna przeciwnikowi gardło. Jego krew pryska naokoło. Jake patrzy mu w oczy, czuje jego nienawiść, jego agonalny oddech.*

*Głowa Mitchella obserwuje ich z maski ciężarówki.*

*Rebelianci otwierają drzwi auta. Łapią go za ręce i za nogi. O Boże! Jake widzi smugę dymu - granat, który leci w stronę jego wozu.*

*Nie!!!*

*Nagły wybuch wstrząsa ziemią i Jake czuje tylko, że*

123

*ogniowy podmuch wyrzuca go w powietrze. Gdy upada na ziemię, brakuje mu tchu.  
W świecącym słońcu widzi jeszcze uśmiechniętą Maggie na plaży i Logana, który biegnie do niego z otwartymi  
ramionami. A potem zapada ciemność.*

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

*Cold Butte, Montana*

Samara pozmywała po śniadaniu, następnie zaparzyła herbatę i włączyła laptopa.

Jake wyjechał. Logan był w szkole.

Miała jeszcze dwie godziny przed wyjazdem do szpitala.

Korzystając z różnych haseł, przechodziła przez kolejne internetowe strony.

Jeszcze nie dotarł do niej e-mail, na który czekała.

Samara otworzyła ukryty folder, by spojrzeć na twarze tych, których kochała: męża, syna, swojej matki i ojca.

Uśmiechnęła się do nich, a jej serce wezbrało miłością. Teraz każdy dzień przybliżał ją do wiecznej szczęśliwości.

To było jej przeznaczenie.

W końcu wyłączyła komputer i spojrzała na bezkresne niebo Montany. Wkrótce cały świat dowie się o tym, co zrobiła. Wszyscy ludzie na ziemi będą powtarzali jej imię.

Samara Anne Ingram.

Jej ojciec, John Ingram, był brytyjskim archeologiem, który kończył swój doktorat o wykopaliskach w pobliżu Mosulu. Poznał tam Aminę, która studiowała na wydziale pielęgniarstwie. Zakochali się i Amina pojechała z nim do Londynu.

John i Amina po skończeniu studiów pobrali się w Lon-

118

dynie, gdzie wkrótce urodziła się Samara. Mieszkali we wschodniej części miasta, gdzie jej ojciec prowadził zajęcia w niewielkim kolegium, a matka pracowała w miejscowym szpitalu.

Samara żyła szczęśliwie z rodzicami. Aż w końcu ich straciła.

Myślała o nich codziennie, przypominając sobie łagodny uśmiech matki i to, jak ich dom wypełniały zapachy *samu-nów i khubzów*, smakowitych bułek, które Samara uwielbiała jeść z dżemem lub miodem.

Ojciec godzinami przesiadywał w pracowni, palił fajkę i oglądał eksponaty z asyryjskiej kości słoniowej lub fragmenty jakichś garnków. Chodzili często do miejscowej herbaciarni, gdzie rozmawiali o różnych sprawach: sztuce, historii, a potem o planach Samary, która, tak jak matka, chciała zostać pielęgniarką.

Pragnęła pomagać ludziom.

Zajęła się więc nauką i bez problemu dostała się na uniwersytet, gdzie zakochała się w Muhammadzie, studencie medycyny z Iraku. Był inteligentny i przystojny; jego ojciec był lekarzem w Bagdadzie. Muhammad spodobał się jej ojcu i zupełnie oczarował matkę, która uwielbiała dla niego gotować.

Po ukończeniu studiów, urządzili skromny ślub w Londynie. Następnie przenieśli się do Bagdadu, ponieważ Muhammad chciał przede wszystkim pomagać swoim rodakom.

- Zobaczysz, dokonamy razem naprawdę wspaniałych rzeczy - powtarzał Samarze.

Ostrzegał ją jednak, że może jej być ciężko w Iraku. Kraj był zdewastowany po wojnie w Zatoce Perskiej, a poza tym ciążyły na nim sankcje.

Pojechali tam niecały rok później. I właśnie wtedy spotkało ją największe nieszczęście, ale nie miało to nic wspólnego z przenosinami.

Pracowała wtedy na nocnej zmianie, kiedy siostra oddziałowa wezwała ją do telefonu. Dzwonił urzędnik z kon-

sulatu brytyjskiego, który odnalazł ją dzięki jej paszportowi. Powiedział, że rodzice mieli wypadek na wakacjach w Grecji. Wynajęty samochód zjechał z drogi i uderzył w skałę.

Oboje zginęli na miejscu.

Samara zasłała.

Tydzień wcześniej dowiedziała się, że jest w ciąży, i chciała zadzwonić do rodziców, żeby przekazać im tę radosną wiadomość. Kiedy doszła do siebie, zaczęła się obawiać o zdrowie dziecka. Oczywiście Muhammad bardzo jej pomagał. Pojechali razem do Londynu na pogrzeb, a on dbał o to, by nic się jej nie stało.

- Pamiętaj, że jest nas troje - powiedział w czasie powrotnego lotu do Bagdadu. - Musimy razem jakoś przez to przejść.

Nie było jej lekko, ale miłość męża i jego wsparcie sprawiły, że dobrze zniosła cały okres ciąży. Urodziła zdrowego chłopca.

Ahmeda Johna.

Ich mały cud.

To Ahmed sprawił, że znowu zaczęła się uśmiechać. Z dnia na dzień było jej coraz łatwiej, chociaż życie w Iraku stawało się coraz cięższe.

W kolejnych latach po urodzeniu Ahmeda coraz bardziej odczuwało się amerykańskie sankcje. Brakowało podstawowych leków. Czasami lekarze musieli decydować, którym pacjentom je podać.

Muhammada i Samarę w ogóle nie obchodził Saddam Husajn. Nie interesowali się polityką. Pragnęli przede wszystkim pomagać cierpiącym. Nie chcieli, by ludzie umierali w szpitalach tylko dlatego, że brakowało w nich leków. Żyli jednak pod znienawidzoną przez świat dyktaturą.

Samara zastanawiała się, jak długo to jeszcze potrwa.

W końcu nadszedł dzień, w którym cały świat zamarł.

Tego dnia samoloty uderzyły w wieże World Trade Center.

120



- To szaleństwo - powiedział Muhammad, kiedy oglądali razem wiadomości. - Nic dobrego z tego nie będzie. Ich smutek stał się jeszcze większy, gdy okazało się, że w ataku zginęło dwóch maklerów, z którymi przyjaźnili się w Londynie. W następnych miesiącach lud Iraku z coraz większym niepokojem patrzył na Zachód, który wydawał się winić Saddama za cały światowy terroryzm. Zaczęły się pojawiać kolejne oskarżenia pod jego adresem. Półtora roku po ataku na World Trade Center obawy stały się jeszcze większe, gdyż nad Bagdadem pojawiły się obce odrzutowce. Ludzie zaczęli tłoczyć się w kolejkach do urzędów paszportowych, inni chowali kosztowności i przenosili się na wieś. Muhammad i Samara wiedzieli, że w razie ataków to ubodzy, którzy zostali w mieście, będą najbardziej potrzebowali ich pomocy. Samara wciąż miała brytyjski paszport, ale nie zdecydowali się na wyjazd. Chcieli zostać.

W całym mieście powstawały uzbrojone wojskowe punkty kontrolne. Ulice się wyludniły. Zjednoczone sztaby zachodnich państw zaczęły gromadzić oddziały w Kuwejcie i jednocześnie wystosowały ultimatum do Saddama. Husajn je zignorował.

Zaczęły się nocne bombardowania.

To był prawdziwy szok.

Wyły syreny, światła szperaczy starały się przebić przez ciemności, z których, niczym z jaskini, dobiegały dzikie pomruki. Ziemia aż drżała od wybuchów. W końcu stały się one tak głośne, że musieli sobie zatykać uszy. Samara trzymała Ahmeda w ramionach i się modliła, a Muhammad zasłaniał ich własnym ciałem.

Bezpośrednio po bombardowaniu nad miastem pojawiły się chmury ciemnego dymu.

Dym i smród spalenizny sprawiły, że miasto otaczała aura apokalipsy. Całe kwartały Bagdadu legły w gruzach.

Któregoś ranka, gdy Samara czekała przy punkcie kontrolnym, by móc przejść do szpitala, zerknęła na zniszczony budynek. Między gruzami zobaczyła jakiś niewielki przedmiot i ruszyła w tamtym kierunku, by sprawdzić, co to może być.

Mała ludzka stopa.

Wyglądało na to, że chłopięca, bo wciąż tkwił na niej sandał z nadrukiem z niebieską piłką. Wielkością przypominała stopy jej syna.

Samara zakryła dłonią usta.

Co my sobie nawzajem robimy? - pomyślała przerażona. Nie była to pierwsza część ciała, jaką widziała na ulicach Bagdadu.

W ciągu paru następnych tygodni Amerykanie zajęli miasto i w następnych miesiącach, a potem latach ich życie bardzo się zmieniło. Wielu cieszyło się po upadku Saddama. Mieli nadzieję na lepsze jutro. Jednak ekstremiści nawoływali do walki, do tego, by zabijać cudzoziemców, którzy najechali ich ziemię.

Próbowano odbudowywać kraj, ale przemoc nie ustawała. Różne irackie frakcje zaczęły ze sobą walczyć, a rebelianci wciąż atakowali amerykańskich żołnierzy. Nie ustawały zwykłe i samobójcze zamachy bombowe, ataki snajperów, porwania, podkładanie min i uliczne walki. Krew lała się strumieniami.

Głównie krew niewinnych.

Sytuacja pogorszyła się jeszcze, kiedy paru zagranicznych żołnierzy zginęło w zasadzce niedaleko ich domu.

Muhammad i Samara pierwsi pospieszyli z pomocą rannym.

Później dotarły do nich plotki, że zrozpaczeni żołnierze poprzysięgli zemstę. Że planują dużą akcję odwetową.

Mijały jednak kolejne dni i nic się nie działo.

W Bagdadzie panował względny spokój, dlatego to, co się stało, zaskoczyło wszystkich.

Atak był bardzo gwałtowny.

O wpół do czwartej rano rozległy się strzały i wybuchy

granatów. Duża część dzielnicy stanęła w ogniu. Wszystko działo się bardzo szybko.

Muhammad wyszedł, by sprawdzić, co się dzieje, i właśnie wtedy jakiś nastolatek ostrzegł go, że żołnierze chodzą od domu do domu, szukając rebeliantów. Wrócił więc zaraz do domu, by chronić Samarę i Ahmeda, ale po paru minutach żołnierze wyważyli drzwi i dostali się do ich domu.

Żołnierze bez pytania zaczęli bić Muhammada, a potem wyrwali Samarze z ramion Ahmeda. Zawlekli ich wszystkich do pokoju i przywiązali do krzeseł. Bili po twarzach i coś krzyczeli.

Ahmed płakał.

Samara wołała go w tym chaosie.

Z zewnątrz dochodziły do nich odgłosy strzałów. Kolejne eksplozje rozświetlały niebo, ale w domu było mroczno.

Żołnierze świecili im w oczy latarkami, oskarżając o to, że brali udział w zamachu.

Kiedy Muhammad powiedział, że jest przecież lekarzem, że powinni go znać ze szpitala, znowu zaczęli go bić.

Mieli pomalowane twarze, więc nie mogłyby ich rozpoznać. Czują od nich zapach alkoholu. Nie widziała ich dystynkcji, nie wiedziała więc, skąd pochodzą. Przesłuchanie, jeśli można to było nazwać przesłuchaniem, odbywało się po arabsku, ale paru z nich odzywało się też po angielsku.

Zacząła błagać o litość, ale jeden z żołnierzy uderzył ją w brzuch.

A potem zdarli z niej ubrania i została naga na krześle.

Muhammad zaczął protestować, ale go skopali. Następnie rzucili ją na podłogę. Jeden z nich rozpiął spodnie i zaczął ją gwałcić.

Samara krzyczała.

W świetle latarek zobaczyła, że jakiś żołnierz trzyma Muhammada za włosy i każe mu patrzeć. Potem dostrzegła potworny strach w oczach syna. Ahmed płakał, a ona zaczęła się modlić, by okazało się, że to tylko jakiś potworny sen.

Ahmed wydawał się tak malutki na tle zwalistego żołnierza, który go trzymał.

Jak zabawka, którą łatwo zepsuć. Potem zabrał się do niej drugi żołnierz. A potem trzeci.

Ahmed zaczął wrzeszczeć niczym opętany. Odgłosy strzelaniny zaczęły się przybliżać. Ktoś strzelił przez okno, ale trafił w ścianę.

- Robi się niebezpiecznie - odezwał się po angielsku jeden z żołnierzy.

Amerykanin? Brytyjczyk? Australijczyk? Może to najemnicy?

- Zastrzelić ich! Powiemy, że to przypadkowe ofiary. No, idziemy.

Jeden z żołnierzy zawlókł Muhammada do Samary i przystawił mu broń do głowy.

Samara popatrzyła mężowi w oczy.

Jego twarz eksplodowała, zalewając ją krwią i kawałkami tkanki mózgowej.

Ahmed zawodził miarowo.

- Zastrzel szczeniaka i idziemy! Znowu strzał, a potem kolejny.

Nagle jasne światło zalało cały dom. Miała wrażenie, że ziemia się nagle pod nimi rozstała.

To była ostatnia rzecz, jaką pamiętała, zanim zemdląca.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

*Cold Butte, Montana*

Samara wytarła łzy z kącików oczu i wzięła do rąk filiżankę herbaty. Poczwała nagły chłód.

Wciąż prześladowały ją obrazy tej nocy, kiedy skończył się jej świat.

Rano ruiny jej domu wciąż dymiły. Popiół unosił się na wietrze. Na błękitnym niebie widać było czarne plamy dymów.

Żołnierze odeszli.

Samara była w szoku, sama nie była pewna, czy żyje.

Wciąż wspominała to, co się stało, niezdolna, aby mówić czy myśleć.

- Ahmed! Muhammad! - zawodziła.

Ktoś zaczął wołać ją po imieniu.

Pielęgniarze pomogli jej przejść do karetki. Chcieli opatrzyć jej rany, ale ona potrząsnęła głową i patrzyła, jak ratownicy wyciągają spod gruzów dwa ciała - małe i duże.

Ahmed! Muhammad!

Samara nie chciała pogodzić się z tym, że nie żyją. Pomyślała, że to tylko zły sen. Musi się obudzić. I to zaraz.

Stare kobiety w czadorach zaczęły ją pocieszać i głośno

się modlić. Podtrzymały ją, gdy klęczała na ziemi. Ciało okryto białymi całunami, które lśniły w palącym słońcu. Popatrzyła tam, gdzie kiedyś była twarz jej męża.

Wzięła jego dłoń do ręki i przycisnęła do swego policzka. Łzy żłobiły kanały na jej brudnej, poszarzałej twarzy. Przypomniała sobie, jak się do niej uśmiechnął, kiedy poznali się na uniwersytecie w Londynie.

Muhammad.

Czuła, że jego dobry duch opuścił ziemię.

Następnie kobiety odciągnęły ją od ciała i patrzyła, jak pracownicy medyczni w maskach ładują go na ciężarówkę. Muhammad!

Przykryła swoim ciałem małe ciało syna. Ahmed!

Odsłoniła jego twarz. Jej dziecko. Jedyne dziecko. Jej życie.

Wszyscy wokół odsunęli się, słysząc jej zawodzenie. Było w nim coś nieludzkiego. Po chwili jednak kobiety w czadorach wzięły ją między siebie, by pomóc jej nieść ciężar bólu.

Samara uniosła dłonie do nieba.

Nad nimi przesuwał się helikopter wojskowy, patrolujący miejsce po bitwie. Zobaczyła, że członkowie załogi obserwują ją przez lornetkę.

Samara zacisnęła dłonie w pięści. Miała gotową odpowiedź, chociaż jeszcze to do niej nie dotarło.

Spojrzała na Ahmeda.

Wzięła syna na ręce.

Kobiety w czerni odepchnęły pielęgniarzy, którzy chcieli zabrać ciało.

Miała wrażenie, że Ahmed prawie nic nie waży. Przytuliła go do piersi i ruszyła przez gruzy w stronę kostnicy.

Kobiety poszły za nią. Biły się w piersi i się modliły. Po

drodze dołączały do niej inne niewiasty, tworząc długi kondukt żałobny.  
Szły dalej, świadome, że obserwują je żołnierze, trzymając palce na spustach swoich karabinów maszynowych.  
Wciąż wypatrywali ataku rebeliantów.  
Dostrzegli rączkę Ahmeda, która wysunęła się spod całunu, jakby chłopiec chciał sięgnąć do tego miejsca i czasu, który był dla niego nieosiągalny.  
Helikopter leciał bezpośrednio nad nimi, a łzy Samary spadały wprost na syna.  
Później pomogli jej ludzie ze szpitala, sąsiedzi, a także obcy z organizacji dobroczynnych.  
Samara niewiele z tego pamiętała.  
Zaprowadzono ją do pomieszczenia w okolicznym meczecie.  
Muhammad i Ahmed leżeli nadzy na stole, a kobiety powiedziały jej, jak ma obmyć ich ciała, by przygotować ich na ostatnią drogę. Same natomiast zaczęły się modlić.  
Potem owinęły ciała i włożyły je do dwóch trumien.  
Następnego dnia trumny przywiązano do dachów dwóch samochodów, przystrojono kwiatami i kondukt żałobny ruszył w stronę cmentarza na brzegu Tygrysu, jednej z czterech rzek, które, jak powiadano, wypływały z Edenu.  
Trumny umieszczono w jednym grobie, by spoczywały obok siebie. Przyjaciele Samary powstrzymywali ją, by nie rzuciła się do dołu.  
Czuła, że należy teraz bardziej do świata zmarłych niż żywych, i nie chciała opuścić cmentarza.  
Mijały godziny, zaczęło się robić ciemno, a ona wciąż się modliła. Kobiety patrzyły na nią ze zrozumieniem. Okryły ją kocem i szalem, żeby nie zmarzła.  
Kiedy nastał świt, przyniosły jej chleba i zrobiły herbatę. A potem usiadły, pogrążone w modlitwie, i patrzyły na Tygrys, tak stary jak czas.  
Rzekę, która znała wielkie smutki i radości.  
Rzekę, która miała na wszystko odpowiedź.

O poranku kobiety odpowiadały na wezwanie do modlitwy, a Samara wciąż patrzyła na toczące się wody. Siedziała nieruchomo niczym wcielenie bólu.

Nic nie czuła i straciła kontakt ze światem. Ta noc bardzo ją zmieniła. Mijające sekundy, kolejne łzy i uderzenia serca potwierdzały to, co się stało.

Kobiety zakończyły modlitwę i jedna z nich usiadła obok Samary i wzięła ją za rękę.

Poskręcane palce zacisnęły się na jej jędrnej dłoni. Stara kobieta patrzyła przez jakiś czas na gładką skórę.

A potem przemówiła do Samary w pradowej mowie.

Powiedziała, że znała jej matkę i babkę, a także innych z jej plemienia, które wywodziło się od Beduinów ze spornych, przygranicznych terenów.

Samara miała tam wkrótce pojechać.

Musi wrócić do swoich na pustynię, bo tam jest teraz jej miejsce.

Można to wyczytać z jej dłoni. Stara kobieta ścisnęła łagodnie jej rękę.

W ciągu następnych tygodni Samara chodziła regularnie na cmentarz, myśląc o tym, co straciła, i o dziwnej przepowiedni kobiety.

Parę miesięcy później zgłosiła się do międzynarodowej organizacji medycznej.

Poprosiła o pomoc znajomych lekarzy, którzy znali miejscowych dyplomatów, by móc dostać się na pustynię.

Chciała sprawdzić, co ją tam czeka.



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

*Pustynia Rub al Khali, Półwysep Arabski*

Rozklekotany land rover i ciężarówki mercedesa oznaczone gwiazdami z nazwą organizacji medycznej jechały wolno przez wydmy.

Co jakiś czas nikały w burzy piaskowej, ale parły dalej w głąb pustkowie na pograniczu Jemenu i wschodniej prowincji Asz-Szarkijja, należącej do Arabii Saudyjskiej.

Konwój złożony z dwóch ciężarówek przybył tu z misją ratunkową, która rozpoczęła się dwa dni wcześniej. Załoga dwusilnikowego samolotu, przewożącego pracowników holenderskiej platformy wiertniczej do Zatoki Omańskiej, wypatrzyła pozostałości po ataku nieopodal obozowiska Bedui-nów, jakieś trzysta kilometrów na południowy wschód od Abaili, w pobliżu granicy z Jemenem.

Obecnie rzadko pojawiały się tu karawany, Beduini raczej nie zapuszczali się aż tak daleko. Ta pustynia wciąż jest zupełnie odosobniona, pokrywają ją wielkie połacie drobnego piasku i do lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku nikt się tu praktycznie nie zapuszczał. Obecnie, na początku lata, zaczął się tu szamał, okres gwałtownych północno-zachodnich wiatrów, tworzących najgorsze możliwe burze piaskowe.

Ta część pustyni stanowiła strefę bezprawia, gdzie ukry-

wali się głównie rebelianci i różne ugrupowania ekstremistyczne. Miejscowe gangi trudniły się przede wszystkim porywaniem turystów, pracowników platform wiertniczych i podróżników dla okupu.

Jeśli nikt za nich nie płacił, ścinano im głowy.

Ekipa ratunkowa jechała dzień i noc, kierując się niepewnymi wskazówkami GPS-ów, i w końcu dotarła na miejsce ataku. Wcześniej ostrzeżono jej członków, że znalezienie tu kogokolwiek żywego graniczyłoby z cudem.

Droga była niebezpieczna, wiał mocny wiatr, miotając w szyby pojazdów piasek, który znacznie ograniczał widoczność. Konwojem dowodził egipski lekarz z Kairu. Poza tym towarzyszył mu Brazylijczyk z Sao Paulo, który zrezygnował z pracy w banku, i młoda prawniczka z Teksasu, a także włoski żołnierz z Wenecji.

Nagle z buzującego piasku wyłoniła się płachta namiotu, która oblepiła zderzak rovera, łopocąc na wietrze. Ekipa natrafiła na szczątki jakiegoś zwierzęcia, którego kikuty sterczały wprost do nieba.

- To chyba koza - powiedział żołnierz i zatrzymał auto. Kiedy owinął głowę szalem i, wyszedłszy na piasek, przyjrzał się truchłu, stwierdził, że to nie koza, ale trup jakiegoś starca. Ktoś rozciął mu brzuch, tak że wypłynęły z niego wnętrzności. Żołnierz patrzył w milczeniu. Wiedział, czyja to sprawka. Domyślał się też, że nikt tu nie przeżył. Kiedy wrócił do kabiny, powiedział do pozostałych:

- Jedziemy dalej.

Wszyscy pracownicy służb medycznych od Algierii do Kurdystanu i Sudanu znali okropności wojny. Szklane spojrzenie martwego dziecka, smród rozkładającego się ciała, barwę i wygląd ludzkich organów, wyrwanych rąk i nóg. Widzieli robaki, które wyjadały wnętrza czaszek.

Poznali wszelkie zło.

Tak jak się spodziewali, grupa fundamentalistów islamskich nie pozostawiła nikogo przy życiu. Wielu więźniom po torturach poobcinano głowy.

- To ich znak, jakby podpis - odezwał się żołnierz, przeszukując kieszenie ofiar w nadziei, że znajdzie tam jakieś dokumenty, z których dane można będzie później wprowadzić do ich bazy komputerowej w Rijadzie. Bandyci pozabijali nawet wielbłądy, owce i kozy.

Ofiarami było czterech mężczyzn, sześć kobiet i ośmioro dzieci w wieku od dwóch miesięcy do jedenastu lat. Beduini hodowali wielbłądy i kozy, powoli wymierali, ale wcześniej od wieków wiedli życie nomadów, przemieszczając się po terenach od Afganistanu do Sudanu. Chociaż zdarzały się wendetty międzyplemienne, to jednak to, co tutaj zastali, było w sprzeczności z prawem plemiennym.

Amerykanka zapisała w swoim dzienniku, że jest to niesłychana zbrodnia.

Do zmroku zebrali wszystkie trupy i zbudowali dla nich wielki stos z pozostałości namiotów, robionych ręcznie koców i siodeł. Noc była jasna i spokojna. Wiatr ucichł. Nad ich głowami świeciły gwiazdy. Kiedy podpalili stos, płomienie i dym wzbily się prosto w niebo. Ciała paliły się, wydzielając odór, którego się nie zapomina, a egipski lekarz wyrecytował z pamięci:

- Mamy tylko to życie. Umieramy, by żyć, i nic poza czasem nie jest w stanie nas zniszczyć.

Kiedy ogień przygasł, wszyscy wrócili do namiotów, nie próbując nawet rozmawiać. Egipcjanin szukał pociechy w swoim egzemplarzu Koranu. Brazylijczyk i żołnierz grali w szachy. Amerykanka płakała w swoim namiocie, aż w końcu zasnęła.

Rano wstali wraz ze słońcem, czując na twarzach mocniejsze powiewy wiatru. Zjedli w milczeniu śniadanie i ruszyli do swoich wozów. Jechali prawie trzy godziny, kiedy Brazylijczyk zmrużył nagle oczy.

- Coś tam jest! - Wskazał zasłone piasku przed swoim mercedesem. - Chyba jakieś zwierzę.

- Pewnie to jakaś koza, która uciekła z obozu - powiedział lekarz. - Bierzemy ją.

-Nie jestem pewny - rzucił przez radio Brazylijczyk, jadący z przodu.

Żołnierz wziął lornetkę i wbił wzrok w przestrzeń.

- To nie zwierzę, tylko kobieta! - wykrzyknął. Natychmiast zwolnili.

Kobieta szła przed siebie i nie zwolniła, nawet kiedy wozy wyprzedziły ją i się zatrzymały. Cała czwórka wyskoczyła z kabin i patrzyła z bezbrzeżnym zdziwieniem na niewielką figurkę. Niewiasta zatrzymała się dopiero, kiedy zablokowali jej przejście.

Była niewiele po trzydziestce. Jej znoszone ubranie mogło wskazywać, że była żoną jednego z pasterzy. Jednak lekarz z Egiptu od razu zauważył, że jest wykształcona i zapewne należy do zamożnej klasy średniej.

To nie było jej miejsce.

Zauważyli, że twarz pod szalem jest posiniaczona i pobrudzona krwią. Zaciskała spieczone wargi. Jej oczy ziały pustką, tak jakby nikogo nie widziała.

- Jak się nazywasz? - spytał lekarz najpierw po arabsku, a kiedy się nie odezwała, zadał to pytanie w paru innych językach, w tym po angielsku i francusku.

Odpowiedzią było milczenie.

- Przeżyła szok i jest odwodniona - rzucił, a następnie zwrócił się do kobiety: - Jesteśmy przyjaciółmi. Nic ci nie grozi.

W tym momencie zemdląca. Żołnierz natychmiast pospieszył, by jej pomóc.

- Weźmy ją na nosze - powiedział lekarz.

Piasek bił w budę ciężarówki, kiedy lekarz wraz z Amerykanką sprawdzali stan kobiety i podłączyli wenflon, by podać jej kroplówkę. Lekarz stwierdził, że na ciele ma ślady pobicia.

Kiedy znowu ruszyli, Egipcjanin został przy pacjentce. Patrzył na jej ciało, które poruszało się w rytmie jazdy.

Kobieta była półprzytomna, ale jej życiu nie zagrażało niebezpieczeństwo. Jechali prawie godzinę, a lekarz wciąż zastanawiał się, kim może być.

Nie należała do wymordowanego plemienia. Nie miał pojęcia, skąd się tu wzięła. Miała gładką skórę i oczy w kształcie migdałów. Była piękna. Starał się zgadnąć, jak się tu dostała. Kiedy położył dłoń na jej czole, zobaczył coś, co wystawało z jej szaty.

Znalazł ukrytą, zapinaną na suwak kieszeń. Otworzył ją i wyjął jakieś papiery. Zajrzał do paszportu i przez dłuższą chwilę patrzył na rubryki.

Samara Anne Ingram.

Jej zdjęcie. Miły uśmiech. Podwójne obywatelstwo. Ira-kijka z Bagdadu. Dyplomowana pielęgniarka. Zerknął na zdjęcia z małym chłopcem i przystojnym Arabem. Jej syn i mąż? Nie było ich jednak wśród zabitych.

Skąd się tu wzięła?

Być może pracowała w jakiejś organizacji medycznej? Nagle coś mu zaświtało.

- Zmieniamy kurs! - krzyknął w stronę kabiny. - Musimy jechać do Jemenu.

- Jemenu? - Zdziwiony Brazylijczyk odwrócił się do tyłu. - Dlaczego?

- Znam tam dobrych lekarzy. Musimy ją tam zawieźć. Powiedz wszystkim przez radio! Zawracamy!

- Nie wiem, czy straż na granicy nas przepuści.

- Już ja się tym zajmę.

- W porządku, szefie.

Niewiele osób wiedziało, że Egipcjanin był jednym z głównych rekrutów pracujących dla jednej z najgroźniejszych organizacji terrorystycznych na świecie. Lekarz dotknął swego pasa, w którym miał ukryte pieniądze. Wiedział, że bez problemu będzie mógł przekupić strażników i nikt im nie będzie zadawał zbędnych pytań.

Gdyby to jednak zawiodło, wystarczy, że szepnie pewne imię, a otworzą się przed nim wszystkie drzwi.

Wszystkie.

Nie słyszał rozmów przez radio - Włoch znowu zaczął przeklinać GPS - ani chlupotu benzyny w pojemnikach,

które ze sobą wieźli. Ciężarówki skierowały się w stronę północnej granicy Arabii Saudyjskiej z Jemenem. Myślał tylko o jednym.

Nie był już lekarzem, ale zajął się innymi obowiązkami. Jego podwładni nie zdawali sobie z tego sprawy. Nikt nie widział, jak włożył dokumenty Samary za cholewę buta.

Jego przyjaciele powinni być zadowoleni.

Znalazł dla nich idealną bojowniczkę.

Naprawdę doskonałą.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

*Szibam, Wadi Hadramaut, Jemen Nie żyję.*

Samara leżała na łóżku w przyciemnionym pokoju. Dostrzegła dwa cienie, które się nad nią pochylały. Oba siedziały na krzesłach i widziała je dzięki słońcu, które przedzierało się przez drewniane okiennice.

Czy to kolejny etap umierania?

Ten, który się dzieje w trumnie?

Stare kobiety opowiadały jej różne historie o tym, jak po śmierci pojawiają się dwa anioły, które mają przesłuchać zmarłego i sprawdzić, czy może wejść do raju.

- Gdzie jestem? - zapytała Samara.

- Wśród przyjaciół. Chcemy ci pomóc.

- Pomóc?

- Przejść do następnego życia.

Nagle poczuła mdłości i zwymiotowała do miski obok. W jej głowie pulsował ból. Była zupełnie zdezorientowana i potwornie zmęczona. Ale żyła.

Na ramieniu miała wenflon. Przed jej oczami pojawiły się fragmenty wspomnień.

Bandyci napadli na jej obóz.

Ukrywała się pod ciałami zabitych, które drżały, kiedy rozszarpały je sępy.

To, co wydarzyło się w Bagdadzie. Potworny wybuch, walące się ściany. To, jak niosła syna do kostnicy. Potem ciemność.

Kiedy znowu doszła do siebie, zobaczyła buteleczki z lekarami stojące obok. Ktoś podał jej szklanekę wody.

- Samaro, dowiedzieliśmy się o tobie bardzo dużo w ciągu tych paru dni po odnalezieniu cię na pustyni. - Głos mężczyzny był łagodny i pełen współczucia. - Wiemy od naszych ludzi o niesprawiedliwościach, które cię spotkały.

Wiemy o tragedii, która wydarzyła się w Bagdadzie, i o tym, że wyjechałaś do swego plemienia, by mu pomagać.

- Kim jesteście?

- Twoimi braćmi.

- Braćmi?

- Pomożemy ci.

- A co z innymi? Czy ktoś z obozu przeżył? Tam były kobiety, dzieci... - Jej głos się załamał. - Starzec, który chciał mi pomóc.

- Zostałaś tylko ty.

- Och!

- Módl się z nami, a wszystko zrozumiesz. Samara zaczęła płakać.

- Jak mam się modlić? - zapytała. - Oni zniszczyli moją wiarę!

- To się zmieni. Czeka cię przeznaczenie.

- Przeznaczenie?

Coś zaczęła rozumieć.

Od śmierci Ahmeda i Muhammada minęło pięć miesięcy. Przez pięć miesięcy szukała i wreszcie znalazła się w tym miejscu. Czuła, że powoli sprawdza się przepowiednia starej kobiety.

Chociaż na początku miała wątpliwości, to potem zaczęła



modlić się wraz z mężczyznami, tak jak wszyscy, którzy wznosili modły o określonych porach w Szibamie.

W mieście, gdzie domy z czerwonej i pomarańczowej gliny tworzyły wąskie uliczki, zbierały się karawany handlarzy przyprawami, by podążyć starożytnym korzennym szlakiem.

W tym mieście modlili się jej przodkowie, którzy żyli w zgodzie z dawnymi zasadami.

Jej obrażenia powoli się goiły. Mężczyźni okazali się być nie tylko dobrymi lekarzami, ale też nauczycielami. Codziennie przekazywali jej wiedzę potrzebną, by mogła stać się oddaną wyznawczynią i wypełnić swoje przeznaczenie

W tym czasie zniknęły resztki tego, kim była kiedyś.

Urodziła się na nowo.

Dzięki narkotekom i modlitwom przeobraziła się w prawdziwą fanatyczkę.

Nauczyciele objawili jej swoją prawdę.

Powiedzieli, że wywodzi się z dawnych Beduinów. Że według starożytnych wierzeń powinna się teraz poświęcić jednemu celowi. Że rodziny pomordowanych mają prawo do zemsty. Że jest ona ich obowiązkiem.

Krew za krew.

- Tak naprawdę, Samaro, pragniesz zemsty. Musisz się do tego sama przed sobą przyznać - powiedział jeden z nich

W czasie kolejnych dni, kiedy dostawała leki i narkotyki pogodziła się z tym, że jej gniew musi znaleźć ujście. W końcu powiedziała:

- Nienawidzę ich. Nienawidzę za to, co zrobili. Następnie nauczyciele podali jej zdjęcia męża i syna i opowiedzieli o strasznych rzeczach, które działy się z nimi po śmierci. Samara z oddaniem dotykała twarzy Ahmeda i Muhammada.

- Kiedy niewierni zamordowali Muhammada i Ahmeda dusze twego męża i syna nie poszły do nieba, jak ci się wydawało.

Samara zerknęła w stronę mówiącego.

- Więc gdzie są? - zapytała.

- U wrót piekła.

- Nie.

- To samo dotyczy twoich rodziców, którzy zginęli w Grecji. I krewnych, których zabito w obozie.

Samara płakała, przypominając sobie tych wszystkich dobrych ludzi.

- Są w agonii, bo nic nie zrobiłaś. Tylko ty możesz ich ocalić. Musisz stać się oddaną bojowniczką i przystąpić do działania. Kiedy zginiesz w boju, wszyscy pójdziecie do raju.

Kiedy stanie się oddaną bojowniczką. Po tygodniach leczenia, przyjmowania narkotyków i indoktrynacji była gotowa.

- Co mam zrobić?

- To proste. Musisz zadać ból tym, którzy go wywołali. Masz przed sobą wielkie zadanie. Czy jesteś gotowa się poświęcić?

Spełniła się przepowiednia starej kobiety. Znalazła odpowiedzi na swoje pytania. Teraz musiała ocalić rodzinę od ognia piekielnego.

Nawet jeśli znaczyło to, że sama straci życie.

- Tak. Jestem gotowa.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

### *Karaczi, Pakistan*

Światła olbrzymiego miasta odbijały się w wodach Morza Arabskiego, kiedy samolot Samary z Jemenu wylądował na międzynarodowym lotnisku Jinnah w Karaczi.

Fałszerz ze Stambułu dostał sporą zapłatę za jej nowe dokumenty. Dzięki temu nie miała żadnych problemów przy odprawie i weszła na pakistańską ziemię jako brytyjska pielęgniarka pracująca dla jednej ze światowych organizacji medycznych.

Następnego dnia o świcie w jej hotelowym pokoju pojawili się agenci. Było to dwóch egipskich inżynierów chemików, którzy studiowali w Niemczech. Zapakowali jej bagaże do swojej terenówki z napędem na cztery koła i w milczeniu ruszyli przed siebie. Nie wiedziała, dokąd jadą.

Po wyjeździe z Karaczi śledziła nazwy kolejnych miast Uthal, Bela, Khuzdar.

W końcu wjechali na równiny Surabu, a Samara starała się objąć wzrokiem bezmiar krajobrazu. Ta pustka stanowiła potwierdzenie tego, co czuła. Stwierdziła, że zrobi wszystko by wypełnić swoje zadanie.

W czasie lotu przejrzała mapy, które dostała, i wiedziała że ich trasa prowadzi z północy na zachód wzdłuż granicy z Afganistanem. Te dzikie tereny były poznaczone przemyt-

niczymi szlakami, które wykorzystywali handlarze bronią, narkotykami, a także uchodźcy.

O zachodzie dotarli do obozu ukrytego wśród wzgórz w pobliżu doliny Urak, która prowadziła do miasta Quetta.

Samara widziała migoczące światła miasta na dole.

Zaprowadzono ją do pokoju wielkości celi w glinianym budynku. Znajdowała się tu mata do spania, lampa gazowa i szafka. Spała wyczerpana parę godzin, aż wezwano ją na modlitwy przed świtem.

Pomijając uzbrojonych strażników i instruktorów, grupa składała się jeszcze z kilkunastu osób, w tym trzech innych kobiet: z Omanu, Syrii i Filipin. Z twarzy Samary można było wyczytać smutek, ale twarze pozostałych wyrażały jedynie pełne oddanie sprawie. Jednak po jakimś czasie Samara była już tak samo zaangażowana jak inne kobiety.

Po modłach wszyscy szli na ćwiczenia.

- Chodzi o to, żebyście potrafili się bronić w niebezpiecznych miejscach - powiedział z uśmiechem instruktor.

Uczyli się samoobrony i tego, jak zabić kogoś przy pomocy noża lub ołowka. Dostała do ręki karabinek automatyczny. Był zadziwiająco lekki, ale siła odrzutu niemal zwała ją z nóg.

Później mieli zajęcia teoretyczne w kaplicy i uczyli się tego, jak na przykład rozpoznać marszałka polowego armii amerykańskiej.

Mijały tygodnie wytężonej pracy.

Aż w końcu w obozie pojawiły się plotki.

Przyjechał do nich ktoś ważny.

Tego wieczoru uzbrojeni po zęby strażnicy zaprowadzili ją dalej w góry, do małego obozu, z którego istnienia nie zdawała sobie sprawy. Przedstawiono ją starszym mężczyznom, którzy siedzieli przy ogniu i pili herbatę. Płomienie oświetlały ich twarze, a oni rozmawiali jeszcze przez chwilę, aż w końcu jeden z nich wstał, by ją uściskać.

- Witaj, siostrze. - Jego ubranie pachniało jaśminem. Mężczyzna popatrzył na nią smutnymi, zmęczonymi oczami.

- Wiemy o tym, co cię spotkało. Wiemy o twoich cierpieniach. To prawdziwe szczęście dla twojej rodziny że chcesz wypełnić swoje przeznaczenie. Napij się herbaty a my opowiemy ci o tym, co cię czeka.

Powiedział jej o tym, że dzięki swoim kontaktom wytypowali ją do pracy w odległym zakątku Stanów Zjednoczonych. Miała pracować w szpitalu, gdzie brakowało personelu medycznego. Wkrótce zostanie tam wysłana na rozmowy

Zachęcał ją do kontaktów z Amerykanami, do tego by znalazła tam sobie jakiegoś chłopaka, ba, nawet wyszła za mąż, i czekała na dalsze instrukcje.

- Gdzie pojedę?

- Do Montany.

- Dlaczego właśnie tam?

Mężczyzna spojrzął na drugiego, a ten podał mu kilka kopert. W jednej z nich znajdował się wydruk ze strony internetowej księdza Stone'a. To właśnie z jego powodu tak bardzo martwiły się służby wywiadowcze z Waszyngtonu:

„Z prawdziwą radością zawiadamiam, że w czasie swojej pielgrzymki Ojciec Święty odwiedzi Cold Butte”.

Jednak Samara nie dowiedziała się, na czym tak naprawdę będzie polegało jej zadanie.

- Stanie się to jasne, kiedy dojedziesz na miejsce. Miała wyjechać do Ameryki za parę tygodni, może nawet miesięcy. Do tego czasu miała pracować w organizacji medycznej w Iraku, by stać się bardziej wiarygodna.

- Pracuj więc i czekaj - powiedział mężczyzna - Wciąż zajmujemy się tą operacją. Dostaniesz wszystko, czego będziesz potrzebować na miejscu. Możesz też liczyć na pomoc innych wyznawców. Będą cię osłaniać i nigdy ich nie poznasz, chyba że stanie się coś nieprzewidzianego.

- Twoja misja zmieni bieg historii. Zakończy wieki niewoli i upokorzeń, które musieliśmy znosić.

Popatrzył na nią płomiennym wzrokiem.

- Ta misja zagwarantuje tobie i twojej rodzinie wieczne

miejsce w raju. Siostrze, czy przyjmiesz swoje przeznaczenie?

Skinęła głową ze łzami w oczach. Znowu ją objął.

Strażnicy odprowadzili ją w mroku, świecąc sobie latarkami.

Gdy znalazła się w pokoju, położyła się na macie przy mdłym świetle lampy i patrzyła na fotografie Ahmeda, Muhammada, matki i ojca.

Łzy spływały po jej twarzy.

Wkrótce znów będą razem.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

*Tal Afar, Irak, w pobliżu granicy z Syrią*

Kilkanaście dni później grupa Samary przedostała się do zachodniego Iraku w miejscu, gdzie łączyły się granice Syrii i Turcji.

Mieli ze sobą sfałszowane dokumenty, które pozwalały im na podjęcie pracy w jednej z organizacji medycznych.

Tydzień później zaatakowano konwój amerykański w Tal Afar i organizacja Samary ruszyła na pomoc. Na miejscu dowiedziała się, że rebelianci wzięli jako zakładnika rannego kierowcę ciężarówki i mieli zamiar wysunąć żądania.

W końcu i tak chcieli go stracić.

Grupa Samary wykupiła Amerykanina. Mieli zamiar przekazać go stronie amerykańskiej jako znak dobrej woli.

Jednak Samara przejrzała dokładnie jego dokumenty i wpadła na pewien pomysł.

Jake był zupełnie zdezorientowany.

Nie miał pojęcia, gdzie się znajduje.

Poczuł chłodny dotyk gąbki na ramionach i zapach perfumowanej wody. Kiedy się ocknął, zobaczył nad sobą ciemne źrenice kobiety, która się nim opiekowała.

Przed oczami miał wciąż obciętą głowę Mitchella.

Ktoś krzyczał.

150

Kobieta uspokoiła go. Jej dotyk sprawił, że się odprężył. Mówiła cicho z brytyjskim akcentem. Poinformowała go, że został ranny w zasadzce i potrzebuje odpoczynku.

Miała na imię Samara.

Pracowała jako pielęgniarka w konwoju organizacji medycznej, która wynegocjowała jego uwolnienie.

Powiedziała, że jest teraz całkowicie bezpieczny.

Znajdowali się w odosobnionym miejscu niedaleko granicy z Syrią. Wysłano kurierów do najbliższego amerykańskiego posterunku z informacją o uwolnieniu Jake'a z rąk rebeliantów.

Żołnierze mieli odesłać go do domu.

W ciągu następnych dni, kiedy czekali na patrol, dowiedzieli się czegoś o sobie i lepiej się poznali.

Samara urodziła się w Londynie, jej ojciec był Anglikiem i pracował jako archeolog, a matka była iracką pielęgniarką. Wyszła za mąż za studenta medycyny z Iraku, którego poznała na uniwersytecie. Po studiach przeprowadzili się do tego kraju i urodził im się syn. Jednak jej mąż i syn zginęli w czasie ataku jednego z ekstremistycznych ugrupowań, a Samara poświęciła się opiece nad rannymi.

Niedługo miała się przenieść do Ameryki i zacząć tam nowe życie.

Jake podziękował jej za to, że go ocaliła.

- Zadzwoń do mnie, jeśli będziesz w Kalifornii - powiedział.

Dał jej swój numer telefonu i na wszelki wypadek adres mailowy. Pokazał zdjęcia Maggie i Logana i opowiedział o Ameryce: o bezkresnych drogach, footballu, hot dogach

1 muzyce country.

Samara nigdy się nie uśmiechała.

Po prostu patrzyła na zdjęcia Maggie i Logana.

A potem spojrzała na Jake'a.

Nigdy nie podzieliła się z nim swoimi myślami.

144



Samarę zdziwiło to, że Jake jest tak podobny do jej męża. Był tak jak on przystojny, a w dodatku miał małego syna. Gdy zobaczyła jego zdjęcie, upomniała się w duchu, żeby się za bardzo nie rozpraszać. Jednak kiedy Jake doszedł nieco do siebie i trochę się zaprzyjaźnili, coś się między nimi wydarzyło. Poczuli, że odżyły w niej dawne uczucia, o których już zdążyła zapomnieć.

Pewnej pogodnej nocy, gdy gwiazdy świeciły na niebie niczym brylanty, zostali sami w obozie. Inni członkowie obsługi pojechali do wioski po prowiant i zdecydowali się tam przenocować.

Samara opatrzyła Jake'a w namiocie. Jej twarz wyglądała pięknie w świetle lampy. Dotykała go delikatnie. Jake spojrzał na nią i dostrzegł, że jej oczy migoczą niczym gwiazdy. Jej koszula opadła, odsłaniając nagie ramię. Przytulił ją, a ona się nie opierała.

Przyciągnął ją jeszcze bliżej.

Samara spojrzała mu w oczy.

Pozwoliła mu się pocałować.

Był to długi i głęboki pocałunek.

Poczuli, że też go pragnie. Powoli rozpięła jego koszulę. Jake poczuł płomień, który zapłonął nagle w jego ciele.

Wiedział, że tak nie można.

Pomyślał o Maggie i Loganie.

Wypuścił ją z ramion.

Nie potrzebowali słów.

Samara opuściła jego namiot.

Nie mówili o tym następnego dnia i jeszcze kolejnego, kiedy pojawiły się hummery.

- Jestem sierżant Kyle Cash - przedstawił się z uśmiechem żołnierz i uścisnął jego dłoń. - Bardzo mi miło, panie Conlin. Myśleliśmy, że już pan nie żyje. Na szczęście nie poinformowaliśmy o zaginięciu pańskiej rodziny w Blue Rose Creek. Myślę, że pańska żona i syn będą bardzo szczęśliwi.

- Dziękuję, że pan przyjechał, sierżancie.

Wszystko wydarzyło się tak nagle.

Jake podziękował Samarze i innym pracownikom organizacji medycznej, a następnie wsiadł do hummera. Samara stała i patrzyła za nim. Nie uśmiechnęła się, nie pomachała ręką, tylko po prostu stała.

Jake obejrzał się za siebie.

To ona ocaliła mu życie. Patrzył za nią, aż zniknęła za obłokiem kurzu. Wątpił, by jeszcze udało mu się ją zobaczyć.

- Wie pan, to prawdziwy cud - rzucił głośno sierżant Cash, a Jake skinął głową. - Nikt z jednostki nie mógł uwierzyć, że pan ocalał.

- Dlaczego?

- Nasz wywiad doniósł, że działają tu szwadrony śmierci.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

*Cold Butte, Montana*

Samara zaczęła się zbierać do pracy w szpitalu. Ten pocałunek nic dla niej teraz nie znaczył.

Mogłaby przysiąc, że nie ma dla niej żadnego znaczenia.

Zaraz po nim poprosiła zmarłego męża o wybaczenie, a jej złość zwróciła się przeciwko Amerykaninowi, który ośmielił się ją kusić. Później w ogóle nie rozmawiali o tym pocałunku.

Jednak Samara zatrzymała telefon i e-mail Jake'a. Kiedy przyjechała do Stanów Zjednoczonych, pamiętała o tym, że obiecał jej pomóc.

Wiedziała, że może być użyteczny.

Nieoczekiwanie otrzymała też oficjalny list z podziękowaniem za uratowanie amerykańskiego obywatela od ambasadora Stanów Zjednoczonych w Bagdadzie. Dzięki niemu, jak i innym dokumentom, w tym brytyjskiemu paszportowi, nie miała żadnych problemów ze zgodą na pobyt czasowy w Ameryce.

Kiedy przyjechała do Montany, w odpowiedzi na apel księdza Stone'a, który zarządzał przygotowaniem do wizyty papieskiej w hrabstwie Lone Tree, był on pod wrażeniem tego wszystkiego, czego się o niej dowiedział. Natychmiast dostała pracę.

- Ma pani bardzo wysokie kwalifikacje i świetne reko-

mendacje - powiedział. - Sam Bóg nam panią zesłał. Wciąż brakuje nam lekarzy i pielęgniarek.

Ksiądz Stone oznajmił, że zespół, w którym Samara rozpocznie pracę, będzie odpowiedzialny za opiekę medyczną nad grupami pielgrzymów.

Papież miał przyjechać do Montany.

Nareszcie Samara domyśliła się, na czym polega jej zadanie.

Jednak służby wywiadowcze od razu się nią zainteresowały. Po pierwsze nie była Amerykanką, a po drugie spędziła sporo czasu w Iraku. Okazało się jednak, że jest zupełnie czysta i nie ma wobec niej żadnych zastrzeżeń. W dodatku miała list z podziękowaniami od amerykańskiego ambasadora w Bagdadzie.

Na początku Samara wiodła tu samotne życie. Co prawda dostała instrukcje, by spotykać się z Amerykanami, ale nie miała ochoty na wizyty w miejscowym barze.

Spędzała wiele nocy przed swoim laptopem, sprawdzając dokładnie wszystkie informacje, które do niej docierały.

Czasami dzwoniła poprzez bezpieczną linię do przyjaciółki z obozu.

Tęskniła za Muhammadem i Ahmedem. Zaczęło jej też brakować towarzystwa. Musiała bardziej się postarać, by ludzie, z którymi się spotykała, mogli jej zaufać.

Kiedy władze szpitala wysłały ją na trzytygodniowy kurs do Los Angeles, gdzie miała poznać tajniki organizacji służb medycznych w czasie dużych imprez, napisała maila do Jake'a Conlina.

Jake myślał o niej.

- To dobrze, że właśnie teraz do mnie napisałaś - powiedział, gdy później do niego zadzwoniła.

Spotkali się na kolacji, w czasie której wyznał jej, że nie może dojechać do siebie po tym, co wydarzyło się w Iraku.

- Jestem pewny, że żona mnie zdradziła - dodał, spuszczać głowę.

Znowu uderzyło ją podobieństwo Jake'a do Muhammada. Musiała przyznać, że nawet podobnie się zachowywał. Spotykali się parę razy w trakcie kursu. Rozmawiali o życiu i Jake ponownie dziękował jej za to, że mu pomogła.

- Może to był jakiś znak - rzucił niezobowiązująco. W czasie ostatniego spotkania przed jej wyjazdem przeważnie milczeli.

Samara zostawiła mu klucz do swego pokoju.

Ta noc znowu zaczęła się od długiego pocałunku.

Rano przyjrzała się leżącemu obok niej Jake'owi. Podobał jej się. Gdy się zbudził, zaproponowała, by wzięli razem prysznic.

- Przyjedź do mnie do Montany - zaproponowała. - Weź syna. Będziemy tam mogli wspólnie zacząć nowe życie.

Jake przez dłuższy czas patrzył jej w oczy.

- Dobrze - odparł w końcu. Potrzebował jednak czasu na przygotowania. Tak to się właśnie stało.

Dzięki temu wtopiła się w tło, stała się zwykłą Amerykanką z amerykańskim mężem i synem.

Samara spojrzała przez okno na rozległą prerię, a następnie na zegarek.

Musiała już jechać.

Chciała właśnie wyłączyć komputer, kiedy usłyszała sygnał.

Musiała użyć kilku haseł, ale w końcu dotarła do jednego ze swoich tajnych kont e-mailowych.

Popatrzyła na arabskie litery. Już od dawna spodziewała się tej wiadomości.

Pozdrowienia od babci. Prezent już dotarł. Kuzyni poinformują, gdzie go odebrać. Przygotowania do uroczystości w toku. Ucałowania. Wujek Ben.

Poczuła, że ma gęsią skórkę.

Mogła przystąpić do akcji.  
Spojrzała na zdjęcia z Ahmedem, Muhammadem, rodzicami.  
Nic jej teraz nie mogło powstrzymać.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

*Addis Abeba, Etiopia, Afryka*

Muezin wspiał się o świcie na szczyt głównego minaretu i po raz pierwszy wezwał wiernych do modlitwy.

Jego głos niósł się nad szkołami i budynkami rządowymi, pomnikami i wysokimi murami, które otaczały luksusowe hotele.

Zmieszał się z dymem z palenisk, na których szykowano ostre potrawy, wbił się między slumsy, które niemal otaczały stolicę od jednej strony.

Głos muezina niósł się przez targową dzielnicę Mercato, wraz z jej budkami, straganami i sklepami. Równie wielkie targowiska znajdowały się jedynie w Kairze i Johannes-burgu.

Kiedy w końcu zamilkł, odezwały się koguty, zaś kurczaki w klatkach czekały na rzeź przy wschodzącym słońcu.

Zapachy kóz i przypraw mieszały się z aromatem kawy, herbaty i świeżo pieczonego chleba. Kupcy otwierali sklepy i stragany, rozpoczynając dzień pracy. Sprzedawano tu wszystko: owoce i warzywa, meble, ubrania, pamiątki, biżuterię, a nawet trumny.

Pełno było tu ulicznych sprzedawców, złodziei, prostytutek i samozwańczych przewodników, którzy zachęcali turystów po angielsku, włosku, francusku, arabsku, w języku

amharskim i innych lokalnych językach, by ich wynajęto, a na ulicach rozbrzmiewała muzyka reggae i hip-hop. Znakiem firmowym Mercato były afrykańskie tekstylia.

Materiały leżały w belach na stołach lub straganach, zarówno w tradycyjnych, jak i nowoczesnych kolorach. Opadały kaskadami ze ścian sklepów i budek, leżały niedbale na półkach, spod których wypatrywały kupujących kobiety w burkach albo mężczyźni w dżalabijach z długimi, przystrzyżonymi brodami.

W tym labiryncie uliczek, gdzie sprzedawano tekstylia, swój sklep miał również Amir, kupiec w średnim wieku, który myślał o tym, czym jest targ i świat w ogóle.

Serce bolało go coraz bardziej na widok niesprawiedliwości tego świata. Widział żebraków w brudnych łachmanach, którzy spali na ulicach między odchodami zwierząt. Obok nich siedziały dzieci osierocone z powodu AIDS; wokół ich twarzy krążyły muchy, a śmierć ocieniała je swoimi skrzydłami.

Wczoraj odkrył noworodka, zawiniętego w okrwawioną gazetę. Dziewczynkę zostawiono na ulicy, nieopodal ścieku, w którym aż roiło się od szczurów. Już stały nad nią wychudzone psy, którym ślina ciekła z pyska. Jednak Amir zdołał je odpędzić i przekazał noworodka kobietom, które miały oddać dziecko do miejscowego szpitala.

Amir dotarł do sklepu i odepchnął od siebie te myśli. Musiał zająć się teraz innymi sprawami.

W jego sklepie znajdowało się mnóstwo pięknych, ręcznie tkanych materiałów i dywanów. Sprzedawała je Meseret z Kechene. Pracowała ciężko, gdyż miała na wychowaniu trzech synów.

Kobieta pochyliła głowę.

- Dzień dobry, panie Amirze.

Na jego zmęczonej twarzy pojawił się uśmiech, który rzadko tu gościł.

- Teferi przygotował dla pana herbatę - dodała kobieta. Amir pogładził ją po ramieniu i skierował się na tyły



sklepu. Siedział tam na podłodze trzydziestoparoletni mężczyzna, trzymając nogi pod krosnami, na których już pojawił się piękny wzór.

Teferi pochodził z plemienia Doko, zamieszkującego w górach, i był jednym z najlepszych tkaczy w Afryce. Potrafił zrobić wszystko, a jego wzory były, zgodnie z życzeniami, albo proste, albo bardzo wyszukane.

Mężczyźni odbyli rozmowę przy herbacie na temat nowego materiału, który Teferi utkał dla jednego z klientów Amira.

Po herbacie Amir przeszedł do niewielkiego biura, w którym ledwo mieściło się biurko z komputerem, i telefonem, a także szafka z zamówieniami. Odsunął ciężką kotarę, za którą znajdowały się niewielkie drzwi.

Amir otworzył je i pochylając się, wszedł do następnego pokoju.

Nie było tu okna, świeciła tylko naga żarówka, a poza tym tak jak wszędzie, leżały różne materiały. Odłożył część z nich, odsłaniając wielką, bogato zdobioną skrzynię podróżną z mahoni. Uniósł jej wieko. W środku znajdował się elektroniczny system zabezpieczający.

Niewielkie urządzenie mrugało żółtym światłem, co wskazywało, że jest włączone.

Amir przyłożył oko do soczewki. Urządzenie piknęło przy skanowaniu jego tęczówki. Następnie Amir wprowadził do maszyny kod i dopiero wtedy mógł otworzyć metalowe drzwiczki, które znajdowały się na spodzie skrzyni. Przed nim znajdowały się prowadzące w dół schody. Amir skurczył się i wszedł do środka, a następnie przekręcił włącznik i drzwiczki się zamknęły.

Amir wszedł do innego świata.

Łagodne, zielone światło ukazało bunkier o powierzchni trzy na cztery metry z niskim sufitem. Na środku stał stół operacyjny z kilkoma komputerami o dużych monitorach i parę telefonów satelitarnych.

Wszystko było bardzo sprytnie podłączone do sieci, zasilającej luksusowy hotel, budynki rządowe i ambasady. Addis Abeba była trzecią co do wysokości położenia stolicą na świecie. Do połączeń używano mikroanten, których kable przechodziły przez otwory wentylacyjne. Do ich ochrony wykorzystywano najnowocześniejsze urządzenia zabezpieczające. Można było się tu poczuć bezpiecznie.

Amir włączył komputer.

Gdyby ktokolwiek zobaczył ten bunkier, nie przeżyłby następnych pięciu minut.

Meseret i Teferi mieli ciche alarmy, by ostrzec Amira, gdyby w pobliżu pojawiła się policja lub wojsko. Nosili też pistolety Glock-17 pod ubraniem. W sklepie znajdowało się kilka pojemników z gazem, które Amir mógł zdetonować na wypadek niebezpieczeństwa, po tym jak wydostałby się z bunkra tunelem w innym miejscu targu.

Nie musiał się niczego obawiać.

Meseret i Teferi byli, tak jak on, wyznawcami oddanymi wspólnej sprawie. Doskonale wiedział, że może im zaufać.

Żadna tajemnica nie mogła wypłynąć z tego pomieszczenia.

Niewiele osób wiedziało też, czym tak naprawdę zajmuje się Amir.

Plotkarze z targu uważali go za jednego z setek kupców bławatnych. Powiadano, że jest samotnikiem i że zgromadził spory majątek. Opowiadano też o jego farmie nad Nilem, chociaż nikt jej tak naprawdę nie widział.

Kiedyś krążyły pogłoski, że Amir jest księciem z Jemenu, który odrzucił bogactwa z powodu swoich religijnych przekonań. Inni uważali, że pochodzi z Omanu i że był zdolnym inżynierem, ale nieszczęśliwa miłość spowodowała, że porzucił pracę i osiedlił się w Addis Abebie.

Jedna z plotek mówiła, że Amir pracował w saudyjskiej służbie wywiadowczej al-Mabahith al-Amma i był odpowiedzialny za działania operacyjne, jako jeden z najlepszych ekspertów od zacierania śladów.

Być może dlatego wywiady amerykański i europejski uważały, że Amir jest tylko mitem. Nie mogły go odnaleźć, nie miały nawet jego zdjęcia. Zniechęceni do dalszych poszukiwań Niemcy nazwali go „Pustynnym Duchem”. Włosi mówili na niego „Wiatr”, a Amerykanie w ogóle wątpili w jego istnienie.

Jednak Amir istniał i miał wiernych wyznawców.

Jego niewielka organizacja obejmowała swoim działaniem cały świat, choć niewielu z jego ludzi widziało na własne oczy tego, na którego mówili: „Wyznawca”.

Jego mądrość i wiara były głębsze niż w przypadku innych islamistów, takich jak choćby „Samarytanin”, który zakochał się we własnym wizerunku i wciąż wysyłał kasety wideo z groźbami do różnych stacji telewizyjnych.

Co prawda Samarytanin wraz ze swoimi męczennikami podczas jednej operacji sprawił kiedyś, że serca milionów zamaryły na chwilę, ale należało to już do przeszłości. Ich działania nie przyniosły pożądanego efektu.

Amir pomyślał o zawiniętym w gazetę noworodku.

Po to, by skończyć wieki gwałtów i ucisków ze strony niewiernych, trzeba uciąć głowę wężowi, który to wszystko zapoczątkował. Zniszczyć to, co znajdowało się u podstaw ich plugawych przekonań.

Amir przygotowywał się właśnie do tego wielkiego dnia.

Amir dbał o swoją sieć wywiadowczą niczym troskliwy ogrodnik. Dzięki fundacjom, darowiznom, kopalniom diamentów, sprzedaży narkotyków, praniu brudnych pieniędzy i fałszywym loteriom, dysponował nieograniczonymi funduszami. Jego wywiad działał idealnie. Planiści organizacji korzystali z dorobku najnowocześniejszej myśli technicznej.

Wszyscy jego ludzie uważali Amira za wizjonera i architekta nowego świata.

Wspólnie pracowali nad tym, jak pokonać wroga. Prowadzili jednocześnie kilkanaście operacji. Jedne dopiero się zaczynały, inne były już bardzo zaawansowane. Niektóre

ciągnęły się parę lat. Katastrofy i uprowadzenia statków, wybuchy na dużych imprezach na całym świecie, ataki na rurociągi, metra, wieżowce i centra handlowe, czyli to wszystko, co stanowiło symbol zgnilizny i materializmu zachodniego świata.

Jednak żaden z jego agentów nie zdawał sobie sprawy z pełnego zakresu działań organizacji. Ludzie z jednych komórek nie wiedzieli o istnieniu innych. Akcje przeprowadzali porucznicy, którzy meldowali o wszystkim swoim dowódcom, a ci z kolei, przebrani za kupców, zgłaszali się bezpośrednio do Amira.

Parę dni wcześniej Amir osobiście pojechał do tajnego obozu, by zapoznać się ze szczegółami operacji, która wydawała się szczególnie obiecująca.

Spotkanie miało miejsce w rejonie położonym na północ od stolicy, pociętym siatką błotnistych, rzadko uczęszczanych górskich dróg, gdzie Amirowi udało się zgromadzić kilku szczególnie uzdolnionych tkaczy. Nikt ich nie niepokoił, ponieważ okoliczna ludność była przekonana, że tkacze mogą sprowadzać nieszczęścia.

Amir przypomniał sobie mijane wioski, gdzie dym unosił się z palenisk, a między glinianymi chatami kręciły się kozy. W końcu dotarł do chaty, gdzie miało odbyć się spotkanie z braćmi z zagranicy, którzy przywieźli mu bardzo dobre wieści o swojej nowej broni.

W chłodnym, zacienionym wnętrzu chaty leżały różne materiały bawełniane. Ekran laptopów lśniły, pokazując dane na temat substancji chemicznych, które wykorzystano do ich produkcji. Paru braci rozmawiało cicho przez telefony satelitarne.

Delegacji przewodzili Ali Bakarar, inżynier chemik z Libii, i Omat Kareem, inżynier specjalizujący się w nanotech-nologii molekularnej z Kuwejtu. Amir prowadził z nimi rozmowy w zeszłym roku. Gdzieś obok pracowali tkacze, a Bakarar położył dłonie na belach i wyjaśnił zasadę działania nowego materiału.

Pod pewnymi względami nowa technologia przypominała zaawansowane rozwiązania stosowane obecnie przez wojsko, które używało materiałów do kamuflażu czy termo-izolacji.

Materiał zachowywał się tak jak zwykła bawełna.

Jednak wewnątrz znajdowały się mikroskopijne, przezroczyste przewody. Można je było wypełnić płynnym środkiem, który niedawno wynaleziono. W tym płynie znajdowały się nanoradioreceptory nastawione na odbiór fal o bardzo niskiej częstotliwości.

W momencie otrzymania sygnału zaczynały one aktywację płynu, która następowała po sześćdziesięciu sekundach. W tym momencie materiał mógł się zachować jak środek wybuchowy, a siła jego rażenia zależała od ilości użytego płynu.

Powstawała bomba.

Detonacja mogła nastąpić w każdej chwili: pół sekundy po aktywacji albo po miesiącu. Można jej jednak było dokonać tylko za pomocą drugiego zaszyfrowanego sygnału radiowego, pochodzącego z jakiegokolwiek elektronicznego urządzenia. Mogła to być komórka, telefon satelitarny, aparat fotograficzny z laserowym systemem nastawiania ostrości albo laptop.

Najważniejsze było to, że nowego środka wybuchowego nie mogły wyczuć psy policyjne i trudno było stwierdzić jego obecność tradycyjnymi metodami.

Ta bomba była niewidzialna dla policji.

By to osiągnąć, trzeba było moczyć nowy materiał przez parę godzin w roztworze z różnymi środkami chemicznymi i dopiero wtedy można było z niego szyć ubrania. Środki potrzebne do tego roztworu płynęły właśnie do zachodniego wybrzeża Stanów Zjednoczonych, natomiast beły z materiałem przyleciały już do Nowego Jorku, skąd można je było wysłać dalej.

Bakarat i Kareem mieli już wkrótce jechać do Ameryki, by nadzorować ostatnie etapy powstawania bomby.

Amir obejrzał nagraną na wideo demonstrację, a następnie uściskał obu uczonych.

- Dobra robota, bracia. Naprawdę dobra robota - stwierdził zadowolony.

Teraz, siedząc w bunkrze, Amir nie mógł się powstrzymać, by nie zerknąć na ogłoszenie, które pewien ksiądz umieścił nieopatrzenie w Internecie, wiele miesięcy przed spodziewanym zdarzeniem:

„Z prawdziwą radością zawiadamiam, że Ojciec Święty odwiedzi Cold Butte”.

Amir niemal się uśmiechnął.

Doskonale, mieli mnóstwo czasu na przygotowania i ten projekt mógł naprawdę stanowić przełom. Za jego wykonanie odpowiadała wdowa z Bagdadu.

„Tygrysica”.

Jej oddanie sprawie było naprawdę niezwykle. Amir uderzył w kilka klawiszy i już po chwili miał przed sobą jej twarz. Samara.

Patrzył na nagrany wywiad, z przyjemnością myśląc o jej determinacji. Potem obejrzał fragment filmu z pakistańskiego obozu szkoleniowego, położonego koło afgańskiej granicy. A później, zobaczył ją w Stanach.

Przygotowywała się do wypełnienia misji.

Udało jej się bez przeszkód dostać pracę w interesującej ich strefie, a teraz miała wmieszać się między Amerykanów, przyczać się i czekać na dalsze instrukcje.

Inni agenci mieli jej pomagać, nie ujawniając jednak swej roli. Bez przerwy ją też obserwowali. Musieli zapewnić bezpieczeństwo całej akcji i wyeliminować wszelkie przeciwności.

„Wszystko idzie bardzo dobrze - pisał jeden z nich w zaszyfrowanym mailu. - Nasi bracia pilnują siostry”. Amir skinął głową.

Potem włączył kolejny film wideo. Przedstawiał on rodzinę, która spędzała wakacje w kanadyjskiej głuszy. Patrzył,

jak kamera przebiega po niebezpiecznej, pełnej wodospadów rzece...

Jednak ludzki krzyk przebija się przez huk wody.

Film kończyły nagłówki prasowe informujące o tragedii w górach i śmierci czworga Amerykanów. A potem zobaczył przed sobą książki i kobietę, która pracowała w księgarni.

Amir westchnął lekko, po czym dotknął jednego z laptopów leżących na stole.

Był wyłączony. Kiedyś należał do Raya Tarvera,

Amir włączył kolejne nagranie i po chwili miał przed sobą chłopca, który jadł hamburgera przy ustawionym na dworze stole.

Logana Conlina.

Chłopiec patrzył poważnie w stronę kamery i nie chciał się uśmiechnąć do osoby, która nagrywała.

Amir skinął głową z satysfakcją. Wszystko było w najlepszym porządku.

Wkrótce na zawsze zmienią bieg historii.

Zadowolony, napisał krótką wiadomość do Samary.

Pozdrowienia od babci. Prezent już dotarł. Kuzyni poinformują, gdzie go odebrać...

**CZĘŚĆ TRZECIA**  
**PUNKT ZWROTNY**



## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

*Blue Rose Creek, Kalifornia*

Maggie wcisnęła zielony guzik i parkomat wypluł bilet parkingowy.

Bramka otworzyła się i kobieta wjechała na teren szpitala Mercy General. To właśnie tutaj Madame Fatima miała jej przekazać informacje na temat Logana.

Maggie podeszła do drzwi szpitala, a potem spojrzała w górę, na gromadzące się chmury i przypomniała sobie radiowe ostrzeżenia przed burzą.

Zapomniała parasola.

Było jej wszystko jedno.

W ciągu ostatnich paru dni tyle przeszła, że deszcz wydawał jej się najmniejszym problemem. Nie spała. Nie jadła.

Miała wrażenie, że ucieka przed rzeczywistością w coś, co pozwoliłoby jej zapomnieć o stracie i rozczarowaniu.

Jednak się nie poddawała.

Miała przed sobą jeden cel, który utrzymywał ją przy życiu.

Musi odnaleźć swego syna i męża. Maggie podeszła do recepcji, a siedząca za kontuarem kobieta spojrzała na nią chłodno.

- Przyszłam z wizytą do Fatimy Soleil.

161

- Proszę przeliterować nazwisko.

Maggie wykonała polecenie, a recepcjonistka wpisała nazwisko do komputera.

- Jak się pani nazywa?

- Maggie Conlin.

- Rodzina?

- Nie, jestem przyjaciółką. Jej opiekunka, Helga Kim-mel, prosiła mnie, bym tu przyszła.

- Mogę prosić o dokument ze zdjęciem?

- Może być prawo jazdy?

Recepcjonistka skinęła głową i Maggie podała jej dokument, a wzięła z jej rąk plakietkę z napisem WIZYTA.

- Jest w pokoju na dziewiątym piętrze. Po wyjściu z windy proszę skrócić w prawo i zapytać o nią pielęgniarki.

- Dziękuję. Czy może mi pani powiedzieć, w jakim jest stanie?

- Proszę dowiedzieć się u siostry dyżurnej.

Maggie wsiadła do windy, starając się panować nad rozedrganymi emocjami.

W głębi serca wierzyła, że Fatima wyczuła coś w czasie sesji. Podobnie jak ona. Maggie mogła przysiąc, że miała obok siebie Logana. Teraz próbowała nie myśleć o tym, jakiego rodzaju informacje uzyska od Fatimy.

Czy ma to jakieś znaczenie?

I tak pójdzie za każdym tropem.

Winda zatrzymała się na dziewiątym piętrze.

W powietrzu unosił się zapach środków dezynfekcyjnych. Nieco dalej, w głębi korytarza, zobaczyła mocno zbudowaną kobietę w dżinsach i za dużej kwiecistej bluzce, rozmawiającą z pielęgniarką. Od razu poznała Helgę.

- Przepraszam panią - zwróciła się do pielęgniarki Helga na jej widok. - Muszę porozmawiać z panią Conlin.

- Dzień dobry - przywitała się Maggie.

- Chodźmy, tam dalej jest miejsce, gdzie można usiąść.

Przeszły do pomalowanego w żywe kolory zakątka. Czaił się tu jakiś smutek. Fotele były stare i tanie. Na stolikach leżały magazyny z zeszłego miesiąca.

Helga usiadła, potarła przekrwione oczy i westchnęła.

- Fatimie zostało już niewiele życia - powiedziała szczerze.

- O Boże! - westchnęła Maggie i dotknęła jej kolana. - Bardzo mi przykro.

Helga skinęła głową.

- Rak jest bardzo zaawansowany. Na szczęście nie cierpi, bo otrzymała mocne środki przeciwbólowe.

Maggie rozejrzała się dookoła. W pobliżu nie było innych osób.

- Ma kogoś bliskiego? Helga potrząsnęła głową.

- Jestem jedyną bliską jej osobą. Fatima prosiła, żebym tu panią sprowadziła. Chce pani coś powiedzieć.

- Wyjaśniła, o co chodzi?

- To chyba jasne, że o pani syna. Możemy do niej iść? Maggie skinęła głową i Helga poprowadziła ją do pokoju Madame Fatimy.

- Zostawie was same. Będziecie mogły spokojnie rozmawiać. Proszę się nie przejmować tym, że czasami traci przytomność. Fatima wie, że ktoś jest w pokoju.

Maggie otworzyła wolno drzwi.

W pokoju paliło się przyćmione światło i pachniały kwiaty. Cicho pracowała aparatura, która monitorowała pracę serca i ciśnienie Madame Fatimy.

Maggie nie była przygotowana na to, co zobaczyła.

Chciała nawet zawołać pielęgniarkę, bo odniosła wrażenie, że Fatimy nie ma w łóżku. Dopiero po chwili zobaczyła przykryty kołdrą żywy ludzki szkielet.

Do jej nosa biegła rurka z tlenem. Podawano jej dożylnie morfinę. Była nieprzytomna.

Prawie nieżywa.

Maggie usiadła na wyściełanym krześle obok łóżka.

Fatima obróciła w jej stronę łysą czaszkę i otworzyła oczy, dając znak, że wie o jej przybyciu.

- Przyjechałam, tak jak pani chciała - odezwała się Maggie.

Madame Fatima zamrużyła oczami, a potem znowu pogrążyła się w nieświadomości.

Maggie siedziała przy niej całą godzinę. W końcu wstała, by wyjść na chwilę, i niemal krzyknęła.

Fatima chwyciła ją za rękę zimnymi jak lód palcami. Jej oczy się otworzyły, ale patrzyła jedynie białkami.

Maggie skamieniała.

Fatima trzymała ją mocno. Jęknęła i zaczęła powoli poruszać ustami.

- Skłamałam, Maggie. Coś wtedy widziałam - powiedziała i ścisnęła ją mocniej. - Chcesz wiedzieć, co?

Maggie z trudem wydobyła z siebie to jedno, jedyne słowo:

- Tak.

- Widzę teraz twojego syna. On żyje...

- Gdzie?

- ...ale jest w niebezpieczeństwie.

Uścisk był tak mocny, że Maggie zaczęła boleć ręką. Padła na kolana przy łóżku chorej.

- Błagam, niech pani powie, gdzie jest?

- Widzę kobietę, jest tam jakaś kobieta. Wybuch, zniszczenia. Ta kobieta coś niesie.

- Kim ona jest?

- Niesie dziecko.

- Logana?

- To dziecko nie żyje.

- Nie! Niiiee!!!

Fatima wypuściła ją z uścisku. Jej ciało wygięło się. Poruszyła parę razy ustami w bezowocnym wysiłku, a potem włączyło się urządzenie alarmowe.

- Ratunku! - zawołała Maggie. - Na pomoc!

Do pokoju wbiegła pielęgniarka. Spojrzała na urządzenia,

a potem sprawdziła puls Madame Fatimy. Następnie powiedziała do urządzenia przy łóżku. - Mamy zmarłą w pokoju 921.

Maggie zakryła twarz rękami i odsunęła się do kąta. Niewiele do niej w tej chwili docierało.

Do pokoju weszła Helga i zaczęła płakać.

Pielęgniarka zaczęła ją pocieszać. Po chwili dołączyła do niej Maggie, chociaż nie bardzo wiedziała, co mówi. Nie wiedziała też, jak długo była na górze i jak udało jej się zjechać na dół i odebrać swoje prawo jazdy. Pamiętała tylko, że na zewnątrz padał deszcz.

Pamiętała błyskawice i to, że było jej zimno w drodze do samochodu. Pamiętała ostrzeżenie Madame Fatimy, że Logan jest w niebezpieczeństwie.

I kobietę, która niosła dziecko.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

*Waszyngton*

Agent specjalny Blake Walker oglądał na komputerze powiększone zdjęcia z zamachu na papieża.

Widział pistolet, który nagle wychynął z tłumu na placu Świętego Piotra.

Był to półautomatyczny browning, dziewięć milimetrów.

Mehmet Ali Agca wystrzelił pięć razy do papieża Jana Pawła II.

Pierwsza kula trafiła papieża w brzuch, druga w rękę, a trzecia w ramię. Czwarta i piąta zraniły pielgrzymów. Ojciec Święty osunął się w ramiona swego sekretarza. Był trzynasty maja 1981 roku.

To dzień, który świat z pewnością będzie pamiętał, pomyślał Walker. Mężczyzna był jednym z agentów kordynatorów odpowiedzialnych za bezpieczeństwo papieża w czasie zbliżającej się pielgrzymki do Stanów Zjednoczonych. I właśnie po raz kolejny oglądał filmy z próbami zamachów, starając się wysnuć z nich jakieś wnioski.

Następny.

Filipiny, 1995 rok.

W czasie wizyty papieża w Manili wezwano strażaków do gaszenia pożaru apartamentu znajdującego się koło ambasady Watykanu, gdzie na noc miał się zatrzymać Ojciec

Święty. W ruinach strażacy odkryli materiały do wyrobu bomby, mapy z zaznaczoną trasą przejazdu papieża, a także dwie sutanny.

Jak się okazało, podejrzani byli później związani z pierwszym zamachem na World Trade Center.

Poważna sprawa. Tak samo jak kolejny przykład.

Przed przylotem papieża do Ameryki Południowej grupa marksistowskich ekstremistów odcięła dopływ prądu do lotniska. Samolot z papieżem musiałby lądować w całkowitej ciemności. Piloci nic nie widzieli. W ostatniej chwili zrezygnowali z lądowania i polecili gdzie indziej. Policja przeszukała tereny nieopodal lotniska. Na leśnej drodze odnaleziono ciężarówkę z zepsutą rakieta typu ziemia-powietrze. Strach pomyśleć, co by się stało, gdyby urządzenie funkcjonowało prawidłowo.

Walker przeglądał bazę danych.

Miał przed sobą tyle potwierdzonych prób zamachu. Teraz, wraz ze zbliżaniem się kolejnej wizyty, pojawiły się nowe groźby. Walker poluzował krawat, myśląc o tym, że wszystkie, naprawdę wszystkie sygnały trzeba traktować bardzo poważnie. W tym momencie usłyszał pukanie do drzwi i po chwili pojawiła się w nich jego asystentka.

- Fran znowu dzwoni - oznajmiła.

Walker się skrzywił, słysząc imię byłej żony, ale wciąż wpatrywał się w ekran.

- Nie mogę odebrać. Powiedz jej, że jestem na spotkaniu.

- Prosiła, by przekazać, że chodzi o alimenty...

- Nie mogę z nią teraz rozmawiać, Annette.

- Tak jest, szefie.

Asystentka wyszła i Walker odetchnął z ulgą. Nigdy nie chciał rozwodu.

Przypomniawszy sobie, jak był zwykłym policjantem w Nowym Jorku. W dzień miał służbę, a wieczorami chodził na zajęcia do kolegium imienia Johna Jaya. Następnie przeniósł się do FBI w Waszyngtonie i tam poznał Fran, która pracowała jako asystentka prawnika. Potem pobrali się

i urodziły się ich córki. Walker dostał propozycję pracy w CIA, najpierw w ochronie prezydenckiej, a potem w sekcji wywiadu.

Był zawsze pod telefonem, w każdej chwili gotowy do pracy.

Fran zaczęła oskarżać go o to, że bardziej dba o pracę niż o rodzinę. Że mu nie zależy. Znalazła sobie chłopaka, którego poznała w kościele - Millera Higby'ego, księgowego, który pracował w stałych godzinach. Walker zaczął jej płacić alimenty i nigdy się nie spóźniał.

Nigdy.

Wiedział, że gdyby tak się stało, popełniłby błąd.

Nie mógł sobie pozwolić na błędy. Nie przy jego pracy. Już raz zdarzyło mu się coś takiego, że mógł z hukiem wylecieć z roboty.

A to wszystko z powodu niejakiego Raya Tarvera.

Spotkali się na jakimś przyjęciu i, nie wiadomo dlaczego, wymienili wizytówkami. Tarver zadzwonił do niego parę miesięcy później z informacją, że chce napisać o rosyjskich gangsterach i ma materiały kompromitujące niektóre osoby odpowiedzialne za ochronę Białego Domu. Chodziło o to, że gangsterzy szantażowali pracowników CIA z powodu ich hazardowych długów. Tarver twierdził, że ma te dane od swego specjalnego informatora i że w tych dokumentach figuruje również nazwisko Walkera.

Walker odchodził od zmysłów.

Ta historia nie była prawdziwa.

Nie poinformował jednak o wszystkim przełożonych, tylko rozpoczął śledztwo na własną rękę. Zaczął dopatrywać się w tym spisku niektórych agentów przeciwko innym. Udało mu się w końcu przekonać Tarvera, by pokazał mu dokumenty, którymi dysponował.

Przekazał je po cichu do analizy. Eksperci zakwestionowali ich autentyczność.

Tarver nie chciał powiedzieć, skąd je wziął. Walker nie mógł wykluczyć możliwości, że Tarver został przez kogoś



wystawiony albo sam sfabrykował te papiery. W końcu doszli do porozumienia - Tarver nie napisał tego artykułu, a Walker zakończył śledztwo.

To prawda, że Tarver miał wszędzie informatorów, ale łatwo dawał się im podpuszczać. Walker szybko go rozgryzł. Ten dziennikarz był tak zauroczony wizją wszechobecnego światowego spisku, że nie potrafił odróżnić rzeczywistości od fikcji. Ktoś mu coś powiedział, a Tarver już budował wokół tego całą historię. Kiedy Walker myślał o tym, ile szkód mógł narobić, aż gotowała się w nim krew.

Jednak Tarver był niezmordowany. Walker spotykał go przy różnych okazjach i coraz mniej mu wierzył. Być może w tym, co mówił, tkwiło jakieś ziarno prawdy, ale było ono naprawdę niewielkie. Walker ganił siebie w duchu za to, jak zareagował na jego pierwszą historię. I za to, że podejrzewał kolegów. Nauczył się jednak inaczej traktować dziennikarzy pokroju Tarvera.

Szybko dowiedział się o tym, co stało się w Kanadzie. Zginął nie tylko sam Tarver, ale również jego żona i dzieci. Wielka szkoda.

Walker zaczął się zastanawiać, czy być może tym razem Tarverowi udało się trafić na trop jakiegoś prawdziwego spisku.

Walker musiał się jednak przygotować do kolejnej telefonicznej konferencji. Kiedy zaczął zbierać papiery, jego komputer zasygnalizował, że ma wiadomość. Był to biuletyn informacyjny z wydziału bezpieczeństwa wewnętrznego.

Coś na temat statku z wątpliwym ładunkiem.

Wciąż napływały do niego informacje o nowych zagrożeniach.

Choćby ta o jakimś księdzu Stonie z Montany, który wiele miesięcy przed pielgrzymką papieża ujawnił, że od-  
wiedzi on małe miasteczko Cold Butte. To była prawdziwa głupota. Terrorysty mieli dużo czasu, by wykorzystać tę informację, i Walker nie wątpił, że to zrobią. Dlatego spodziewał się uderzenia właśnie w Cold Butte i pocieszał

jedynie tym, że w tak małym miejscu nie będzie musiał angażować zbyt wielu ludzi do ochrony.

To załedwie miescina, pomyslał. Nie powinienem się nią chyba tak przejmować.

Walker zamknął pocztę i raz jeszcze spojrzal na zdjecie papieza z maja 1981 roku. Strzał Agcy sprawił, że przypomniał sobie własne problemy przy ochronie prezydenta.

To było latem.

Miejscowość Shaker Heights w Ohio. Parking przed centrum handlowym. Prezydent przechodzi wzdłuż tłumu, ściskając dłonie kolejnych osób. Walker widzi faceta. Samotny biały, po dwudziestce. Ma kamienną twarz i trzyma coś w dłoni. Instynkt i lata ćwiczeń podpowiadają Walkerowi, żeby na niego uważać. Walker rzuca się na faceta, przygważdża go swoim ciężarem. Obstawa prezydencka odjeżdża wraz z prezydentem. Facet rzeczywiście ma broń. Naładowaną. Rzuciła go dziewczyna, a on sobie uroił, że jeśli zabije prezydenta, to jej zaimponuje. „Zobaczyłaby, jak bardzo ją kocham” - powiedział.

Ten dzieciak był blisko.

Podobnie jak wszyscy inni.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

*Waszyngton*

Samolot zanurkował, ukazując przed Danielem rzekę Potomac, budynek Jefferson Memorial i Pomnik Waszyngtona, a potem wylądował na lotnisku Reagan National.

W holu zobaczył ciężarną kobietę, która rozglądała się dookoła, i przypomniał sobie Norę. Kobieta trzymała za rękę małą dziewczynkę. Kiedy przeszły obok Daniela, by odebrać bagaż, powróciły do niego obrazy tamtej fatalnej nocy. Zobaczył rzekę.

I twarz Emily Tarver.

Trzymał ją, gdy ona walczyła ze śmiercią.

„Zostawcie mojego tatusia”.

Co się stało z Tarverami?

Czy ich zamordowano? A może tak mu się tylko wydawało?

Przyjechał tu po to, by zbadać tę sprawę. A może chodziło mu też o to, by odgrodzić się od przeszłości?

Stracił Norę. Nigdy już nie zobaczy Emily Tarver. Szef miał rację. Musi się do tego przyznać przed samym sobą. Chodziło tylko o pokutę za jego własne winy.

171

Nie. Przecież prowadzi śledztwo i musi się na nim skoncentrować.

Daniel wziął walizkę do ręki, złapał taksówkę i odjechał, pozostawiając za sobą wątpliwości.

W ambasadzie spotkał się z sierżantem Lukiem Cleroux, przedstawicielem Kanadyjskiej Królewskiej Policji Konnej, który wprowadził go w sytuację, zadowolony, że ma z kim porozmawiać po francusku.

Danielowi miał pomagać agent FBI Chuck Carson, pseudonim „dwa tygodnie do emerytury”, który powitał go na lotnisku.

- Chyba nie chcesz, żebym prowadził cię za rączkę w tej ubezpieczeniowej sprawie, czy jak to zwać. - Carson od razu przeszedł z nim na ty.

Daniel zastanawiał się nad tym przez chwilę.

Jako zagraniczny policjant nie mógł nosić broni na terenie Stanów i miał ograniczone możliwości aresztowania przestępców. Przyjechał do Waszyngtonu w różnych sprawach, a jedna z nich dotyczyła Raya Tarvera. Gdyby zdradził, że przyjechał tu z powodu morderstwa, odesłano by go pierwszym samolotem do domu.

- Potrafię zająć się sobą - odparł.

- Świetnie. To jest moja wizytówka. Dzwon, jakbyś miał jakieś problemy.

Hotel znajdował się zaledwie parę przecznic od Białego Domu i parku National Mail. Daniel zameldował się, wykąpał, a potem zajął swoim śledztwem. Zadzwoił najpierw do ambasady, do sierżanta Cleroux.

- Nie, nie dostałem nic z Interpolu - powiedział sierżant po francusku. - Ale przekazałem informacje na pana temat Regowi Novakowi z tutejszej policji. To życzliwy gość. Może pan do niego zadzwonić.

Kiedy Daniel dodzwonił się do Novaka, ten zaprosił go do siedziby waszyngtońskiej policji przy Indiana Avenue.

Budynek nosił imię Henry'ego J. Daly'ego, na cześć śledczego z wydziału zabójstw, którego w 1994 roku zastrzelił tu napastnik.

Novak, mężczyzna o wyrazistych rysach, uściśnił mocno dłoń Daniela.

- Jak pański lot? - zapytał grzecznościowo.

- W porządku.

Daniel przeszedł przez bramkę i czekał, aż sprawdzi go strażnik. Następnie przeszli z Novakiem do jego biura, gdzie Daniel dostał gorącą kawę. Novak zaczął przeglądać swój notes.

- Czytałem o tym wypadku w *Washington Post*. Straszna tragedia. Sprawdziłem dla pana te dane. - Postukał palcem w notes. - O, już je mam.

Daniel wyjął długopis.

- Niewiele tego - dodał Novak. - Przykro mi, że nie mogę bardziej pomóc, ale Raymond Tarver nie figuruje w naszej bazie danych. Tak samo jego żona. Żadne nie zapłaciło nawet mandatu. Mieszkali w pobliżu Takoma Park.

- To wszystko? - upewnił się Daniel.

- Wszystko. Pytałem paru osób i wiem oczywiście, że Ray Tarver był dziennikarzem i pisał o polityce, ale również zamieszczał w gazetach reportaże z podróży.

- Tak, wiem.

- Zwariowany gość, wszędzie węszył spisek. Ale ostatnio jakoś przycichł. - Novak napił się kawy z kubka z logo Washington Capitals. - Może zechce pan porozmawiać z kimś z FBI. Słyszałem, że Tarver obracał się w tych kregach.

- Już się umówiłem na popołudnie.

- Dobrze, że zgodzili się z panem spotkać. Są bardzo zajęci z powodu wizyty papieża. Zabrali nam wielu ludzi, więc mamy teraz kupę roboty... - Novak zamknął notes. - Myśli pan, że Flamesi mają szansę wygrać w tym sezonie?

- Tak samo jak Capitalsi - odparł z uśmiechem Daniel.

- Więc nie udało wam się jeszcze znaleźć ciała Tarvera, prawda?

- Niestety. Czasami w górach w ogóle się to nie udaje. Są tam jaskinie, dzikie zwierzęta...

181

- Muszę pana o coś zapytać. - Novak spojrział mu prosto w oczy. - Rozumiem, że prowadzi pan tę sprawę, ale nie przyjechał pan tutaj po to, żeby sprawdzać te bzdury związane z ubezpieczeniem.
  - Właśnie po to. Między innymi.
  - Między innymi - powtórzył z namysłem Novak. - Chce pan rady od starego gliniarza?
  - Śmiało.
  - To miasto nie jest do końca normalne... Trzeba dobrze pilnować swojego tyłka i nie wtykać nosa w nie swoje sprawy.
  - Mieści się tu rząd, agencje wywiadowcze..;
  - Właśnie. A z tego, co wiem, Ray Tarver nieźle wkurzył parę osób z tych kręgów.
  - Co chce pan przez to powiedzieć?
  - Tylko tyle, że w Waszyngtonie trudno powiedzieć, co jest prawdą. A grzebanie się w różnych sprawach może oznaczać koniec pańskiej kariery. Niech pan na siebie uważa.
- Daniel wrócił do hotelu i miał jeszcze czas, by zjeść kanapkę, a potem ruszył do siedziby głównej służb wywiadowczych Stanów Zjednoczonych.
- Parę dni wcześniej, zgodnie z przepisami przefaksował im swoją datę urodzenia, numer paszportu i odznaki policyjnej. Wymagały tego względy bezpieczeństwa.
- Jestem umówiony z agentem specjalnym Blakiem Walkerem - poinformował recepcjonistkę.
- Kobieta wpisała jakieś nazwisko do komputera, a potem rozmawiała z kimś przez chwilę przyciszonym głosem.
- Bardzo pana przepraszam, panie kapralu - zwróciła się do Daniela. - Agent Walker ma teraz niespodziewane ważne spotkanie. Czy mógłby pan przyjść w innym terminie?
  - Wolalbym się z nim spotkać teraz. To zajmie najwyżej dwadzieścia minut.
  - Proszę zaczekać.

Powiedziała coś do mikrofonu, słuchała przez chwilę, a potem skinęła głową.

- Agent Walker spotka się z panem za chwilę. Ktoś zaraz po pana przyjdzie. - Wzięła jego prawo jazdy i podała przeznaczoną dla gości plakietkę. - Proszę tego nie zdejmować i zwrócić przy wyjściu.

Po chwili pojawił się prawie dwumetrowy dryblas, właściwie nastolatek, w luźnym garniturze, z plakietką, na której widniał napis: „T. Simms” i nic poza tym. Daniel uznał więc, że jest stażystą. Simms przyglądał mu się w windzie, która zatrzymała się na piątym piętrze. Przeszli przez korytarz z dywanem. Po jednej stronie korytarza znajdowały się biura, a po drugiej jedynie przeszklone boksy. Wyczuwało się tu napięcie. Pracownicy wywiadu przeglądali coś w komputerach albo rozmawiali przyciszonym głosem przez telefon.

Simms zaprowadził go do biura Walkera, a potem wyszedł bez słowa.

Zostawił otwarte drzwi.

Walker stał przy biurku i rozmawiał przez telefon. Co jakiś czas ugniatał mięśnie szyi. Wydawał się wypełniać cały pokój. Dopiero po chwili zauważył Daniela i wskazał mu krzesło.

Przez okno widać było fragment centrum. Na tablicy wisiały zdjęcia paru prezydentów, nawet najnowszego, a także samego Walkera w towarzystwie szefa FBI, szefa CIA, sekretarza ONZ... Daniel zauważył go też pozującego z kolegami do zdjęć przed pałacem Buckingham, na Placu Czerwonym, koło wieży Eiffla, w Watykanie i w paru innych stolicach.

Dwie dziewczynki uśmiechały się z oprawionego w złotą ramkę zdjęcia, stojącego przy monitorze komputera.

Walker zakończył rozmowę.

- Bardzo przepraszam. Jestem Blake Walker. Daniel uściśnął jego dłoń.

- Daniel Graham.

- Musiałem porozmawiać z byłą żoną. Jest pan żonaty?

- Już nie.

- To dobrze. Niech się pan nie żeni i cieszy się pełnią życia. Przecież w raju na początku nie było Ewy. - Walker uśmiechnął się i wskazał ekspres. - Kawy?

- Nie, dziękuję.

- Więc przejdźmy do rzeczy. Przyjechał pan tu z powodu wypadku rodziny Tarverow.

- Tak. Ponieważ nie odnaleźliśmy ciała Raya Tarvera, muszę sprawdzić jego dane ze względu na polisę ubezpieczeniową.

- Nie, nie. - Walker uniósł dłoń. - Zaczniemy od początku. Dlaczego skontaktował się pan ze mną? Skąd wziął pan moje nazwisko?

Daniel wyjął z teczki kartkę, którą podsunął Walkerowi. Ten popatrzył na zegarek, zanim na nią spojrział.

- To ksero z notesu Tarvera - wyjaśnił Daniel. - Poza tym są tam jakieś zaszyfrowane notatki. To jedna z ostatnich. - Wskazał słowa: „Spotkać się ponownie z AS Blakiem Walkerem z Wydz. W”.

Walker wziął głęboki oddech, a potem zaklął.

- O co chodziło? - zapytał Daniel.

- Nie było tego w uzasadnieniu pańskiej prośby o spotkanie. Prawdę mówiąc, w ogóle niewiele pan tam napisał. I chce pan, żebym nadal wierzył, że chodzi panu tylko o dane do ubezpieczenia?

- Tak, po prostu chcę się o nim jak najwięcej dowiedzieć. Sprawdzić wszystkie możliwe źródła.

- Bzdura.

- Słucham?

Walker rzucił kartkę na swoje biurko.

- Co się, do diabła, z wami dzieje?! - zapytał wzburzony.

- Nie rozumiem - odparł Daniel.

- Śmierć Tarverow to tragiczne zdarzenie. To prawda, że Ray Tarver miał kontakty ze służbami specjalnymi, ale to nic nie znaczy. Z tego, co wiem, to był wypadek.



- Skąd pan to wie?

- Wszyscy to mówią.

- Jacy wszyscy?

- Wie pan, jak funkcjonują kanadyjskie służby specjalne?

Serce Daniela zabiło mocniej na widok pogardy w oczach Walkera.

- Oczywiście.

- Więc zdaje pan sobie sprawę, że nasze służby kontaktują się ze służbami pańskiego kraju. - Walker mówił dalej, ale Danielowi wcale się to nie podobało. - Po śmierci czterech naszych obywateli musieliśmy sprawdzić, co się z nimi stało. To zwykłe postępowanie w takich sprawach. Gdyby coś było nie tak, wzbudziłoby to nasze podejrzenia. Jasne? Daniel powstrzymał się od odpowiedzi, a Walker kontynuował:

- Powiedziano nam, że to był wypadek i że śledztwo jest zakończone. Nie mamy o czym rozmawiać.

- Naprawdę? - zdziwił się Daniel.

Walker oparł się o biurko i wbił w niego ciężki wzrok.

- Spotykałem się z Rayem Tarverem w ciągu ostatnich paru lat - powiedział. - Tak jak paru innych pracowników wywiadu. Tarvera fascynowały międzynarodowe spiski. Twierdził, że ma dostęp do tajnych informacji.

Walker ponownie się wyprostował.

- Jednak kiedy trzeba było potwierdzić ich prawdziwość, rozkładał ręce. Wiem, że paru kolegów dało się na to nabrać. Kiedy sprawdzałem te jego teorie, okazywały się niewiele warte. W Waszyngtonie jest sporo ludzi pokroju Raya Tarvera. Wykorzystują każdy drobiazg, by stworzyć własne teorie spiskowe. Rozumie pan, o czym mówię? Daniel nie odpowiedział.

- Bardzo mi przykro z powodu tego, co się wydarzyło. Ale Ray Tarver żył w świecie fantazji, tak jak inni wyznawcy teorii spiskowych. Jeśli jest pan tu z powodu jego notatek, to tylko traci pan czas.

- Proszę mnie źle nie zrozumieć, ale muszę zajmować się również takimi sprawami jak te, które podsuwał mi Tarver. Jeśli okaże się, że to jednak nie był wypadek, zajmiemy się tą sprawą. Może pan być spokojny. A teraz... - Walker spojrział w stronę drzwi. - Być może pan o tym nie wie, ale mamy tu wkrótce wizytę papieża. Jestem bardzo zajęty. Spojrzął wymownie na zegarek, a potem na leżące na biurku dokumenty.

Być może wynikało to ze zmęczenia podróżą, a może po prostu z zachowania Walkera, ale Daniel miał go już dość.

- Panie agencie. Agencie specjalny - powiedział z przekąsem. - Nie wiem, co pan wie o tej sprawie, ale ,w dalszym ciągu pozostaje ona otwarta.

Walker otworzył usta ze zdziwienia.

- Naprawdę?

- Oczywiście. Podejrzewamy tylko, że Tarverowie ulegli wypadkowi, ale ta sprawa nie jest do końca jasna. Przecież nie znaleźliśmy nawet ciała Raya Tarvera. Jak pan może mówić, że to był wypadek? Chyba że ma pan jakieś nadnaturalne zdolności... - Daniel wskazał tablicę ze zdjęciami. - Może takich zdolności właśnie gratulowali panu ci wszyscy ważniacy.

- Chcę jednak panu powiedzieć, że z miejsca zdarzenia zginął laptop Tarvera i że dzień wcześniej Ray Tarver pokazywał w nim coś jakiemuś mężczyźnie. Dziwi mnie to, że wyrokuje pan o tej sprawie z takiej odległości. A przecież to ja trzymałem Emily Tarver w wodzie. To ja słyszałem jej ostatnie słowa... Ale pan przecież wie lepiej! Może dlatego, że pańskie nazwisko znajduje się na samym końcu notesu Raya Tarvera?

Walker spojrział na niego płonąącym wzrokiem. W tym momencie odezwał się telefon, a Walker włączył system głośnomówiący.

- Blake, czekają na ciebie na linii z Watykanem i Seattle. Przejdiesz do pokoju konferencyjnego czy połączyć cię tutaj?

178

- Powiedz, że za dwie minuty się włączę.

Daniel był już przy windzie, kiedy Walker go dopadł.

- Dan, przepraszam, zachowywałem się jak idiota. To pewnie z powodu papieskiej pielgrzymki - mówił cicho, tak by nikt nie mógł ich usłyszeć. - W dodatku była żona... Zdaje się, że musiałem się wyładować. Wiesz, jak to jest.

Daniel wiedział.

Po chwili uściśnął wyciągniętą w jego kierunku rękę na zgodę.

- Danielu! Zrobię co w mojej mocy, by ci pomóc, ale mam tu naprawdę niezły młyn. W dodatku jestem już spóźniony. Mów, czego potrzebujesz - powiedział Walker.

Daniel zastanawiał się przez chwilę.

- Jest jedna rzecz...

- Dawaj.

- Jeden z ostatnich wpisów w notesie Tarvera brzmi: „Blue Rose Creek”. Mówi ci to coś?

- Blue Rose Creek. To wszystko?

- Właśnie.

Walker pokręcił w zamyśleniu głową.

- Nie, nic, ale postaram się to sprawdzić. Daj mi swój numer. Zadzwoń na pewno.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

*Waszyngton*

Kate Morrow wiedziała sporo o Rayu Tarverze. Chciała też opowiedzieć o nim Danielowi, ale miała wątpliwości. Sprawiała takie wrażenie, jakby się czegoś bała.

Daniel wyczuł to w czasie rozmowy w biurze World Press Alliance, gdzie wcześniej pracował Tarver. Przyszedł tam, żeby wypytać o przyjaciół Raya, i natknął się na Kate Morrow, dziennikarkę zajmującą się modą i celebrytami.

- Ray uwielbiał Anitę i dzieciaki - powiedziała Kate. - To był cały jego świat.

- Rozumiem.

- Udawał twardziela, ale był miękki jak wosk. - Uśmiechnęła się. - Codziennie dawał mi gumę.

- Słucham?

- Gumę do żucia. Zwłaszcza wtedy, gdy miałam napięte terminy. Twierdził, że żucie gumy pomaga skoncentrować się na pracy. Lubił żuć gumę...

Popatrzyła przez szybę na pokój redakcyjny i siedzących przy komputerach dziennikarzy z górami papierów na biurkach.

- Wszyscy tu uważają go za wyznawcę teorii spiskowych, niemal wariata - rzuciła.

- Pani też tak uważa?

188

- Ray był dobrym reporterem. - Zamilkła na chwilę.

- Poczulałam się fatalnie, kiedy dowiedziałam się o tym, co stało się w górach. To było takie smutne, bo Ray do niedawna tu pracował. Miałam mnóstwo wątpliwości...

- Jakich wątpliwości?

Kate na próżno szukała odpowiedzi na to pytanie. Daniel widział, że coś ją gryzie, ale unikała jego wzroku. Albo bawiła się obrączką, albo chrząkała i poprawiała okulary.

- Czy chce mi pani coś powiedzieć o Rayu Tarverze?

- spytał Daniel.

Nie odpowiedziała.

- Czy - Daniel zniżył głos do szeptu - ktoś, pani zdaniem, mógłby chcieć go zabić?

Popatrzyła na niego.

- Przecież to był wypadek - odparła. - Tak właśnie powiedzieli kanadyjscy dziennikarze, którzy dzwonili z prośbą o komentarz.

- To wyglądało na wypadek, ale nie ustaliliśmy jeszcze przyczyny śmierci. A co pani o tym myśli?

- Ja? - W jej oczach pojawiły się łzy. - A co ja mogę wiedzieć. Piszę o modzie, o przyjęciach, najnowszym dietach...

- Powiedziała pani, że był dobrym reporterem. Dlaczego więc stąd odszedł?

- Zawsze był na jakimś tropie, starał się osłaniać swoje kontakty i był bardzo tajemniczy. Niektórzy koledzy uznali to za dziwactwo i zaczęli się z nim drażnić. Było to okrutne, zwłaszcza że wiele jego historii się nie potwierdzało. A wydawcy wciąż naciskali, więc zdecydował się pracować jako wolny strzelec...

- I wtedy widziała go pani po raz ostatni? - upewnił się Daniel.

Zapadła długa cisza, aż w końcu Kate pokręciła głową.

- Może mi pani opowiedzieć o tym spotkaniu?

- Ray zwrócił się do mnie z prośbą o pomoc.

- Jakiego rodzaju?

- Praca wolnego strzelca nie jest dobrze płatna, a jeszcze trzeba na własny koszt prowadzić research. Ray prosił, żebym sprawdziła dla niego pewne nazwiska w naszej bazie danych...
  - Kiedy to było?
  - Cztery, może pięć miesięcy temu. Nie jestem pewna.
  - Pomogła mu pani?
  - To poufna sprawa.
  - Nikomu o tym nie powiem.
  - Pomogłam mu, ale się przestraszyłam. Okazało się, że musiałam skorzystać z innych baz danych, co wiązało się z kosztami. Wydawca stwierdził, że przekroczyłam swoje uprawnienia, wspominał coś o zwolnieniu... Mój mąż pracował w lokalnej telewizji i właśnie go zwolniono. Mam chorą matkę, a jej ubezpieczenie nie obejmuje pełnych kosztów leczenia. Powiedziałam Rayowi, że już więcej nie mogę mu pomagać.
  - Jak zareagował?
  - Błagał, żebym pomogła mu w jeszcze jednej sprawie. Musiałam przysiąc, że nikomu o tym nie powiem.
  - O co chodziło?
  - O jakiś nowy rodzaj broni, nad którym pracowali islamscy ekstremiści czy coś takiego.
  - Podał pani szczegóły?
  - Nie, nie. To brzmiało jak opowiadanie science-fiction. - Kate znowu zaczęła okręcać obrączkę wokół palca. - Ray chciał pożyczyć pieniądze. To było straszne. Powiedziałam mu, żeby poszukał jakiejś stałej pracy i zajął się rodziną. To była ostatnia rzecz, jaką ode mnie usłyszał.
- Dziennikarka zakryła twarz dłońmi.
- A teraz ciągle myślę o ich dzieciach i o Anicie. Jest mi bardzo ciężko. - Spojrzała w stronę biurka, przy którym zapewne kiedyś siedział Tarver. - Mam mnóstwo pracy, a nie mogę nic robić. Bardzo przepraszam...
- Daniel podziękował jej i zostawił wizytówkę.

Kate Morrow była ostatnią osobą, z którą chciał tu porozmawiać. Jednak przy wyjściu zaczepił go wysoki mężczyzna w eleganckim garniturze i muszce.

- To pan jest chyba tym policjantem z Kanady?

- Tak.

- Will Blair. Właśnie dowiedziałem się, że chce pan rozmawiać o Rayu Tarverze. Przepraszam, ale musiałem wyjść na godzinę z redakcji. Chętnie panu pomogę.

Daniel rozejrzał się dookoła.

- Możemy gdzieś wyjść?

- Nie teraz. Zaraz mam spotkanie z senatorem. Może wpadłby pan dziś wieczorem o siódmej do Zezowatego Oka?

Dam panu adres.

- Zezowate Oko? - powtórzył Daniel.

- To dla mnie świątynia, gdzie dokonuje się duchowa odnowa. Ale dla innych zwykły bar.

Daniel spędził popołudnie w swoim pokoju, dzwoniąc, przeglądając notatki i starając się je ze sobą powiązać.

Następnie sprawdził, czy coś nowego nie wydarzyło się w Calgary. Wciąż nie udało się odnaleźć ciała Tarvera, kończono też powoli poszukiwania.

W drodze do baru myślał o tej sprawie, przyglądając się ulicom Waszyngtonu. Może jednak był równie szalony jak Tarver, dopatrując się w tym przypadku drugiego dna? Może chciał dzięki temu zapomnieć o tym, co przydarzyło się Norze?

Popatrzył na Pomnik Waszyngtona, starając się skupić na faktach. Po pierwsze, nie udało się odnaleźć laptopa Tarvera. Po drugie, słyszał to, co powiedziała Emily. Po trzecie, było jeszcze spotkanie z nieznanym. No i notatka na temat Blue Rose Creek.

Czy to wystarczy, by dalej prowadzić śledztwo?

Daniel nie był tego pewny. Nie był już pewny niczego. Westchnął, kiedy taksówka się zatrzymała, zapłacił i wyszedł na chodnik. Bar znajdował się na północny zachód od

Dupont Circle, na brzegu Georgetown. Przy wejściu powitał go Richard Nixon z plakatu.

Wyglądało to na zdjęcie z przemówienia, w którym zrzekał się urzędu.

Afera Watergate.

Zaczął się od historii, w którą nikt nie chciał uwierzyć, pomyślał Daniel. Po chwili usłyszał, że ktoś go woła.

- Panie kapralu, prosimy do nas!

W dużej wyściełanej łoży siedziało trzech reporterów, których poznał rano: Al Sallard, Michael Finch i Will Blair.

Ten ostatni zdjął już krawat i rozpiął koszulę.

- Gdzie Kate Morrow? - spytał Daniel, siadając.

- Jeszcze pracuje, nie mogła przyjść - powiedział Finch, który zajmował się pisaniem o Białym Domu. - Niech pan nam powie, gdzie pański kapelusz i czerwony mundur?

- I koń - dodał Sallard, mrugając. - Założę się, że kobiety uwielbiają ten zwrot: „Królewska Policja Konna”.

Daniel uśmiechnął się, widząc las szklanek po drinkach na stoliku, i wyjaśnił, że nosi czerwony mundur tylko na uroczystości. Zwykli policjanci na co dzień noszą normalne mundury, a tacy jak on, śledczy, chodzą po cywilnemu.

- Ale wszędzie znajdziecie przestępcę, to chyba wasze motto, prawda? - spytał Finch.

- Nie, to motto z hollywoodzkich filmów. Tak naprawdę brzmi ono „Maintiens le Droit”. Utrzymać prawo.

- Więc wie pan już chyba sporo na temat Raya?

- Tak mi się wydaje. Będę jednak wdzięczny za szczegóły. Dziennikarze ich nie szczędzili i pod koniec wieczoru Daniel miał już pełniejszy obraz sytuacji. Tarver zwykle pracował sam i nie chciał się dzielić wynikami swojej pracy.

Wszędzie węszył spiski, miał też wiele pretensji do CIA i FBI. Często mówił, że ten czy tamten agent to idiota.

Jednak problem polegał na tym, że nie miał niczego na poparcie swoich niewiarygodnych teorii. Wydawcy podejrzewali nawet, że niektóre historie wymyśla sam.

Tarver chciał też wydać książkę. Napisał pierwszy roz-



dział na temat handlu ludzkimi organami, ale redaktor prowadzący miał wątpliwości. Zaczęto grzebać we wcześniejszych artykułach Tarvera i okazało się, że wiele z nich było źle udokumentowanych.

Zaczęły się kłopoty, a Ray musiał zrezygnować z pracy.

Taka jest prawda.

- To smutna sprawa, bo Ray był świetnym reporterem, zanim wszyscy zaczęli się z niego nabijać.

- Nabijać? - zdziwił się Daniel.

- Pytaliśmy go, na jakich falach nadają dziś terroryści. I czy zaatakują w porze lunchu, czy po kolacji - przyznał ze smutkiem Finch.

Zgromadzeni wypili za pamięć Tarvera. I w dalszym ciągu raczyli Daniela smakowitymi anegdotami na jego temat, na przykład opowieścią, jak kiedyś przyniósł artykuł o tym, że Biały Dom kontroluje rosyjską mafię. Albo o tym, jak chciał przeniknąć do wnętrza sekty i kazał zainstalować w gazecie tajną linię telefoniczną, by móc udawać zagubionego wyznawcę.

Brał też udział w poszukiwaniu satanistów, którzy pili ludzką krew w czasie czarnych mszy. Jego informatorzy jedli i pili na jego koszt, a on woził ich ze stanu do stanu, w poszukiwaniu członków tego stowarzyszenia.

Tak minęła większa część wieczoru, a Daniel zastanawiał się, na ile ważne są dla niego te informacje. W końcu pół godziny przed północą zadzwoniła jego komórka. Numer dzwoniącego był zastrzeżony. Daniel przeprosił dziennikarzy i wyszedł do holu, żeby móc porozmawiać.

- Kapral Graham? Tu Kate Morrow. Chcę panu powiedzieć coś jeszcze o Rayu.

- Dobrze. Czy możemy się umówić na jutro rano?

- Nie, wolałabym teraz. Tylko nikt nie może się o tym dowiedzieć. Chodzi o tę ostatnią historię, nad którą pracował.

- To znaczy?

- Nie powiedziałam panu wszystkiego.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

*Waszyngton*

Dwadzieścia minut później Daniel siedział sam w rogu baru Stargazers Club niedaleko swego hotelu.

Kate Morrow chciała się spotkać właśnie w tym miejscu.

Udało mu się tu dostać tuż przed deszczem i zastanawiał się, czy Kate nie spóźni się z tego powodu. Czekaając, zadzwonił do hotelu, chcąc sprawdzić, czy ktoś nie zostawił dla niego wiadomości. Okazało się, że ojciec Raya Tarvera potwierdził termin jutrzejszego spotkania.

To była dobra wiadomość.

Parę minut później zjawiała się Kate Morrow w płaszczu i z mokrym parasolem. Położyła torebkę na ławie obok i wytarła chusteczką moką twarz.

Zamówili kawę.

Dziennikarka czekała, aż kelnerka odejdzie, a potem wybuchła:

- To szaleństwo! Nigdy niczego takiego nie robiłam!
- Proszę się tym nie przejmować. Te informacje mogą być bardzo ważne.
- Zaczęło mnie to gryźć zaraz po wypadku. A teraz, po rozmowie z panem, mam jeszcze większe wątpliwości.

Daniel skinął głową.

- Tak, wyczułem, że coś panią gnębi. Chodzi o ostatnią historię Raya? Tę na temat nowego rodzaju broni?
- Tak, ale musi pan przysiąc, że nie zdradzi nikomu, że to ja przekazałam te informacje. Inaczej nic nie powiem.
- Zawsze staramy się chronić naszych informatorów, podobnie jak dziennikarze.
- Nigdy nikomu o tym nie mówiłam. Nikomu z kolegów, nawet mężowi...
- Mogę notować?

Przez chwilę się wahała, ale potem skinęła głową.

- Ray zawsze dokładnie sprawdzał swoje informacje. Nie dawał się wodzić za nos tak jak inni. Miał mnóstwo informatorów.

Urwała, kiedy dostali kawę, a potem znowu zaczęła.

- To może nic nie znaczy, ale Ray powiedział mi, że zaprzyjaźnił się z człowiekiem, który pracował w kontrwywiadzie CIA, a potem jako pracownik kontraktowy dostarczał informacji służbom wywiadowczym. Ufał Rayowi, bo mieli napisać razem książkę o jego życiu. W każdym razie ten facet miał na wyciągnięcie ręki wszystkie możliwe agencje wywiadowcze. Znał ludzi z całego świata, z Anglii, Niemiec, Francji, Izraela, Indii, Afryki, ze wszystkich możliwych krajów.

- Posługiwał się dokumentami na nazwisko Cliff Grady, ale nie było ono prawdziwe. W każdym razie Grady wyspecjalizował się w uzyskiwaniu informacji od obcego wywiadu. Któregoś dnia wezwał Raya i powiedział mu, że właśnie wrócił z Afryki.

- Co tam robił?

- Wysłano go do Nigerii, by pomagał przy przesłuchaniu pewnego podejrzanego. Ten człowiek podobno dużo wiedział i był zamieszany w jakąś poważną sprawę. Ray powiedział, że mężczyzna pochodził z Etiopii i że trzymano go w tajnym więzieniu na przedmieściach Abudży, stolicy Nigerii. Grady chciał opowiedzieć wszystko Rayowi przed

skontaktowaniem się ze swoimi mocodawcami, by „chronić integralność informacji”.

- To znaczy?

- Nie mam pojęcia. Obawiam się, że nigdy się tego nie dowiemy. Grady powiedział, że więzień odmawiał współpracy, a wywiad nigeryjski posunął się za daleko i terrorysta zmarł podczas przesłuchania. Poza tym Ray nie dysponował żadnymi szczegółami. Podobno celem miał być Londyn, Waszyngton, Berlin lub Rzym...

- Czyli tak naprawdę nie wiadomo.

- Pewnie tak.

- Czy Grady przekazał mu te informacje osobiście?

- Tak, spotkali się w barze koło Langley.

- W pobliżu kwatery głównej CIA.

- Właśnie.

- I co dalej?

- Ray powiedział, że Cliff nie przekazał informacji CIA.

- Skąd to wiedział?

- Ponieważ zginął jeszcze tej nocy w wypadku samochodowym.

- Co takiego?

- Wiem, że to w stylu Raya. Podaje najpierw jakąś ważną informację, a potem okazuje się, że nie można jej potwierdzić. Dzwoniłam na policję w tej sprawie, żeby to potwierdzić. Okazuje się, że tej nocy w tym rejonie nie zanotowano żadnego wypadku.

- Jakby się w ogóle nie wydarzył?

- Mhm.

- I pewnie okazało się, że Cliff Grady nigdy nie istniał?

- Zgadł pan.

Graham spojrział na swoją kawę, nie bardzo wiedząc, jak potraktować tę wiadomość.

- To brzmi jak historia z jakiejś szpiegowskiej powieści - zauważył Daniel. - I to nie najwyższych lotów.

- Wiem.

- Zaraz, czy mówi pani coś nazwa Blue Rose Creek?

196

- Nie, ale może pan to sprawdzić w dokumentach Raya. - Kate sięgnęła do torebki.
  - Ma pani jego dokumenty?
  - Tak, to wszystko, co mi przekazał. Wiem, że kontaktował się z kimś w Pentagonie i próbował od niego wydobyć nazwiska cywilnych kierowców, którzy byli w tajnym konwoju, który zaatakowano w Iraku. Chciał z nimi porozmawiać. Właśnie w tym miałam mu pomóc. - Kate podała mu szarą kopertę. - Wiem, że brzmi to dziwnie i że Ray był ekscentrykiem, ale wszystko, co panu powiedziałam, to szczerą prawdą. Właśnie z tego powodu nie zdradziłam jej nikomu w redakcji i nie poszłam z tym do CIA. Wyśmialiby mnie tylko dlatego, że to wszystko dotyczyło Raya. Poza tym nie chciałam, by ktoś wiedział, że mu pomagałam. Nie mogę sobie na to pozwolić.
- Daniel skinął głową.
- Rozumiem.
  - Być może te informacje to stek bzdur, ale Ray był moim przyjacielem i jestem mu coś winna. Jestem pewna, że chciałby, żebym przekazała panu te informacje - powiedziała Kate i wskazała szarą kopertę.
  - Bardzo pani dziękuję.
  - Ja też dziękuję. I życzę powodzenia.
- Kiedy Kate wyszła, Daniel zamówił jeszcze jedną kawę i zaczął przeglądać dokumenty Tarvera. Zatrzymał się na widok ręcznie sporządzonej notatki:  
„Blue Rose Creek, najprawdopodobniej w Kalifornii. Trzeba sprawdzić”.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

*Granica rumuńsko-ukraińska*

- Jeszcze raz.

Strażnik zanurzył głowę więźnia w kubie z lodowatą wodą.

Mężczyzna był nagi. Klęczał na betonowej posadzce. Po ośmiu sekundach bez tlenu zaczął się miotać, próbując się uwolnić.

Po dwunastu się poddał.

Kobieta, która go przesłuchiwała, siedziała wygodnie na krześle. Mówiono na nią „Pani Pułkownik”. Miała koło czterdziestki, mówiła sześcioma językami i była specjalistką od technik przesłuchań stosowanych przez Stasi, CIA, Mossad i SS.

Czy pochodziła z Niemiec, czy z Izraela? Niektórzy uważali, że jest Polką.

Kiedy minęło szesnaście sekund, skinęła głową i strażnik wyjął głowę więźnia z wiadra. Mężczyzna z trudem łapał powietrze, cały drżał. Wcześniej zadbano o to, by nie spał przez cztery doby. Nie mógł sam stać. Lekarz wojskowy zaczął sprawdzać, w jakim jest stanie, a Pani Pułkownik przysunęła się bliżej.

- Czy prowadzicie teraz jakąś ważną operację? Mężczyznę nazywano Issa al-Issa i działał on jako tajny

koordynator dłużej, niż powinien. Być może wcześniej pracował jako policjant w Zjednoczonych Emiratach Arabskich, chociaż nie było to pewne. Miesiące skrupulatnej pracy wywiadu doprowadziły do tego, że porwano go z mieszkania w Kuwejcie, zakneblowano i umieszczono w worku, który następnie załadowano do luku prywatnego odrzutowca.

Samolot poleciał najpierw do Jordanii, a potem do Nikozji.

Następnie wylądował w rejonie, gdzie Dunaj wpływał do Morza Czarnego, gdzie z kolei przewieziono go do budynku numer S-9846.

To właśnie tutaj KGB prowadziła kiedyś swoje przesłuchania.

Ten budynek nie istniał.

Jednak to samo w sensie prawnym dotyczyło Issy al-Issa. Był on tylko duchem, całkowicie niematerialnym bytem.

- No, Issa, co powiesz o waszych operacjach? Lekarz spojrział na Panią Pułkownik i pokręcił głową. Issa znajdował się w krytycznym stanie. Pani Pułkownik powiedziała strażnikowi, by go puścił.

Mężczyzna leżał na podłodze, odpoczywając po raz pierwszy od stu godzin.

Gdy tak leżał, cały drżący, kobieta pochyliła się nad nim.

- Powiesz mi coś jeszcze przed śmiercią?

Czekała, doskonale wiedząc, że nie otrzyma odpowiedzi. Więzień zaczął rzeźić niczym zwierzę, a potem znieruchomiał.

Lekarz przyklęknął obok i sprawdził jego puls, zajrzał w źrenice, a potem oznajmił, że nie żyje.

- Zajmij się nim - zwróciła się Pani Pułkownik do strażnika.

Strażnik szybko załadował ciało do worka na trupy, a następnie z pomocą dwóch innych ludzi wyniósł je z pokoju.

We trójkę zanieśli go do grobu, który więzień wykopał sobie zaraz pierwszego dnia po przybyciu na miejsce.

Mężczyźni zaczęli zakopywać ciało, zaś Pani Pułkownik

siedziała w budynku numer S-9846 i przeglądała notatki. Issa był jednym z najtrudniejszych przypadków, z jakimi się zetknęła. Nie udało jej się wydobyć z niego wszystkiego.

Jednak to, co miała, było bardzo ważne.

Sięgnęła po telefon satelitarny.

Zadzwoniła do przedstawiciela ambasady, z którym się zwykle kontaktowała.

Informacje, które pochodziły od Issy, mogły pomóc rządowi paru bogatych krajów. A to oznaczało spory przyływ gotówki.



## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

*Watykan*

Papież stanął przed wschodem słońca przy oknie w swoim apartamencie na najwyższym piętrze Pałacu Apostolskiego.

Patrzył, jak światło słoneczne zaczyna opromieniać bazylikę, kolumnadę Berniniego i plac świętego Piotra. Widział błękitne i czerwone refleksy na ulicach, po których snuło się zaledwie paru policjantów.

Był bardziej zmęczony niż zwykle, źle spał tej nocy. Teraz próbował sobie przypomnieć, co go tak zaniepokoiło.

To był tylko sen.

Pojawiły się już pierwsze światła poranka.

Papież przeszedł do swojej prywatnej kaplicy, by rozpocząć modlitwę. Modlił się o pokój na świecie i w intencjach osobistych, złożonych mu przez wiernych. Za dziesięcioletniego chłopca z Salwadoru, który stracił rodzinę w trzęsieniu ziemi, pogrążoną w smutku wdowę z Belfastu, która bała się, że po śmierci męża straci wiarę w Boga, a nawet za dziewczynkę ze Szwajcarii, która zgubiła kotka i do listu dołączyła jego zdjęcie wraz z mapką, „żeby Pan Bóg wiedział, gdzie szukać”.

Ojciec Święty uśmiechnął się na widok tych słów.

Po modlitwie odprawił mszę świętą w niewielkim gronie, a potem zjadł śniadanie w towarzystwie zakonnic, które

przybyły z Brazylii. Następnie udał się do swego gabinetu, gdzie zajął się przeglądaniem kazań i przemówień na zbliżającą się pielgrzymkę do Stanów Zjednoczonych. Podejmowały one tematykę zatrucia środowiska, zapłodnienia in vitro, aborcji, świętości rodziny, zmniejszającej się liczby powołań i kapłaństwa kobiet w Kościele Katolickim.

Wciąż jednak myślał o swoim śnie.

Przed południem miał jeszcze kilka audiencji, a potem zjadł lunch w towarzystwie dyplomatów świeżo przybyłych do Stolicy Piotrowej z Holandii, Francji, Japonii, Indii i Chile.

Później papież wrócił do gabinetu i otworzył zamkniętą sakwę, którą otrzymał od Sekretarza Stanu. Znajdowały się w niej tajne listy od przywódców światowych, a także inne ważne dokumenty, jak choćby informacje na temat bezpieczeństwa związanego z pielgrzymką do Ameryki.

Informacje pochodziły od szefa amerykańskiego wywiadu, a dodatkowo towarzyszyły im analizy popełnione przez szefa papieskiej ochrony, w których zwracano uwagę na liczbę pojawiających się zagrożeń, podejrzewane źródła i środowiska, które mogą stanowić zagrożenie, oraz określano działania prewencyjne i sposoby reagowania w sytuacjach krytycznych.

Papież dostawał taką dokumentację przed każdą zagraniczną wizytą.

Westchnął ciężko, widząc prośbę o korzystanie ze specjalnej kamizelki kuloodpornej w czasie wszystkich publicznych wystąpień i mszy polowych.

„Wywiad informuje Waszą Świątobliwość o dużym prawdopodobieństwie ataku i jednocześnie zapewnia, że dołoży wszelkich starań, by wizyta przebiegała...”.

Takie ostrzeżenia nie były niczym nowym.

Papież zaczął wspominać kolejne zamachy lub próby zamachów na swoich poprzedników. Myślał głównie o Janie Pawle II, o tym, jak próbowano go zastrzelić. Papież doskonale wiedział, że on też może stać się celem ataku. Tak było od czasów świętego Piotra.

Pogodził się z tym ryzykiem.

Po chwili usłyszał znajome podwójne pukanie do drzwi. Pojawił się w nich zastępca Sekretarza Stanu.

- Przepraszam Waszą Świątobliwość, ale najwyższy czas na spotkanie z kolegium kardynalskim w związku z pielgrzymką do Ameryki.

Papież wziął głęboki oddech, wypuścił wolno powietrze i ruszył za zaufanym sekretarzem, patrząc z satysfakcją na szesnastowieczne marmury pałacu apostolskiego, pięknie zdobione gobeliny i freski Rafaela.

Sekretarz Stanu już poinformował ponad dwudziestu zgromadzonych kardynałów o najważniejszych sprawach.

Papież uniósł dłoń z pierścieniem rybaka, dając sygnał do dyskusji.

- Wasza Świątobliwość - zaczął jeden z kardynałów. - Amerykanie odpowiedzialni za bezpieczeństwo pielgrzymki przekazali nam informacje, z których wynika, że terroryści mogą podjąć próbę zamachu. Nie ma jednak żadnych konkretów. Niemniej jednak przedstawiciele amerykańskiego Kościoła są zaniepokojeni i naciskają, żeby skrócić wizytę. Wywiad amerykański chce, żebyśmy jak najszybciej podali nowy plan przejazdu.

Papież skinął głową, a kardynał kontynuował:

- Wasza Świątobliwość, moim zdaniem obniżyłoby to rangę wizyty.

- Poza tym jest już po prostu za późno - zauważył inny. Członkowie kolegium wypowiadali się jeden po drugim, a papież zaczął myśleć o zdjęciu Buffalo Breaks, które miał na nocnej szafce. Ten „kraj bezkresnego nieba”, jak go nazywano, był naprawdę piękny. Wcześniej, na początku tygodnia, poprosił o dostarczenie z biblioteki dzienników jezuitów, którzy przybyli na te tereny na początku XIX wieku, jeszcze przed białymi osadnikami.

Z przyjemnością czytał przed zaśnięciem ich poetyckie opisy.

„Nie ma takiego drugiego miejsca. Ziemia spotyka tu

niebo i można stanąć oko w oko z Bogiem. Jest to miejsce, gdzie czuje się Jego potęgę." - napisał kronikarz.

Miejsce, gdzie czuje się Bożą potęgę.

A potem powróciły do niego obrazy z jego snu.

Papież nikomu o nim nie powiedział.

Sen przypominał wizję.

Siostra Beatrice unosiła się nad prerią i mówiła mu, że musi tu przyjechać. Ze znajdzie tu swoje przeznaczenie. Ktoś zwrócił się do niego.

- Ojciec Święty?

- Tak?

- Powinniśmy już przekazać szczegóły wizyty do Waszyngtonu.

Papież skinął w zamyśleniu głową.

Pomyślał o historii Kościoła. O tych duchownych, którzy nieśli słowo Boże w najodleglejsze zakątki ziemi, nie dbając o własne bezpieczeństwo.

Wciąż tak się działo.

A on był przede wszystkim duchownym.

Jeśli Bóg uzna, że powinien umrzeć tam, gdzie inni oddali życie w imię Boże, to mógł tylko pogodzić się z tą decyzją.

Nie bał się śmierci.

Tam znajdowało się jego przeznaczenie. W miejscu, gdzie można było poczuć Bożą potęgę.

- Wasza Świątobliwość? Papież westchnął.

- Musimy jeszcze dopracować parę szczegółów - rzekł. - Należy jednak kontynuować pierwotne przygotowania.

Udzielimy odpowiedzi pod koniec dzisiejszego dnia.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

*Waszyngton*

Daniel Graham przeglądał papiery Tarvera, rozłożone na hotelowym stoliku. Szukał istotnych informacji. Czegoś, co dałoby podstawy do dalszego śledztwa. Siedział tak od świtu.

Miał zmierzwione włosy. Włożył wypłowiały T-shirt i spodnie od dresu. Popijał zimną kawę. Czytał artykuły i sprawozdania na temat wyimaginowanych spisków, „uśpionych” komórek terrorystycznych i technologii pozwalającej na zbudowanie zakamuflowanych bomb.

Wśród materiałów znajdowały się również dokumenty rządowe na temat cywilnych kierowców, którzy pracowali w Iraku. Tarver otrzymał je dzięki przepisowi o wolności dostępu do informacji, ale duża ich część była zamazana na czarno, ze względu na ochronę danych osobowych.

Tarver musiał się sporo napracować, żeby dotrzeć do tych informacji.

Jednak Daniel nie mógł znaleźć żadnego powiązania z ostatnią historią Tarvera i tragedią w Górach Skalistych.

Wciąż gnębiło go to, czego dowiedział się w trakcie śledztwa: obcy nieznajomy, zaginiony laptop i ostatnie słowa Emily Tarver. Ponownie sięgnął po notes z wpisami na temat Blue Rose Creek.

197

Prawdopodobnie w Kalifornii.

Co to za Blue Rose Creek? Daniel potarł brodę. Co to może znaczyć?

Czy jakoś wiąże się to z jego sprawą?

Walker nie dzwonił, poprosił więc Rega Novaka i agenta FBI Carsona, by sprawdzili to w swoich bazach danych.

Nic jednak nie znaleźli. Daniel szukał sam w Internecie, ale znalazł tylko jakieś błogi i kącik poezji. Poza tym informacje o miejscowości o tej nazwie w hrabstwie Riverside w Kalifornii.

Może ojciec Raya zdołał coś znaleźć. Daniel spojrzął na zegarek i stwierdził, że powinien wziąć prysznic i przebrać się przed spotkaniem, kiedy zadzwonił hotelowy telefon.

- Dzięki, że trzymałeś całą sprawę w ukryciu. - Daniel usłyszał głos inspektora Stottera, który dzwonił z Calgary. -

Czy nie sądzisz, że powinieneś już wracać?

- Zaraz wyjaśnię, co się stało.

- Nie, to raczej ja ci powiem, co się stało. Mieliśmy telefon z kwatery głównej wywiadu z Ottawy, po którym spędziłem wczoraj niemal cały dzień na dywaniku u szefa, usiłując cię bronić.

- Mogę wszystko wyjaśnić - wtrącił Daniel.

- Właśnie, zacznij od tego, dlaczego powiedziałeś agentowi odpowiedzialnemu za bezpieczeństwo papieskiej pielgrzymki, że jest podejrzanym w tej sprawie?

- A skąd ten agent wie, że ta sprawa, moja sprawa, jest już wyjaśniona i zamknięta?

- Nie o to teraz chodzi.

- A właśnie, że o to. Ktoś mnie zdradził i naopowiadał mu jakichś bzdur.

- Raczej jakiś biurokrata z Ottawy chciał, żeby sprawa ładnie wyglądała.

- Ładnie wyglądała? O czym ty mówisz, Mike?

- Posłuchaj, amerykańskie służby wywiadowcze są teraz bardzo zajęte. Muszą sprawdzić każdego wariata, który stanowi potencjalne zagrożenie. A w dodatku ich prezydent

ma przyjechać w przyszłym miesiącu do Kanady. Pamiętaj, że nasze stosunki obecnie nie należą do najlepszych...

- A co to ma wspólnego ze sprawą Tarverow?

- Władze w Ottawie nie chcą żadnych tarć. Zwłaszcza ze służbami specjalnymi.

- Zajmuję się sprawą wielokrotnego morderstwa, a ty mi mówisz o polityce.

- To była prawdziwa tragedia, ale nie zapominaj, że zginęli w górach. Obecnie zakładamy, że był to tylko wypadek.

Instykt mówi ci coś innego, ale nie masz niczego na potwierdzenie swoich podejrzeń. Przyjmuję więc założenie, że był to wypadek.

- Co?

Na linii coś zatrzeszczało, a potem Daniel znowu usłyszał głos Stottera.

- Przecież wiesz, że to prawda. Bardzo mi przykro, ale będę musiał wezwać cię do kraju. Jesteś potrzebny, mamy tu sporo pracy.

- Nie, Mike. Pozwól mi jeszcze zostać, tak jak obiecałeś.

- Posłuchaj, Dan. Dałem ci tę delegację, bo myślałem, że ci to dobrze zrobi. Jesteś jednym z naszych najlepszych śledczych. Sporo ostatnio przeszedłeś i pomyślałem, że potrzebujesz czasu, by dojść do siebie.

- Chcesz powiedzieć, że dałeś mi tę sprawę z litości?

- Dan.

- To niemożliwe. A może ktoś znalazł ciało Tarvera?

- Nie.

- Więc przynajmniej jego laptopa?

- Nie.

- Dlaczego zatem wszyscy poza mną uważają, że to był wypadek?

Zapadła niezręczna cisza. Stotter zbierał się, by mu odpowiedzieć.

- To ty słyszałeś głosy, Dan - odparł po chwili.

- Ona naprawdę to powiedziała, Mike. Emily Tarver powiedziała mi to przed śmiercią.

- Jesteś pewny, że to była właśnie ona?

Daniel poczuł ucisk w żołądku i ścisnął mocniej słuchawkę.

- Bardzo proszę o pozwolenie na wykonanie zadania w wyznaczonym czasie - powiedział chłodnym głosem.

Daniel wiedział, że nie będzie mógł usprawiedliwić dalszego pobytu w Stanach, ale pragnął dokończyć śledztwo.

- Pamiętaj, że pozostajesz do mojej dyspozycji.

- Tak jest.

- Daję ci jeszcze parę dni, ale potem to już koniec. Jasne?

- Tak jest.



## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

*Langley, Wirginia*

Kilkanaście kilometrów na południe od Waszyngtonu, w bezpiecznym pokoju konferencyjnym CIA zebrali się przedstawiciele blisko dwudziestu jednostek wywiadowczych, by omówić kwestie bezpieczeństwa papieskiej pielgrzymki.

Był wśród nich agent specjalny Blake Walker.

Przeszli właśnie do najważniejszego punktu spotkania. Wysoki rangą pracownik CIA wskazał duży ekran, na którym widać było zmęczoną twarz.

- To jest Issa ał-Issa, aresztowany w zeszłym tygodniu w Kuwejcie.

Na sali rozległy się pełne niedowierzania pomruki.

- Z tego, co udało się nam od niego dowiedzieć, wynika, że terroryści planują zamach na papieża na terenie Stanów Zjednoczonych. Ta operacja jest już bardzo zaawansowana.

Agencja dysponowała zaledwie urywkami danych na temat współpracowników Issy. Wielu z nich było naukowcami, chemikami, biologami albo fizykami jądrowymi. Wspierała ich siatka gotowa dostarczyć pieniądze lub każdy inny rodzaj wsparcia.

- O co więc chodzi? - zapytał szef Biura Bezpieczeństwa

Wewnętrzny. - Zamach z użyciem broni nuklearnej albo zakamuflowanej bomby?

- To dwie najgorsze możliwości. Wszyscy wiedzą, gdzie będzie przebywał papież. Taki atak miałby olbrzymią symboliczną wymowę, która uderzy w Stany Zjednoczone.

Doradca wojskowy chciał wiedzieć, skąd pewność, że informacje są prawdziwe.

- Otrzymaliśmy je od oddziału najemników, z którym już wcześniej współpracowaliśmy - odparł przedstawiciel CIA. - Oni zdają sobie sprawę, że jeśli informacje się nie potwierdzą, będą spaleni. Zapłaciliśmy im, mimo że Issa zmarł w trakcie przesłuchania. - Mężczyzna popatrzył na swój długopis, a potem dodał: - Okazało się, że miał problemy z sercem.

- Ale przecież sam Issa mógł kłamać - zauważył doradca wojskowy. - Mógł powiedzieć, co mu się żywnie podobało. Przerwał mu szef Agencji Bezpieczeństwa Narodowego.

- Te informacje pokrywają się z tym, co sami zdołaliśmy ustalić. Terrorysty niewątpliwie coś planują.

- A co sami wiecie?

- Dotarły do nas informacje o statkach z niebezpiecznym towarem, które zbliżają się do wybrzeży Ameryki.

- To nic nowego - zauważył doradca wojskowy. - O ile wiem, większość z tych informacji się nie potwierdziła.

- Popatrzył na wszystkich zgromadzonych wokół stołu.

- Czy ktoś zdołał ustalić powiązania między tym, co powiedział Issa, a informacjami, które zdołaliśmy przechwycić? Coś, czym naprawdę moglibyśmy się przejmować?

- A co z tymi Amerykanami, którzy zginęli w Kanadzie?

- odezwał się szef ABN. - Ten dziennikarz zajmował się sprawami bezpieczeństwa narodowego. Może udało mu się coś ustalić?

Blake Walker potrząsnął głową.

- Kontaktowaliśmy się w tej sprawie z kanadyjskim wywiadem i policją. Wygląda na to, że był to zwykły wypadek w górach. Łódka Tarverów po prostu przewróciła

się w rzece. Kanadyjska policja wysłała nawet swojego przedstawiciela do Waszyngtonu, ale wydaje mi się, że wyjaśniliśmy już tę sprawę.

Współpracownik Walkera dał znak, by przeszedł do pozostałych spraw. We współpracy z egipskim i włoskim wywiadem udało się wykryć grupę fanatyków o nazwie KTK, którzy chcieli porwać papieża w czasie jego wizyty.

- Chcieli potem nagrać film, grożąc ścięciem papieża, jeśli władze Izraela nie wypuszczą uwięzionych członków KTK - wyjaśnił Walker.

Poza tym wywiad niemiecki wraz z CIA wykrył grupę brutalnych najemników, weteranów wojen w Ruandzie i Kongo, których wynajęli rozczarowani pracownicy organizacji charytatywnych.

- Chcieli porwać papieża, by zwrócić uwagę na problemy Afryki - dodał Walker. - Wszyscy zostali aresztowani w Europie.

- Wygląda na to - powiedział doradca wojskowy, spoglądając na zegarek - że panujemy nad sytuacją. Pozostałe zagrożenia są czysto hipotetyczne. Oczywiście z dokumentów wynika, że nadal istnieją niewyjaśnione potencjalne źródła zapalne, ale wciąż je analizujemy.

Nikt się nie odezwał, więc doradca kontynuował.

- Społeczeństwo ma dosyć zagrożeń. Nie możemy ciągle straszyć ludzi.

Parę osób pokiwało głowami.

- Coraz więcej organizacji kościelnych nalega na skrócenie wizyty. To bezprecedensowe zachowanie.

- Czy znamy już stanowisko Watykanu?

- Wciąż czekamy na oficjalne potwierdzenie.

- No właśnie, wiąże się z tym masa problemów. - Przedstawiciel departamentu stanu zaczął wyjaśniać zawiłości stosunków USA z Watykanem.

Blake czuł narastające napięcie. Wiedział, że przed ważnymi wydarzeniami agenci mało śpią, są podenerwowani i często dostają wrzodów żołądka.

Zgromadzeni politycy zaczęli omawiać sytuację międzynarodową, on natomiast spojrzął na leżące przed nim dokumenty i na kalendarz.

Zostało już mało czasu.

Najpierw Boston, gdzie prezydent powita papieża, potem Nowy Jork, Miami, Houston, Los Angeles, potem strefa północna, za którą odpowiadał Walker, a na koniec Chicago.

Walker zebrał już zespoły i sprawdził trzykrotnie te miejsca, w których będą papieskie wizyty, odbył spotkania z oficerami odpowiedzialnymi za kolejne etapy pielgrzymki, a także z miejscowymi władzami i policją. Wkrótce zamierzał pojechać do Seattle, gdzie miał nadzorować zespoły ochrony, które będą towarzyszyły papieżowi przez całą wizytę.

Jego ludzie odpowiadali za bezpieczeństwo papieża w czasie wizyty w Seattle, w stanie Waszyngton i potem w hrabstwie Lone Tree, w Montanie.

Spojrzął na przedwczesne ogłoszenie księdza Stone'a.

Znowu odezwały się w nim wątpliwości. Zaczął się modlić, by to ogłoszenie nie spowodowało jakiegoś nieszczęścia.

Nie miał jednak czasu, by się dłużej nad tym zastanawiać, gdyż poczuł wibracje swojego telefonu. Wyjął go i odczytał zakodowaną wiadomość od szefa.

**WATYKAN NIE ZGADZA SIĘ NA SKRÓCENIE TRASY. WIZYTA JAK ZAPLANOWANO.**

Walker z trudem przełknął ślinę.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

### *Takoma, Dystrykt Kolumbii*

Czy znajdzie tu odpowiedzi na swoje pytania? Tarverowie mieszkali w skromnym domu w stylu wiktoriańskim.

Tu właśnie żyli, snuli swoje plany, i tutaj Ray zajmował się swoimi spiskowymi teoriami.

Dom był nieco odsunięty od ulicy. Z przodu znajdowała się zaciszna weranda z poręczami z kutego żelaza, ocieniona wystającym dachem. Posiadłość leżała niedaleko stacji metra Takoma, ostatniego przystanku czerwonej linii w tym stanie. Kolejny przystanek był w Silver Spring, które należało już do stanu Maryland. Daniel zastał Jacksona Tarvera w ogródku, gdzie okopywał róże.

- Przyszedł pan w odpowiednim czasie - powiedział Jackson.

- Bardzo ładny dom.

- Anita bardzo o niego dbała - rzekł ponuro Jackson. - Ma pan jakieś informacje o Rayu? Może go znaleźli?

- Niestety. Właśnie kończą się poszukiwania. Bardzo mi przykro.

Tarver spojrział w stronę domu tak, jakby wciąż znajdował się w nim jego syn ze swoją rodziną. Westchnął ciężko.

- Dobrze, chodźmy. Oprowadzę pana po domu, tak jak obiecałem.

Zaczęli od ogrodu na tyłach.

Znajdował się tu typowy taras z grillem i parasolem, a także dobrze utrzymany trawnik. Wokół rosły rododendrony i paprocie, ocienione przez klony, a także buk, na którym zawieszono huśtawkę. Tarver pchnął ją lekko.

- Dzieciaki uwielbiały tę huśtawkę - mruknął.

Jej liny lekko zaskrzypiały, a Daniel wyobraził sobie bawiące się tu dzieci. Anita zajmowała się ogrodem. Ray wraz z ojcem rozpalali grilla i pijąc piwo, rozmawiali o sporcie lub polityce.

Żyli tak jak większość rodzin.

- Przepraszam, czy jesteście panowie krewnymi Raymonda i Anity Tarverow? - Obaj mężczyźni obrócili się w stronę kobiety po trzydziestce, która stała przy domu.

- Jestem ojcem Raya, nazywam się Jackson Tarver.

- Melody Sloane. Mieszkam przy końcu ulicy. Moje bliźniaki bawiły się z Emily i Tommym.

- Proszę dalej.

- Nie chciałabym przeszkadzać. Zobaczyłam pana w ogródku.

- Proszę, wcale pani nie przeszkadza.

- Chciałam złożyć wyrazy współczucia. - Uściskała go mocno. - Czytałam o tej strasznej tragedii... - Jej głos się załamał. - Naprawdę bardzo mi przykro.

- Bardzo dziękuję.

- Sąsiedzi pytali o pogrzeb, ale policjanci, którzy byli tu wcześniej, nic nie mogli powiedzieć.

- Nie podjęliśmy jeszcze decyzji. Skremowaliśmy tylko ciała Anity i dzieci. Urządzimy pogrzeb, jak odnajdziemy Raya, tak żeby mogli być razem.

- Tak, oczywiście. Proszę dać znać, kiedy podejmie pan decyzję. - Odwróciła się, by odejść.

- Przepraszam panią. - Daniel podał jej swoją wizytówkę. - Kapral Graham z kanadyjskiej policji.

Kobieta popatrzyła na kartkę z głową bizona.

- Zajmuję się tą sprawą w Kanadzie. Czy może pani powiedzieć coś jeszcze o tych dwóch policjantach?

- O tak, właśnie napisali o tym wypadku w *Washington Post*. Przyszłam, żeby wrzucić kartkę z kondolencjami do skrzynki, a oni już tu byli. Chyba chcieli wejść do środka.

- To była policja z Waszyngtonu? A może FBI? Pokazali pani odznaki?

- Nie, tylko powiedzieli, że są z policji.

- Mówili, po co tu przyszli?

- Pytali, kto zajmuje się tym domem, ale nie wiedziałam. Daniel zwrócił się do Tarvera.

- Zgłosili się do pana?

- No, dzwoniło sporo osób, między innymi z policji, ale nie pamiętam, o co im chodziło. Co innego miałem na głowie.

- Pokazywał pan policji ten dom?

- Nie.

- Więc tak naprawdę nie wiemy, kim byli tamci mężczyźni.

Jackson Tarver wzruszył ramionami.

- A co za różnica?

- Po prostu chciałbym wiedzieć.

- To mogli być jacyś dziennikarze, przyjaciele Raya. - Tarver zamyślił się na chwilę.

- Możliwe.

Albo też ktoś inny, zajmujący się tą sprawą, pomyślał Daniel. Zanotował coś w notesie, a potem poprosił panią Sloane, by do niego zadzwoniła, gdyby przypomniła sobie coś jeszcze.

Kiedy kobieta odeszła, Tarver zaprowadził Daniela do garażu. Pokazał mu rodzinną toyotę corollę, półki z narzędziami, wysuwaną drabinę, która wisiała na haku nad kosiarką, a także rowery i zabawki dla dzieci. W kącie stały kartonowe pudła z wyraźnym napisem: „Ubrania na cele dobroczynne”. Daniel pomyślał, że to pewnie Anita je

zebrała, a następnie przeszedł za Tarverem do dalszej części domu.

- Niczego tu nie ruszałem - powiedział gospodarz. - Może pan tutaj szukać, a ja zrobię kawę.

W salonie stała duża kanapa w kształcie litery L z miękkimi poduszkami, przed nią telewizor, a zaraz obok kominek z czerwonej cegły. Na półkach znajdowały się filmy DVD, takie jak „Titanic”, „Wybór Zofii”, „Poszukiwacze”, „Zawód: dziennikarz” oraz płyty Bruce'a Springsteena, Beatlesów i Van Morrisona, książki F. Scotta Fitzgeralda, Stein-becka i Faulknera, a także mała galeria oprawionych zdjęć, głównie Tommy'ego i Emily z rodzinnej wycieczki do Orlando, sądząc po kapeluszach Myszki Miki -na ich głowach. Obok znajdowało się przejście do jadalni z prostym drewnianym stołem i sześcioma krzesłami oraz przeszkloną serwantką. Nad stołem wisiał żyrandol.

Z jadalni wychodziło się do przedpokoju i sypialni.

W pierwszej sypialni Daniel zobaczył na ścianie pastelową tapetę w jednorożce i tęcze, a także małe łóżko z poduszką zdobioną koronką. Nad łóżkiem wisiał przypięty rysunek z napisem „Pałac księżniczki Emily”. Szafy i półki były wypełnione zabawkami. Daniel wyczuł tu dziecięcy zapach.

Emily niemal umarła w jego ramionach.

Obok znajdowała się mała, czysta łazienka, łącząca się z następnym pokojem.

Zobaczył w nim model promu kosmicznego, a na ścianie mapę z układem słonecznym oraz plakaty Wizards i jeden z Batmanem. Na łóżku leżały jeszcze książeczki do kolorowania, a na drzwiach wisiała koszulka z napisem „Tommy Zwycięzca”.

Księżniczka Emily i Tommy Zwycięzca leżeli martwi obok swojej matki.

Daniel przeszedł dalej do sypialni Tarverów, położonej na końcu korytarza.

Duże okno wychodziło na tyły domu, obok znajdowała się

208



garderoba, nieco dalej łazienka. Niezle urządzona, pomyślał Daniel, wdychając lekki zapach perfum. Ściany miały kremowy kolor, a nad łóżkiem wisiała reprodukcja obrazu Rembrandta. Na jednej z szafek zobaczył historyczny romans „Rycerze i damy”, a na drugiej książkę zatytułowaną: „Spiski terrorystyczne na świecie”.

Daniel poczuł nagły smutek i sięgnąwszy po książkę Raya, zaczął ją kartkować.

Świat tej rodziny wciąż trwał, chociaż wszyscy odeszli. A on starał się zrozumieć, co się z nimi stało.

Może to jednak był wypadek? - pomyślał Daniel.

W takim razie, co ja tu, do diabła, robię?

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

*Takoma, Dystrykt Kolumbii*

- Ostrożnie. Gorące.

Daniel spojrzął na dymiący kubek, który podał mu Jackson.

Stali w sypialni Raya i Anity i milczeli przez chwilę.

- Czego pan szuka? - zapytał w końcu Tarver.

- Tak naprawdę sam nie wiem. Mam nadzieję, że dowiem się, kiedy to znajdę.

- Wie pan, czasami w nocy nie mogę spać i myślę, że Ray leży gdzieś ranny w górach i czeka na pomoc. Że do nas wróci, a my pomożemy mu dojść do siebie.

- Mówił pan, że zrezygnował z pracy, ale z tego, co wiem, wyglądało to nieco inaczej.

- Ray nie chciał o tym mówić. Zawsze obawiałem się tego, że go wygryzą z tej roboty. Kiedy to się stało, starałem się mu pomagać i pożyczalem od czasu do czasu pieniądze.

- Jak pan sądzi, czy mogło mu coś grozić z powodu jego pracy? - zapytał Daniel.

- Czyżby miał pan jakieś podejrzenia? - Jackson Tarver spojrzął na niego uważnie.

- Chcę po prostu mieć pewność, że to był wypadek. Nie udało nam się znaleźć jego laptopa. Czy mówił panu może o ostatnim temacie, nad którym pracował?

- Jedynie że to bardzo ważne i że na pewno będzie mógł na ten temat napisać książkę.
- Nie wspominał nic o terrorystach? Wygląda na to, że badał ten temat.
- Możliwe. Nie wiem.
- A nie wydaje się panu, że trochę przesadzał? Jackson Tarver wyglądał na poruszonego tym pytaniem.
- Ray starał się być ostrożny. Nie pisał o wszystkim, co mu wpadło w ręce...
- Miał wrogów?
- Nie wiem. Czy chce pan powiedzieć, że ktoś mógł zabić ich wszystkich z powodu jakiegoś głupiego artykułu? Nie mogę zdradzać wszystkich szczegółów śledztwa, pomyślał Daniel.
- Nie, nie. Po prostu sprawdzam różne możliwości. Niepokoi mnie zwłaszcza brak tego laptopa. Ale przecież ktoś mógł go ukraść z obozowiska czy coś w tym rodzaju...
- Mogę panu tylko powiedzieć, że mój syn był świetnym dziennikarzem. Dokładnie badał sprawę, zanim zaczął o niej pisać. Wiem, że był samotnikiem, że śmiali się z niego w pracy... Anita mi o tym mówiła. Ale Ray nie był taki, jak inni dziennikarze z Waszyngtonu, gotowi zrobić z igły widły.
- Rozumiem.
- Pewnie chce pan zobaczyć jego gabinet. Jest w suterenie. - Tarver wskazał mu ręką drogę. W suterenie pachniało praniem. Było w niej kilka niskich pomieszczeń, wykończonych boazerią, pochodzącą zapewne jeszcze z lat siedemdziesiątych. Znajdowała się tu niewielka sypialnia, wyłożona linoleum łazienka, kotłownia i pralnia. I oczywiście gabinet Raya Tarvera. Było to niewielkie pomieszczenie w kształcie kwadratu o boku około trzech metrów. Przy ścianach stały półki i dwie szafki, a także duże biurko z komputerem.
- Nikt tu niczego nie ruszał od ich wyjazdu do Kanady. Szafki są otwarte, może pan też sprawdzić komputer. Ja będę na górze.

Koło półek leżał spory stos gazet. Na gwoździu umieszczonym na jednej z półek wisiały laminowane identyfikatory prasowe. Daniel zauważył też sporo dyplomów za osiągnięcia Raya Tarvera. Do ramki jednego z nich przypięto papierową tarczę z podziurawioną kulami sylwetką. Obok stało puste pudełko po nabojach.

Na ścianach wisiały pożółkłe artykuły Tarvera z gazet z San Francisco, Dallas, Miami, Bostonu, Minneapolis, Filadelfii i Denver, a także zdjęcia Raya w towarzystwie innych dziennikarzy z Europy, Bliskiego Wschodu, Kuwejtu, Iraku, Japonii i Afryki. Tarver w towarzystwie prezydenta Busha, a dalej Clintona.

Czyżby to był Bruce Springsteen obok Raya? - pomyślał Daniel, patrząc na kolejne zdjęcie.

Facet miał spore znajomości.

Daniel postawił kubek na biurku i włączył komputer. Popatrzył na zegarek, była dziesiąta dwadzieścia. Na szczęście komputer nie był zabezpieczony hasłem. Zaczął sprawdzać ostatnio przeglądane strony internetowe, zaczynając od tych najnowszych.

Tak jak przypuszczał, dotyczyły one wycieczki do Kanady, lotów, hoteli, banków. Nic szczególnego. Zaraz, a skąd ta opłata za usługi dochodzeniowe? Daniel zapisał sobie adres, który się wyświetlił.

Dalej pojawiały się strony, gdzie można było wyszukać informacje dotyczące różnych osób: szkoły, które kończyły, miejsca pracy, stowarzyszenia, do których należały i inne dane osobiste. Większość wyszukiwanych osób mieszkała w Kalifornii, w hrabstwach położonych na południu stanu.

I to był koniec. Nic więcej.

Następnie Daniel zajął się folderami z artykułami i zdjęciami, ale nic nie zwróciło jego uwagi. Skończył dopiero koło piątej.

Przetarł oczy i rozmasował szyję. Zaczął się już zbierać, kiedy zauważył coś ukrytego między plakietkami.

Doskonała kryjówka, pomyślał, biorąc do ręki USB.

Ludzie często przechowywali na nich ważne dokumenty. Na obudowie przenośnej pamięci znajdował się odręczny napis.

LAPTOP.

Daniel wstrzymał oddech. Czy to możliwe?

Włożył urządzenie do portu z nadzieją, że Tarver przed wyjazdem zapisał tu pliki z laptopa.

I rzeczywiście, po chwili miał przed sobą okienko z dokumentami w Wordzie. Niestety, większość z nich widział już w komputerze. Nieco zrezygnowany postanowił je jeszcze przeszukać, wpisując słowa „Blue Rose Creek”.

Ponownie przetarł oczy.

Czekał chwilę, aż w wyszukiwarce pojawiła się informacja, że zlokalizowano jeden plik z tą nazwą. To było coś nowego.

Otworzył dokument, który Tarver sporządził parę tygodni przed wyjazdem:

Dokumenty jawne, do których dotarłem, zawierają informacje o tylko jednym amerykańskim kierowcy konwoju zaatakowanego w Iraku, który może być powiązany z nową bronią. Jego dane osobowe pozostają ukryte, zgodnie z ustawą o ich ochronie. Informator z Pentagonu przekazał, że mieszka on w Kalifornii w hrabstwie Riverside. Sprawdziłem to w rejestrze stowarzyszenia transportowego.

Adres: 10428 Suncanyon Rise, Blue Rose Creek, Kalifornia.

Właściciele domu: Jake i Maggie Conlin. Bingo!

Daniel złożył dłonie i przez chwilę myślał. Następnie połączył się z Internetem i zaczął sprawdzać połączenia lotnicze z Los Angeles.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

*Blue Rose Creek, Kalifornia*

Maggie Conlin powoli traciła nadzieję.

Czuła, że nadzieja opuszcza ją, kiedy trumna z ciałem Fatimy Soleil znalazła się pod ziemią. Pochowano ją na cmentarzu Whisper Wood, który znajdował się na dalekim krańcu hrabstwa. Przy grobie zgromadziła się niewielka grupka żałobników. Po drugiej stronie drogi rósł zagajnik z drzewkami pomarańczowymi.

Żałobnicy rzucali róże na wieko dębowej trumny, a po wszystkim grabarze zasypali dół.

Po pogrzebie Maggie pojechała na przyjęcie, które odbywało się na osiedlu przyczep, gdzie mieszkała Fatima. Poza Helgą Maggie nie знаła innych żałobników, którymi były głównie stare kobiety z sąsiedztwa.

Czuła jednak, że powinna tu przyjechać.

Może dlatego, że była ostatnią osobą, która widziała Fatimę żywą.

„Widzę teraz twojego syna. Żyje... ale jest w niebezpieczeństwie”.

Maggie rozejrzała się dookoła, myśląc o tym, że nie znajdzie odpowiedzi na swoje pytania wśród tych za mocno umalowanych, pachnących tanimi perfumami kobiet, które wolno jadły kanapki z jajkiem.

Nie mogła tu dłużej zostać.

Uściskała na pożegnanie Helgę i wyszła.

Jechała szybko, ale nie udało jej się uciec przed narastającym strachem i ciemnością, która zaczęła ją ogarniać po wyjeździe Jake'a.

Co oznaczały ostatnie słowa Fatimy?

„Widzę kobietę, jest tam jakaś kobieta. Wybuch, zniszczenia. Ta kobieta coś niesie”.

Może nic?

Może to były tylko halucynacje? Przecież Fatima przez cały czas dostawała morfinę i lekarstwa.

Maggie wiedziała dużo o działaniu leków uspokajających. W torebce miała jeszcze butelkę z tabletkami, które dostała od lekarza po ucieczce Jake'a. Nie brała ich zbyt często, ale czasami pomagały złagodzić ból.

Przynosiły ulgę.

Udawało jej się wówczas zasnąć i śniła o Loganie i mężu.

Ktoś za nią zatrąbił, aż podskoczyła. Przejechała na wolniejszy pas i odetchnęła z ulgą. Zbliżała się do zjazdu z autostrady, prowadzącego do Blue Rose Creek.

Bała się powrotu do pustego domu. Wciąż miała wrażenie, że ktoś ją śledzi, a jednocześnie zupełnie się tym nie przejmowała, myśląc jedynie o tym, że najprawdopodobniej już nigdy nie zobaczy Logana.

Jej nadzieja spoczęła w grobie obok trumny z Fatimą.

A jeśli obaj nie żyją? - pomyślała.

Nie wolno jej tak myśleć.

Musi gdzieś pojechać, żeby trochę ochłoniąć.

Wytarła łzy i skręciła na parking przed restauracją, na szczycie której powiewała na wietrze olbrzymia amerykańska flaga. Zajęła stolik przy oknie, wytarła chusteczką kąciaki oczu i spojrzała na drogę.

- Nic pani nie jest? - spytała kelnerka.

- Nie. Wszystko w porządku.

- Czym mogę służyć?

- Proszę tylko herbatę.

215

- Zaraz przyniosę.

Maggie starała się myśleć pozytywnie, ale wszelkie wysiłki spełzły na niczym. Policja w ogóle się z nią nie kontaktowała. Z agencji detektywistycznej dostała jedynie rachunek. Żadnych wieści z prokuratury czy szkoły Logana. Dziennikarze nie interesowali się tą sprawą. Poszukiwania w Internecie nie przyniosły żadnych rezultatów. Członkowie grup wsparcia bardzo jej współczuli i wciąż szukali Logana, ale nic z tego nie wynikało.

Co jeszcze mogła zrobić?

Zmęczona oparła się o stół.

Co mogła zrobić? Nic. Wyczerpała wszystkie możliwości. Była sama.

Przełknęła ślinę i spróbowała się pozbierać. Bała się, że zaraz się rozplacze.

Usłyszała stuknięcie spodeczka o stół.

- Herbata - powiedziała kelnerka. - Proszę dać znać, gdyby potrzebowała pani czegoś jeszcze.

- Dziękuję.

Kiedy kelnerka odeszła, Maggie zwróciła uwagę na grupę kobiet w zakątku restauracji.

To były matki chłopców z drużyny Logana.

Kiwały głowami i o czymś rozmawiały. Nastawiła uszu, wychwytyjąc poszczególne słowa i frazy:

- ...tak, ona... matka Logana... trzeba podejść... Nie, proszę, błagała w duchu. Chcę być sama. Nie mogła z nimi rozmawiać.

Uciekła do łazienki, w której na szczęście nikogo nie było, pomijając jakąś obcą osobę, którą dostrzegła w lustrze.

Była tak przybita, że nie poznawała nawet własnej twarzy.

- Maggie?

Do łazienki weszła Dawn Sullivan. Przeprowadzili się tu z mężem, który był mechanikiem, parę lat wcześniej z Dallas, a ich syn, Ario, grał z Loganem w ataku.

- Cześć, Dawn.



- Więc to jednak ty - powiedziała Dawn. - Mój Boże, dawno cię nie widziałam.
  - Całe wieki temu - powiedziała Maggie ze smutnym grymasem.
  - Jak się miewasz?
  - Prawdę mówiąc, nie najlepiej.
  - Trzymamy za ciebie kciuki.
  - Dzięki.
  - Wiesz, moja siostra też strasznie przeżyła rozwód z tym dupkiem, Bobem. W sądzie jest ciężko, ale, jak to mówią, co cię nie zabije, to cię wzmocni...
  - Jake nie jest dupkiem. I się nie rozwodzimy.
  - Przepraszam, ale byłam pewna... No, po tym, jak zrobił ci scenę na boisku, a potem wyjechał...
  - To nie tak...
  - Jasne, że nie powinien się tak zachowywać. Mógł sobie darować tamtą babę.
  - Co takiego? - Maggie po raz pierwszy spojrzała na Dawn. - Co powiedziałaś?
- Dawn aż otworzyła usta ze zdziwienia.
- To nic nie wiesz? Wszyscy uznali, że o wszystkim wiedziałaś.
  - O czym ty w ogóle mówisz?
  - Jeden z kumpli mojego męża widział Jake'a w barze z jakąś kobietą, a potem znowu, parę miesięcy przed tym, jak wyjechał.
  - Co chcesz przez to powiedzieć?
  - To chyba jasne, że cię zdradzał. Zaplanował to wszystko.
- Maggie pokręciła głową.
- Nie, to niemożliwe. To chyba pomyłka. Gdzie go widział?
  - Żadna pomyłka. Ten facet też jeździ ciężarówką i zna Jake'a. Pierwszy raz to chyba było w Bakersfield.
  - Co?
  - A potem chyba w Las Vegas. A może gdzie indziej?

Nieważne. Ten kierowca na pewno widział Jake'a z inną kobietą.

- Co dokładnie powiedział?

- No, że Jake był z inną kobietą.

- Nie, to nieprawda. Jake miał problemy po powrocie z Iraku, ale innego rodzaju.

- Kochana, przecież jest kierowcą. Wiesz, jacy oni potrafią być.

Maggie miała wrażenie, że ziemia usuwa jej się spod nóg i że wszystko dookoła zaczyna wirować.

- Nie, to niemożliwe! Kim jest ta kobieta? Jak się nazywa?

- Nie mam pojęcia. Ten kumpel Maca mówił, że to brunetka. Ładna. Zresztą co za różnica? W każdym razie wszyscy wiedzieli, co się stało, a teraz pojawiły się plotki, że chodzisz do jakiejś wróżki...

- Dawn, proszę...

- Nie, posłuchaj. Mówię to jak kobieta kobiecie. Musisz zapomnieć o tym dupku i zacząć nowe życie. To już trwa zbyt długo.

- Nic nie rozumiesz...

- Kochana, rozumiem więcej, niż ci się zdaje. Przed Makiem różnie to bywało. Wiem, jacy są faceci... To urodzeni dziwkarze.

- Dawn, przestań.

Maggie wzięła torebkę i skierowała się do wyjścia, ale Dawn chwyciła ją za ramię.

- Musisz być twarda, Maggie. Pogadaj z prawnikiem, niech wystąpi do sądu o przyznanie ci praw rodzicielskich. Nie możesz się poddawać.

- Już dosyć!

- Staram się ci tylko pomóc...

Maggie ścisnęła torebkę i spojrzała z wściekłością na Dawn.

- Puszczaj, albo złamię twoją pieprzoną rękę! Kobieta otworzyła ze zdziwienia usta, a Maggie zdołała

się jej wyszarpnąć i wyszła z łazienki. Zapłaciła za niewypitą herbatę i odjechała z piskiem opon. Dudniło jej w uszach, kiedy jechała przez mglistą drogę do domu i zaciskała z wściekłości zęby. Inna kobieta.

Nie mogła uwierzyć, że Jake ją zdradził. Mimo tego, co działo się po jego powrocie, nie dopuszczała do siebie takiej możliwości.

Więc wyjechał z Loganem do innej kobiety.

To niemożliwe.

Czemu nikt jej o tym nie powiedział? Dlaczego nie zbadał tego detektyw, którego wynajęła? Dlaczego nie wiedziała o tym policja? Ani nikt z grup wsparcia, z którymi się kontaktowała?

Dlaczego ona sama nic o tym nie wiedziała?

Poczuła się fatalnie, kiedy weszła do domu. Ugięły się pod nią kolana. Zatrzasnęła za sobą drzwi i opierając się o nie, usiadła na podłodze.

Poczuła się pokonana.

Otoczyły ją przerażające obrazy. Widziała wieko trumny, kobietę z martwym dzieckiem w ramionach i film z chłopcem, który okazał się nie być Loganem.

Z jej gardła wyrwał się skowyt. Patrzyła przed siebie, nie bardzo wiedząc, czy jeszcze nie zwariowała.

Zrobiło się zupełnie ciemno. Nie miała pojęcia, jak długo siedziała na podłodze. W końcu wstała, czując, że trzyma coś w dłoni. Ścisnęła to mocno, przechodząc z pokoju do pokoju jak w jakimś horrorze.

W końcu zatrzymała się w pokoju Logana. Położyła dłoń na jego biurku, a potem przesunęła palcami wzdłuż rzędów książek. Kiedy zapaliła lampkę, zobaczyła modele samochodów wojskowych i czołgów, a także zdjęcie Jake'a z Iraku. Otworzyła szafę i zaczęła dotykać spodni i koszulek. Wtuliła twarz w sweter syna i poczuła jego zapach.

Tak bardzo cię kocham, pomyślała.

Przeszła do swojej sypialni małżeńskiej i stanęła przy

łóżku. Przez chwilę patrzyła na niego w półmroku, po czym podeszła do szafy. Dotknęła jednej z flanelowych koszul męża. Czowała zapach jego wody po goleniu. Miała wrażenie, że stoi tuż obok.

Ze za chwilę coś jej powie.

Sięgnęła na górną półkę. Wiedziała, co się tam znajduje, bo sama układała te rzeczy. Przesunęła niepotrzebne ubrania na bok i sięgnęła głębiej. Przeszła płacząc do kuchni, gdzie zapaliła świecę i sięgnęła po butelkę wina. Poszła z tym wszystkim do salonu i uruchomiła DVD.

Włączyła płytę, którą wzięła z szafy. Obejrzała najpierw fragmenty filmu z ich ślubu i wesela, następnie nagranie ich nowo kupionego domu. Przypomniała sobie, ile musieli się przy nim napracować. A potem ciąża, pierwsze urodziny Logana, wakacje nad morzem. Disneyland. Jake przy nowej ciężarówce. Jake z Loganem na ramieniu. Jej urodziny i wielki tort ze świeczkami. Jake i Logan śpiewający jej „Sto lat”.

„Kocham cię, mamo” - usłyszała.

Maggie zatrzymała film i uklękła przy telewizorze. Dotknęła twarzy syna.

Gdzie jesteś? Chcę być z tobą. Musimy być razem.

Poczuła, że ma coś jeszcze w dłoni.

Środki uspokajające. Ponad trzydzieści mocnych tabletek.

Patrzyła na butelkę. Chciała, by ból się skończył. By mogła wrócić do dawnego życia. Logan, pomyślała.

**CZĘŚĆ CZWARTA**  
**BRONŃ DOSKONAŁA**

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI

*Blue Rose Creek, Kalifornia*

Klapy hydrauliczne odrzutowca już się otworzyły i Daniel ujrzał w dole przedmieścia miasta.

Po chwili podwozie wysunęło się i wylądowali miękko na pasie lotniska. Samolot zaczął kołować w stronę terminala, a Daniel ponownie pograżył się w myślach. Co mogło łączyć niewielkie miasteczko ze śmiercią Tarverow? Czuł, że trafił na trop, ale nie wiedział, dokąd go zaprowadzi.

A może jednak Raymond Tarver, który wszędzie węszył spisek, natrafił na coś bezużytecznego, a jego rodzina zginęła zupełnie przypadkowo?

I tyle. Koniec zagadki.

Nie, to nie mógł być wypadek.

Gdzie jest laptop Tarvera? Kim był nieznajomy, z którym rozmawiał?

„Zostawcie mojego tatusia”.

To musiało coś znaczyć. Daniel przetarł oczy i założył okulary przeciwsłoneczne. Wysiadł z samolotu i zaczął chwilę na lotnisku na bagaż, a potem przeszedł do wypożyczalni samochodów. Jeśli chciał coś wyjaśnić, musiał porozmawiać z Conlinami.

Rozejrzał się po lotnisku międzynarodowym w Los

Angeles, a następnie sięgnął po komórkę i sprawdził, czy nie ma nowych wiadomości.

Przed wyjazdem z Waszyngtonu dzwonił do paru osób. Przede wszystkim do szefa w Calgary, któremu zostawił wiadomość, że jest na dobrym tropie. „Muszę wyjechać z Waszyngtonu, będę przekazywał meldunki” - zakończył. Następnie przekazał informacje na temat Blue Rose Creek agentowi Walkerowi. Miał nadzieję, że Walker mu pomoże, ale agent nie oddzwonił.

Dzwonił też do biura szeryfa z Blue Rose Creek i podał jego młodemu zastępcy, Ullmanowi, swoje nazwisko i numer odznaki. Następnie zapytał go o Conlinów: Tillman sprawdził ich adres.

- Powinien się pan skontaktować ze śledczym Vikiem Thompsonem, panie kapralu - powiedział.

- Dlaczego? Czy ktoś prowadzi jakieś śledztwo związane z tą rodziną? - zapytał Daniel.

- Nie wiem dokładnie, ale chodzi chyba o ustalenie praw rodzicielskich. Vica w tej chwili nie ma, ale przełączę pana na jego pocztę głosową.

- Zaraz, czy mógłbym najpierw dostać informacje na temat zastrzeżeń dotyczących Conlinów?

- Oczywiście. Zaraz to sprawdzę i do pana oddzwonię. To było pięć godzin temu. Do tej pory nie dostał żadnych informacji od Thompsona czy Tillmana.

Daniel wynajął wóz i raz jeszcze zadzwonił do biura szeryfa, ale mógł się tylko nagrać na sekretarce. Do diabła! Postanowił więc działać. Nie przyjechał tu po to, żeby siedzieć beczynn timer. Sprawdził na mapie najlepszy dojazd do Blue Rose Creek i ruszył w drogę.

Było jasne, że przekroczył swoje uprawnienia.

Na szczęście szef nie dzwonił, być może niejasna wiadomość uśpiła jego czujność. Daniel nie poprosił o zgodę na lot do Los Angeles. Wiedział, jaką dostałby odpowiedź. O ile pamiętał, nikt nie zabraniał mu dalszych wyjazdów.

Oczywi-

ście był to tylko wykręt, ale naprawdę chciał zbadać tę sprawę, a czuł, że zostało mu mało czasu. Jakąś godzinę później zjechał z autostrady na Blue Rose Creek i wjechał na kręte ulice miasteczka. Wyglądało na to, że mieszka tu klasa średnia. Domy nie były zbyt duże, ale zadbane, z ładnymi ogródkami. Daniel nie zapowiedział swojej wizyty. Chciał zaskoczyć Conlinów. Czasami udawało się w ten sposób więcej uzyskać. Conlinowie mieszkali w parterowym, odsuniętym od ulicy domku z czerwonym dachem przy 10428 Suncanyon Rise. W ogrodzie rosły dwie palmy, otaczał go ładnie przystrzyżony żywopłot. Pod daszkiem zauważył niewielkiego forda. Obok znajdowało się miejsce parkingowe dla ciężarówki. Ładny dom, pomyślał. Przejechał do końca ulicy, zaparkował i wrócił pieszo. Gdzieś obok usłyszał chlupot wody i rozbawione dziecięce głosy. W powietrzu czuć było jakiś słodki zapach, śpiewały ptaki. Daniel przeszedł do drzwi frontowych i zadzwonił. Nikt mu nie odpowiedział. Obok przeleciały dwie jaskółki. Popatrzył na wystającą ze skrzynki na listy gazetę z nagłówkiem na temat zbliżającej się wizyty papieża. Dom wyglądał na opuszczony. Niedobrze. Zadzwonił raz jeszcze, a potem głośno zapukał. Żadnego odzewu. Daniel przesunął się nieco dalej i zajrzał do środka przez okno, ale nie zauważył niczego szczególnego. Jakiś hałas. Co to może być? Uderzenie metalu o metal. Zaczął nasłuchiwać i stwierdził, że ze środka dochodzą jakieś dźwięki. Przeszedł na tyły, by sprawdzić, co się dzieje. Pod daszkiem zobaczył metalowe drzwiczki. To one uderzały co jakiś czas o framugę.



Jednak słyszał jeszcze jakiś odgłos, którego nie potrafił zidentyfikować. Co to takiego? Szukał dalej.

Nic. Nie było tu nawet psa.

Zobaczył ogród na tyłach i prowadzący do drzwi chodnik.

- Hej, jest tu kto?

Znowu zawołał, a potem zapukał do tylnych drzwi.

- Czy jest ktoś w domu?! Żadnej odpowiedzi.

Daniel ponownie zajrzał przez okno, osłaniając przy tym oczy.

Zobaczył podłogę z desek, zmywarkę, zlew, stół i parę krzeseł. Dalej prowadził korytarz. Teraz słyszał już wyraźnie jakiś jednostajny pomruk. Nagle dostrzegł rękę...

Rękę?

Ktoś leżał na podłodze. Ktoś nieprzytomny.

- Halo!

Czy powinien wyłamać drzwi? Nie ma takich uprawnień. Wyjął komórkę i wybrał numer Conlinów, stukając jednocześnie w okno. Usłyszał dzwonek telefonu we wnętrzu domu, a potem włączyła się sekretarka.

Nacisnął kłamkę.

Drzwi się otworzyły.

Dziwne.

Daniel zawahał się, ale wszedł do środka.

- Halo!

W tej chwili żałował tego, że nie ma broni.

Szedł dalej, gotowy do obrony. Podeszedł do około trzydziestoletniej kobiety, która leżała na podłodze. Przyklęknął przy niej i sprawdził jej puls. Nic. Przyłożył ucho do jej piersi. Nic jednak nie słyszał, bo obok grał telewizor.

Dopiero po chwili udało mu się stwierdzić, że kobieta oddycha.

225

Obok niej znajdowała się buteleczka z lekami uspokajają' cymi.

Była pusta.

Daniel natychmiast zadzwonił po pogotowie.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI

*Blue Rose Creek, Kalifornia*

Ratownicy zabrali Maggie do szpitala Inland Center, gdzie rozpoczęto pełną reanimację.

Następnie umieścili ją w niewielkiej sali z dużym oknem, w której ocierając płynące po twarzy łzy, liczyła przepływające nad jej głową chmury. Po płukaniu bolały ją żołądek i przełyk, ale przede wszystkim tęskniła za Loga-nem. Chciała go przeprosić za to, co zrobiła.

Za to, że zrezygnowała z poszukiwań.

Psychiatra, który nieco wcześniej wyszedł z jej pokoju, powiedział, że nie chciała tak naprawdę popełnić samobójstwa. To, co zrobiła, było reakcją na różnego rodzaju stresy: uprowadzenie syna, przepowiednie, pogrzeb i bolesne plotki.

Nazwał to „przypadkowym przedawkowaniem”. Maggie wytarła oczy i popatrzyła na wenflon, który tkwił w jej przedramieniu.

Co się stało z jej życiem?

Przecież byli z Jakiem tacy szczęśliwi.

Tacy zakochani.

Tańczyli w sali gimnastycznej pod kryształową kulą. „Hey, Jude”.

Jake miał łzy w oczach w czasie ślubu.

236

Był taki dumny, gdy urodził się Logan. Byli tacy zakochani. Irak zniszczył Jake'a.

Co się tam tak naprawdę stało? Jake wrócił do domu zmieniony. Czy znalazł sobie inną? Czy to prawda? Dlaczego? Maggie chciała wrócić do dawnego życia. Niezależnie od tego, co to mogło oznaczać. Było to jedyne życie, jakie знаła, i postanowiła o nie walczyć.

Teraz musi się pozbierać, by móc później porozmawiać z mężem Dawn Sullivan i dowiedzieć się czegoś więcej o tej kobiecie. Odnajdzie Jake'a. I odnajdzie Logana.

Dowie się prawdy.

I nauczy się z nią żyć.

Przestała patrzeć na chmury i sięgnęła po kubek. Był pusty.

- Mogę prosić o wodę? I o chusteczki? - zapytała. Dziewczyna, która siedziała obok, odłożyła czytany podręcznik.

- Jak się pani czuje? Pewnie jeszcze tak sobie, prawda? Na jej plakietce widniało imię Hayley i informacja, że jest pracownicą wolontariatu.

- Dziękuję, już dobrze. - Maggie wzięła kubek do ręki. - Mogę o coś spytać?

- Tak, oczywiście.

- Jak się tu znalazłam? Nie mam znajomych czy rodziny.

- Chodzi o to, kto panią znalazł?

- Właśnie.

- Miała pani szczęście. Znalazł panią policjant, który zadzwonił po pogotowie i rozpoczął reanimację. Lekarz z OIOM-u powiedział, że najprawdopodobniej ocalił pani życie. Sam Bóg musiał go pani zesłać.

- Co? Jakiś policjant po prostu do mnie zajrzał?

- Tak, z policji konnej z Kanady.

- Policji konnej? - zdziwiła się Maggie.

- Mm, nazywa się Graham.

- Gdzie można go znaleźć?

Hayley zagryzła usta i zerknęła w stronę drzwi, przestraszona, że może powiedziała za dużo.

- Chcę z nim porozmawiać. Jest jeszcze w szpitalu?

- Nie wiem, czy lekarz... - broniła się dziewczyna.

- Gdzie on jest, Hayley?

- Czeka w holu. Chciał się upewnić, że nic pani nie będzie.

- Pójdź po niego. Chcę się z nim zobaczyć.

- Może najpierw spytam lekarza. Nie wiem, czy powinna pani przyjmować gości...

- Hayley, poszukaj tego policjanta i go tu przyprowadź. Muszę z nim porozmawiać.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY

*Blue Rose Creek, Kalifornia*

Daniel czuł, że brakuje mu czasu. Przeglądał właśnie jakiś stary numer Newsweeka, kiedy w holu pojawiła się pielęgniarka z dużym notatnikiem.

- To pan znalazł Maggie Conlin?

- Tak. Czy wszystko w porządku?

- Nic jej nie będzie, ale próbujemy odnaleźć jej rodzinę.

- Dzwoniła pani do jej męża, Jake'a Conlina?

- Tak, ale bez powodzenia. Może zna pan kogoś? Jakichś dalszych krewnych?

- Przykro mi, ale nie znam tej rodziny - odparł Daniel. - Chciałbym jednak porozmawiać z panią Conlin najszybciej, jak to możliwe.

- Właśnie zbadał ją psychiatra. Spytam, czy pozwoli na odwiedziny. Może pan jeszcze poczekać?

- Tak, oczywiście.

- Tak swoją drogą, bardzo dobrze, że udzielił jej pan pierwszej pomocy.

Pielęgniarka zostawiła Daniela z gazetą i jego problemami. Chodziło mu tylko o to, by sprawdzić informacje Tarvera i porozmawiać z Conlinami, a nagle wpakował się w próbę samobójstwa. Coś musiało się stać w tej

rodzinie. Właśnie zastanawiał się nad tym, co dalej, kiedy zadzwoniła jego komórka. Wyszedł na zewnątrz, by odebrać telefon.

- Daniel Graham.

- Tu Vic Thompson z biura szeryfa. Przepraszam, ale nie mogłem wcześniej do pana zadzwonić.

- Jak rozumiem, ma pan dużo pracy.

- Potrójne morderstwo. Właśnie mam jechać do San Francisco, żeby przesłuchać świadka. Jest pan w szpitalu u Maggie Conlin?

- Tak. Co może mi pan powiedzieć o tej rodzinie?

- Przede wszystkim nie powinien pan być jechać do Conlinów bez porozumienia ze mną. Co by pan powiedział, gdybym to ja coś takiego zrobił w Kanadzie?

- Dzwoniłem do biura szeryfa z informacjami na swój temat. Powiedzieli, że jest pan zajęty i nie może się ze mną spotkać.

- Sprawdziłem pańskie dane. Czy nie wykracza pan poza swoje kompetencje?

- Jeśli chodzi panu o przeprosiny, to bardzo przepraszam

- rzucił Daniel.

- Chodzi o to, żeby wszystko było jasne. To dobrze, że znalazł pan Maggie Conlin. Obawiam się, że jest bardzo rozchwiana emocjonalnie. Wysłałem już mojego zastępcę do szpitala i prosiłbym o pańskie zeznania.

- Nie ma sprawy.

- Mówił, że zamek nie był wyłamany. Jak pan otworzył drzwi?

- Drzwi z tyłu domu były otwarte - odrzekł Daniel.

- Zdaje się, że Conlinowie mają kiepską sytuację w domu...

- Jej mąż uprowadził ich syna...

- Uprowadził?

- Tak, pięć miesięcy temu zabrał ze sobą ich dziewięcioletniego syna.

- Zabrał dokąd?

- Nie możemy go zlokalizować. Mamy nakaz poszukiwań, ale Conlin nie podjął kroków rozwodowych i w ogóle nie pojawił się w okolicy. Nie mamy żadnych informacji ze szkoły czy jego banku.

- Ukrył się z synem?

Telefon Daniela zasygnalizował, że ktoś do niego dzwoni, ale on się tym nie przejął.

- Na to wygląda. Jake jest kierowcą, mogą być gdziekolwiek. Zapewne zmienił nazwisko. Poinformowałem o tym FBI. Nie wydaje nam się, by Jake mógł skrzywdzić syna, ale wszystko możliwe. Cała ta sprawa jest bardzo trudna. Maggie źle to przyjęła, ale na początku chciała tylko odnaleźć męża. Wydawało jej się, że zdoła mu przemówić do rozumu, że znów będą szczęśliwą rodziną.

- Co im nie wyszło?

- Mieli problemy. Jake oskarżył publicznie Maggie, że zdradzała go z trenerem ich syna, Logana. Niektórzy mówili, że Jake zachowywał się dziwnie po tym, jak wrócił z pracy za granicą. Być może był to zespół stresu pourazowego.

- A gdzie pracował?

- W Iraku. W Iraku.

Dreszcz przebiegł po ciele Daniela.

Czyżby miało to coś wspólnego z artykułem Tarvera?

- Proszę mi powiedzieć, dlaczego pan tu jest - odezwał się ponownie Thompson. - Słyszałem, że chodzi o dochodzenie w związku z odszkodowaniem czy coś takiego. Ale to chyba jakiś żart.

- To skomplikowana sprawa...

- Więc niech ją pan odkomplikuje. Tylko szybko, bo mam mało czasu.

- Wygląda na to, że ktoś zamordował rodzinę z Waszyngtonu w Górach Skalistych w pobliżu Banff. Trzy osoby udało nam się odnaleźć, matkę i dwoje dzieci, ale nie możemy odnaleźć ciała ojca, Raya Tarvera. Słyszał pan o nim?



- Nie. A o co chodzi w tym ubezpieczeniu?
  - Jest bardzo duże, więc badam wszystko, co wiąże się z tą sprawą.
  - Rozumiem. Chodzi o to, czy Tarver sam nie pozbył się rodziny. I teraz czeka, żeby móc odebrać odszkodowanie.
  - Albo jego też ktoś zabił.
  - Ma pan dowody?
  - Tylko poszlaki. I przeczucie.
  - Dla sądu to za mało. Więc dlatego pan tu przyjechał?
  - Tak, Tarver to dziennikarz. Trochę dziwak, bo wierzył w teorie spiskowe. Nazwisko i adres Conlinów były w jego papierach. Być może jednak się do czegoś dogrzebał. Czegoś na temat Iraku. Co pan wie o pracy Jake'a Conlina?
  - Niewiele. Przewoził niebezpieczne towary. Raz zaatakowano jego konwój. O co chodziło temu Tarverowi?
  - Sprawa nie jest do końca jasna, ale o jakąś grupę terrorystyczną, która pracowała nad nową bronią.
  - Naprawdę? Jakąś zakamuflowaną bombą? Przepraszam, zaraz muszę iść.
  - Nie mam pojęcia. To mógł być tylko jego wymysł.
  - Przekazał pan te informacje wywiadowi?
  - Rozmawiałem z agentem, z którym kontaktował się Tarver.
  - Dobrze, niech mi pan da słowo, że jeśli pan coś znajdzie, to natychmiast mnie o tym poinformuje.
  - Oczywiście.
  - Dobrze, ja też przekażę panu wszystko, co znajdę. Zobaczymy, co da się zrobić w tej sprawie. To na razie. Thompson się rozłączył.
- Daniel poszedł na oddział. Czekala tam na niego dziewczyna w białym kitlu ze śladami po ospie na twarzy i aparatem ortodontycznym. Jej plakietka mówiła, że jest wolon-tariuszką i ma na imię Hayley.
- Przepraszam, kapral Graham?
  - Tak.

Ten, który uratował Maggie Conlin? Właśnie.  
Pani Conlin chciałaby z panem porozmawiać.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY

### *Blue Rose Creek, Kalifornia*

Kiedy szli korytarzem, Daniel poczuł wibracje komórki. Na ekraniku wyświetlił się numer jego szefa.

- Przepraszam, muszę odebrać - zwrócił się Daniel do dziewczyny.

Zatrzymał się w zakątku, gdzie stało parę krzeseł.

- Co robisz w Kalifornii, Dan? - odezwał się Stotter bez powitania.

- Sprawdzam tropy.

- Nie pozwoliłem ci tam jechać.

- Odkryłem jeden z ostatnich zapisów Tarvera, który mnie tu zaprowadził. Zaraz zdam raport.

- Nie, najpierw ja poinformuję cię o tym, co się dzieje. Najpierw wkurzyłeś agenta wywiadu, oskarżając go o morderstwo...

- Wyjaśniliśmy już tę sprawę.

- Nie przerywaj. Następnie pojechałeś do Kalifornii bez mojej zgody. Wyobraź sobie, jak byłem szczęśliwy, kiedy zadzwonił do mnie kapitan Emilio Sanchez z biura szeryfa z Blue Rose Creek. Poskarżył się na ciebie oficer śledczy Vic Thompson. Podobno gdzieś się włamałeś, żeby przesłuchać świadka.

- Nic podobnego. Okazało się, że ta kobieta przedawkowała środki uspokajające. Drzwi były otwarte, więc wszedłem, żeby ją ratować. Jestem w szpitalu, żeby ją przesłuchać. Już rozmawiałem o tym z Thompsonem.
- Nieważne. Twoje zadanie skończone.
- Dlaczego?
- Znaleźliśmy Tarvera.
- Co takiego?!
- Znalazły go dzieciaki z obozu religijnego. Rzeka wyrzuciła go na brzeg. Ciało jest w fatalnym stanie. Miał przy sobie portfel. Po powrocie czeka cię więc tylko papierkowa robota.
- Zaraz. A sekcja zwłok?
- Zrobimy ją najszybciej, jak to będzie możliwe. Pamiętaj, że mamy ważniejsze rzeczy na głowie, choćby sekcję kobiety i dziecka, którzy zginęli w pożarze koło Pincher Creek. Podejrzewamy, że mąż ją zastrzelił, a następnie podpalił gospodarstwo. Dopiero potem zajmiemy się Tar-verem, bo sprawa nie wygląda podejrzanie. I tyle.
- Tak myślisz?
- Posłuchaj, miałeś przeczucie, że coś jest nie tak, więc pozwoliłem ci zbadać tę sprawę. Okazało się, że to był mylny trop, a ty jesteś potrzebny w pracy.

Daniel milczał przez dłuższy czas.

- Dan?
- Daj mi ze dwa dni, żebym mógł tu wszystko zakończyć.
- Dobrze, ale wracaj najszybciej, jak to możliwe. To rozkaz. I bez dalszych niespodzianek.

Zakończyli rozmowę.

Daniel przeciągnął dłonią po twarzy.

Czy naprawdę się myli, angażując się tak bardzo w tę sprawę? Czy to ma sens, skoro nagle okazało się, że musi ratować samobójczynię i rozmawiać o uprowadzeniu jej dziecka? Czyżby dał się jednak ponieść emocjom? Tak naprawdę w wielu sprawach pozostawały niewyjaśnione wątki.

W prawdziwym życiu nie uzyskamy odpowiedzi na wszystkie nurtujące nas pytania.

Był jednak przekonany, że w tym przypadku te wszystkie wątki jakoś się wiążą.

Nieważne. To już skończone.

Daniel zerknął na czekającą na niego dziewczynę. Uśmiechnął się do niej i stwierdził, że nie zaszkodzi, jeśli porozmawia z panią Conlin. Ma przecież jeszcze trochę czasu. Sięgnął więc po swój oprawiony w skórę notes i ruszył za Hayley.

Przy łóżku pani Conlin stała pielęgniarka i przeglądała jej kartę. Daniel przedstawił się i pokazał odznakę. Psychiatra wyraził zgodę na wizytę.

- Chciałabym porozmawiać z panem kapralem w cztery oczy - powiedziała Maggie Conlin.

Pielęgniarka skinęła głową i wyszła wraz z Hayley, a Daniel usiadł na krześle obok łóżka. Kobieta była blada, a zaczerwienione oczy ukazywały głębię jej rozpacz. Mocno ścisnęła w dłoni chusteczkę.

- Mówili, że umarłabym, gdyby nie pan - powiedziała Maggie, próbując się uśmiechnąć. - Dziękuję, że ocalił mi pan życie.

Daniel skinął głową.

- Orientuje się pan pewnie w mojej sytuacji...

- Mniej więcej - przyznał. Powiedział jej, czego dowiedział się od Thompsona, a ona opowiedziała resztę.

- Dlaczego przyjechał pan tutaj aż z Kanady? Czy ma to związek z moim mężem i synem?

- Trudno mi powiedzieć. Czy słyszała pani o Rayu Tarverze, dziennikarzu z Waszyngtonu?

- Tarverze? Nie. Czy to ma coś wspólnego z Jakiem?

- Możliwe.

Daniel wyjaśnił jej pokrótce, na czym polega jego śledztwo, a pani Conlin wytarła jeszcze parę łez z policzka, gdy usłyszała, że Tarver miał ich adres w swoich zapiskach.

- Muszę porozmawiać z pani mężem, by wyjaśnić, o co mogło chodzić. Co pani wie o pracy męża w Iraku?

Maggie zastanawiała się przez chwilę.

- Wiem tyle, że była niebezpieczna. Że strzelano do jego konwoju. Wiem, że coś tam się stało, ale Jake nie chciał o tym rozmawiać. Miał z tego powodu jakieś koszmarne sny. Zrobił się wybuchowy.

- Może coś więcej na temat jego misji?

- Nic. Nigdy o tym nie wspomniał. O ile wiem, nic z tego nie przedostało się do prasy. Kiedy wrócił, był zamknięty w sobie

1 nieufny. Bardzo się zmienił. To niepokoiło mnie i Logana.

Maggie popatrzyła w sufit, jakby tam szukała natchnienia.

- Próbowaliśmy mu pomóc, a potem nagle zniknął. I zabrał Logana. Nie mam już nikogo. Tak, jakbym straciła całą rodzinę...

Głos jej się załamał.

- Muszę go odnaleźć - powiedziała cicho.

- Rozumiem.

- Proszę mi pomóc.

- Pomóc?

- Tak. Odnaleźć męża i syna.

- Nie mogę się w to angażować. Nie wiedziałbym, jak to zrobić.

- Przecież odnalazł pan mnie. Przyjechał pan z tak daleka, żeby mnie uratować. Proszę...

- Bardzo mi przykro.

- Niech mi pan pomoże!

Maggie jęknęła głucho. Daniel spojrział w stronę drzwi.

- Nie mam już nikogo. Bardzo proszę. Poruszył się niepewnie na krześle.

- Pomoże mi pan? Błagam!

Próbował ją uspokoić, powstrzymać narastającą histerię. Wziął ją za rękę.

Ta kobieta tonęła, tak jak Emily Tarver. Daniel wiedział, że musi podjąć decyzję. I to jak najszybciej.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SZÓSTY

*Blue Rose Creek, Kalifornia*

Kiedy Daniel rozmawiał z Maggie Conlin w szpitalu, dwaj mężczyźni oglądali uważnie jego samochód. Przyjechali tu za nim spod domu przy Suncanyon Rise.

Nikt nie zwracał na nich uwagi. Na północnym parkingu przy szpitalu stało mnóstwo wozów.

Obaj mieli dwadzieścia parę lat, byli dobrze ostrzyżeni, nosili nierzucające się w oczy ubrania i ciemne okulary.

Przechodzący obok ludzie nie widzieli nic dziwnego w tym, że opierają się o jakiś samochód, jakby na kogoś czekali.

Był to zwykły widok w tym miejscu.

Obaj mężczyźni wyglądali na zajętych przeglądaniem *Los Angeles Times*.

Jednak co jakiś czas wymieniali uwagi i zaglądali do wnętrza wozu, jakby szukali odpowiedzi na pytania.

Kim jest? Dlaczego przyjechał do Maggie Conlin? Dlaczego zabrano ją do szpitala?

Wyższy z nich, Faker, był doktorantem i przyjechał na uniwersytet w Los Angeles z Amsterdamu. Zajmował się filozofią religii i był obywatelem USA. Wcześniej mieszkał głównie w Dubaju, Bahrajnie i Ad-Dauha wraz z ojcem, który był jednym z dyrektorów dużej firmy rafineryjnej

w Houston. W końcu jednak wyrzekł się rodziny i zaczął podróżować po świecie w poszukiwaniu sensu życia.

Odnalazł go w ekstremistycznych, antyzachodnich kampusach Europy.

Jego przyjaciel, Sid, wychował się na Brooklynie. Był bardzo zamknięty w sobie. W dzieciństwie opuścił go ojciec i Sid tułał się po domach dziecka, gdzie był molestowany. Jako nastolatek szukał ucieczki w grupach religijnych, aż w końcu wyjechał do Afganistanu i dołączył do Talibów.

Faker i Sid byli wyznawcami.

Pracowali też jako agenci przy jednym z najważniejszych projektów organizacji. Ich zadaniem było eliminowanie wszystkiego, co mogłoby zagrozić ich sprawie.

- Widzisz, Sid?

Na siedzeniu pasażera leżały jakieś dokumenty. Widać tam było imię i nazwisko Daniela, a także informację, że jest on członkiem Kanadyjskiej Królewskiej Policji Konnej.

Zaraz potem mężczyźni przeszli do swojego samochodu, który stał w pewnej odległości od wozu Daniela.

Chronieni przez przyciemniane szyby, zaczęli szukać informacji w swoich komputerach. Wkrótce wiedzieli, kim jest kapral Daniel Graham i że najprawdopodobniej zajmuje się sprawą śmierci Raya Tarvera i jego rodziny.

- Jest za blisko - mruknął Faker. - Powinniśmy zawiadomić wujka.

Sięgnął po telefon satelitarny i po paru minutach połączył się przez Stambuł, Wiedeń, Pragę, Casablankę i Lagos z Addis Abebą.

Sygnal z telefonu znajdował się poza zasięgiem amerykańskiego wywiadu. Osoba po drugiej stronie podała zaszyfrowane hasło w pradawnym języku.

- Halo, wujek? Tu bratanek z Kalifornii.

- Cieszę się. Jak tam rodzina?

- W porządku, ale mamy coś nowego. Być może trzeba będzie odwołać uroczystość. Na dywanie babci znaleźliśmy plamę.

240



Faker zamilkł na chwilę, a potem dodał:

- Uroczystość się zbliża. Babcia byłaby rozczarowana. Proponujemy usunąć plamę.

Po drugiej stronie nadal panowała cisza.

- Zgadzasz się, wujku?

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SIÓDMY

*Riverside, Kalifornia*

Daniel wjechał na parking bazy ciężarówek Chrome Coast, położonej przy autostradzie międzystanowej i rozejrzył się dookoła.

Był rozdarty.

Za bardzo współczuł Maggie Conlin.

To współczucie sprawiło, że gdzieś zatarła się granica, jaka powinna dzielić policjanta i ofiarę, i w końcu obiecał, że jej pomoże. Zadzwoił więc do Novaka z policji w Waszyngtonie, by ten sprawdził dla niego parę danych. Novak okazał się bardzo uczynny i szybki.

Teraz jednak Daniel zaczął mieć wątpliwości. Czy nie za bardzo go poniosło? Zaangażował się w sprawę, którą w zasadzie w ogóle nie powinien się zajmować. Zrobił to tylko dlatego, że było mu żal Maggie Conlin. A może jednak chodziło o to, że nie chciał zrezygnować ze sprawy Tar-verów?

Niezależnie od motywów, jakie nim kierowały, nie posłuchał rozkazów.

Obok biura bazy znajdowały się kanały naprawcze, które czuć było smarami i ropą. Dobiegał z nich stukot narzędzi, któremu towarzyszył warkot kompresorów. Gdzieś w radiu leciała piosenka „On the Road Again”.

Kiedy Daniel podszedł do kontuaru, opalony, łysy mężczyzna w fartuchu z napisem „szef po lewej stronie nad sercem, kończył właśnie rozmowę.

- Czym mogę służyć?

- Szukam Maca Sullivana.

- Mac, Mac... - powtarzał mężczyzna, wpatrując się w ekran komputera. - Ma robotę. Może ja zdołam panu pomóc. O co chodzi?

- Kumpel mi mówił, że Mac ma zamiary na wóz, który mnie interesuje. Jestem tu przejazdem. Miałem nadzieję, że się z nim spotkam.

- Charlie! - mężczyzna zawołał przez otwarte drzwi w stronę kanałów naprawczych.

- No?

- Powiedz Macowi, żeby tutaj zajrzał.

W radiu puścili następną piosenkę, a w drzwiach pojawił się facet w czerwonej bandanie i zabrudzonym kombinezonie.

- Do ciebie - powiedział łysy mężczyzna, wskazując na Daniela.

Facet w bandanie spojrzał na niego pytająco swymi intensywnie niebieskimi oczami.

- Cześć, jestem Dan Graham. Kumpel mi mówił, że masz zamiary na wóz, który mnie interesuje. - Skinął głową w stronę parkingu. - Mogę ci pokazać informacje z mojego laptopa?

Sullivan spojrzał na szefa.

- Dobra, masz dziesięć minut - powiedział tamten. Kiedy przeszli do wozu, Daniel pokazał mężczyźnie swoją odznakę.

- Co? Jesteś gliną? Z Kanady? - zdziwił się Sullivan.

- Właśnie. Nie chciałem, żeby twój szef o tym wiedział. Jeśli mi pomożesz, nigdy się nie dowie.

- Niby w czym mam pomóc? Nie znam nikogo w Kanadzie.

- Ale znasz Jake'a Conlina.

- To co?
- Zajmuję się sprawą zamordowania czworga Amerykanów. W trakcie śledztwa natrafiłem na nazwisko Conlina.
- I myślisz, że Jake ich zabił?
- Tego nie powiedziałem. Ale jestem pewny, że wiesz, gdzie go mogę znaleźć.
- Skąd te przypuszczenia?
- Zaraz, to ja prowadzę śledztwo. - Daniel otworzył notes. - O ile wiem, korzystałeś z części kradzionych w Teksasie.
- To było dziesięć lat temu. Poza tym nie miałem pojęcia, że są kradzione.
- Posłuchaj, nie chcę tracić czasu. Mam czterech zabitych i chcę tylko, żebyś mi trochę pomógł.
- Nie wiem, o co ci chodzi.
- W czasie śledztwa pojawiło się nazwisko Conlina, a ja chcę z nim tylko przez chwilę porozmawiać. Możesz mi pomóc anonimowo, za co będę ci bardzo wdzięczny. Albo będę musiał zwrócić się oficjalnie do biura szeryfa i FBI, żeby cię przesłuchali, a wtedy licho wie, do czego mogą się dokopać. Może być nieprzyjemnie.
- Nie możesz tego zrobić. Nie możesz mnie przesłuchiwać na terenie Stanów.
- Właśnie. Dlatego powinienem poinformować o wszystkim miejscowe władze. To one powinny się tym zająć. Sullivan zaczął szarpać brodę, nie bardzo wiedząc, co robić. Daniel postanowił jeszcze go przycisnąć.
- O ile wiem, znasz osoby, które widziały Conlina z jakąś kobietą w Bakersfield i Las Vegas.
- Różni ludzie opowiadają tu różne rzeczy. Daniel popatrzył na niego twardo.
- Więc wolisz oficjalne przesłuchanie? Sullivan z trudem przełknął ślinę.
- Nie mam pojęcia, co działo się z Conlinem, od kiedy wyjechał - odezwał się w końcu.
- Dobrze. Mam nadzieję, że potwierdzi to sprawdzenie

skrzynki pocztowej w twoim komputerze i rozmów z komórki...

- Zaraz, jeszcze nie skończyłem...

- Więc słucham.

- Jake przed wyjazdem był u mnie. Kazał mi przysiąc, że nic nie wygadam, a potem powiedział, że jego stara go zdradzała, kiedy był w Iraku. Dlatego chce wyjechać z chłopcem i zacząć nowe życie. Prosił, żebym sprzedał jego ciężarówkę, ale po cichu.

- Po cichu?

- Pewnie nie chciał, żeby Maggie go znalazła. Być może był już z inną babką.

- Tyle że popełnił przestępstwo. To było uprowadzenie dziecka. Teraz mogą uznać, że mu w tym pomagałeś. Może lepiej będzie, jak wszystko sobie przypomnisz!

- Czego ty, kurwa, ode mnie chcesz?

- Czy Jake Conlin sprzedał, czy wymienił ciężarówkę?

- Dogadał się chyba z Desert Truck Land.

- Co to takiego?

- Firma przewozowa z Las Vegas.

- Z kim się konkretnie dogadał? Muszę mieć nazwisko. Sullivan potarł policzek.

- Ale ja tego nie powiedziałem.

- Nazwisko.

- Dixon. Pisane chyba przez „x”.

- A imię?

- Zdaje się, że Karl.

- Przez „k”?

- Tak, chyba tak.

- Dobra, Karl przez „k” i Dixon przez „x”. Dzięki.

- Jak się dowiedziałeś?

- Nie ujawniam źródeł. A jeśli okaże się, że Dixon nie istnieje albo dowie się wcześniej o tym, że się nim interesowałem, zaraz wystąpię o to, żeby cię przesłuchali. Jasne?

- A jeśli wszystko będzie w porządku? - Nigdy już o mnie nie usłyszysz.

- Dobra.
- Nie mówię oczywiście o miejscowej policji.
- Nie wygłupiaj się.
- Chcę, żebyś o tym pamiętał. Na wypadek, gdybym potrzebował więcej informacji.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY ÓSMY

*Seattle, stan Waszyngton*

Samara patrzyła to na wydruk internetowej mapy, to na GPS, to znowu na drogę.

- To tam. - Wskazała Jake'owi, który prowadził.

- Przecież nie jestem ślepy.

- Wcale tego nie powiedziałam. - Złożyła mapę. - Nie można się do ciebie odezwać. Co się dzieje?

- Zaczyna mi się migrena - skłamał. Samara wiedziała, że to kłamstwo.

Przed nimi pojawiły się pierwsze budynki centrum handlowego.

Były to proste pawilony, stojące w rzędach na dużym placu w kształcie kwadratu. Po obu stronach centrum rosły wiecznie zielone drzewa. Był tam zakład kosmetyczny z zabiegami pedicure, sklep ze zwierzętami, mały bank, restauracja, gabinet kręgarza, a także cel ich wyprawy - sklep konfekcyjny Top Line.

Samara już na początku tygodnia powiedziała, że chce się trochę odprężyć i z przyjemnością wybierze się na zakupy.

Przy okazji stwierdziła, że nie ma niczego odpowiedniego na wizytę papieża i naciskała Jake'a, żeby zawiózł ją do Seattle. Top Line słynął z tego, że przyjmował zamówienia na

garnitury i kostiumy szyte na miarę. Był to jeden z najlepszych sklepów na zachodnim wybrzeżu.

Poza tym sklep wywiązywał się z zamówień w ekspresowym tempie.

Ponieważ Jake wciąż jeździł po kraju, wcale nie miał ochoty na długą wycieczkę przez Góry Skaliste. Jednak nie chodziło mu o podróż do Seattle. Zaczął mieć coraz większe wątpliwości dotyczące tego, co zrobił.

Jednak Samara koniecznie chciała jechać i powiedziała, że może też prowadzić. Zaproponowała, żeby potraktowali ten wypad jak wycieczkę, zwiedzili parę miejsc i może wybrali się na mecz.

Logan natychmiast zapalił się do wyjazdu. Chciał wyrwać się ze swego nudnego więzienia na prerii.

Jake został przegłosowany.

Samara zadzwoniła, żeby umówić się w sklepie. Wyjechali wcześniej, żeby zdążyć do Seattle, uwzględniając zmianę strefy czasowej, byle tylko mogła mieć kostium szyty na miarę.

Czy Brytyjczycy aż tak bardzo dbają o swoje ubrania?

Jake wzruszył ramionami. Wszystko jedno. Przecież chodziło o spotkanie z papieżem. Nawet władze szkoły prosiły rodziców, by dzieci były „odpowiednio ubrane”. Poprzedniej nocy zatrzymali się w motelu, wstali wcześniej i właśnie dotarli na miejsce.

- Pójdę najpierw na przymiarke - powiedziała Samara.

- Zaczekajcie na mnie w restauracji. Gdybym nie przyszła za trzy kwadransy, zajrzyjcie do sklepu. Potem będziemy zwiedzać. Zajrzemy do Pike's, a później pójdziemy na mecz.

- Dobra - odparł Jake.

Samara patrzyła na niego przez chwilę, a potem ruszyła do sklepu.

- Tato. - Logan zwrócił uwagę na sklep ze zwierzętami.

- Możemy najpierw obejrzeć papugi?

- No jasne.

W sklepie pachniało nieprzyjemnie i po jakimś czasie



przenieśli się do restauracji, gdzie Logan wypił mleko czekoladowe i przeczytał komiksy z *Seattle Times*, a Jake pił kawę i udawał, że przegląda informacje sportowe.

Tak naprawdę walczył ze swoją niechęcią. Jego stosunki z Samarą bardzo się ochłodziły. Samara przestała się nim interesować i rzuciła się w wir pracy. Wciąż zajmowała się swoim kursem internetowym, a w nocy dzwoniła do przyjaciół. Nawet w czasie jazdy przeglądała coś w laptopie, jakby oni w ogóle nie istnieli.

Jake zajął się filizanką i pożałował tego, że opuścił Maggie. Jaka przyszłość czekała jego i Logana u boku Samary?

Nie miał pojęcia.

- Tato, czy nie powinniśmy iść już do tego sklepu?

- Jeszcze nie, synu. Dopiero tu przyszliśmy.

Kiedy Samara weszła do sklepu, zadzwonił dzwonek.

Jakiś mężczyzna po czterdziestce rozmawiał przez telefon. Na tablicy za nim wisiała amerykańska flaga. Mężczyzna miał na sobie zieloną kamizelkę i białą koszulę z podwiniętymi rękawami. Na jego szyi wisiał krawiecki centymetr. Na widok klientki przerwał na chwilę rozmowę.

- Mam na imię Samara. Byłam umówiona - przedstawiła się.

- A tak, proszę się rozejrzeć. Zaraz się panią zajmę. Moja córka pani pomoże. Jasim!

Z zaplecza wyszła ładna młoda dziewczyna. W sklepie było wiele gotowych ubrań, ale znajdowały się tu także bele wielobarwnych materiałów. Bawełna z Egiptu, wełna z Włoch i Anglii, kaszmir, jedwab, koronki... Samara przeglądała podsuwane jej próbki, aż w końcu zbliżył się do niej mężczyzna.

- Przepraszam. Jestem Benny.

Był właścicielem sklepu, ale też doskonałym krawcem. Pochodził z Londynu, gdzie jego ojciec prowadził pracownię krawiecką przy Savile Row.

- Zdaje się, że pani też urodziła się w Londynie. Mamy chyba wspólnych znajomych?
  - To prawda. Nasi wujowie dobrze się znają - odparła Samara.
- Spojrzał na nią bystrymi, brązowymi oczami, potem uścisnęli sobie dłonie.
- Chcesz kostium na niezwykle ważną okazję, prawda?
  - Tak.
  - I to szybko?
  - Niestety.
  - To żaden problem. Z przyjemnością ci pomogę. Już zacząłem nad nim pracować. - Mówiąc to, Benny otworzył zeszyt, w którym zobaczyła rysunek trzyczęściowego kostiumu, złożonego ze spódnicy, kamizelki i żakietu.
  - Prosty, ale elegancki - zauważyła.
- Żakiet miał mieć zdobione szwy i kieszenie z patkami. Spódnica miała być lamowana i sięgać za kolana. Całość uzupełniała prosta kamizelka z satyny.
- Spódnica i żakiet w szarym kolorze. Będzie ci w tym do twarzy. Podejdźmy do lustra na przymiarke - zaproponował krawiec.
- Rozmawiali niezobowiązująco o stroju i życiu w Mon-tanie, ale ich oczy co jakiś czas się spotykały.
- To ważne zdarzenie, Samaro - szepnął w pewnej chwili Benny. - Denerwujesz się?
  - Nie. A ty?
  - Nie. Jestem zaszczycony, że mogę w tym pomóc.
  - A materiał?
  - Prosto z Afryki. Właśnie do nas dotarł. Doskonale się do tego nadaje.
- Dzwonek znowu zadzwonił i w sklepie pojawił się Jake z Loganem.
- Zaraz się panami zajmę.
  - Jesteśmy razem - rzuciła Samara. - To Jake i jego syn, Logan.
  - Bardzo mi miło. - Benny przywitał się z nimi.

Jake przyjrzał się krawcowi, następnie zwrócił uwagę na flagę i wiszące pod nią zdjęcie amerykańskich żołnierzy, pozujących gdzieś na pustyni.

- Zna ich pan? - spytał.

- To moi przyjaciele i klienci - odparł Benny. - Szyłem im stroje na różne okazje. Staram się im pomagać, jak mogę, bo wiem, że jest im tam ciężko.

Jake pokiwał głową.

- Cóż, Logan, pani Russell mówiła mi, że masz się spotkać z papieżem. - Benny zwrócił się do chłopca. - Jesteś chyba bardzo podekscytowany z tego powodu.

- Myślę, że będzie fajnie.

- Na pewno. Jest pan pewnie bardzo dumny. - Mężczyzna zwrócił się do Jake'a.

- Taka okazja zdarza się tylko raz w życiu - odparł Jake, rozkładając ręce.

- Więc chce pan zamówić garnitur na tę okazję?

- Ja. Nie, taki koszt...

- Dam panu zniżkę ze względu na pana służbę w Iraku - rzucił szybko Benny. - Będzie kosztował mniej niż te w sklepie.

- Skąd pan wie o Iraku?

- Pani Russell powiedziała, że tam właśnie się poznaliście.

Jake skinął głową i rozejrzał się po sklepie.

- To bardzo miło z pańskiej strony, ale mam już garnitur i ten mi zupełnie wystarczy. I tak rzadko go wkładam.

- Rozumiem. Jednak garnitur szyty na miarę leżałby na panu jak marzenie. Jest pan pewny, że nie chce go zamówić?

- Jak najbardziej.

- A Logan? Z pewnością chce pan, żeby był najlepiej ubranym dzieckiem w szkole.

Logan spojrział na ojca.

- Mam białą koszulę i krawat... - powiedział.

- Pozwólcie, panowie. - Benny sięgnął po marynarkę, którą następnie podał Loganowi. - Leży doskonale! - rzekł,

kiedy chłopiec ją włożył. - Z pewnością tak jest o wiele lepiej. Wie pan, co? Uszyję Loganowi garnitur za darmo!

- Zupełnie? - zdziwił się Jake. - Dlaczego?

- Mój garnitur stanie się częścią historii. To będzie dla mnie najlepszą zapłatą - odparł Benny z uśmiechem.

Jake spojrzał na syna.

- Chciałbyś garnitur zrobiony specjalnie dla ciebie, synu?

Logan wzruszył ramionami.

- Myślę, że może być - odparł.

- Świetnie. - Benny przystąpił do przymiarki. Jeszcze dzisiaj weźmiemy się do pracy. Potrafimy szyć bardzo szybko.

Samara uścisnęła dłoń mężczyzny.

- Bardzo panu dziękuję.

Poszli najpierw na wielki targ Pike Place, a potem na spacer po Pioneer Square i w końcu do Space Needle. Koło szóstej pojechali na stadion Safeco, gdzie kupili bilety na mecz Marinersów, którzy podejmowali u siebie Cleveland. Kupili drogie bilety, tuż nad lożą dla prasy.

Po dziewięciu rundach i paru hot dogach mieli już dość i pojechali do motelu. Byli zmęczeni, ale też bardzo zadowoleni. Właśnie szykowali się do snu, kiedy zadzwoniła komórka Samary.

To był Benny z informacją, że zamówienie jest już gotowe.

Sam szef firmy przywiózł im je do motelu i przeprosił, że niepokoi ich o tak późnej porze.

Logan był zmęczony, ale Jake pomógł mu się przebrać. Garnitur pasował idealnie. Następnie Samara przeszła do łazienki, by włożyć swój kostium, a Logan zasnął przy oglądaniu „Szczek” w telewizji. Jake podziękował Benny'emu za to, że osobiście się do nich pofatygował.

Samara wyszła z łazienki. Kostium leżał na niej idealnie. Był prosty i nierzucający się w oczy, ale bardzo elegancki.

Samara wzięła jeszcze torebkę, a potem wyszła, by odprowadzić Benny'ego.

Jake był jeszcze zmęczony, ale usłyszał fragmenty ich rozmowy.

Mówili po arabsku.

Coś mu się w tym wszystkim nie podobało.

Czyżby był zazdrosny o tego mężczyznę? Odniósł wrażenie, że są znacznie bardziej zaprzyjaźnieni, niż chcieliby pokazać. A może mu się tylko tak wydawało?

Sam już nie był pewien.

Następnego dnia wyruszyli wcześniej w drogę powrotną. Jake przez całą drogę myślał o Samarze i Bennym.

Samara natomiast próbowała korzystać z laptopa, chociaż czasami nie miała w nim Internetu. Czasami też prowadziła. Logan obserwował ich i czuł, że ojciec jest coraz bardziej spięty.

To go przeraziło.

Miał wrażenie, że coś niedobrego dzieje się między ojcem a Samarą. I bał się chwili, kiedy ojciec nie będzie już mógł tego znieść.

Teraz bardziej niż kiedykolwiek chciał zadzwonić do mamy.

Kiedy tak jechali to w górę, to w dół, zobaczył lekko otwartą torebkę Samary. Trzymała w niej swoją komórkę.

Logan przypomniał sobie swoje wcześniejsze plany.

Powinien szybko wziąć się do działania, bo inaczej będzie za późno.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DZIEWIĄTY

*Blue Rose Creek, Kalifornia* Daniel Graham był jej zbawcą.

Maggie stała w kuchni i przygotowywała kawę. Co jakiś czas spoglądała na jego wizytówkę, a potem na kalendarz z zaznaczonymi terminami sesji psychoterapeutycznej.

Miała wrażenie, że nie potrzebuje już terapii.

Musi tylko odnaleźć Logana. I Jake'a, by móc z nim porozmawiać.

Przedawkowanie leków to był tylko przypadek. Najszybszy sposób, by uciec od kłopotów. Jednak spotkanie z kapralem Grahamem obudziło w niej siły witalne.

Znowu była gotowa do walki.

Kawa zaczęła powoli wlewać się do dzbanka, a Maggie zajrzała do salonu.

Siedział w nim Daniel Graham. Przyjechał tu z informacją, że rozmawiał z mężem Dawn Sullivan i że ma nowy trop.

Daniel spojrzął na zegarek.

Wiedział, że robi błąd, a jednak coś go tu trzymało. Pomyślał, że powinien przede wszystkim zawiadomić

Thompsona i FBI o tym, czego się dowiedział. Wciąż mógł to zrobić i zdążyć jeszcze na lot do Calgary.

Co go więc powstrzymywało?

Spojrzał w stronę kuchni, gdzie Maggie Conlin robiła kawę. Już czuł aromat napoju. Sięgnął po album ze zdjęciami, który Maggie mu dała. Na fotografiach znajdował się głównie Logan - na swoim przyjęciu urodzinowym, stojący przy kole ciężarówki ojca... Ładny dzieciak, pomyślał Daniel. Dalej Conlinowie w Disneylandzie, nad morzem, w górach... Zobaczył uśmiechniętego Jake'a. Szczęśliwy ojciec rodziny. Maggie promieniała. Wyglądała bardzo ładnie na tych rodzinnych fotografiach.

To było takie życie, które Daniel na zawsze utracił.

Zamknął album.

- Proszę bardzo, tu są śmietanka i cukier. —Maggie wskazała pojemniki. - Czego dowiedział się pan od męża Dawn?

Daniel wyjaśnił, że Jake najprawdopodobniej sprzedał ciężarówkę w Desert Truck w Las Vegas.

- O Boże! To pierwsza istotna informacja na jego temat!

- Przekażę ją ludziom szeryfa i FBI, by mogli sprawdzić ten trop.

- Zaraz, chciałabym tam najpierw pojechać - odparła Maggie i zapisała coś w notesiku.

- Słucham?

- Chcę tam pojechać i zbadać tę sprawę. Razem z panem!

- Nie mogę. Muszę dziś wracać do Kanady.

- Bardzo proszę, to jedyne, co mam. I to dzięki panu. Podróż do Las Vegas zajmie nam od trzech do czterech godzin.

Może Jake gdzieś tam mieszka. Czuję, że jestem tak blisko Logana...

Daniel rozważał tę propozycję.

Znowu wróciła do niego sprawa Tarvera.

Być może Jake Conlin mógłby wyjaśnić pewne rzeczy. Mógł je też oczywiście bardziej zagmatwać, ale Daniel i tak nie miał wyboru.

Wiedział jednak, że nie robi zbyt mądrze, zabierając ze sobą osobę cywilną i działając bez uprawnień.

Jednak z racjonalnego punktu widzenia skok do górskiej rzeki też był głupi.

Daniel skoczył do niej, bo wiedział, że powinien to zrobić.

A gdyby nie Emily Tarver, już by nie żył.

Musi zaufać swoim przeczuciom w tej sprawie. Czuł, że wszystko zaczyna się powoli wyjaśniać.

I że sprawa jest poważna.

Pomyślał, że spokojnie może zmienić rezerwację i zwrócić samochód do wypożyczalni w Las Vegas, by móc pojechać tam z Maggie.

- Dobrze, tylko zapłacę w hotelu, trochę podzwonię i wrócę tu za jakąś godzinę. Muszę jeszcze zadzwonić do wypożyczalni, że zwrócę ich wóz w innym oddziale.

W oczach Maggie zalśniły łzy i jednocześnie się do niego uśmiechnęła.

Był to jej pierwszy prawdziwy uśmiech, od kiedy zniknął Logan.



## ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY

*Pysht, Cieśnina Juan De Fuca, stan Waszyngton -*

Mgła okrywała północne wybrzeże półwyspu Olympic, kiedy Kip Drucker zatrzymał swoją terenówkę przy trasie prowadzącej do niewielkiej zatoczki.

Włączył mikrofon i podał swoją pozycję dyspozytorce.

- Vanesso, zaczynam patrol. Stan chciał, żebym jak najszybciej sprawdził te informacje z Urzędu Ochrony Granic. Urząd ostrzegł biuro szeryfa hrabstwa Clallam, że na wybrzeżu znajduje się nieznana mała jednostka, która przywiozła artykuły z przemytu z jakiegoś większego statku z cieśniny, gdzieś z okolic granicy z Kanadą.

Informacja pochodziła z chińskiego statku handlowego. Chińczycy twierdzili, że ten duży statek przyплыł z Jemenu i że dziwnie się zachowuje. Kapitan zastanawiał się przez parę dni, aż w końcu zgłosił to amerykańskim władzom.

Chińczycy widzieli, jak mały statek dopływa do wybrzeża jakieś dziesięć kilometrów na południowy zachód od zatoki Clallam w okolicach Pysht. Silny wiatr i mgła utrudniały poszukiwania.

- Sprawdzę tę część wybrzeża - powiedział dyspozytorce Drucker.

- Zrozumiałam. Aha, Kip, mam dla ciebie wiadomość.

266

Dzwonił Chester Green w sprawie kradzionej łodzi. Chce, żebyś do niego przyjechał.

- Zrozumiałem. Rozłączam się.

Drucker był zastępcą szeryfa i od dwóch lat pracował przy patrolowaniu nadbrzeża. Postanowili wraz z żoną, że zdecydują się na dziecko, kiedy dostanie awans na oficera śledczego. Musiał jednak najpierw zrobić kurs i zdać egzamin. Ale żona wciąż mówiła o dziecku.

Muszę bardziej uważać, powiedział sobie w duchu i ruszył w stronę zatoczki.

Szef kazał mu zwracać uwagę na wszystko, co wyda mu się dziwne w tym miejscu. Powinno to być łatwe, gdyż nikt tu nie mieszkał. Pysht było pięknym miasteczkiem. Jego nazwa pochodziła od starego indiańskiego słowa i miała związek z wiatrem, ale Drucker nie pamiętał jaki.

Mgła spowijała nadbrzeże niczym srebrna wata. Wszystko wokół wydawało się nierealne: las i Góry Olympic. Woda uderzała o brzeg, krzyczały mewy. Drucker wciągnął w płuca zapach martwych ryb i wodorostów. Co jakiś czas natykał się na powaloną sosnę lub cedr.

Przeszedł około półtora kilometra wzdłuż brzegu i kiedy natknął się na wyrzucone na brzeg kłody drewna, postanowił zawrócić. Wtedy dotarł do niego dźwięk pobrękującego szkła.

W piachu leżała duża skrzynia pełna brązowych butelek. Było ich ponad dwadzieścia. Nalepki mówiły, że jest to nigeryjskie piwo.

Drucker spojrział na butelki i wyjął gumowe rękawiczki. Chciał lepiej przyjrzeć się etykietom. Część z nich zmyła już woda. „Górski smak. Piwo jasne pełne. Nigeria”. Spróbował otworzyć, ale okazało się, że jest kapslowane. Sięgnął więc po scyzoryk i skorzystał z otwieracza. Pociągnął nosem.

To było piwo. Nie miał co do tego wątpliwości.

Wylał część na piasek i patrzył na pianę, zastanawiając się, jak smakowałoby w niedzielne popołudnie w czasie

meczu Seahawksów. Zerknął na inne butelki i zauważył, że jedna jest nadtłuczona.

Wziął ją do ręki. Parę kropel wylało się na skałę. Nie utworzyły jednak piany. Ten płyn nie wyglądał na piwo. Nagle ze skały uniósł się dym. Miał dziwny zapach. Trochę przypominał lekarstwo, ale nie do końca. Drucker odstawił butelkę na skały, a kiedy wylało się z niej jeszcze trochę płynu, dym stał się gęstszy.

- Cholera jasna! - zaklął.

Sięgnął po krótkofalówkę, żeby skontaktować się z dys-pozytorką.

Parę minut później przekazana przez niego informacja dotarła do dowództwa wywiadu w Waszyngtonie. Natychmiast zajęli się nią analitycy, starając się ustalić, skąd mogła pochodzić znaleziona butelka. Połączono ją z innymi wiadomościami na temat jemeńskiego statku z niebezpiecznym ładunkiem.

Powoli powstawał pełniejszy obraz sytuacji.

Istniała obawa, że butelki miały związek z planowanym zamachem na papieża.

Jednak niewielu pracowników wywiadu miało dostęp do wydziału analiz. Te informacje miały ściśle poufny charakter.

W Pysht poinstruowano Druckera, by traktował tę substancję jak materiał wybuchowy albo broń biologiczną.

Jednocześnie skierowano w te rejony wszystkie dostępne jednostki straży przybrzeżnej i policji.

W pobliżu znaleziska nikt nie mieszkał, nie było więc potrzeby ewakuacji. Nie powiadomiono też opinii publicznej o zagrożeniu. O sprawie wiedziała tylko policja i straż pożarna hrabstwa Clallam. Drucker nie czekał długo na ekspertów od broni biologicznej, którzy mieli zbadać tajemnicze butelki.

Byli wśród nich przedstawiciele urzędu celnego z Seattle,

a także eksperci FBI i inni. Najpierw zabezpieczyli oni miejsce wokół zatoki, a potem dopiero zabrali się do pracy. Jednocześnie na drugim wybrzeżu powstawała w ekspresowym tempie nowa komisja, złożona z agentów wywiadu i pracowników laboratorium do badań nad nowymi typami broni.

Ta elitarna ekipa składała się z dziesięciu osób, które miały do dyspozycji najnowocześniejsze wyposażenie ważące setki kilogramów. Wylecieli nieoznakowanym dwusilnikowym samolotem z bazy wojskowej Indian Head w Maryland.

Przewodził im doktor Tony Takayasu. Ta grupa miała pomóc miejscowym władzom w oszacowaniu niebezpieczeństwa i jednocześnie zbadać tajemniczą substancję. Takayasu należał do elity naukowców, zajmujących się strukturami molekularnymi.

Jego zastępcą była Karen Dyer, która wykładała chemię na Harvardzie. Miała ona jednak tytuły doktorskie z fizyki i genetyki uniwersytetu w Berkeley.

W skład tej ekipy wchodził też: lekarz z centrum do badań nad chorobami zakaźnymi, inżynier z FBI, który pracował przy sprawie Unabombera, ataku na World Trade Center i wybuchu w Oklahoma City, a także fizyk nuklearny z Los Alamos i paru wojskowych ekspertów, zajmujących się materiałami wybuchowymi i chemicznymi.

W czasie lotu wszyscy zapoznali się z przesłanymi im przez Internet informacjami.

Parę godzin później ich odrzutowiec wylądował na lotnisku polowym nieopodal zatoki Clallam, z którego zwykle korzystano przy transporcie więźniów z miejscowego zakładu karnego. Czekają już tam na nich ciężarówki, które przewiozły ich wraz ze sprzętem na miejsce.

Kiedy już tam dotarli, musieli poczekać, aż zakończy się odkażanie terenu.

- Nie wiemy, co to jest. Nie udało nam się zidentyfikować tego płynu - powiedział przedstawiciel miejscowych

władz, kiedy członkowie ekipy zaczęli wkładać kombinezony i maski gazowe. - Nasi specjaliści uznali, że nie są to raczej zarazki. Z dwudziestu dwóch butelek w tej skrzynce dwadzieścia zawiera piwo, a dwie właśnie tę substancję. Nie wiemy, ile butelek z tym płynem udało się przemycić. Z pewnością oznacza to jednak niebezpieczeństwo. Takayasu skinął głową, dziękując za raport, a następnie dał znak swoim ludziom, by zabrali się do roboty. Technicy zabezpieczyli butelki, a także próbki skał, na które substancja się wylała. Woleli też sami przenieść na miejsce swój sprzęt.

Rozpoczęli serię szczegółowych badań, nawet z wykorzystaniem laserów i bioczujników. Sprawdzali różnego rodzaju możliwości. Podgrzewali i schładzali płyn, palili go, obserwując pozostałości. Profesor Dyer badała jego skład chemiczny, kręcąc przy tym głową.

- Nic z tego nie rozumiem, Tony - powiedziała. - Nie możemy zidentyfikować tej substancji. Co to może być? Takayasu też był zdziwiony. Porównywał wyniki badań z tymi, które były dostępne w bazach danych CIA. W końcu o zachodzie słońca zdjął maskę przeciwgazową, ciesząc się świeżym, rześkim powietrzem. Spojrzał na wodę. Mgła już się uniosła i przypomniał sobie, jak kiedyś, gdy miał siedem lat, wszedł do pokoju siostry, która urodziła się parę dni wcześniej. Leżała tak cicho. Powiedział o tym matce

I teraz wciąż miał w uszach jej krzyk. Siostra umarła. Później, po skończeniu osiemnastu lat dostał do przejrzenia papiery dotyczące tej sprawy. Była to tak zwana nagła śmierć łóżeczkowa. Do tej pory nie poznano jej przyczyn. Zrobiło to na nim takie wrażenie, że postanowił poświęcić się nauce, by wydrzeć naturze jej sekrety.

Po chwili wrócił do rzeczywistości. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie zadzwonić do żony na wschodnie wybrzeże. Miał być przecież na recitalu skrzypcowym córki w Georgetown. Sięgnął po telefon, kiedy pojawili się przed nim dwaj inni członkowie ekipy.

- Co o tym sądzisz? - spytali.

Takayasu pokazał im notatki ze wzorem  $C_3H_5(N_3)_3$  i wielkim znakiem zapytania.

- Nitroliceryna?

- Nie, nie. Ma podobne cechy, ale to coś innego. - Takayasu popatrzył na wodę.

- Co ty na to, Tony? - spytała Dyer. - Wyglądasz na zaniepokojonego.

- Będziemy musieli popracować nad tym w laboratorium - odparł Takayasu.

- Jasne, ale masz chyba jakieś przeczucia?

- Wydaje mi się, że ta substancja nie jest w pełni przetworzona albo stanowi składnik czegoś innego. Przypominam sobie, że na konferencji w Nowej Zelandii słyszałem o jakichś nieprawdopodobnych badaniach chińskich naukowców. To miało związek z nanotechnologią i zapłonem radiowym. Czymś, czego nie można wykryć. Ta substancja może mieć z tym związek...

- Chcesz powiedzieć, że to może być bomba? - spytał jeden z ekspertów FBI.

- Raczej jeden z jej składników. Ale nie mam pojęcia, jakie mogą być inne składniki.

- Więc wszystko mogłoby stać się bombą?

- Właśnie.

## ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY PIERWSZY

*Rat City, Seattle*

Nieoznakowany samochód rządowy zatrzymał się na południowym skraju Seattle, między starymi odrapanymi budynkami. Wsiadła z niego dwójka elegancko ubranych agentów, która po chwili weszła do odrapanej kamienicy. Mężczyzna sprawdził listę lokatorów, a następnie zadzwonił pod numer E.R. Glaxora.

- Kto tam? - usłyszeli rzez domofon czyjś metaliczny głos.

- Pan Edwin Glaxor?

- Tak.

- Agent specjalny Blake Walker i Melody Krover z CIA. Przyjechaliśmy w związku z pana informacjami.

- Dobrze. Mieszkanie numer 615. Glaxor wpuścił ich do środka.

Weszli do windy i Melody wcisnęła szóstkę. Była jednym z nowych nabytków CIA i pracowała w oddziale w Seattle. Miała przy sobie akta Glaxora. Agenci miejscowego wywiadu byli u niego dwukrotnie i sporządzili dokładne raporty z obu wizyt. Byli dumni ze swojej pracy i wcale nie podobało im się to, że Walker się do tego wtrącał.

Walkerowi jednak było wszystko jedno.

Edwin Richard Glaxor pracował jako stróż nocny. Miał

trzydzieści sześć lat. Od jakiegoś czasu zasypywał Watykan listami, w których żądał, by na forum Organizacji Narodów Zjednoczonych „papież przyznał się do swoich zbrodni i do tego, że jest antypapieżem”, bo inaczej Glaxor „wylimnuje go” w czasie jego wizyty w Seattle.

„Upoważniono mnie do tego, bym wykonał ten wyrok”  
- pisał.

Ze zgromadzonych akt wynikało, że Glaxor nie jest zrównoważony psychicznie. Jego pracodawca powiedział agentom, że na przykład rozmawia z przedmiotami. Nigdy jednak nie popełnił przestępstwa, nie był też agresywny. Nie posiadał broni ani materiałów wybuchowych. Pomimo gróźb nigdy nie zaatakował też żadnego z prezydentów w czasie ich wizyt na zachodnim wybrzeżu.

Kiedy Glaxor otworzył drzwi, Walker poczuł zapach jakiegoś kremu i kocich sików. Gospodarz nosił sklezione taśmą okulary przeciwsłoneczne. Był otyły i miał przetłuszczone włosy i niezdrową cerę. Okna w jego mieszkaniu były zasłonięte.

- Jestem uczulony na słońce, dlatego pracuję w nocy  
- powiedział, a następnie usiadł na jakimś podwyższeniu.

Agenci stali.

- Cieszę się, że przyszliście. Zostało mało czasu - rzucił szybko, ale wyraźnie. - Kontaktowałem się ostatnio z WSD, który żąda, by zakończyć tyranię papieża, bo inaczej sam przystąpi do działania.

Krover otworzyła teczkę Glaxora.

- Kontaktował się pan z Wielce Szanownym Demonem?

- Tak, WSD objawia mi się zwykle w postaci gargul-ca. Spotykamy się w parku w centrum, żeby porozmawiać.

- Mogę trochę odsłonić okno? Tylko odrobinę. Walker odsunął zasłonkę. Okazało się, że Glaxor siedział na podwyższeniu utworzonym z egzemplarzy Biblii. Walker słuchał nonsensownych wywodów mężczyzny przez jakieś dwadzieścia minut, w końcu mu przerwał.

264



- Wydaje mi się, że ktoś powinien dokładnie pana wysłuchać. Rozmawialiśmy już z pańską rodziną na temat instytucji, która mogłaby się tym zająć...

Glaxor złożył ręce, a następnie skinął głową.

- Czy mogę wziąć ze sobą swoje notatki?

- Porozmawiam o tym z lekarzami, ale nie sądzę, by mieli coś przeciwko.

- Dobrze, pojedę.

- Świetnie. Uważam, że w tej sytuacji to jedyna słuszna decyzja.

Walker sięgnął po telefon, by powiadomić rodzinę Glaxo-ra i psychiatrę, że wszystko dobrze poszło.

Glaxor pisał tylko listy z groźbami, jak wielu innych wariatów, znanych również służbom specjalnym. Natomiast zadanie Walkera polegało na tym, by wyłowić spośród nich tego, który może stanowić prawdziwe zagrożenie. W tym przypadku uznał, że Glaxor jest zupełnie nieszkodliwy. Zresztą teraz będzie stanowił jedynie problem dla psychiatrów.

Ta sprawa była już załatwiona.

Kiedy Walker znalazł się w samochodzie, ponownie zajrzał do akt Glaxora.

Miał przed sobą jeszcze parę takich wizyt i zaczął się zastanawiać, czy nie powinien zająć się tym ktoś inny.

Ponieważ jednak wiązało się to z dużym ryzykiem, sam wolał sprawdzić wszystkie potencjalne zagrożenia. Krover odnalazła następny adres z listy i ruszyła przed siebie, a on przeglądał kolejne dokumenty.

Coś go w nich niepokoiło.

Niby wszystko było w porządku, a jednak przypominał sobie jakieś fragmenty rozmów, które odbywał w Langley.

Nie potrafił jednak stwierdzić, o co chodzi, i tylko go to coraz bardziej irytowało.

Walker zerknął jeszcze na najświeższe informacje, dotyczące potencjalnych zagrożeń.

Nic szczególnego.

W tym momencie odezwała się jego komórka. Wiadomość z Biura Bezpieczeństwa Narodowego. Amerykański Urząd Celny i Straż Przybrzeżna poinformowały o przemyśle niebezpiecznego materiału. Miejsce: granica z Kanadą, stan Waszyngton, Cieśnina Juan de Fuca. Przewoźnik: mały statek pod flagą panamską. Pochodzenie statku: Jemen. Ładunek przewieziono z dużego statku nieznanego pochodzenia.

## ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY DRUGI

*Wschodnia część Great Falls, Montana*

W obiektywie lornetki pojawiły się odległe brązowe sylwetki. Jelenie.

Z ostępów leśnych wyłoniła się łania z dwojgiem cętkowanych małych.

Z pyskami przy ziemi zwierzęta obwęchały sosnowy maszt, na którym powiewała samotna, amerykańska flaga.

Widok był naprawdę piękny. Trzy jelenie i flaga, która powiewała na wysokości półtora metra.

Ustawił ją tam mężczyzna, który teraz obserwował zwierzęta. Ali Bakarar, znany inżynier chemik.

To nazwisko było jednym z wielu, jakimi się posługiwał. Przybył tu z Anglii. Bakarar brał udział w międzynarodowej konferencji w Portland, w stanie Oregon, która skończyła się tydzień wcześniej. On jednak chciał spędzić część wakacji w Ameryce, o czym poinformował władze.

Wcześniej był w Addis Abebie, następnie odwiedził Algierię, zatrzymał się na chwilę w Kairze, Stambule, Paryżu, a potem parę dni spędził w Londynie. Nikt jednak, poza jego mocodawcami, nie znał tej trasy, gdyż podróżował pod różnymi nazwiskami.

Odciski palców i obraz źrenic nie budziły żadnych pode-

jrzeń. Bakarar nie figurował na listach Interpolu. Bez przeszkód dotarł więc do Montany na obrzeża wojskowej bazy lotniczej Malmstrom, by zakończyć swoją misję.

Słona lizawka, którą położył przy fladze, a także owoce czeremchy i śnieguliczki oraz wiadro z wodą przyciągały jelenie jak magnes. Mogły tam stać godzinami. Bakarar spojrział na zegarek, kiedy zobaczył obłoczek kurzu i nadjeżdżającego jeepa swego współpracownika.

Omar był specjalistą od nanotechnologii molekularnej. Przywiózł ze sobą osobę, która miała wziąć bezpośredni udział w akcji.

To pielęgniarzka.

Samara.

Miała na sobie dzinsy i T-shirt Marinersów z Seattle, co podkreślało jeszcze jej figurę. Nawet w czapeczce i ciemnych okularach wyglądała naprawdę pięknie. Doskonale pasowała do opisu szefa z Afryki.

Tygrysica wypełniła swoje zadanie. Stała się zwykłą Amerykanką.

Omar miał na ramieniu jej torbę z komputerem, którą postawił na składanym stoliku, przy którym pracował Bakarar pod plażowym parasolem.

Dla postronnych byli badaczami przyrody z europejskiego magazynu podróżniczego.

- To prawdziwy szczyt, siostrzko, móg cię poznać - powiedział Bakarar. - Wuj przesyła ci swoje modlitwy.

Samara skinęła głową i spojrziała na urządzenia na stoliku. Laptopy, aparaty fotograficzne, lornetki, telefony satelitarne, książki z zakładkami, tablicami szyfrów i wykresami.

- Wszystko gotowe? - upewniła się.

- Oczywiście - odparł Bakarar. - Mamy dobre warunki, a cele doskonale namierzone. - Podał Samarze lornetkę, by obejrzała jelenie.

Omar zapisał coś w notesie, a następnie wprowadził kod do telefonu.

- Jesteś gotowy? - zapytał Bakarar.

268

- Tak.

- Teraz uważaj, siostró.

Naukowcy wyjaśnili Samarze, jak działa nowa broń. Następnie pokazali animowany film, który to prezentował. Udało im się wyprodukować nowy syntetyczny materiał wybuchowy, praktycznie niewykrywalny, który był uruchamiany drogą radiową.

Cały system działał w następujący sposób: wysyłano sygnał radiowy, który aktywował nowy materiał, wyposażony w nanoodbiorniki. Po otrzymaniu sygnału materiał „rozgrzewał się” przez sześćdziesiąt sekund, a potem był już gotowy do użycia. W tym momencie można go było w każdej chwili zdetonować.

Samara obejrzała film na laptopie.

- Tu wysyłamy sygnał i zaczynamy odliczanie - wyjaśnił Bakarar. - Sześćdziesiąt sekund...

- I mamy bombę - wpadła mu w słowo Samara.

- Tak, ale potrzebny jest drugi sygnał, który ją uruchomi.

- W jaki sposób?

- Może on pochodzić z dowolnego laptopa na całym świecie. Nie można go wytropić, gdyż przechodzi przez Internet. Chodzi tylko o to, żeby kod się zgadzał.

Na filmie było widać, jak sygnał przechodzi przez satelitę.

- Możesz go również aktywować swoim aparatem fotograficznym - dodał Omar. - Zaprogramowaliśmy go już w odpowiedni sposób. Ma wprowadzone kody. - Omar wyjaśnił cały proces raz jeszcze: - Aktywujesz materiał, czekasz sześćdziesiąt sekund i w odpowiedniej chwili naciskasz spust migawki.

- Chwila musi być odpowiednia, bo materiał ma ograniczony zasięg rażenia - wtrącił Bakarar. - Od dwóch i pół do trzech metrów.

Samara spojrzała na niego.

- Sygnał z aparatu działa z daleka, ale nic nie może zasłaniać ci celu. W laptopie można ustawić czas odpalenia.

Zaraz wprowadzimy kod do twojego komputera.

269

Omar zabrał się do pracy i po chwili pokazał Samarze, co ma robić, by uruchomić zdalne odliczanie. Mogła to zrobić wcześniej, przed aktywowaniem materiału, pamiętając jednak o minucie potrzebnej na to, by się „rozgrzał”.

- Czy wszystko jasne? - spytał Bakarar.

- Tak mi się wydaje.

- Jesteś gotowa na próbę? - Omar podał jej aparat. Samara zaczęła go dokładnie oglądać.

- Proszę, zrób zdjęcie z tą flagą.

Samara uniosła aparat i przycisnęła spust migawki.

- Widzisz. Teraz następuje aktywacja. Patrzyli na zegar w laptopie. Bakarar zachichotał.

- To prawdziwa ironia losu, prawda?

- Co chcesz przez to powiedzieć? - Samara popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

- Jesteśmy obok bazy lotniczej Malmstrom, gdzie znajdują się amerykańskie głowice międzykontynentalne

Minu-teman III - wyjaśnił Bakarar. - W Północnej Dakocie, Wyoming i tu, w Montanie, spoczywa pod ziemią około pięciuset takich głowic.

Samara skinęła głową.

- Poza tym pewnie nie wiesz, że ćwiczyły tu amerykańskie oddziały przed wyjazdem do Iraku.

Sekundy mijały jedna po drugiej.

- A teraz my wypróbujemy nasz miecz w samym sercu tego kraju niewiernych.

Na ekranie zapaliło się zielone światełko.

- Odliczanie skończone - oznajmił Omar.

- Masz już bombę. Spróbuj jeszcze raz sfotografować tę flagę.

Samara skierowała celownik aparatu na flagę i zwierzęta. Przycisnęła migawkę.

Zobaczyła tylko blask, a potem dotarło do niej głośnie klaśnięcie, jakby ktoś strzelił z bata. Po chwili zobaczyła

w oddali kurz, który opadał na zakrwawioną ziemię i porozrzucone wokół szczątki jeleni. Po fladze nie było nawet śladu.

## ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY TRZECI

*Wschodnia część Great Falls, Montana*

Jim Yancy zobaczył nagły błysk w pobliżu ziemi. Co u licha?!

Czyżby to uderzenie pioruna? Teraz, przy takiej pogodzie? Po chwili do jego uszu dobiegł dziwny trzask. Nie, to niemożliwe.

Yancy wzruszył ramionami, przejechał dalej terenówką i znowu zabrał się do naprawiania ogrodzenia swojej posiadłości przy bazie lotniczej. Pewnie żołnierze mają jakieś ćwiczenia na poligonie albo likwidują niewypały. Chociaż, jak sięga pamięcią, od lat tego nie robili.

Ta sprawa nie dawała mu spokoju. Co jakiś czas mrużył oczy i spoglądał w tamtym kierunku. Dostrzegł samochód, który, o dziwo, oddalał się od bazy.

Sprawa wydała mu się tajemnicza, dlatego po skończonej robocie pojechał w tamto miejsce. Nie było tam niczego. Pustka. Yancy mieszkał tu od lat i wiedział, że wóz, który widział, nie należy do wojska.

Coś mu się tutaj nie zgadzało.

Wysiadł z terenówki i zaczął się rozglądać dookoła. Zauważył zwierzęce szczątki, a także lizawkę i kawałki wiadra. Gdzieś dalej leżał skrawek materiału, który pochodził zapewne z flagi. W wysokiej trawie odnalazł głowę łani.



Jej oko patrzyło na niego z przerażeniem.

- O Boże! - krzyknął.

Wyjął komórkę i zadzwonił do szeryfa hrabstwa Cascade.

Najpierw przyjechał przedstawiciel jednostki Malmstrom. Następnie pojawiła się ekipa strażaków z lotniska. Zaraz potem zespół techniczny FBI, paru agentów i policja.

Było oczywiste, że coś tu wybuchło, ale nikt nie miał pojęcia, co to mogło być. Jakaś tajemnicza substancja. Agenci FBI zadzwonili do Waszyngtonu i po południu na miejsce dotarła ekipa Tony'ego Takayasu z Marylandu.

Ledwie udało im się wrócić z Pysht i zabierali się właśnie do dalszych analiz, kiedy otrzymali to wezwanie. W czasie lotu przeczytali dokładnie informacje z Montany i obejrzel zdjęcia. Ponieważ na miejscu znajdowała się lizawka i wiadro, uznali, że ktoś zaplanował ten wybuch.

Była to więc próbna eksplozja.

Członkowie ekipy porównywali to, co mieli przed sobą, z wcześniejszymi zamachami Unabombera i ekstremistycznej antyrządowej grupy, która starła się z FBI w pobliżu Jordan w Montanie.

Po wylądowaniu na wojskowym lotnisku przewieziono ich na miejsce szkolnym autobusem. Po drodze o wszystkim opowiedział im agent specjalny FBI, David Groller, który nie ukrywał tego, że stracił przyjaciół w zamachu na World Trade Center.

- Możliwe, że to sprawka studentów z miejscowego uniwersytetu - powiedział. - Nie wydaje nam się jednak, żeby zwierzęta weszły na jakąś minę. I nie jest to sposób miejscowych rolników na zabijanie dzikich zwierząt...

Groller podkreślił to, że w Malmstrom znajdują się głowice nuklearne.

- W dodatku za trzy dni ma tu przyjechać papież, dlatego musimy jak najszybciej wyjaśnić przyczynę tego wybuchu i stwierdzić, czy stanowi on zagrożenie. A potem dorwać tych skurwysynów.

Ludzie Takayasu włożyli kombinezony i rozpoczęli pracę.

Podobnie jak w Pysht zebrali próbki i zabrali się do ich analizy. Sprawdzili ziemię, powietrze, zmierzili promień wybuchu.

Analiza wykazała, że kawałek materiału pochodził z amerykańskiej flagi. Była to bawełna, utkana najprawdopodobniej we wschodniej Afryce, więc być może pochodziła z krajów trzeciego świata.

Nic nadzwyczajnego.

Jednak wyniki analiz szczątków zwierząt były wysoce niepokojące.

Karen Dyer przeprowadziła badania z użyciem mikroskopijnej taśmy krzemionkowej z organicznymi związkami heterocyklicznymi, znanymi jako porfiryny. Następnie prześwietliła je światłem fluorescencyjnym. Czujniki wykryły minimalne ślady tetrametrycznego nadtlenu acetonu, który najprawdopodobniej zmieszano z pentrytem. Obie substancje są niewidoczne gołym okiem.

- Co o tym myślisz, Tony? - zapytała Karen.

- Nie wiem, jak zrobili tę bombę. - Takayasu wskazał ekran swojego komputera. - Popatrz na te szczątki. To była chyba łania z dwójką młodych. Zwierzęta średniej wagi, typowe w tych okolicach.

- Tak, wiem.

- Ten środek musiał być bardzo silny w porównaniu do swojej objętości. Trzydzieści, może czterdzieści razy silniejszy. Nigdy czegoś takiego nie widziałem.

- Ale co konkretnie eksplodowało? Nie znaleźliśmy szczątków bomby.

- Nie wiem. Jakby w ogóle nie istniała.

Przed wyjazdem Takayasu przeprowadził jeszcze jeden test, który bardzo go zaniepokoił.

- Karen, musimy jechać do laboratorium - zdecydował. - Trzeba to jak najszybciej wyjaśnić.

- Już przekazuję informację pilotom.

## ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY CZWARTY

*Cold Butte, Montana*

Jake wyrzwał przez okno, odstawił piwo i wyszedł na podjazd, żeby przywitać się z Samarą. Pierwszy otworzył drzwiczki jej vana.

- Co się stało? - spytała.

- Gdzie byłeś?

- W Great Falls. Na spotkaniu służb medycznych przed wizytą papieża.

- W szkole i szpitalu nic o tym nie wiedzieli.

- To było poufne zebranie. Chodzi o względy bezpieczeństwa. Dlaczego mnie szukałeś, przecież zostawiłam wiadomość.

- Powiedz, co się dzieje.

- O czym ty mówisz?

- Wciąż siedzisz przy tym cholernym komputerze albo rozmawiasz przyciszonym głosem przez telefon. Najpierw zmusiłeś nas do wyjazdu do Seattle, a potem nagle zniknąłeś. Co się dzieje?

Samara popatrzyła na niego zimno.

- Odsuń się - mruknęła. Jake zrobił krok do tyłu.

- Co się dzieje, do cholery?! - zawołał.

- Mów ciszej.

Samara wzięła swoje rzeczy i próbowała go minąć, ale złapał ją za ramię.

- Puszczaj! - syknęła.

- Zadałem ci pytanie.

- Znowu piłeś?

- Spodobał ci się ten facet z Seattle, co?

- Co takiego? Chyba zwariowałeś!

- Do licha, przecież wszystko dla ciebie poświęciłem. A ty zachowujesz się tak, jakbym w ogóle nie istniał.

Jej oczy zapłonęły zimnym ogniem, jednak po chwili skinęła lekko w stronę drzwi, w których stanął Logan.

- Puść mnie i się opanuj - powiedziała.

Stali przez chwilę w napięciu, aż w końcu Jake puścił jej ramię.

- Już ci mówiłam, że mam intensywny kurs internetowy. Niedługo go skończę i będę miała więcej czasu. Poza tym tęsknię za przyjaciółmi z Londynu i Bagdadu. A dzisiaj byłam w Great Falls, i tyle.

Jake popatrzył na nią i po raz pierwszy przyszło mu do głowy, że są sobie obcy. Przesunął dłonią po ustach, a potem ruszył przed siebie.

- Tato!

Logan chciał za nim pójść, ale Samara go powstrzymała.

- Daj mu na razie spokój. Musi ochłonać.

- Tato!

Jake stał samotnie przy drodze i patrzył na olbrzymią pustą przestrzeń, którą miał przed sobą. Po jakimś czasie wrócił, ale nie wszedł do domu. Usiadł w ogródku i patrzył na zachodzące słońce.

Samara obserwowała go przez kuchenne okno i przygotowywała kolację.

Zjadła ją tylko z Loganem.

Następnie wyszła na dwór i postawiła talerz przed Jakiem. Na talerzu była duża kanapka z kurczakiem, pieczona fasolka i sałatka. Przyniosła mu też kawę w dużym ceramicznym kubku z logo Marinersów.

Jake musi wkrótce wyjechać ciężarówką w kolejny kurs, więc będzie miała przez parę dni spokój.

- Możesz prowadzić? - zapytała.

- Prawie nie tknąłem tego piwa. Znowu zamilkł, a ona wróciła do domu.

Zjadł kolację i zaczął się zastanawiać nad swoją sytuacją, aż w końcu zapadł zmrok. To jasne, że bardzo zmienił się w Iraku. A Samara uratowała mu życie i musi o tym pamiętać. Teraz jednak czuł, że się zupełnie pogubił.

Maggie miała rację. Powinien był opowiedzieć jej o wszystkim, to by mu z pewnością pomogło. Tak dobrze się kiedyś rozumieli...

Zakrył twarz dłońmi, a potem spojrział przez palce. Czuł, jak mgła, która spowijała jego umysł, powoli się unosi. Zrozumiał, że popełnił wielki błąd.

- Tato?

Logan stał tuż obok.

- Cześć, synu.

- Co tu się dzieje, tato?

- Muszę sobie wszystko przemyśleć.

- Chcę cię o coś spytać, ale obiecaj, że się na mnie nie wściekniesz...

- No, co cię dręczy?

- Chciałbym, żeby mama tu przyjechała. Wiesz, na wizytę papieża. Wszyscy mówią, że to takie ważne wydarzenie...

Jake zamknął na chwilę oczy, a potem się uśmiechnął.

- Już o tym mówiliśmy, Logan. Nie możemy jej tutaj zaprosić.

Chłopiec zaczął płakać.

- Bardzo za nią tęsknię - powiedział przez łzy.

- Ja też.

- Naprawdę, tato?

Jake przyciągnął go bliżej i położył dłoń na ramieniu syna.

- I to bardzo.

Logan spojrział ze zdziwieniem na ojca. Miał wrażenie, że rozmawia z nim tak jak kiedyś. Jak rozmawiali jeszcze przed wyjazdem ojca do Iraku.

- Myślałem, że już zawsze będziesz się na mnie wściekał.

- Wiesz, widziałem w Iraku straszne rzeczy. Naprawdę straszne.

Logan rozumiał, że musiało tam być bardzo źle.

- Nie mówiłem o tym, ale przeżyłem atak rebeliantów. O mały włos mnie nie zabili. Stąd mam te okropne bóle głowy.

- Rozumiem.

- Potem nie wiedziałem, co się ze mną dzieje. Ciągłe byłem podminowany. Dlatego zrobiłem awanturę twojemu trenerowi.

- Nie ma o czym mówić.

- Jednak parę rzeczy wiem na pewno. Przede wszystkim to, że cię kocham i, niezależnie od tego, co mówiłem, że twoja mama też cię kocha.

Kolejne łzy popłynęły po twarzy Logana.

- Nigdy nie przestała cię kochać. Jest dobrą matką. Chłopak skinął głową.

- Samara też jest dobra - ciągnął Jake. - Narażała życie, żeby mnie uratować. Gdyby nie ona, nigdy więcej byś mnie nie zobaczył. Tyle że muszę sobie teraz wszystko przemyśleć...

- Dobrze, tato.

- Wizyta papieża to coś, co zdarza się tylko raz w życiu. Mam nadzieję, że dobrze się sprawisz. Samara będzie robić zdjęcia. Ja też tam przyjdę. Muszę teraz wyjechać, ale wrócę na czas. Potem będziemy mogli jeszcze porozmawiać.

Logan skinął głową i wytarł łzy.

- Dobrze, tato.

- I pamiętaj, że kochamy cię oboje z mamą. Jake wyjechał trochę przed północą.

287

Logan patrzył za uciekającymi światłami jego ciężarówki, aż w końcu zniknęły w ciemności.

Po chwili usłyszał znajome uderzenia w klawiaturę komputera, które dobiegały z salonu.

Wymknął się ze swojego pokoju i spojrzał w dół. Samara siedziała przy laptopie. Zauważył też leżącą obok niej torebkę.

Logan miał plan.

Nie wiedział tylko, czy się powiedzie. Jednak w duchu mówił sobie, że musi.

## ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY PIĄTY

*Droga międzystanowa numer 15 do Las Vegas*

Maggie i Daniel jechali drogą międzystanową numer 15 do Las Vegas. Daniel miał coraz większe wątpliwości. To, co zrobił, zakrawało na niesubordynację.

Podjął jednak kroki, by zmniejszyć ryzyko postępowania dyscyplinarnego.

Zadzwoił do szefa w porze, gdy zwykle miał spotkania, i zostawił kolejną niejasną wiadomość o poszlakach prowadzących do Las Vegas. Następnie zadzwonił do Vica Thompsona, któremu również nagrał się na pocztę głosowej, zostawiając wiadomości na temat dotychczasowych ustaleń. A potem jeszcze zadzwonił na policję i do oddziału FBI w Las Vegas z informacją o swoim przybyciu.

Przy dużej dozie dobrej woli można było uznać, że postępował zgodnie z przepisami.

Jednak wkrótce będzie musiał zrezygnować albo samemu zacząć ustalać reguły. W głębi duszy wiedział, że zdecyduje się raczej na to drugie. Ta sprawa coraz bardziej go wciągała. Było w niej tyle niejasnych miejsc, a on bardzo tego nie lubił.

Kiedy tak jechał, przypomniał sobie ten dzień, gdy stał z Liz DeYoung, lekarzem śledczym, na brzegu rzeki i patrzył na ciało chłopca.



- Możesz za to winić tylko matkę naturę - powiedziała wtedy Liz.

Daniel zastanawiał się nad jej słowami, jadąc wynajętym wozem przez pustynię Mojave. Maggie zasnęła. Miała otwarte okno po swojej stronie i wiatr poruszał jej włosami. Była ubrana w białe spodnie i lawendowy T-shirt, który podkreślał jej szczupłą sylwetkę.

Nawet na chwilę nie rozstawała się z komórką, którą teraz przymocowała do nadgarstka. Wierzyła, że syn w końcu do niej zadzwoni. Zadbała nawet o to, by telefony z jej domowego numeru były przekierowywane na tę komórkę.

Wzięła ze sobą laptopa. Zwolniła się z pracy.

Podporządkowała wszystko jednemu celowi.

Daniel pomyślał, że są do siebie podobni.

Obok przejechała ciężarówka i Maggie się obudziła. Rozmasowała sobie skronie, a potem sprawdziła, czy nie ma nowych SMS-ów.

Ledwie się znali, ale czuli się dobrze w swoim towarzystwie. Milczenie zupełnie ich nie męczyło.

Maggie spytała go o służbę w policji konnej, a on dał jej swoją odznakę. Przesunęła palcami po złotej koronie z wieńcami z klonowych liści, a potem po słowach „Kanadyjska Królewska Policja Konna” i po głowie bizona z ich mottem.

- Myślałam, że wasze motto brzmi: „Zawsze odnajdziemy przestępcę” albo coś takiego.

- Nie, tam jest hasło po francusku: „Maintiens le Droit”. To znaczy „Utrzymać prawo”.

- A skąd głowa bizona?

- Dzięki nim bardzo wielu naszych ludzi przeżyło w czasie wędrówki na zachód na początku dziewiętnastego wieku.

Pracowali wtedy za dolara dziennie.

- A dlaczego nie ma pan czerwonego munduru i stet-sona? - spytała z uśmiechem.

- Myśli pani, że powinienem to włożyć, żeby nie rzucać się w oczy?

- A wciąż jecie mięso bizonów?

- Są wśród nas nawet wegetarianie.
- I wciąż panu płacą dolara za dzień?
- Zależy od dnia - odparł wesoło Daniel.

Maggie się roześmiała. Po raz pierwszy od czasu, kiedy Jake zabrał Logana. Chciała nawet podziękować za to Danielowi, ale zmieszała się i spojrzała w stronę pustyni. Daniel zapytał ją, jak się poznali z Jakiem, więc opowiedziała mu o szkole. A potem spytała o jego rodzinę.

- Moi rodzice wciąż żyją. To wszystko.
- A żona? Dzieci?
- Nie mam dzieci. Żona zginęła.
- Bardzo mi przykro. Co się stało? Zacisnął mocniej dłonie na kierownicy.
- Wolałbym o tym nie mówić.
- Przepraszam. Zadzwoiła komórka Daniela.
- Danny? Len Bowman z Banff. Słyszałeś, że mamy Tarvera?
- Słyszałem. Są już wyniki sekcji zwłok?
- Nie, ale lepiej by było, żebyś wracał. Stotter jest wściekły z twojego powodu.
- Dlatego dzwonisz?
- Nie, chodzi o twój ustny raport. Strażnicy chcą zwolnić obóz Tarverów. Za długo już nad tym pracujemy. „Możesz za to winić matkę naturę”. W tym momencie coś przyszło mu do głowy. Przegapiony do tej pory aspekt sprawy.
- Zaczekaj, Len! Czy przeszukałeś teren razem z Ar-niem?
- Żeby znaleźć ślady krwi? Nie, Arnie zajrzał do namiotu i wozu, skąd pobrał próbki.
- Powiedz mu, żeby sprawdził drogę do rzeki.
- Co? Cały las?
- Przypomnij mu badania na Islandii, będzie wiedział, o co chodzi. To on mi o nich opowiadał. Zadzwoń, jak będziecie mieli wyniki.

- Dobra, ale jak Stotter się dowie, zwałę wszystko na ciebie. On uważa tę sprawę za zamkniętą.

- Jasne, biorę to na siebie. Tak będzie lepiej dla ciebie i Arniego.

Po rozmowie Daniel pogrążył się w myślach. Maggie przypuszczała, że chodziło o sprawę Tarverów, ale nie chciała mu przeszkadzać. Nie zadawała mu też pytań, gdy zatrzymali się na stacji benzynowej, żeby zatankować i coś zjeść. Kiedy znowu wyjechali na drogę, nie zauważyli, że ich śladem ruszyła niebieska impala z zaciemnionymi szybami i odrapanym zderzakiem od strony kierowcy.

Ten sam wóz, który jechał za Maggie parę dni wcześniej.

Tym razem jeden z mężczyzn zainstalował w ich samochodzie niewielki nadajnik. Sygnał był na tyle silny, że mogli z daleka obserwować kolejne ruchy Maggie i Daniela.

## ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY SZÓSTY

*Las Vegas, Nevada*

Ze szkieletu starej ciężarówki wynurzyły się dwa psy.

Wielkie zwierzęta z kolczastymi obrożami, połączone łańcuchami, które wlokły się za nimi przez ponad dwadzieścia metrów po podwórku, gdy oba psy ostrożnie zbliżyły się do swego pana.

Do Karla Dixona.

Psy szły ze spuszczoneymi łbami, a na ich ciałach widać było rany, które zabiżniły się w większym lub mniejszym stopniu. Dixon często je głodził, żeby były złe. Te, które zachowywały się bardziej przyjaźnie, leżały już zakopane w pobliżu miejsca, gdzie wyrzucał stare pojemniki i części.

Dixon poruszył cygarem, które trzymał w ustach, i postawił miskę z surową wieprzowiną. W drugiej ręce trzymał stalowy pręt z drutem kolczastym, znaczony krwią i kępkami sierści.

Głodne psy przesunęły się nerwowo w stronę jedzenia, a Dixon zagryzł cygaro, odsłaniając brązowe zęby. Potem uniósł pręt.

Psy zaskamlały i trochę się cofnęły.

Dixon popatrzył na nie z satysfakcją. Dzisiaj ich nie uderzy.

284

- Tym razem nic wam nie będzie - mruknął. - Dalej macie tę robotę.

Zaśmiał się, odrzucił pręt i wyjąwszy cygaro z ust, splunął na ziemię. A potem popatrzył na swoje królestwo. Desert Truck Land.

Na ogrodzonym metalowym płotem i drutem kolczastym podwórku stało około sześćdziesiąt ciężarówek i traktorów. Jego komis znajdował się niedaleko dawnej giełdy, tam gdzie tory kolejowe przecinały West Hacienda na zachód od Las Vegas Boulevard i drogi międzystanowej numer 15.

Dixon lubił panować nad otoczeniem: swymi psami, byłymi żonami i podejrzanymi interesami. W drodze powrotnej do biura podliczał zyski z aut sprzedanych do Montrealu, Portland i Tulsy. Przyniosło mu to ponad sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów, a to głównie dzięki temu, że podrasował trochę ich papiery i pogrzebał przy licznikach.

Dixon nie lubił hazardu.

Zyskiwał na wszystkich swoich transakcjach. Tak właśnie prowadził to przedsiębiorstwo.

Był jednak ostrożny i unikał komplikacji. Nigdy nie posuwał się zbyt daleko.

- A co to takiego? - zapytał sam siebie.

Mrużąc oczy, spojrzął w stronę budynku. Zauważył dwie osoby, mężczyznę i kobietę, którzy wysiedli z auta i zaczęli rozmowę z Wandą, jego sekretarką i aktualną dziewczyną. Dixon był dosyć daleko od biura, ale widział ich dokładnie przez duże, niezastłonięte okno. Potrafił dobrze ocenić sytuację, być może dlatego, że kiedyś pracował w wojsku przy wykrywaczu kłamstw.

Któregoś dnia sfalszował wyniki badań, za co dostał dziesięć tysięcy dolarów. To właśnie pomogło mu się usamodzielnić.

Kiedy zbliżył się do drzwi, poczuł, że nie podobają mu się ci przyjezdni. Zwłaszcza mężczyzna, który pokazywał coś Wandzie.

To nie był kierowca. Wyglądał na policjanta. A Wanda nie była zbyt bystra. Dixon przyspieszył.

Kobieta za starym odrapanym kontuarem uśmiechnęła się do nich przyjaźnie.

- Dzień dobry, czym mogę służyć?

Wyglądała na zadowoloną z wizyty, ale Daniel był daleki od optymizmu.

Przed przyjazdem do Desert Truck Land znaleźli czysty i niedrogi hotel przy Strip, niedaleko kaplicy, w której udzielano ślubów. Daniel najpierw zadzwonił, a potem pojechał do siedziby policji w Las Vegas, gdzie rozmawiał z sierżantem Lou Castą, zajmującym się kradzieżami wszelkich pojazdów.

Casta sprawdził najpierw pełnomocnictwo Daniela i jakoś przełknął historię z ubezpieczeniem, a następnie stwierdził, że miał skargi na właściciela Desert Truck Land, dotyczące głównie fałszowania odczytu liczników.

- Jednak nie ma tu nic, żeby go oficjalnie oskarżyć - powiedział Casta.

Na Dixonie ciążyły zarzuty złego traktowania zwierząt, parę zażaleń kierowców, a poza tym FBI badało sprawę kradzionych ciężarówek, w którą był zamieszany.

- To wszystko, co mamy - zakończył Casta.

Teraz, przy kontuarze, to Maggie przejęła inicjatywę, a Daniel pomyślał, że tak może będzie lepiej.

- Dzień dobry. Szukam syna. Może będzie mi pani mogła pomóc?

- Syna?

- Nazywa się Logan Conlin, a ja Maggie Conlin. Mieszkam w Blue Rose Creek, koło Los Angeles.

Daniel wyjął papiery i zdjęcia, które dostał od Maggie, i pokazał je kobiecie.

- Śliczny chłopak - zachwyciła się Wanda. - Ile ma lat?

- Dziewięć. Mój mąż, Jake, jest kierowcą. Wziął ze sobą Logana i od sześciu miesięcy nie mogę ich znaleźć.

Wanda zakryła usta dłonią i parę razy zamrugła.

- To straszne! Co się stało?

- Sama nie wiem. Jake pracował w Iraku i po powrocie do domu dziwnie się zachowywał. Było nam ciężko...

- Wiem, jak to jest. Syn mojej siostry był tam w oddziale komandosów. Wciąż nie może spać, a jak już zaśnie, to ma koszmarne sny.

- Chcę znaleźć ich obu - powiedziała Maggie. - Wydaje mi się, że Jake sprzedał albo wymienił tu swoją ciężarówkę. Kenwortha. Mam tutaj jej zdjęcie i ksero dokumentów...

Wanda spojrzała na podsunięte przez Daniela papiery i skinęła głową. A potem jeszcze raz, kiedy zerknęła ponownie na zdjęcie Logana.

- Tak, wydaje mi się, że rzeczywiście wymieniliśmy tę ciężarówkę na starszą, oczywiście z dopłatą. - Wanda obróciła się w stronę stojących za nią segregatorów i wyjęła jeden z nich.

W tym momencie ktoś otworzył drzwi do biura.

- Dzień dobry. Jestem Karl Dixon, właściciel Desert Truck Land. Czym mogę służyć?

Zmierzył wzrokiem Daniela i Maggie. Maggie powtórzyła swoją historię, on zaś wszedł za kontuar, od którego odsunął Wandę.

- Macie może jakieś dokumenty? Różni ludzie tu przychodzą i opowiadają różne historie - powiedział Dixon.

Trochę się uspokoił na widok prawa jazdy Maggie, ale aż się cofnął, kiedy Daniel wyjął swoją odznakę.

- Jest pan z kanadyjskiej policji? - spytał chłodno. - Nic z tego nie rozumiem.

Daniel wyjaśnił mu okoliczności śmierci Tarverow i kwestię odszkodowania.

- Chciałbym po prostu zamienić parę słów z panem Conlinem - rzucił zdawkowym tonem. - To wszystko.

Dixon pokiwał głową.

- Rozumiem. Mogę prosić o dane tej ciężarówki? Maggie podała mu ksero, a on, zamiast sprawdzić w segregatorach, usiadł przed komputerem.

- Mam w nim wszystkie dane - wyjaśniał. - **Zaraz** sprawdzę to auto.

- Dziękuję.

Daniel stwierdził, że Dixon zachowuje się podejrzanie. Wcale nie sprawdzał dokumentów, a tylko udawał, że to robi. Po dziesięciu minutach pokręcił głową.

- Bardzo mi przykro, pani Conlin, ale nie kupiliśmy tej ciężarówki ani też innej, która byłaby do niej podobna. Może powinna to pani sprawdzić w wydziale komunikacji?

- Nic nie rozumiem. - Maggie spojrzała na Wandę. - Mówiła pani, że przypomina sobie tę ciężarówkę...

- Pewnie się pomyliła - wtrącił Dixon nerwowo.

- Nie sprawdził pan w segregatorze... - upierała się Maggie.

- Mam wszystko w komputerze. Kupujemy mnóstwo ciężarówek, stąd zapewne ta pomyłka.

- Bardzo pana proszę. Ja muszę odnaleźć syna...

- Nie, to wygląda na pomyłkę - wtrącił Daniel.

- Właśnie - podchwycił Dixon. - Bardzo chciałbym pani pomóc. - Zerknął na zdjęcia. - Fajny chłopak, prawda, Wando?

- O tak.

Wanda spojrzała jej w oczy, jakby chciała coś powiedzieć. Maggie natychmiast zrozumiała, o co jej chodzi.

W tym spojrzeniu była prośba. I strach.

Maggie nie mogła tego zrozumieć, zaczęła więc zbierać zdjęcia i dokumenty.

- Życzę miłego dnia - rzucił Dixon i pokazał im w uśmiechu swoje brązowe zęby.

Kiedy Daniel i Maggie odjechali, Dixon spojrzał z naganą na Wandę.

- Naprawdę chciałaś im pokazać te papiery?

- Przecież ona szuka tylko swojego dziecka, Karl.



- Tak, razem z gliną!

- Nie miałam pojęcia.

Dixon mruknął coś, co zabrzmiało jak „głupia dziwka”, a potem machnął ręką i wyjął z kieszeni kluczyki do swojego cadillaka.

- Jadę do Franka, a potem zajrzę do banku. Może mi to zająć chwilę, więc lepiej uważaj na to, co robisz.

Wanda patrzyła, jak wychodzi, a potem sięgnęła po wizytówkę, którą Maggie Conlin zostawiła jej wcześniej.

Spojrzała na numer telefonu.

Przeciagnęła palcem po jej brzegu, żałując, że to nie jest nóż, gdy obserwowała, jak Karl wsiada do samochodu.

## ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY SIÓDMY

*Las Vegas, Nevada*

Maggie próbowała powstrzymać złość, patrząc na zachodzące nad ulicą Las Vegas Strip słońce. Siedzieli z Danielem w łoży rodzinnej restauracji.

- Wiem, że ten facet kłamał. Na pewno kupił ciężarówkę Jake'a - powiedziała Maggie.

- Dixon ma sporo do ukrycia - mruknął Daniel.

- Więc dlaczego mu odpuściłeś? - W drodze powrotnej z Desert Truck Land zdecydowali, że łatwiej im będzie zwracać się do siebie po imieniu.

- Przecież ci mówiłem, że nie mam takich uprawnień.

- Byliśmy tak blisko - westchnęła Maggie.

Daniel odstawił kawę i spojrzął na ich bilety na jutro. Maggie miała wrócić do Los Angeles, a on do Calgary.

- Jestem na służbie. Szef dzwonił do mnie już dwa razy z rozkazem, żebym wracał. Sam nie wiem, co mnie tam czeka...

- Musisz mu wyjaśnić, że te dwie sprawy się wiążą!

- Sprawa Tarverow jest już zamknięta, ale pamiętaj, że nie możesz się poddawać. Rozmawiałem z miejscową policją i powiadomiłem o wszystkim Castę i Vica Thompsona. Na pewno dostaną nakaz przeszukania wszystkich papierów w firmie Dixona. To tylko kwestia czasu.

- To może zająć parę tygodni. Boję się, że Dixon ukryje jakoś te papiery.

- Właśnie dlatego nie chciałem go spłoszyć. To sprytny ptaszek.

Maggie ponownie westchnęła. Zjedli, a potem pojechali do hotelu, którego neon lśnił pośród innych.

- Mogę ci zadać osobiste pytanie? - zapytała Maggie.

- Jasne.

- Nawet jeśli będzie bolesne?

- Mhm.

- Jak zginęła twoja żona?

Daniel spojrział w przestrzeń i przez chwilę milczał.

- W wypadku samochodowym - rzucił w końcu.

W hotelu zajmowali oddzielne pokoje na tym samym piętrze. Dzielilo je od siebie parę numerów. Pokoje wychodziły na basen i widać z nich było szczyty Spring Mountains.

Kiedy Daniel znalazł się sam, włączył wiadomości CNN i usiadł do laptopa. W telewizji mówiono głównie o zbliżającej się wizycie papieża.

Jeszcze raz sprawdził akta Tarverow. Nie chciał kończyć tej sprawy. Jednak Stotter zażądał, żeby wracał i Daniel nie miał innego wyjścia. Zwłaszcza że nie zrobiono jeszcze sekcji zwłok Raya Tarvera i nie miał żadnego punktu zaczepienia.

Daniel sprawdził maile. Od razu przeczytał wiadomość od Arniego Dantona w sprawie badania śladów krwi.

Dan, ponieważ sprawę uznano za zakończoną, trudno mi uzyskać pozwolenie na te testy. Robię, co mogę. Może jutro. Arnie.

Daniel wyłączył komputer, po czym nastawił budzik na szóstą rano, by mieć jeszcze trochę czasu przed odlotem.

Musieli się wymeldować i zwrócić wóz do wypożyczalni na

lotnisku. Zasnął w momencie, kiedy ekspert **do spraw** bezpieczeństwa rozpoczął dyskusję z gośćmi na temat **nad-**chodzącej wizyty papieża:

„Wiesz, Brent, ten spisek w Manili przeciwko Janowi Pawłowi II niemal się powiódł i teraz...”.

Maggie weszła właśnie do wanny w swoim, położonym nieco dalej, apartamencie, popatrzyła na leżącą na półce komórkę i omal się nie rozpląkała.

Była tak wyczerpana, że jej mięśnie drżały w gorącej wodzie.

Tak właśnie musi wyglądać piekło. Być może jednak umarła i teraz skazana jest na wieczną niepewność. Będzie coraz bliżej syna, ale nigdy go nie znajdzie.

Nigdy już nie zobaczy Logana.

Jej ciało powoli przyzwyczajało się do wody. Wsunęła się głębiej do wanny i przymknęła oczy. Była teraz z Jakiem i Loganem gdzieś na rozgrzanej plaży...

W końcu obudził ją chłód wody.

Nie wiedziała, jak długo spała.

Wytarła się i posłała łóżko. Jednak wcześniej postanowiła uzupełnić teczkę z dokumentami i dołączyć tam zdjęcia i papiery, które wzięli do Desert Truck Land. Zostawiła ją przykrytą Biblią w szufladzie w szafce nocnej z prawej strony łóżka.

Kiedy jednak otworzyła szufladę, okazało się, że teczki tam nie ma.

Dziwne. Przecież doskonale pamiętała, że zostawiła ją właśnie pod Biblią. Sprawdziła w szafce po lewej stronie łóżka. Jej teczka tam leżała.

Dziwne. Jak mogła się tam przenieść? Być może sprzątaczką ją przełożyła? Maggie podniosła słuchawkę i zadzwoniła do recepcji.

- Nie, proszę pani, nikt nie sprzątał w pani pokoju... Nie sprzątamy pokoi, dopóki goście się nie wyprowadzą.

Maggie była zmieszana. To dziwne. Być może sama przełożyła teczkę do drugiej szuflady i o tym zapomniała?

301

Sprawdziła zamek przy drzwiach i łańcuch.

Próbowała zasnąć i przywołać sen z plaży.

Przecznice dalej wśród wielu innych samochodów stała impala z przyciemnionymi szybami. Przez wpjskową lornetkę widać z niej było dokładnie oświetlony, hotelowy korytarz. Jeden z mężczyzn obserwował drzwi do pokoi Maggie i Daniela, drugi zaś spał na tylnej kanapie wozu.

Ten pierwszy co godzinę wysyłał e-mailem raport do wujka w Addis Abebie.

## ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY ÓSMY

*Las Vegas, Nevada*

Większość marzeń związanych z Las Vegas zaczynała się lub kończyła na lotnisku McCarran International.

Był to punkt tranzytowy dla zwycięzców i przegranych.

Można tu było zobaczyć, co hazard, którym żyło miasto, robi z ludzi.

Daniel i Maggie należeli do wyjątków, chociaż też czuli się przegrani. Oddali już wóz do wypożyczalni, a teraz siedzieli, czekając na swoje samoloty. Maggie zamówiła herbatę i patrzyła ponuro na namakającą w niej torebkę.

Daniel wziął sok pomarańczowy i bułkę.

W telewizji pokazywano powitanie papieża w Ameryce. Daniel odebrał telefon od Casty, który dzwonił z najnowszymi informacjami na temat Dixona.

Maggie rozmięła jednodolarówkę na drobne i podeszła do automatów z nadzieją, że pozwoli jej to zapomnieć o porażce. Wrzuciła monetę i pociągnęła za rączkę. Miała w jednej linii cytrynę, pomarańczę, dzwonki i kratkę.

Przegrała. To samo za drugim i za trzecim razem.

Została jej ostatnia dwudziestopięciopensówka.

Normalne.

Wrzuciła ją bez większych nadziei do automatu i pociągnęła za rączkę. Najpierw na linii ustawiła się jedna wiśnia,  
294

potem druga, trzecia... I czwarta! W automacie zaświeciły światła i zabrzmiał gong. Wodospad monet runął na tacę. Jednocześnie zadzwoniła jej komórka. Kiedy usłyszała głos w słuchawce, szybko wyszła z poczekalni, gdzie panował hałas.

- Maggie Conlin?

- Tak.

- Tu Wanda.

Przez chwilę obie milczały w napięciu.

- Bardzo mi przykro z powodu tego, co się wczoraj stało w biurze.

- Pomoże mi pani? - zapytała Maggie.

Przycisnęła aparat mocniej do ucha. Patrzyła na siedzących w poczekalni ludzi. Na ich roześmiane lub smutne twarze. Słyszała osoby, które mówiły po francusku, niemiecku, japońsku...

- Przecież nie zadzwoniła pani tylko po to, żeby złożyć mi wyrazy współczucia. Pomoże mi pani?

- Karl już taki jest. Przestraszył się tego policjanta i...

- Nie obchodzi mnie Karl. Chodzi mi tylko o mego syna! Wanda znowu zamilkła.

- Dobrze, pomogę - powiedziała w końcu.

Maggie zaczęła machać w stronę Daniela, aż w końcu ją zauważył i ruszył w jej stronę.

- Zaraz do pani przyjedziemy. Znajdziemy tylko taksówkę.

- Nie! To nie jest dobry pomysł. Powiem wszystko przez telefon.

- Dobrze, chwileczkę - powiedziała Maggie. Daniel stanął obok. Wyjęła notes i napisała w nim tylko: WANDA.

POMOŻE. - Trochę tu głośno. Proszę mówić wyraźnie.

Zwiększyła głośność, tak by Daniel również mógł słyszeć rozmowę. Oboje przysunęli głowy do aparatu.

- Pani mąż, Jake Conlin, wymienił u nas ciężarówkę. Zapamiętałam go i sprawdziłam w innych papierach Karla.

- Na co wymienił? I dokąd pojechał?

- To był international, ale ze zmienionymi papierami i numerami seryjnymi. Nie znajdzie pani tego wozu. Karl w ten sposób zarabia, dlatego boi się policji. Opłaca jakiegoś faceta z wydziału komunikacji, który potem zatwierdza te papiery. Mówię to, bo chcę od niego odejść, bo... zresztą wie pani, jacy mogą być faceci. - Wanda przełknęła głośno, jakby piła. - Pani jest taka miła - dodała.
- Rozumiem, życie bywa ciężkie. Wiem coś o tym. Czy wie pani może coś jeszcze? Proszę, niech pani sobie przypomni... - Głos Maggie się załamał.
- Pani mąż długo rozmawiał z Karlem w biurze. Robiłam im kawę. Mówili bardzo głośno. Pani mąż powiedział, że ma dom gdzieś w Montanie. Że ma tam zacząć nowe życie i zapomnieć o byłej żonie...
- Byłej? Wcale się ze mną... Zaraz, gdzie konkretnie w Montanie?
- Nie wiem.
- Zupełnie nic?
- Parę tygodni później Karl dał mi papiery, żebym wysłała je do Jake'a, aby zalegalizować ciężarówkę. Mam ten adres. Może to coś pomoże.
- Adres w Montanie?
- Tak. To była skrytka pocztowa w centrum handlowym Sky Road Truck Mail, Grizzly Tooth Freeway, Great Falls.
- Dziękuję, bardzo dziękuję.
- Widziałam pani syna. Poznałam go na zdjęciach. Serce Maggie zabiło mocniej.
- Widziała go pani?!
- Był z pani mężem. Przyszedł, żeby skorzystać z toalety.
- Jak się trzymał?
- Był bardzo smutny, trochę zagubiony. Przyszedł z tą kobietą, dziewczyną Jake'a.
- Wie pani coś o niej? Jak się nazywa? Jak wygląda? Daniel wciąż zapisywał najważniejsze informacje. Teraz wskazał Maggie coś w swoim notesie.



- Czy dotykała czegoś, czego nie dotykał nikt inny? - przeczytała na głos.
  - Nie wiem. Była bardzo ładna. Taka ciemna, o egzotycznej urodzie. Prawie nic nie mówiła. Mam nadzieję, że znajdzie pani syna... - O, muszę już iść. Powodzenia.
  - Naprawdę bardzo dziękuję.
- Maggie rozłączyła się i spojrzała na Daniela.
- Lecę najbliższym samolotem do Great Falls - oznajmiła. - A ty?

**CZĘŚĆ PIĄTA**  
**„WYBACZCIE TO, CO ZROBIŁAM..”**

## ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

*Seattle, stan Waszyngton*

Na bezchmurnym porannym niebie pojawił się helikopter szeryfa hrabstwa King.

Ludzie wypełniali szczerze Pioneer Square i parę sąsiednich ulic, byle tylko zobaczyć papieża. Według wstępnych obliczeń, które dotarły do Blake'a Walkera, zgromadziło się trzydzieści pięć tysięcy wiernych.

Walker przyjrzał się twarzom ludzi przy barierach i na balkonach, które otaczały plac.

To był początek.

Teraz jego grupa przejmowała na siebie obowiązki ochrony papieża.

Jego ludzie pracowali po dziewiętnaście godzin na dobę. Sprawdzali listy podejrzanych i wraz z policją patrolowali okolice. Rozpracowali już chyba wszystkich, którzy kiedykolwiek kierowali groźby pod adresem papieża lub prezydenta.

Do tej pory wizyta przebiegała spokojnie. Nic poważnego, poza drobnymi incydentami, nie wydarzyło się w Nowym Jorku, Miami, Houston czy Los Angeles.

W Nowym Jorku siedemdziesięciosześcioletnia kobieta objęła papieża i nie chciała go puścić. W Los Angeles pracownik budowlany, którego żona chorowała na raka,

przedarł się przez tłum i kordon ochrony i uczeplił szaty papieża, ale szybko go odciągnięto. Później papież spotkał się z nim na prywatnej audiencji, by pomodlić się za zdrowie jego żony.

Wciąż trwały badania podejrzanej substancji, znalezionej na wybrzeżu w Cieśninie Juan de Fuca. Wstępne raporty wykluczały raczej poważne zagrożenie.

Walker cały czas współpracował z przedstawicielami innych agencji wywiadowczych. Nic nie potwierdzało informacji, które udało się uzyskać od Issy al-Issa.

Wkładano jednak olbrzymi wysiłek w monitorowanie wszystkiego, co dotyczyło głównych organizacji terrorystycznych. Badano wszelkie doniesienia i sprawdzano te rozmowy, które udało się podsłuchać.

Walker wiedział, że nie wszystko da się przewidzieć.

Nie każdego terrorystę można powstrzymać.

Starał się jednak poprzez ciężką pracę i stałą inwigilację zmniejszyć ryzyko zamachu do minimum.

Środki bezpieczeństwa podjęte w Seattle były naprawdę niezwykle. Wszędzie było pełno policji, a także agentów w cywilu, którzy starali się wmieszać w tłum. Funkcjonariusze ochrony towarzyszyli papieżowi na każdym kroku. Na dachach siedzieli porozstawiani snajperzy i obserwatorzy z Washington State Patrol, FBI i ATF.

Wysoko uniesione nad miastem odrzutowce patrolowały niebo, by nie dopuścić do samobójczego zamachu z powietrza. Podobne plany odkryto dwa lata temu w komputerach aresztowanych członków pewnej algierskiej grupy terrorystycznej.

Walker wziął głęboki oddech i zaczął przeglądać plan papieskiej wizyty.

Papież miał najpierw pobłogosławić prowadzone przez zakonnice schronisko. Pragnął pomodlić się za siostrę, którą ostatnio zamordowano w czasie pełnienia swych obowiązków w tym schronisku.

Następnie miał pozdrowić tłum zgromadzony przy barier-

kach wokół schroniska, przejść do papamobile i przejechać niecały kilometr Pierwszą Aleją do Qwest Field, gdzie mieściła się siedziba drużyny Seahawks. Stadion przygotowano tak, by mógł na nim odprawić mszę polową w obecności około stu tysięcy wiernych.

Po południu Ojciec Święty powinien zjeść obiad w siedzibie arcybiskupa Seattle, gdzie miał spędzić noc.

Następnego dnia rano czekał go przelot do Montany, a potem do Chicago, gdzie kończył pielgrzymkę.

Walker poprawił słuchawkę.

Papież właśnie skończył błogosławieństwo schroniska i wychodził na zewnątrz.

Agenci natychmiast ruszyli w stronę wejścia.

Walker w dalszym ciągu obserwował tłum. Wypatrzył długowłosego szczupłego młodzieńca. Obok niego stał starszy mężczyzna w czapeczce z aparatem fotograficznym na piersi. I dalej niska kobieta w chustce i białych rękawiczkach. Obok niej zauważył jakiegoś uśmiechniętego blondyna w ciemnych okularach. Walkera zaniepokoiło to, że nie widzi jego oczu i że tamten uśmiecha się tak promiennie. Gdzie trzyma ręce? Walker skupił się na nim, a tłum zaczął śpiewać i wiwatować.

- Już idzie? Widzisz go? - spytała kobieta w okularach w złotej oprawie. W dłoni trzymała miniaturową amerykańską flagę.

Walker poczuł nagły ucisk w żołądku. Słyszał szum w swojej słuchawce.

- Ojciec zbliża się do Rydwanu.

Słowo „Ojciec” oznaczało papieża, a „Rydwan” papamobile. Walker natychmiast przekazał swój komunikat i czekał w napięciu. Z trudem przełknął ślinę.

- Jest! Jest! Widzę go! - zawołała kobieta z tłumu. Ludzie zaczęli wiwatować.

Papież wyszedł z budynku i uśmiechnął się do tłumu. Podchodził do barierek i pozdrawiał zgromadzonych. Wszędzie towarzyszyli mu pracownicy ochrony.

Walker obserwował kolejne osoby: kobietę w okularach, długowłosego młodzieńca, mężczyznę z aparatem. Wszyscy wyciągali szyje, żeby zobaczyć papieża. Gdzie jest blondyn? Walker stracił go z oczu. Musiał się gdzieś przesunąć.

Po chwili go dostrzegł. Blondyn przysunął się do barierki. Coś tu się nie zgadzało. Mężczyzna zachowywał się dziwnie.

Walker czuł narastający niepokój. Serce zaczęło mu bić szybciej, kiedy papież ścisnął dłonie kolejnych osób. Pochylił się, by pocałować jakieś dziecko.

Pracownicy ochrony prosili go dyskretnie, żeby przesunął się szybciej wzdłuż linii oczekujących. Papamobile już czekało z włączonym silnikiem.

Blondyn w wojskowej kurtce wyciągnął w górę lewą dłoń. Otworzył usta i zawołał:

- Tu! Tu, Ojczy Świąty! Wyjął prawą dłoń z kurtki. Coś w niej trzymał. Walker zamarł.

Broń?

Czyżby celował do papieża? To rzeczywiście wyglądało na lufę, a palec znajdował się na spuście.

Walker natychmiast podał komunikat. Ochroniarze zasłonili papieża. Z tłumu wychynęli dwaj nieumundurowani agenci i natychmiast złapali blondyna za ramiona. Po chwili leżał na ziemi wśród wiwatującego tłumu.

Ochroniarze przeprowadzili pośpiesznie papieża do samochodu. Jeden z agentów wyciągnął do góry przedmiot, który blondyn trzymał w dłoni.

Drewniany krzyż.

Pewnie chciał, by papież go pobłogosławił.

Koniec alarmu.

Walker odetchnął z ulgą.

Papież już ruszył do samochodu, gdy Walker usłyszał w słuchawce wiadomość od jednego ze snajperów.

- Jakiś błysk w oknie w południowej części placu.

302

Walker zaklął i spojrział w stronę Smith Tower i Columbia Center. Z obu budynków można było oddać strzał. Natychmiast wydał dyspozycje pracownikom ochrony, którzy poprowadzili papieża w zasłonięte miejsce.

- Małe opóźnienie, Ojciec Święty. Papież skinął głową.

Akcję przeprowadzono bardzo szybko. Snajper określił dokładne miejsce, z którego pochodził błysk - dwudzieste piąte piętro, okno z północno-wschodniej strony. Nikt z tłumu nie zorientował się, co się dzieje, jednak niektórzy dziennikarze poczuli pismo nosem i skierowali się w stronę budynku.

Coś się działo.

Oddział SWAT wpadł do pokoju. Uzbrojeni agenci zobaczyli dziadka, który wraz z wnukiem oglądał papieża przez lornetkę. .

Obaj aż otworzyli usta na widok mężczyzn w kamizelkach kuloodpornych z bronią, którą wcześniej widzieli pewnie tylko na filmach. Dopiero przy drugim wezwaniu podnieśli do góry ręce.

- Przepraszam, już nie będę - powiedział chłopiec. - Nie zabijajcie mnie. \*

I zaniósł się płaczem.

Jego dziadek był emerytowanym architektem.

Walker naciskał na miejscowe władze, by zakazały używania lornetek w czasie wizyty papieża, jednak ludzie byli temu przeciwni i w końcu władze ugięły się pod naciskiem opinii publicznej.

Na szczęście msza na Qwest Field przebiegła już bez żadnych incydentów i papież spokojnie dotarł po niej do siedziby archidiecezji.

Jednak Walker ze swoimi ludźmi pracował jeszcze długo po tym, jak Ojciec Święty udał się na spoczynek. Sprawdził napływające informacje, a potem zajął się przygotowaniami do kolejnego dnia pielgrzymki.

Skończyli grubo po północy.

Walker położył się, ale nie mógł zasnąć. Adrenalina nie pozwalała mu zmrużyć oka.

Pocieszał się tym, że kolejny dzień powinien być spokojniejszy. Czekają go tylko uroczystości w hrabstwie Lone Tree. To było małe piwo w porównaniu z dużym Seattle.

Już zaniknął oczy, kiedy poczuł wibracje swojej komórki.

Najnowsze doniesienia.

Jakiś farmer zgłosił tajemniczą eksplozję w pobliżu bazy lotniczej Malmstrom. Całą sprawę badali ludzie szeryfa z hrabstwa Cascade i wojskowi.

Wysłano tam też ekipę specjalistów z Indian Head.

Walker stwierdził, że nie uda mu się odpocząć, dopóki papież nie wyjedzie bezpiecznie z Chicago.



## ROZDZIAŁ SZEŚCZDZIESIĄTY

### *Samolot do Montany*

W ciągu czterech godzin po telefonie od Wandy, Maggie i Daniel zdołali odwołać swoje loty i kupić bilety na samolot charterowy, który leciał do Great Falls.

- Macie państwo szczęście - powiedziała kasjerka. - Grupa pielgrzymów właśnie odwołała rezerwację.

Maggie zapłaciła za bilet, wykorzystując sześćset trzydzieści jeden dolarów, które wygrała na automacie. Daniel wyłożył pieniądze z własnej kieszeni w obawie przed tym, co powiedziałyby urzędniczka, która miała rozliczyć jego delegację.

Wiedział już, że nie zrezygnuje tak łatwo ze sprawy Tarverów.

Nawet gdyby otrzymał rozkaz, by wracać.

Wciąż miał przed sobą pytania, na które nie potrafił odpowiedzieć. Patrzył właśnie na chmury, szukając odpowiedzi, gdy ich samolot przeleciał nad Wielką Pustynią Słoną i zaczął się zbliżać do parku Yellowstone.

Wciąż niepokoiły go słowa Emily Tarver. Poza tym mógł przysiąc, że tam, w wodzie, słyszał głos żony. Gdyby teraz zrezygnował, ta sprawa nigdy nie dałaby mu spokoju.

Czuł, że chodzi o Norę.

Może pogodziłby się z jej śmiercią, gdyby rozwiązał tę zagadkę. Może.  
Kiedy samolot przeleciał nad Bitterroot Mountains, Daniel zdecydował, że w razie czego poprosi o urlop z powodów osobistych, co pozwoli mu prowadzić śledztwo na własną rękę.  
A jeśli go nie dostanie?  
Cóż, będzie musiał zrezygnować z pracy w policji.  
Nie będzie miał innego wyjścia.  
Jeśli nie uda mu się doprowadzić tej sprawy do końca, i tak będzie skończony.  
Za bardzo się w nią zaangażował, by teraz z niej zrezygnować.  
Great Falls leżało jakieś siedem godzin drogi od Calgary. Można tam było też dolecieć znacznie szybciej niewielkim samolotem. Zabawne, pomyślał, patrząc na zaśnieżone szczyty, które ciągnęły się na północ aż do Faust River, gdzie stał nie tak dawno, trzymając w ręku prochy Nory.  
Czuł, że zatoczył niemal pełne koło.  
Kiedy kapitan ogłosił, że zaraz wylądują w Great Falls, Maggie obudziła się i zajęła miejsce w kolejce do toalety.  
Wracając, zwróciła uwagę na mężczyznę, który jej się uważnie przypatrywał. Uśmiechnęła się do niego uprzejmie, ale on potraktował ją zimno i wyniośle, aż dreszcz przebiegł jej po plecach.  
To niemożliwe.  
Wyglądał znajomo. Jak ten dziwak z jej księgarni.  
Obejrzała się, ale inni pasażerowie zasłaniali jej widok. Usiadła i pokręciła głową. Nie, to niemożliwe. To tylko jej wyobraźnia. Nic dziwnego, zważywszy na to, co ostatnio przeszła.  
Przedawkowanie leków. Pobyt w szpitalu. Wizyta Daniela i to wszystko, co wydarzyło się po niej - podróż do Las Vegas i teraz do Montany.

Czuła, że zbliża się do Logana. I do Jake'a.  
Zapięła pasy. Samolot zaczął się obniżać i już po chwili zobaczyli płytę lotniska.  
Zacząła modlić się w duchu, by tym razem udało jej się dotrzeć do prawdy.  
Jakakolwiek by ona nie była.

## ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY PIERWSZY

*Great Falls, Montana*

Sky Road Truck Mail rozciągał się na trzydziestu akrach koło drogi międzystanowej, nieopodal lotniska Great Falls International.

Było to całodobowe centrum handlowe ze stacją benzynową, dwiema restauracjami, kaplicą, salonem masażu, centrum medycznym, pralnią, łaźnią i wieloma innymi udogodnieniami. Kompleks zdobiły liczne przyszczyżone krzewy i żywopłoty. Na masztach ze złożonymi końcami powiewały flagi Montany i Stanów Zjednoczonych.

Maggie i Daniel zaparkowali przed centrum i przez chwilę patrzyli na ciężarówki, które to wjeżdżały, to wyjeżdżały z kompleksu Sky Road. Ich dieslowskie silniki pracowały głośno, co jakiś czas syczały hamulce.

Przed wylotem z Las Vegas Daniel ponownie skontaktował się z policją. O dziwo, jeden z jego telefonów trafił do agenta specjalnego FBI w Billings.

- Dziękuję za telefon, ale nie wiem, czy będziemy mogli panu pomóc - powiedział agent. - Zajmujemy się w tej chwili głównie pielgrzymką papieża.

Daniel zadzwonił też do oficera śledczego Novaka z Waszyngtonu, by pomógł mu odszukać ciężarówkę i adres

Jake'a Conlina. Novakowi było z pewnością zapytać o to policjantów z Montany.

Nie udało mu się jednak nic ustalić.

Novak był na tyle miły, że sprawdził też materiały FBI, ale nie znalazł niczego poza informacją, że Jake Conlin jest poszukiwany z powodu uprowadzenia syna.

Teraz siedzieli w biurze Cheyenne Mills, która zarządzała całym kompleksem. Pani Mills wysłuchała ich, bawiąc się swoją obrączką, a potem zadzwoniła do paru podwładnych. Potwierdziła informację, że Jake „Conlynn” wynajął na dwa miesiące skrytkę pocztową na terenie centrum handlowego. Zapłacił gotówką. Formularz wynajmu nie zawierał innych informacji.

Pani Mills wskazała na przeszkloną ścianę swego biura, która wychodziła na centrum.

- W ciągu tygodnia przyjeżdża tu trzy, może cztery tysiące ludzi. Nasi klienci są solą tej ziemi. Na pewno postarają się wam pomóc. Gdyby ktoś miał coś przeciwko, powołajcie się na mnie.

Przez następnych parę godzin rozmawiali z ludźmi w barach, poczekalniach i kolejkach, a na ekranach telewizorów można było oglądać kolejne etapy papieskiej wizyty: „Papież przebywa dziś w Seattle, jutro rano uda się do Montany, a następnie do Chicago...”.

Maggie i Daniel pokazywali zdjęcia Jake'a i Logana i prosili o pomoc.

Jednak po paru wyczerpujących godzinach wciąż byli w punkcie wyjścia.

Maggie stanęła w końcu przed wielką mapą Montany, Idaho, Północnej Dakoty, Kolumbii Brytyjskiej, Alberty i Saskatchewan. Była przygnębiona, ale nie zamierzała się poddawać. Pod spodem jak zwykle znajdowało się miejsce na informacje dla kierowców z ofertami pracy, a także sprzedaży i zakupu ciężarówek, naczep i części zamiennych. Umieszczano tam również zdjęcia osób zaginionych i poszukiwanych przez policję.

- Przepraszam, czy to pani szuka kierowcy ciężarówki z synem?

Maggie spojrzała na sześćdziesięcioletnią kobietę z dużymi kolczykami w kształcie kół i bystrymi oczami, ukrytymi za okularami, i skinęła głową.

- Jestem Betty Pilcher. Prowadzimy z mężem zakład fryzjerski po drugiej stronie centrum. Muszę teraz lecieć, ale zajrzyjcie do zakładu. Leo, mój mąż, świetnie pamięta twarz.

Piętnaście minut później Leo Pilcher, emerytowany fryzjer wojskowy, skończył strzyżenie i spojrzał na podsunięte zdjęcie. Maggie i Daniel czekali w napięciu na to, co powie.

Leo skinął głową i zaprosił na fotel kolejnego klienta.

- Tak, był tutaj. Ale teraz wygląda inaczej. Daniel i Maggie wymienili spojrzenia.

- Jest pan pewny? - spytała Maggie.

Leo dotknął końcem nożyczek miejsca przy oku Jake'a.

- Ma tu małą bliznę?

- Tak.

- To był on. Dobrze go zapamiętałem z powodu tych wszystkich zmian.

- Zmian?

Daniel wyjął notes i poprosił o szczegóły.

- To było jakieś pięć miesięcy temu, może cztery. Miał brodę i zdrowe, bujne włosy. Chciał, żebym go ściął na zero i ogolił go w stylu Vandyke'a. Ma teraz taką kozią bródkę. Zaraz panu pokażę. Mogę na tym rysować?

Maggie dała mu pisak ze swojej torebki, a on dorysował Jake'owi wąską bródkę i zasłonił palcem włosy.

- O tak. Wygląda zupełnie inaczej. Spytałem nawet, czy się przed kimś ukrywa, a on zaśmiał się i odparł, że coś w tym rodzaju.

- Powiedział może, gdzie mieszka albo dla kogo pracuje?

Leo pokręcił głową.

310

- W ogóle niewiele mówił, ale widziałem go potem parę razy w centrum. Nie może mieszkać daleko.

Daniel i Maggie wrócili do biura pani Mills, gdzie Daniel napisał e-mail do biura dochodzeniowego w Albercie z prośbą o wprowadzenie zmian w załączonym zdjęciu.

Parę minut później zadzwonił jego telefon.

- Kapral Graham? Tu Simon Teale z biura dochodzeniowego. Otrzymaliśmy pańską przesyłkę, ale mamy teraz sporo roboty. Sprawy z Red Deer i Medicine Hat. Czy to pilne?

- Bardzo.

- Z numeru wynika, że chodzi o sprawę Tarvera?

- Tak. Jakieś problemy?

- Nie, chciałem to tylko potwierdzić. Spróbuję zająć się tym jeszcze dziś po południu. Będzie miał pan to zdjęcie najpóźniej jutro rano.

- Chodzi tylko o zdjęcie...

- Tak, wiem, ale jak mówiłem, mamy teraz sporo pracy. Proszę sprawdzać pocztę.

- Może pan zadzwonić, jak pan skończy?

- Tak, spróbuję.

Daniel mruknął coś na temat biurokracji i się rozłączył. Następnie powiedział Maggie, że powinni poszukać jakiegoś motelu.

## ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY DRUGI

*Great Falls, Montana*

W *Great Falls Tribune* pisano o pierwszej, historycznej wizycie papieża w Montanie.

Na pierwszej stronie można było zobaczyć jego zdjęcie i olbrzymi nagłówek.

Nieprzeczytana gazeta leżała na łóżku Daniela w motelu, gdzie zatrzymali się razem z Maggie.

Daniel brał właśnie prysznic, a potem chciał przejrzeć prasę. Umówił się z Maggie na kolację w restauracji na dole.

Mieli zastanowić się nad sytuacją i zdecydować, co dalej,

Maggie korzystała właśnie z przeznaczonego dla gości komputera. Chciała skontaktować się z władzami oświatowymi i sprawdzić, czy uda się odszukać Logana za pomocą jego daty urodzenia.

Było późne popołudnie i niewiele mogła osiągnąć. Wszystko sprzysięgło się przeciwko nim, gdyż Daniel uważał, że dostaną aktualne zdjęcie Jake'a dopiero następnego dnia.

Jednak Daniel zdołał odprężyć się trochę w kąpieli, kiedy znowu zadzwoniła jego komórka. Zakreślił wodę, wytarł się trochę, a następnie chwycił aparat z nadzieją, że to Teale.

Pomylił się jednak.

- Czy mi się dobrze wydaje, że jesteś w Great Falls? - Usłyszał głos szefa.

312



- Tak.
  - Co tam robisz? Chcesz wrócić autobusem?
  - Mike, badam trop sprawy Tarverów.
  - Nie ma żadnej sprawy Tarverów.
  - Posłuchaj...
  - To raczej ty mnie posłuchaj. Z tego, co wiem, podróżujesz teraz z jakąś kobietą z Kalifornii i zajmujesz się sprawą uprowadzenia jej syna.
  - Tak, to Maggie Conlin. Jej mąż ma związek z Tar-verem. Znalazłem jego adres w notesie Raya.
  - Obawiam się, że czekają cię kłopoty. Mam przed sobą wyniki sekcji zwłok Raymonda Tarvera.
  - I?
  - I nic. Zginął tak, jak jego żona i dzieci. Nie ma w tym nic podejrzanego.
  - Nie, przecież mówiłem ci, co powiedziała Emily Tarver.
  - Tak, tuż przed śmiercią. Była w szoku.
  - Ale to właśnie powiedziała. Poza tym słyszałem głos Nory.
  - Nory?
  - Wiem, że to brzmi dziwnie, ale przysięgam, że tak było.
  - Dan.
- Stotter potrzebował trochę czasu, by uświadomić sobie, że jeden z jego najlepszych śledczych mówi o tym, iż słyszał głos żony zza grobu. Przez chwilę milczał, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć.
- Dan, wiesz przecież, że ci zaufałem. Mogłeś mieć podejrzenia dotyczące tej sprawy. Pomyślałem, że warto to wszystko sprawdzić. Wiem, przez co przeszedłeś, ale musisz się opamiętać. Może zająłeś się tą sprawą z powodu wypadku...
  - To nie tak, Mike.
  - Dan, jesteś dobrym śledczym, ale musisz dojść do siebie...

- Przede wszystkim muszę skończyć to, co zacząłem.

- Rozkazuję ci wracać. Jeśli w ciągu doby nie pojawisz się w pracy, wyślę kogoś, by cię ściągnął. Jasne?

Daniel rozłączył się i spojrzał w lustro. Właśnie odmówił wypełnienia rozkazu. Postawił wszystko na jedną kartę.

## ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY TRZECI

*Montana*

Jake miał teraz mało czasu.

Koło północy minął miejscowość Helena i skręcił w stronę Great Falls, by zabrać produkty spożywcze do Shelby. W Shelby miał odebrać ładunek drewna i zawieźć go do Lewistown.

Wiedział, że nie będzie mógł jechać szybko. Wyrobił się na czas w Butte i Missoula, a przy okazji sporo zarobił.

Poza tym jak do tej pory ruch nie był zbyt duży, chociaż wciąż narastał ze względu na wizytę papieża. Jeśli będzie miał trochę szczęścia, wróci na tyle wcześnie, by jeszcze się przespać przed występem Logana.

Logan.

Jake przeciągnął dłonią po twarzy.

Ścisnął mocniej kierownicę, czując, że jakaś siła pcha go do przodu. Chciał jak najszybciej wrócić do domu.

Pamiętał sylwetkę syna w oknie, kiedy wyjeżdżał.

Zrozumiał prawdę.

Zdał sobie sprawę z tego, jakim był głupcem, decydując się na wyjazd z Blue Rose Creek. Popęłił wtedy największy błąd w życiu.

Co teraz z tym zrobi?

315

Był jakieś piętnaście kilometrów na południe od Great Falls, kiedy zadzwoniła jego komórka.

- Cześć, tu Crocker z dyspozytorni. Great Falls, Shelby i Lewistown odwołały robotę.

- Niemożliwe. Wszystkie trzy?

- Niestety. Przykro mi, *amigo*.

- Do licha, a już liczyłem forszę.

- Możesz wracać do domu. Dostaniesz zapłatę za poprzednie kursy. Wpisałem cię już na kurs do Atlanty w niedzielę.

To pewne.

Jake zaklął pod nosem, przejechał wschodnią obwodnicę Great Falls i skręcił do Cold Butte, by zmierzyć się ze swoimi problemami.

Teraz rozumiał, co się stało.

Z powodu doświadczeń z Iraku stał się potworem. Zaczął się zachowywać niczym paranoik. Jak choćby wtedy, kiedy zrobił awanturę trenerowi Logana.

Oczywiście się mylił.

Maggie nigdy go nie zdradziła.

To on ją zdradził z Samarą. W dodatku zrujnował życie całej swojej rodziny. Porwał Logana. Nakłamał mu. Zostawił Maggie samą.

Jak mógł to zrobić?

Jak mógł zabrać Logana z domu i powiedzieć, że matka go nie kocha.

To było niewybaczalne.

Poczuł olbrzymi wstyd i zacisnął mocniej dłonie na kierownicy.

Jednak Samara uratowała mu życie.

Była dobra i przeżyła własną tragedię. Opiekowała się nim i Loganem, chociaż miał wrażenie, że coraz bardziej się od nich oddala. Tak jakby wciąż była w żałobie.

Jake wiedział już, że nie chce z nią być.

Powinien wrócić do Maggie.

Do swojej żony. Jedynej kobiety, którą tak naprawdę kochał. Z którą tańczył w sali gimnastycznej.

316

„Hey, Jude”.

Irak zniszczył ich życie.

Jake spojrział na gwiazdy, zastanawiając się, czy nie jest już za późno, by wrócić do Maggie.

Samochody przed nim zwolniły przed punktem kontrolnym.

Punkt kontrolny.

Odepchnął od siebie wspomnienia.

Wiedział, że samochody jadące do hrabstwa Lone Tree mają być sprawdzane. Nic wielkiego, zwykła procedura. W jego przypadku powinna też być szybka, gdyż wiózł tylko powietrze.

Około czterdziestu minut po sprawdzeniu go przez patrol policji drogowej, Jack dostał sygnał, że może jechać.

O trzeciej był już w Cold Butte i skręcił w Crystal Road. Po chwili zatrzymał się przed domem. Starał się zaparkować cicho, by nie zbudzić Samary i Logana. Wiedział, że nie spodziewają się go o tej porze.

Był głodny, zjadł więc trochę ciasta i popił mlekiem. Chciał już iść na górę, kiedy dobiegł do niego cichy sygnał z salonu.

Laptop Samary był włączony.

To dziwne, Samara prawie nie rozstawiała się z komputerem. No tak, ale przecież się go nie spodziewała.

Jake przeszedł do salonu i zerknął ciekawie na niebieski ekran. Nagle coś wpadło mu do głowy.

Zajrzał do pokoju obok i upewnił się, że Samara śpi. Na wieszaku wisiał jej szary kostium.

Zajrzał do sypialni syna.

Logan też spał. Na jego stoliku leżały Biblia i różaniec, które chciał wziąć na spotkanie z papieżem.

Jake poczuł dumę na myśl o tym, że jego syn wystąpi przed Ojcem Świętym. Zamknął cicho drzwi do jego pokoju i wrócił do salonu.

W końcu podjął decyzję. Sięgnął do kieszeni, z której wyjął portfel. Po chwili znalazł wizytówkę z napisem „Sto-bel i Chadwick”.

To była księgarnia Maggie. Na wizytówce miał jej adres mailowy do pracy, a także zapisany z tyłu adres prywatny. Jake usiadł przed laptopem i zalogował się do swojej poczty przez stronę internetową. Czekał na połączenie, patrzył na zdjęcie syna i męża Samary, które wypełniało cały ekran. W końcu pojawiła się jego skrzynka i zaczął pisać:

Maggie, nie wiem, od czego zacząć. Nie sądzę, byś wybaczyła mi to, co zrobiłem. Mam tylko nadzieję, że mnie zrozumiesz. Już wkrótce odwiozę Ci Logana...

Pisał przez następne pół godziny, czując, że robi mu się lżej na sercu. Kiedy skończył, przeczytał wszystko. Kiwnął głową i nacisnął przycisk „Wyślij”.

Na ekranie pojawiła się informacja, że tekst jest wysyłany. Jednak pod koniec komputer nagle się wyłączył.

Co się dzieje?

Jake zaczął się zastanawiać, czy jego e-mail dotarł do Maggie i co w ogóle powinien zrobić, kiedy komputer włączył się ponownie. Zaczął wydawać jakieś dźwięki, obraz wirował na ekranie.

Cholera! Co to za urządzenie? Usłyszał jakieś głosy, mówiące głównie po arabsku. Wszystko to było bardzo dziwne. Nagle na ekranie pojawił się film z arabskimi napisami. Obok wyskoczyło okienko czata, również w języku arabskim.

Jake zamarł.

Zobaczył Samarę.

- Co, do diabła...?

Samara miała na sobie biały hidżab, siedziała przy drewnianym stole, na którym znajdowało się oprawione zdjęcie jej syna i męża.

„Nazywam się Samara. Nie jestem dżihadystką...”.

Jake aż otworzył usta ze zdziwienia. Zimny dreszcz przebiegł mu po plecach. Poczł uścisk w żołądku. Nie mógł

318

uwierzyć własnym oczom, a jednocześnie czuł, że wszystko układa się w całość.

Teraz wiedział.

Irak.

Wizyta papieża.

Godziny, które spędzała przy komputerze, późne rozmowy po arabsku.

„Jednak zmartwychwstałam, by dochodzić sprawiedliwości za te zbrodnie. To z ich powodu daję wam mój gniew.

Gniew zbolącej matki i wdowy. Z powodu tych zbrodni poznacie śmierć...”.

To było nagranie kogoś, kto zamierza popełnić samobójstwo.

Jako osoba z obsługi medycznej Samara będzie miała łatwy dostęp do papieża!

Boże, co ja zrobiłem?! - pomyślał. Muszę stąd zabrać Logana! Zawiadomić FBI! Muszę...

Nagle dostrzegł cień na ekranie i poczuł ból.

Co to?

Złapał się za gardło.

Nie mógł oddychać. Nie mógł niczego przelknąć.

Przycisnął dłonie do gardła i poczuł jakąś lepka ciecz, która spływała mu między palcami. Wszystko wokół zaczęło wirować. Obrócił się i upadł na podłogę.

Dostrzegł jeszcze stojącą nad nim Samarę.

Trzymała w dłoni wielki kuchenny nóż i patrzyła, jak umiera.

Następnie wzięła go spokojnie pod ramiona i zawlokła do sypialni, gdzie przykryła ciało pościelą. Upewniła się, że

Logan śpi, a następnie napełniła wiadro zimną wodą i zaczęła zmywać ślady krwi z podłogi.

Popatrzyła jeszcze na twarze Muhammada i Ahmuda, po czym wyłączyła komputer.

Nic nie powstrzyma jej przed wypełnieniem przysięgi.

Jeszcze parę godzin, a jej los się wypełni i Samara połączy się z mężem i synem.

## ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY CZWARTY

*Faust's Fork, okolice Banff, prowincja Alberta, Kanada Obóz numer 131.*

Ten, z którego korzystali Tarverowie.

Wciąż otoczony żółtą policyjną taśmą.

Kapral policji konnej Arnie Danton wysiadł z furgonetki i rozprostował nogi, wciągając do płuc świeże, przesycone zapachem sosen powietrze. Popatrzył na imponujące turnie szczytów Dziewięciu Niedźwiedzi i wzburzone wody Faust River, a potem zaczął się przygotowywać do przeprowadzenia badań.

W świetle zachodzącego słońca wyjął lampy, rękawice i kombinezon, a następnie zabrał się do przygotowania roztworu.

Potem usiadł pod wiatą i z zadowoleniem zabrał się do kolacji, złożonej z kanapki, chipsów, butelki wody i ciastka z masłem orzechowym. Czekał, aż zapadnie zmrok.

Potrzebował ciemności.

Siedział tak samotnie, wsłuchując się w szum rzeki, i myślał o Danielu. Było mu go żal z powodu tego, co się stało. Bardzo lubił jego żonę. Właśnie dlatego zdecydował się wyświadczyć mu przysługę i przyjechał tu w wolnym czasie. Wiele osób ostatnio bardzo Danielowi pomogło.

Noc w górach zapadała szybko.

320



Arnie zmiął opakowania i wrzucił je do torby na śmieci, następnie wstał, by za pomocą luminolu sprawdzić, czy gdzieś koło obozowiska będzie można znaleźć ślady krwi.

Danton miał doskonale przygotowanie do tego rodzaju pracy. Szkolił się w akademii policyjnej i w paru laboratoriach na terenie Niemiec, Szwecji i Japonii, poza tym miał piętnastoletnie doświadczenie w badaniu krwi. Żaden sąd w Kanadzie czy Stanach Zjednoczonych nie ośmieliłby się zakwestionować wyników jego badań. Być może również dlatego, że Arniego fascynowała dziedzina, którą się zajmował.

Jego badania polegały na spryskiwaniu kolejnych miejsc roztworem wody, nadtlenoboranu sodu, węgla sodu i luminolu. Po spryskaniu należy skierować na to miejsce światło ultrafioletowe, a wówczas pojawiają się nawet najmniejsze ślady krwi, niewidocznej dotychczas gołym okiem.

Arnie włożył kombinezon z kapturem, maskę i gumowe rękawiczki. Na głowie umieścił kosztowną lampę LED, która jednocześnie mogła powiększać obraz. Na plecy włożył pojemnik, który przypominał butlę z tlenem płetwonurka, i połączył go rurką ze spryskiwaczem.

Tak wyposażony zaczął spryskiwać teren.

Kawałek po kawałku.

Następnie kierował na spryskane miejsca promienie ultrafioletu.

Pryskął. I sprawdzał.

Wcześniej przeczytał wszystko, co się dało na temat użycia luminolu.

Badania przeprowadzone przez Rosjan, Szwedów i Islandczyków wskazywały, że nawet po opadach deszczu i śniegu ślady krwi nie znikają zupełnie z powierzchni ziemi. Znalaziono je nawet na rytualnych narzędziach Wikingów.

Gdyby ktoś zobaczył w tej chwili Arniego, odniósłby wrażenie, że wykonuje on coś w rodzaju surrealistycznego baletu. W istocie pracował jak prawdziwy artysta.

Najpierw sprawdził teren obozu. Potem miejsce, gdzie stały stoły piknikowe, i las obok. Wszystko pozostało ciemne jak niebo. Żadnych wyników. Arnie przeszedł do rzeki. Zatrzymał się niedaleko jej brzegu. Pryskał. I sprawdzał. Kiedy znalazł się kilkanaście metrów od rzeki, nagle zmarł. Zobaczył dwie plamy świecące na niebiesko. „Krew brata twego głośno woła ku mnie z ziemi!”<sup>1</sup> Arnie, podobnie jak wielu specjalistów, zajmujących się badaniem krwi, pamiętał ten cytat z Księgi Rodzaju. Zaczął znowu przesuwać się ścieżką w stronę obozu, a na jego drodze pojawiało się coraz więcej niebieskich śladów. Pryskał. I sprawdzał. W końcu miał przed sobą niemal Drogę Mleczną złożoną z plam krwi. Przez kolejne pół godziny sprawdzał wszystkie świecące miejsca. Zaczynało mu już brakować roztworu i pomyślał, że powinien kończyć badania, kiedy zobaczył coś niebieskiego w krzakach. Lśniącego niczym odległa gwiazda. Podniósł kamień wielkości grejpfruta i zaczął go badać. - A więc mamy narzędzie zbrodni.

---

<sup>1</sup>Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu, Wyd. Pallottinum, Warszawa-Poznań, 1980.

## ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY PIĄTY

*Great Falls, Montana*

Tej nocy w pokoju za basenem przy wypielegnowanym podwórku motelu, ktoś rozchylił nieznacznie zasłonki. W oknie pojawiła się lornetka, skierowana na pokoje Daniela i Maggie. Cisza, która panowała dokoła, była zwodnicza. Obserwator oddychał ciężko.

Muszę zachować spokój, powiedział sobie w duchu Sid.

Świerszcze cykały, gdy starał się nastawić ostrość.

Sid i Faker zmieniali się przy oknie. Czuli, że dotarli do ważnego punktu związanego ze swoją misją.

Papież miał już rano przylecieć do Montany. Wszystko było przygotowane na jego powitanie i nie miało to nic wspólnego z tym, co planowały władze stanu. Jednak Sid i Faker naciskali na władze siatki terrorystycznej, by zająć się policjantem, który wraz z matką chłopca zagrażał powodzeniu całej akcji.

Nie mogli do tego dopuścić.

Już wcześniej proponowali, by pozbyć się tego gliny, ale polecono im, by go tylko obserwowali i informowali na bieżąco o jego ruchach.

Jednak teraz ryzyko było zbyt wielkie. Zaczynało im brakować czasu i naciskali na centralę, by wydała dalsze dyspozycje.

323

Faker w tej chwili nie spał, ale rozmawiał przez telefon. Tak cicho, że Sid go prawie nie słyszał. Po chwili zakrył mikrofon i zwrócił się do Sida:

- Zaczynają się denerwować. Sid właśnie tego się spodziewał.

- Niektórzy chcą, żebyśmy usunęli zagrożenie, ale inni się martwią, że doprowadzi to do zaostrzenia środków ostrożności albo odwołania wizyty.

Sid nie słyszał dyskusji.

Od kiedy nastoletnia matka zostawiła go w ławce kościoła na Brooklynie, pragnął stać się sławny. Odcisnąć swoje piętno na historii.

Teraz miał ku temu okazję.

Faker znów zaczął rozmawiać. Sid pomyślał o wysiłku, który włożyli w zapewnienie powodzenia całej operacji. O kolejnych zabójstwach w Wirginii i Kanadzie, które miały wyeliminować potencjalne zagrożenia.

- Niestety! - westchnął Faker i zdjął słuchawki. - Mamy dalej tylko obserwować i informować o wszystkim centralę. Sid potrząsnął głową.

- Czy nie widzą, że ten kanadyjski glina jest blisko celu? - rzucił. - To poważny błąd.

- Zgadza się. - Faker wziął własną lornetkę i dołączył do Sida. - Powiedziałem recepcjoniście, że śledzimy niewiernych. Przekupiłem go i na pewno poinformuje nas, gdyby coś się działo.

- Dobrze, więc może jednak zdecydujemy się ich wyeliminować?

- Zrobimy wszystko, bracie, by zapewnić powodzenie całej akcji.

Sid wciąż patrzył przez lornetkę.

## ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY SZÓSTY

*Great Falls, Montana*

Dwie godziny przed świtem zadzwonił telefon. Daniel otworzył oczy i odebrał po pierwszym dzwonku.

- Kapral Graham? Tu Teale. Właśnie wysłałem panu zdjęcie.

- Świetnie. Może pan poczekać? - Daniel włączył komputer, odczekał chwilę, a potem sprawdził załącznik do wiadomości. Ze zdjęcia patrzył na niego łysy Jake Conlin z kocią bródką. - Tak, mam je. Bardzo dziękuję.

Po chwili zastukał do pokoju Maggie. Dotarcie do Sky Road Truck Mail zajęło im czterdzieści minut.

Graham wydrukował zdjęcie w całodobowym punkcie ksero, a następnie przeszli do większej restauracji. Grała w niej muzyka country i pachniało kawą oraz jajkami na bekonie. Pokazali obsłudze zdjęcie Jake'a i poprosili o pomoc.

Potem pytali też o Jake'a zmęczonych, lekko sennych kierowców ciężarówek, jednak nikt nie potrafił im pomóc.

Ktoś powiedział, że chyba widział gdzieś Jake'a, ktoś inny, że wygląda znajomo, ale to było wszystko.

Maggie była coraz bardziej zdenerwowana. Przeszli z Danielem do sklepu.

W oczy rzucił im się wysoki mężczyzna w starym,

cowbojskim kapeluszu, który płacił za pastę do zębów i szampon. Maggie poprosiła go o pomoc.

- No jasne, mała, pokaż mi tę fotkę. - Jego uśmiech przygasł trochę, kiedy okazało się, że jest z Danielem. - Właśnie przyjechałem z Denver, ale spróbuję pomóc.

Mężczyzna spojrzał na zdjęcie i podrapał się po brodzie.

- No dobrze, a o co chodzi?

- To mój mąż, Jake. Jest z nim nasz syn. Muszę z nim porozmawiać.

- Ooo, nie chcę się mieszać do spraw rodzinnych.

- Nikt o to pana nie prosi - wtrącił Daniel. - Czy pan go zna?

- A to kto? - spytał mężczyzna Maggie, wskazując na Daniela.

Daniel pokazał mu odznakę.

- Policja? - Tamten zwrócił im zdjęcie. - Sam nie wiem.

- Pani Conlin chce tylko odszukać swego syna...

- Ja go widziałam.

Wszyscy troje obrócili się w stronę kasjerki. Mogła mieć dwadzieścia parę lat, w przekłutym nosie nosiła kolczyk.

- Przepraszam - powiedziała - ale zerknęłam na to zdjęcie.

- Widziała pani Jake'a? - spytała Maggie z radością.

- Nie, nazywa się Burt Russell. Daniel zapisał nazwisko.

- Skąd pani to wie?

- Poznaję go. Prosił, żebym odkładała dla niego pisma motoryzacyjne. Powiedział, że nazywa się Burt Russell.

Przyjeżdża tu co parę tygodni.

- Ma pani coś na to nazwisko, paragon z karty kredytowej czy jakiś rachunek? A może coś z adresem?

- Nie, zawsze płaci gotówką.

- Wie pani, gdzie mieszka? Dziewczyna potrząsnęła głową.

Daniel natychmiast zadzwonił z budki do Novaka w Wa-

szynngtonie z prośbą, by sprawdził, czy to nazwisko figuruje w danych drogówki z Montany i bazie danych FBI.

- Czy możesz sprawdzić to nazwisko i wszystkie podobne? Facet powinien mieć dużą ciężarówkę.

- Daj mi trochę czasu - odparł Novak. - I pamiętaj, że twój dług rośnie... Jak się uda, będziesz mi winny bilet na mecz Flamesów.

- Jasne, Reg.

Przeszli do restauracji, gdzie zajęli miejsce w łoży.

Kiedy zamówili śniadanie, Maggie poszła do łazienki. Daniel zaczął przeglądać gazety z informacjami o wizycie papieża.

Przez chwilę patrzył na wschodzące słońce.

A jeśli Ray Tarver natrafił tym razem na ważne informacje? Jeśli Jake Conlin ma odegrać jakąś rolę w zamachu na papieża?

Zajrzał do notatek z rozmowy z Kate Morrow, przyjaciółką Tarvera z Waszyngtonu. Ray dowiedział się przed śmiercią od swego informatora z CIA o wiadomościach z Afryki na temat planowanego dużego zamachu.

Jednak ta wiadomość była niepewna, tak jak wiele innych śladów.

Przecież Walker, agent odpowiedzialny za bezpieczeństwo papieża, wiedział wszystko o teoriach Tarvera. Daniel przewrócił stronę. Walker powiedział mu, że Tarver żył w nierzeczywistym świecie. Agent sprawdził wszystkie poszlaki, które ten mu podsunął, ale okazało się, że nie były prawdziwe.

Czy jednak Daniel nie powinien się z nim teraz skontaktować? Miał w portfelu wizytówkę Walkera. Wziął ją do ręki, zastanawiając się, czy Arnie Danton sprawdził lumino-lem obozowisko Tarverów. Musiał znać wyniki tych badań.

Jeśli okaże się, że nie ma tam śladów krwi, to Stotter miał rację. Przejechał na próżno pół kontynentu.

Daniel przejechał dłonią po twarzy, a potem zadzwonił na komórkę Walkera.

Włączyła się poczta głosowa, więc tylko zostawił wiadomość.

Maggie wyszła z łazienki i nagle zwróciła uwagę na coś, czego nie widziała wcześniej. Przed restauracją Barneya, która znajdowała się dokładnie naprzeciwko tej, w której siedzieli, odsłonięto tablicę, na której wisiały zdjęcia z różnych imprez. Wcześniej zasłaniała ją folia, ponieważ odmalowywano fasadę restauracji.

Maggie podeszła bliżej do szyby i przyglądała się fotografiom roześmianych dzieci, które obchodziły tam swoje urodziny. Szukała przez chwilę, aż w końcu natrafiła na oczy, które ją przeszły na wylot. Wydała cichy okrzyk.

Logan!

Szybko podeszła do tablicy i dotknęła twarzy syna.

Uśmiechał się, ale jego twarz była smutna.

Na zdjęciu zobaczyła też odmienionego Jake'a, łysego, z kozią bródką.

Przed nimi na stole stał tort z napisem: „Szczęśliwych urodzin, Samaro”.

Kto to taki?

Piękna ciemnowłosa kobieta siedziała między Jakiem i Loganem. Mogła mieć trzydzieści parę lat. Maggie wstrzymała oddech. To ta druga.

Spojrzała jej prosto w oczy. Były głębokie i inteligentne, pełne tłumionego bólu.

Maggie pochyliła się i niemal dotknęła czołem jej twarzy.



## ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY SIÓDMY

*Great Falls, Montana*

Daniel spojrział na nią z niepokojem, kiedy wróciła do łoży.

- Zrobiłaś się taka blada. Co się stało?

- Jesteśmy już bardzo blisko.

Maggie podała mu zdjęcie z tortem. Daniel przyglądał mu się, kiedy kelnerka przyniosła ich zamówienie. Zjedli pospiesznie. Gdy kończyli, zadzwoniła komórka Daniela.

- Cześć, tu Reg. Masz moje bilety?

- Na trzy kolejne mecze.

Drogówka z Montany podała adres Burta Russella: 10230 Crystal Creek Road, Cold Butte. Daniel wyjął mapę i zaznaczył krzyżykiem miejsce na wschód od Great Falls, między hrabstwami Petroleum i Garfield.

- Dojedziemy tam mniej więcej w dwie i pół godziny - ocenił Daniel. - Ale najpierw musimy się wymeldować.

Na parkingu zobaczyli jakiegoś obcego, pochylonego między ich wynajętym wozem a białym fordem. Wyglądało to tak, jakby coś przy nim majstrował.

- Mogę panu w czymś pomóc? - Daniel zmrużył oczy w słońcu.

Mężczyzna wstał. Patrzył to na niego, to znowu na Maggie. W dłoni ścisnął klucz do zmiany opon. Był wzrostu

Daniela, ale szczuplejszy, gładko wygolony, z ciemnymi, kręconymi włosami i ciemnymi oczami. Mężczyzna sprawiał takie wrażenie, jakby chciał ich zaatakować, ale po chwili uśmiechnął się szeroko.

- Nie, dziękuję, już prawie skończyłem. Mam przebite koło - powiedział z brytyjskim akcentem.

Kiedy wsiadali do samochodu, Daniel zauważył w jego otwartym bagażniku cztery kanistry. Dziwne, pomyślał.

Kiedy wyjeżdżali, zwrócił się do Maggie.

- Zapisz to - podyktował jej numer rejestracyjny nieznanego, a także markę wozu i opis mężczyzny, czas i miejsce zdarzenia.

- Po co?

- Nawyk zawodowy.

- Dobry pomysł. Wydaje mi się, że widziałam go w naszym samolocie. Świat jest mały, co?

Daniel zauważył jej nerwowy uśmiech.

- Może zbyt mały - mruknął.

W motelu nie czekała na niego żadna wiadomość, co go zdziwiło. Ani od Arniego, ani od Stottera. Przed wyjazdem Daniel wszedł do Internetu i rozszerzył zakres usług bezprzewodowych w swoim laptopie. Maggie natomiast wydrukowała informacje na temat Cold Butte i hrabstwa Lone Tree. Zapłacili i spytali kierownika, jak mają tam jechać.

- Cold Butte? Jedziecie państwo na uroczystość z papieżem?

Maggie zerknęła na Daniela. Nie wiedzieli, że papież ma się zatrzymać w Cold Butte.

- Myślałem, że ma odwiedzić tylko Great Falls - zauważył Daniel.

- Tutaj wyląduję, ale potem pojedzie, żeby pobłogosławić kaplicę koło Cold Butte. Życzę powodzenia. Przyda się, bo ruch będzie naprawdę spory.

Kiedy znaleźli się w samochodzie, poczuli nagle, że są spięci. Przejechali przez most na Missouri i ruszyli na wschód. Na autostradzie numer 87 nie było korków. Maggie

zaczęła przeglądać gazetę z informacjami na temat wizyty papieża.

- Powiesz mi w końcu, co się dzieje, bo zaczynam się bać
- powiedziała Maggie, nie ukrywając zdenerwowania.
- Dopiero niedawno dowiedzieliśmy się, że Jake wyjechał do Montany...
- Okłamałeś mnie! Tarver badał sprawę jakiegoś zamachu czy czegoś takiego!
- Nie okłamałem. Po prostu nie mogę zdradzać wszystkich szczegółów śledztwa.
- Mam prawo wiedzieć. Jake pracował w Iraku. Wiem, że coś się tam stało. A teraz przeniósł się do Cold Butte, do miejsca, które ma odwiedzić papież. Wiem, że te wielkie ciężarówki można wykorzystać jako broń. To może być niebezpieczne... O Boże, przecież z nim jest Logan!
- Maggie, przestań fantazjować i posłuchaj...
- Wiem, że Jake jest niezrównoważony! Od... od czasu tego cholernego Iraku - rzuciła i sama się przestraszyła swoich słów.
- Maggie, przestań. - Daniel próbował ją uspokoić.
- A może omówisz ze mną ten aspekt t w o j e j sprawy
- rzuciła z przekąsem i pokazała mu fotografię z urodzin.
- Kim ona jest?
- Nie mam pojęcia. Posłuchaj, Ray Tarver snuł jakieś teorie spiskowe. Nikt nie chciał mu uwierzyć.
- Więc po co tu przyjechałeś? - zapytała Maggie. Daniel poczuł, że nie potrafi tego wyjaśnić.
- Kłamałeś - powiedziała Maggie. - Tu wcale nie chodzi o ubezpieczenie. Uważasz, że ktoś go zamordował, prawda? Daniel popatrzył na niebo i równiny.
- Wiem tylko, że oboje musimy wyjaśnić tę sprawę.

Jakieś dwadzieścia minut za Lewistown musieli zwolnić. Maggie sprawdziła w Internecie szkołę w Cold Butte. Była duża, gdyż chodziły do niej dzieci z trzech sąsiadujących hrabstw. Mogli z dużą dozą prawdopodobieństwa założyć,

że Logan też się w niej uczył. Według gazety część uroczystości miała odbyć się właśnie w tej szkole.

*Tribune* wydrukowała plan wizyty.

Maggie zadzwoniła do szkoły.

Po kilku dzwonek ktoś odebrał telefon. Maggie mówiła szybko, prosząc o odszukanie syna. W tle słychać było jakieś hałasy i zdenerwowana sekretarka nie mogła jej zrozumieć.

- Mówiłam, że może nosić nazwisko Logan Russell. Podaję jego datę urodzenia.

- Przepraszam, prawie pani nie słyszę.

- Chciałabym rozmawiać z jego wychowawczynią. Za chwilę mogę stracić zasięg. Proszę zapisać mój numer.

- Przepraszam, ale mamy dzisiaj wizytę papieża. Może jutro...

- Nie, proszę!

Rozmowa została przerwana. Maggie miała łzy w oczach.

- Spróbuj jeszcze raz - powiedział Daniel.

Jednak w tej chwili zadzwoniła jej komórka. To szkoła, pomyślała.

- Maggie Conlin - rzuciła do aparatu.

- Mama?

Maggie nagle pobladła.

- Logan! To ty?

- Strasznie za tobą tęsknię, mamó. - Na linii słychać było jakieś trzaski, głos Logana z trudem się przez nie przebijał.

- I tata też.

- Och, Logan, tak bardzo was kocham! Tata po prostu nie jest sobą.

- Chcę wrócić do domu, mamó... Coś zaczęło brzęczeć w słuchawce.

- Gdzie jesteś? Już po ciebie jadę. Tylko powiedz! Głos Logana zagubił się wśród trzasków. Połączenie zostało przerwane.

Maggie jęknęła w stronę nieba.

## ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY ÓSMY

*Cold Butte, Montana*

Logan obudził się, czując, że serce bije mu szybciej. Trochę się bał, bo Billy Canton powiedział, że cały świat teraz na nich patrzy. Cały świat. Ojej!

Ale Logan denerwował się nie tylko z powodu spotkania z papieżem. Chciał wprowadzić dziś w życie swój plan. Powoli, po kolei. Wyjrzał przez okno, chcąc sprawdzić, czy tata już...

Tak!

Zobaczył ciężarówkę ojca na podjeździe. Wrócił na czas, tak jak obiecał.

Logan ruszył podniecony do drzwi sypialni ojca. Już je otworzył, kiedy Samara złapała go za rękę.

- Daj mi się wyspać - szepnęła i zamknęła drzwi. - Wrócił późno do domu.

- Ale przyjedzie na spotkanie z papieżem? - upewnił się Logan.

Samara pchnęła go delikatnie w stronę kuchni.

- Oczywiście. Zobaczycie się w szkole.

- Ale przecież my weźmiemy samochód...

- Nie przejmuj się. Ojciec jednego z twoich kolegów ma go podzucić. No chodź, zrobiłam ci jajka na bekonie.

Wiem,

333

że lubisz. Umyj się, jak skończysz śniadanie, i pamiętaj o swoim garniturze. Musimy zaraz wyjechać.

W czasie śniadania Logan zauważył, że zapach jedzenia miesza się z wonią detergentu, jakby ktoś tu niedawno sprzątał. Dziwne. Wziął prysznic, a potem popatrzył na zamknięte drzwi do pokoju Samary.

Dobra.

Spojrzał na cicho grający telewizor. Stacje z Billings nadawały na bieżąco sprawozdanie z przelotu papieża.

Zobaczył też zdjęcia swojej szkoły, a także tłumy ludzi w miastach, które papież już odwiedził. Z pokoju Samary dobiegał szum prysznic.

Na telewizorze leżała jej torebka. Wewnątrz znajdował się jej telefon.

Nareszcie nadarzył się odpowiedni moment.

Nie udało mu się połączyć. Spróbował raz jeszcze, ale nic z tego nie wyszło. Bateria była naładowana. Spróbował kolejny raz. Znowu nic. Co się dzieje? Może powinien obudzić tatę? Po tej ostatniej rozmowie ojciec z pewnością by mu pomógł i mogliby zadzwonić razem. Wszystko szło ku lepszemu.

Logan spojrział w kierunku drzwi.

Zaraz.

Zapomniał wcisnąć jedynekę do rozmów na dużą odległość.

Spróbował ponownie i tym razem był sygnał. Co prawda słyszał jakieś hałasy, ale również słyszał sygnał dzwonka.

W końcu ktoś odebrał i Logan wstrzymał oddech.

- Maggie Conlin.

- Mama?

- Logan! To ty?

- Strasznie za tobą tęsknię, mamó. - Na linii słyhać było jakieś trzaski, głos mamy z trudem się przez nie przebijał.

- I tata też.

- Och, Logan, tak bardzo was kocham. Tata po prostu nie jest sobą.

- Chcę wrócić do domu, mamó...

334

Coś zaczęło brzęczeć w słuchawce.

- Gdzie jesteś? Już po ciebie jadę. Tylko powiedz! Rozmowa została przerwana.

Prysznic ucichł.

Logan odłożył komórkę do torebki Samary. Cały drżał. Udało się! Rozmawiał z mamą!

Pomyślał, że spróbuje jeszcze raz. Później. Przeszedł do łazienki, umył zęby, a potem włożył garnitur. Ucieszył się, że tata przygotował mu już zawiązany krawat. Logan cesał się, żałując, że nie może z nim teraz porozmawiać i powiedzieć o telefonie do mamy.

Logan nie przepadał za oficjalnymi strojami, ale musiał przyznać, że garnitur był bardzo wygodny. W dodatku świetnie w nim wyglądał.

- Och, jaki jesteś przystojny - zachwyciła się Samara, kiedy wszedł do salonu. Zauważył, że jak zwykle pisała coś na swoim komputerze. - Chodź szybko - powiedziała.

Wzięła swój aparat fotograficzny. Też wyglądała ładnie. Prawie jak modelka.

- Zaczekaj, tylko parę zdjęć. - Ustawiła go pod ścianą i parę razy nacisnęła spust migawki. A teraz my razem.

Postawiła aparat na statywie i nastawiła samowyzwalacz. Logan zauważył, że Samara bardzo ładnie pachnie, chyba jakimiś kwiatami. W ogóle wydawała się bardziej radosna niż zazwyczaj.

Sprawdziła jeszcze zdjęcia na swoim komputerze, a potem wgrała je na twardy dysk. %

- Doskonale.

- A co z tatą? - zapytał Logan.

- No, wciąż śpi - odparła Samara, i zaczęła pisać, koncentrując się na pracy.

- Nie zrobimy z nim zdjęć?

- Przykro mi, ale nie mamy już czasu. - Spojrzała jeszcze w stronę telewizora, gdzie na żywo transmitowano wizytę papieża, a potem znowu na ekran laptopa. - Zrobimy je później, w szkole.

345

Logan podszedł do niej, chcąc zobaczyć, co robi. Pozwoliła mu zajrzeć przez ramię. Sprawdziła plan wizyty. Dopiero teraz zauważył, że poprowadziła kabel od komputera do telewizora, tak że obraz z telewizora był również widoczny w jej laptopie na stronie internetowej. Potem na tej stronie zobaczył też zdjęcia Samary z jej mężem i synem w Iraku. A także te, które zrobiła przed chwilą.

- Co to takiego? Co robisz? Samara uśmiechnęła się.

- To jedyna taka okazja. Bierzymy udział w najbardziej zaszczytnym wydarzeniu w naszym życiu. Chcę, żeby widzieli to moi przyjaciele na całym świecie. Już prawie skończyłam.

Wprowadziła jakiś kod i komendy do komputera.' Pojawił się zegar i zaczęło się odliczanie.

- Dobrze, załatwione.

Samara zostawiła włączony komputer na stole.

- Lecimy. Musimy jechać najpierw do sali zebrań na odprawę, a potem do szkoły. Wyjęła z torby inny aparat.

- To nowy? - zapytał Logan.

- Tak, zupełnie wyjątkowy. Chcę skorzystać z niego w szkole. - Samara kucnęła obok i się uśmiechnęła. - Kto by pomyślał, że niedługo spotkamy jednego z najpotężniejszych ludzi na ziemi. Wkrótce ludzie na całym świecie będą znać nasze twarze i wymawiać nasze imiona.

- Będą wymawiać nasze imiona? Ale dlaczego?

- Bo staniemy się częścią historii.



## ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

*Autostrada numer 200, na wschód od Cold Butte*

- Masz jego numer? Spróbuj oddzwonić.

Maggie sprawdziła, ale numer nie wyświetlił się na ekranie. Mimo to próbowała skontaktować się z synem przez opcję „oddzwoń”, ale bez skutku.

Daniel podsunął jej papiery Burta Russella.

- Dzwoń pod ten numer.

Kiedy się połączyła z domem Russella, włączył się automatyczny komunikat, że podany numer nie istnieje.

Spróbowała się więc dodzwonić do szkoły, ale linia była zajęta.

- Cholera! - mruknęła.

Daniel zjechał na pobocze i ruszył przed siebie, wyprzedzając łańcuszek samochodów osobowych, vanów, pi-kapów i wynajętych autokarów. Przejechali tak z półtora kilometra, kiedy usłyszeli za sobą sygnał wozu policyjnego.

Daniel zauważył we wstecznym lusterku samochód policji drogowej migający na niego światłami. Dostrzegł również, że w pewnej odległości za radiowozem skrywa się biały ford, którego widzieli w centrum handlowym.

Nieco dalej stało jeszcze kilka wozów policyjnych, a policjanci przekierowywali część ruchu na drogi objazdowe.

Jeden z nich zagroził drogę Danielowi i pogroził mu palcem.

Daniel zatrzymał auto.

Trzej policjanci odpięli kabury i zbliżyli się do nich. Kazali im wysiąść i położyć ręce na masce. Biały ford zdołał niezauważenie wjechać między inne wozy.

Policjanci obejrzel uważnie prawo jazdy Maggie i odznakę Daniela.

Moe Holman, który bez przerwy żuł gumę i był wśród nich najwyższy rangą, pracował kiedyś na granicy w Coutts i Sweetgrass. Rozpoznał Daniela z minionych lat, więc powiedział innym policjantom, że się nim zajmie, i wziął go na bok.

- Cześć, Moe - przywitał go Daniel. Uścisnęli sobie dłonie.

- Do licha, Daniel, co ty wyprawiasz?! Nie masz prawa jeździć tu w ten sposób. Nawet papież nie uratuje cię przed mandatem.

Daniel wyjaśnił, że muszą z Maggie dojechać do Cold Butte i coś sprawdzić. Sprawa jest bardzo pilna, a on poinformował już o wszystkim FBI w Billings.

Holman poruszał parę razy szczęką i skinął głową. Wcale nie tęsknił za tym, by mieć więcej pracy. I tak brakowało mu ludzi. Udzielił więc tylko Danielowi ustnego ostrzeżenia i kazał go puścić.

- Tylko uważaj. Wszyscy tutaj bardzo się denerwują. Kiedy przejechali przez rozjazd, ruch stał się bardziej płynny. Jechali drogą po wschodniej stronie hrabstwa Lone Tree.

Maggie starała się nie płakać po kolejnych bezowocnych próbach połączenia się z Loganem bądź jego szkołą. Linia do szkoły była wciąż zajęta, zapewne z powodu wizyty papieża.

Maggie nie zamierzała się poddać.

Daniel szybko przemierzał kolejne kilometry. W końcu, za zakrętem, musieli zwolnić, gdyż mieli przed sobą kilka ciężarówek.

Jakiś samochód przemknął obok z dużą prędkością. Biały ford.

- Co za idiota! - warknął Daniel. - No, jesteśmy prawie na miejscu.

Pokazał jej mapę z miejscem, do którego zmierzali. Maggie znowu próbowała połączyć się ze szkołą. Nagle podskoczyła, kiedy kierowca ciężarówki potężnie zatrząbił.

- O Boże! - zawołała.

Zobaczyli czerwone tylne światła ciężarówki. Przyczepą zarzuciło i na ich samochód posypały się kamienie. Nagle jakieś auto wyskoczyło zza przyczepy.

Jechało szybko, wprost na nich!

Maggie zakryła twarz, ale Daniel wiedział, co robić w takich sytuacjach. Nie na darmo pracował kiedyś w drogówce. Przycisnął lekko hamulce i skręcił na pobocze, chowając się za przyczepą ciężarówki.

Stalowy potwór z olbrzymią prędkością przemknął tuż za nimi.

Daniel dostrzegł białego forda, który niczym pocisk wystrzelił w powietrze, a potem przetoczył się po równinie. Na chwilę otoczyła go chmura kurzu, którą nagle rozerwał głośny wybuch. Ford zaczął płonąć.

Kierowca ciężarówki chwycił gaśnicę i pobiegł do płonącego samochodu. Daniel ruszył za nim, wyprzedzając paru kolejnych kierowców. Złapał kierowcę z gaśnicą, przewrócił go i przycisnął do ziemi. Przypomniał sobie o kanistrach.

Po chwili samochód wybuchł niczym bomba, a kawałki metalu wyleciały wysoko w powietrze. Pozostali kierowcy zatrzymali się w bezpiecznej odległości. Kiedy było już po wszystkim, wciąż nie mogli podejść bliżej wozu z powodu buchającego gorąca.

- Boże, tam były dwie osoby! - wykrzyknął jeden z kierowców. - Nic nie mogliśmy zrobić!

Usłyszeli syreny wozów policyjnych. Po chwili obok zatrzymał się samochód patrolowy, dwa wozy strażackie i karetka.

Strażacy z trudem ugasili ogień.

Moe Holman kręcił głową, patrząc na zwęglony wrak.

- Trzeba będzie to wszystko zbadać. Obawiam się, że część pielgrzymów nie dotrze na spotkanie z papieżem. Fajny dzień. - Zaczął nerwowo żuć gumę, a potem ruszył do pracy.

Przesłuchał najpierw dwóch kierowców ciężarówek, którzy widzieli całe zdarzenie. Potem podszedł do Daniela.

- Ty też uważasz, że na was jechał? To przecież wariactwo. Może dostał zawału...

- Ładny zawał - rzucił jeden z kierowców. - Jechał na nich jak jakiś kamikaze.

Daniel zauważył, że Maggie klęczy na ziemi obok pogiętego kawałka metalu. Po chwili wskazała go bez dotykania palcem. Dostrzegli numer rejestracyjny z Montany.

- To był ten facet z parkingu. Ten, którego widzieliśmy w samolocie - powiedziała wciąż jeszcze blada. - Wydaje mi się, że widziałam go też w restauracji w Las Vegas. - Popatrzyła na Daniela. - Co się dzieje?

- Wracaj do wozu i próbuj dzwonić. Daniel odciągnął Moe Holmana na stronę.

- Posłuchaj, możliwe, że wiąże się to z moją sprawą, a także niepotwierdzonym zagrożeniem - rzucił półgłosem.

Szczęka Moe znieruchomiała.

- Co?! Mówisz o papieżu?

- To bardzo prawdopodobne.

- Ale co to wszystko znaczy?

- Jeszcze nie wiem.

- Nie ostrzegano nas przed niczym takim. Nie było żadnych informacji... Może to ma jakiś związek z tym, co wydarzyło się wczoraj w Seattle?

- Z czym konkretnie?

- Wiem, że były jakieś problemy. Sprawę załatwiono bez ujawniania szczegółów. Oczywiście nikt nie poinformował o tym prasy, nie mówiąc o drogówce...

Daniel zastanawiał się przez chwilę.

- O co chodzi w tej twojej sprawie? - zapytał Moe.

- Być może jest związana z jakimiś informacjami na temat zagrożenia bezpieczeństwa z Afryki.
  - Z Afryki? I co jeszcze?
  - Niedaleko Banff zginął dziennikarz z Waszyngtonu, który być może miał ważne informacje. Ta śmierć wyglądała na wypadek, ale ja mam wątpliwości.
  - Co? Znasz tych ludzi z samochodu?
  - Nie. Sprawdź, jak się nazywali, i zawiadom o wszystkim wywiad. Zadzwoń do agenta specjalnego Blake'a Walkera. Daj mu numer mojej komórki.
  - Załatwione. Ale założę się, że za chwilę będę miał telefon z FBI w sprawie tego wypadku. - Wskazał latający nad nimi helikopter. - Widzą wszystko z góry. Cała przestrzeń powietrzna nad Lone Tree jest patrolowana i nie mogą tu latać żadne inne jednostki poza rządowymi.
  - Muszę jechać - rzucił Daniel. - Powiedziałem ci wszystko.
  - Możesz chwilę poczekać? Wolałbym kogoś z tobą wysłać.
  - Jak długo?
  - Jak uporamy się z tą sprawą. Mam mało ludzi. Daniel pokręcił głową.
  - Muszę jechać, Moe.
- Holman dostał wezwanie przez krótkofalówkę. Autobus z pielgrzymami z Południowej Dakoty najechał na tył terenówki w pobliżu Sand Springs. Nie było poważnie rannych, ale również tą sprawą trzeba się było zająć.
- Tak to jest, kiedy nagle wszyscy zaczynają się tutaj pchać - mruknął.
- Powiedział dyspozytorowi, że już tam wysłał ludzi, a potem wrócił do żucia gumy.
- Daniel ruszył teraz szybciej przed siebie. Co jakiś czas wyprzedzał w niedozwolonym miejscu, a potem machał przeproszająco kierunkowskazem. Próbował dodzwonić się do Walkera, ale jego komórka wciąż była zajęta. Maggie

sprawdzała mapę i też co jakiś czas starała się połączyć ze szkołą.

Dojeżdżali właśnie do Cold Butte, kiedy odezwała się komórka Daniela.

- Dan, tu Stotter. Gdzie jesteś? - W głośniku rozległy się jakieś trzaski. - Dan, słyszysz mnie?

- Tak. Wciąż jestem w Montanie, w Cold Butte i zanim...

- Cold Butte? Posłuchaj, Arnie sprawdził obóz lumino-lem i znalazł ślady krwi przy rzece. Wiem, że powinniśmy byli przeprowadzić wcześniej te badania. Arnie mówił, że to ty wpadłeś na ten pomysł.

- Znalazł narzędzie zbrodni?

- Tak, najprawdopodobniej był to duży kamień. Bardzo sprytnie. Żeby można było łatwo upozorować wypadek.

- Daniel usłyszał, że w biurze Stottera zadzwonił telefon.

- Muszę już kończyć. Wciąż mamy trochę badań, więc czekaj na dalsze informacje.

- Mike, zaczekaj! Potrzebuję pomocy. Musisz skontaktować się z agentem specjalnym Blakiem Walkerem. Zajmuje się ochroną papieża. Powiedz mu, żeby uważał na faceta o nazwisku Jake Conlin albo Burt Russell. To ta sama osoba. Może być w towarzystwie kobiety i dziewięcioletniego chłopca. Jeśli Tarvera zamordowano, to być może jego teoria była prawdziwa.

- Zaraz to zrobię.

Ruch przed miasteczkiem prawie zamarł. Niektórzy zjeżdżali na trawę obok drogi, by trochę odpocząć. Otwierali bagażniki i drzwiczki. Wyjmowali plastikowe krzesła, lodówki i transparenty.

WITAJ NAM, OJCZE ŚWIĘTY, MONTANA KOCHA SWOJEGO PAPIEŻA.

Jacyś młodzieńcy wynieśli z furgonetek parę osób na wózkach.

Co kilkadziesiąt metrów stali ochotnicy, którzy informowali pielgrzymów, gdzie mają się kierować. Policja pilnowała ruchu. Wielu pielgrzymów nie chciało jechać

dalej. Część zmierzała do szkoły, a część do kaplicy, którą miał poświęcić papież i odprawić przy niej mszę.

- Musimy się rozdzielić - powiedział Daniel. - Idź do szkoły i zapytaj o agenta specjalnego Blake'a Walkera. Ja odnajdę ten dom przy Crystal Creek Road.

Maggie skinęła głową i ścisnęła mocno jego dłoń. Ich oczy się spotkały. Miała mu tyle do powiedzenia, ale brakowało na to czasu.

- Szukaj syna - rzucił tylko.

Maggie ponownie skinęła głową i pociągnęła nosem. A potem nagle ruszyła szybkim krokiem przez tłum. Daniel spojrzął na niebo, po którym krążyły helikoptery służb specjalnych.

Sekunda mijała za sekundą.

**CZĘŚĆ SZÓSTA**  
**SYGNAŁ ŚMIERCI**



## ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY

### *Montana*

Piloci myśliwców z Narodowej Straży Powietrznej powitali samolot papieża trzydzieści tysięcy stóp nad ośnieżonymi szczytami Bitterroot Mountains.

Agent specjalny Blake Walker oderwał się od komputera i popatrzył przez okno na cztery nowe F-16, które przejęły opiekę nad samolotem, a cztery samoloty z eskadry NSP ze stanu Waszyngton zaczęły się zbierać do drogi powrotnej.

Myśliwiec dowódcy z Montany zamachał skrzydłami na powitanie i wkrótce wszystkie jednostki zaczęły obniżać wysokość, lecąc na lotnisko w Great Falls.

Znajdowały się niecałe dwadzieścia pięć minut w powietrzu, gdy do pomieszczeń wywiadu zaczęły napływać najnowsze raporty na temat stanu bezpieczeństwa.

Walker zaczął przeglądać wiadomości. Dochodzenie w Cieśninie Juan de Fuca wykazało, że w przemyt zamieszany był statek z Jemenu. „Wstępne analizy podejrzanego materiału wskazują, że jest to potencjalnie niebezpieczna, ale jak do tej pory niezidentyfikowana substancja. Nie ma j ednak podstaw, by uważać j ą za zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego i nie należy wiązać jej z innymi prowadzonymi sprawami. Laboratorium specjalistyczne wywiadu wciąż prowadzi nad nią badania”.

Dostał też najświeższe wiadomości na temat wybuchu w pobliżu bazy wojskowej Malmstrom, w wyniku którego zginęły, sądząc po śladach racie, trzy jelenie: „Badaniom nadano priorytetowy charakter. Wykluczono przypadkową eksplozję. Nie zidentyfikowano materiału, którym się posłużono. Śledczy są zaniepokojeni, gdyż całe zdarzenie miało charakter zaplanowanej próby”.

Przeczytał także nową wiadomość z organizacji zajmującej się analizą działań zagranicznych jednostek terrorystycznych na terenie Stanów Zjednoczonych: „Amerykańskie i zagraniczne agencje wywiadowcze donoszą o nasileniu się komunikacji między arabskimi organizacjami terrorystycznymi”.

Kiedy samolot z papieżem przybliżał się do Great Falls, Hank Colby, agent specjalny odpowiedzialny za szczegóły wizyty, zaprosił Walkera i innych agentów na naradę.

- Mamy ostrzeżenie. Biały Dom zastanawia się nad wycofaniem papieża z Montany i prawdopodobnie również z Chicago.

- Teraz? W tym momencie? Czy rząd ma może jakieś nowe wiadomości?

- Nie, ale bardzo przejmuję się tym, że do tej pory nie wydarzyło się nic poważniejszego. Wszyscy tam traktują serio informacje uzyskane od Issy al-Issa na temat planowanego zamachu.

- Ale czy chodzi o coś konkretnego? - dopytywał się Walker.

- Nie, chociaż tak naprawdę trudno powiedzieć. To może być wiadomość z ostatniej chwili - odparł Colby. -

Szefowie służb wywiadowczych zostali wezwani do Gabinetu Ovalnego. Biały Dom zbiera informacje od CIA i innych służb wywiadu, by skłonić Watykan do odwołania dalszej części wizyty. Trudno powiedzieć, czy chodzi tu o rzeczywiste bezpieczeństwo papieża, czy o względy polityczne...

W tym momencie usłyszeli, jak pilot samolotu prosi wszystkich pasażerów, by wrócili na miejsca i zapięli pasy.

- Wizyta przebiega zgodnie z planem - powiedział Colby, kończąc naradę. - Chyba że ktoś powie nam, że jest inaczej.

Lotnisko w Great Falls było rzecz jasna zamknięte dla ruchu i przyjmowało jedynie samolot papieski. Przestrzeń bezpośrednio nad samolotem patrolował helikopter drogówki z Montany. Na płycie czekały już samochody z VIP-ami, a także karetki pogotowia i wozy strażackie. Zamknięto wszystkie drogi, które prowadziły do lotniska. Dwa myśliwce przeleciały z rykiem nisko nad płytą lotniska na kilka minut przed tym, gdy wylądował na niej samolot z papieżem.

Po chwili podjechały samochody z VIP-ami oraz wozy pogotowia i straży pożarnej. Na płycie lotniska pojawili się miejscowi dostojnicy. Za nimi, w odległości mniej więcej pięćdziesięciu metrów tłoczyli się rozentuzjasmowani pielgrzymi, odgradzeni od lotniska taśmą i kordonem policji.

Wszyscy wiwatowali na cześć Ojca Świętego, czując, że są świadkami historycznego wydarzenia. Na szczycie schodków pojawiła się sylwetka w bieli - pierwszy papież, który odwiedził stan Montana.

Ojciec Święty uśmiechnął się na widok wiwatujących tłumów i pomachał im ręką. Następnie przywitał się z arcybiskupem, burmistrzem Great Falls i innymi dostojnikami. Powiedział jeszcze parę słów do zgromadzonych, a następnie przeszedł do dużego helikoptera wojskowego.

Śmigłowiec oderwał się od ziemi parę minut później wraz z czterema innymi maszynami, w których lecieli członkowie ochrony, dziennikarze z Watykanu i zagranicy, a także służby hrabstwa Lone Tree. Reszta miała się spotkać z papieżem dopiero na miejscu.

Walker sprawdził, czy ma zapięte pasy.

Odniosł wrażenie, że czeka go najdłuższy dzień w życiu.

## ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY PIERWSZY

### *Indian Head, Maryland*

Jakieś trzydzieści kilometrów od Waszyngtonu, w południowym Marylandzie członkowie ekipy Tony'ego Takayasu pracowali bez przerwy, czując, że mają coraz mniej czasu.

Sprawdzali teorie szefa, wykorzystując do tego celu wybudowane z czerwonej cegły laboratorium, położone w lesie nad Potomakiem w odległej części bazy wojskowej.

A jeśli tajemniczy płyn znaleziony w butelce miał jakiś związek z wybuchem w Montanie? Jeśli tę substancję wykorzystano do produkcji bomby, która zabiła jelenie? Butelki z płynem miały nalepki z Nigerii. Materiał, z którego uszyto flagę, pochodził najprawdopodobniej ze wschodniej Afryki.

Takayasu przedstawił kolegom te teorie w czasie lotu z Malmstrom do Indian Head. Rozpoczęli więc żmudne badania, robili test za testem i wkrótce okazało się, że flaga nie jest tylko splotem bawełnianych włókien, typowym dla zamieszkujących wyżyny Etiopczyków. Wpleciono w nią włókna uzyskane dzięki nanotechnologii molekularnej. Znajdował się w nich środek wybuchowy, który można było odpalić za pomocą milionów nanoradioczuJNIKÓW.

Tego rodzaju tkaniny nie mogły wyczuć psy ani żadne urządzenia pomiarowe. Oznaczało to, że tkanina jest bombą,

którą można zdetonować, używając do tego celu skomplikowanego systemu kodowania. Dawało się ją uruchomić zarówno z odległości paru metrów, jak i setek tysięcy kilometrów. Była to broń doskonała.

By sprawdzić tę teorię, ekipa Takayasu próbowała odtworzyć warunki, w których zginęły jelenie, korzystając z odzyskanych komponentów. Do tego celu skorzystali z oddalonej bazy morskiej. Nałożyli materiał na wielkiego arbuza, na którym wyrysowali uśmiechniętą buzię, a następnie zawiesili go na drzewie.

Następnie przy pomocy skomplikowanych matematycznych obliczeń zaczęli szukać na laptopach kodów, które pozwoliłyby go zdetonować za pomocą cyfrowego aparatu fotograficznego. Takayasu ukrył się wraz ze swymi ludźmi za tarczą ochronną, a następnie ustawił odpowiednio aparat i zrobił zdjęcie arbuza z około czterdziestu metrów.

Minęło dziesięć, dwadzieścia, pięćdziesiąt sekund. Cała minuta. Nic się jednak nie działo.

- Wiesz co, Tony? - odezwała się Karen Dyer. - Wydaje mi się, że materiał leży trochę z boku w stosunku do obiektu aparatu. Zaraz go przesunę.

Kiedy ruszyła do arbuza, jeden z naukowców, Ron Addison, wyciągnął dłoń w stronę Tony'ego.

- A może to jednak coś z aparatem? Mogę sprawdzić? Addison zaczął przeglądać aparat, a Takayasu sprawdzał odczyty w komputerze. Kiedy Karen miała właśnie dotknąć arbuza, Addison podniósł aparat do oka, by ją uwiecznić. Tony uniósł głowę, zaniepokojony tym, co właśnie zaczęło dziać się na ekranie komputera.

- Nie, Ron! - Chwycił aparat. - Karen, uciekaj! Nie dotykaj tego!

Karen wróciła za tarczę.

- Popatrz na te odczyty.

Wszyscy zaczęli się tłoczyć wokół laptopa.

- A teraz spróbujemy w ten sposób. - Takayasu wycelował aparat w stronę arbuza.

Wszyscy członkowie ekipy znajdowali się bezpiecznie ukryci za tarczą. Takayasu nacisnął spust migawki i usłyszeli nagle suchy trzask, a arbuz rozprysnął się niczym bańka mydlana.

Przez chwilę wszyscy stali osłupiali.

- O Boże! - Karen zrobiła się biała jak ściana.

- Mamy do wykonania wiele telefonów - rzucił Takayasu. - I to jak najszybciej!

## ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY DRUGI

*Hrabstwo Lone Tree, tereny targowe, Montana*

Samara przejechała trzy kilometry za miasto, w stronę terenów targowych.

Rozciągały się one na płaskim terenie, na którym stały głównie metalowe i drewniane budy, gdzie sprzedawano kiedyś konie, bydło, a także wyroby rękodzielnicze i chleb. Obok znajdowały się tereny rodeo, a także trybuny dla widzów.

Teraz jednak cały ten obszar stanowił miejsce, z którego dowodzono kampanią związaną z wizytą papieża.

Stało tu mnóstwo samochodów policyjnych i karettek, wszyscy rozmawiali przez radiostacje, powietrze wydawało się wprost naładowane elektrycznością. Za parę minut helikopter Ojca Świętego miał wylądować na placu, gdzie odbywało się kiedyś rodeo.

- Popatrz! - zawołała Samara, wskazując palcem. Logan spojrział na czekające między ciemnymi wozami ochrony papamobile.

- Ojej!

Sprawdzono ich przepustki, a następnie wpuszczono na tereny targowe. Samara i Logan przeszli do sali kowbojów, gdzie zorganizowano spotkanie dla tych, którzy mieli wziąć udział w powitaniu papieża w szkole.

Jeszcze przed drzwiami usłyszeli szczekanie.

W środku znajdowało się kilkunastu policjantów z trzema tresowanymi psami. Wszyscy mieli wprost marsjańskie wyposażenie, poczynając od czujników metali, na nowoczesnej broni i hełmach kończąc.

Samara spojrzała w ich stronę i z trudem przełknęła ślinę.

- Te psy będą nam obwąchiwać tyłki - powiedział do Logana jego kolega, Billy Canton.

Paru chłopców z chóru zachichotało.

Samara przywitała się z rodzicami i nauczycielami, którzy trzymali w rękach aparaty fotograficzne i uśmiechali się niepewnie. Stwierdziła, że w sali zebrało się około trzystu osób. Ksiądz Stone wraz z dyrektorem, panią dyrygent, kilkoma innymi księżmi i mężczyznami w ciemnych garniturach znajdowali się na scenie.

- Czy mogę prosić o uwagę?! - odezwał się Stone. - Wiem, że wszyscy jesteśmy bardzo podekscytowani, prawda? Zebrani potwierdzili.

- Tak, to błogosławiony dzień. - Na twarzy księdza pojawił się uśmiech. - Jest tu z nami ksiądz Rosselli z Watykanu, który towarzyszy Ojcu Świętemu. Jednak zanim oddam mu głos, chciałbym szybko omówić parę rzeczy. Przede wszystkim, pierwszy sektor jest zarezerwowany dla was wszystkich; możecie wziąć udział w mszy świętej i błogosławieństwie papieskim w Buffalo Breaks. Kiedy skończymy to spotkanie, będziemy musieli poddać się kontroli pracowników ochrony, potem przejdziemy do autobusów, a na miejscu, niestety, jeszcze parę środków ostrożności...

Uśmiechnął się, słysząc pełne niezadowolenia pomruki.

- No cóż, czasami droga do nieba wiedzie przez bramkę z wykrywaczem metali - rzekł sentencjonalnie. - Dobrze.

Wszyscy znają plan wizyty, ale przypomnę: powitanie papieża, parę piosenek, następnie Ojciec Święty powie kilka słów od siebie i pobłogosławi szkołę. Wtedy zaśpiewamy mu na pożegnanie. Ksiądz Niceo Rosselli poinformuje was



o ważnych sprawach, na których zależy władzom duchownym.

- Bardzo dziękuję - powiedział ksiądz Rosselli z wyraźnym włoskim akcentem. - Otóż chciałem powiedzieć, że kiedy zbierze się chór, Ojciec Święty może zechcieć porozmawiać z jego członkami, żeby dodać im otuchy...

Parę osób się zaśmiało.

- Kiedy skończycie, podziękuję wam osobiście i zaprosi, abyście podeszli do miejsca, w którym będzie siedział. - Ksiądz wciąż zwracał się do chórzystów. - Dostaniecie niewielkie prezenty i ze względów czasowych prosimy, żebyście nie otwierali ich na miejscu. Podziękujcie Jego Świątobliwości i przechodźcie dalej. Żeby zaspokoić waszą ciekawość, mogę powiedzieć, że w pudełeczkach będą różańce... Nasza obsługa postara się wszystko usprawnić. Pamiętajcie, że w Buffalo Breaks czeka na papieża ponad sto tysięcy osób... Wasze spotkanie z papieżem powinno więc trwać sześć sekund. Podkreślam to szczególnie ze względu na rodziców, którzy będą chcieli uwiecznić ten moment. Sześć sekund, nie więcej. Taka okazja trafia się tylko raz w życiu...

Wyciągnął z uśmiechem rękę.

- Dziękuję bardzo. I niech was Bóg błogosławi. Spotkanie było skończone i agenci ochrony z psami zabrali się do roboty. Kazali wszystkim ustawić się w paru kolejkach i przechodzić przez bramki, zdejmując wcześniej zegarki, paski i inne rzeczy, które miały metalowe części. Kolejne osoby przechodziły przez bramki, następnie sprawdzano je jeszcze ręcznie i badano to, co położyły na ladzie.

Przy kolejkach kręciły się psy, które wyczuwały materiały wybuchowe.

- Uważajcie na tyłki - szepnął do kumpli Billy Canton. Samara próbowała nie patrzeć na psa, który się do niej zbliżył. Zwierzę obwąchało jej żakiet, a następnie dłoń, a ona spróbowała się uśmiechnąć. Jednak mężczyzna w kuloodpornej kamizelce patrzył na nią zimnym wzrokiem. W końcu dotarli do bramki.

Samara i Logan musieli zdjąć wierzchnie okrycia i buty, a Samara położyła aparat fotograficzny na ladzie.

- Pani pierwsza - zwrócił się do niej jeden z agentów. Cisza. Żadnego odgłosu. Przeszła bezpiecznie przez bramkę. Kolejny agent sprawdzał jej zakiet i buty. Samara patrzyła na niego, widząc wiązkę promieni, wychodzących z jego detektora. Nic się jednak nie wydarzyło.

Odebrała już spokojniej swoje rzeczy.

- Proszę dalej - powiedziała agentka, która siedziała przy komputerze.

Nagle tuż za nią rozległa się seria głośnych sygnałów. To Logan!

- Chwileczkę, synu!

Dwaj mężczyźni w kuloodpornych kamizelkach z napisem FBI wzięli chłopca na stronę.

- Podnieś ręce.

Logan spojrział z niepokojem na Samarę.

- Proszę przechodzić. Niech pani idzie do autobusu - ponagliła ją agentka.

- Ale on jest ze mną. - Samara wskazała Logana. Agenci sprawdzili go ręcznym detektorem. To, co wywoływało dźwięki, znajdowało się w okolicach jednej z kieszeni.

- Wyjąłeś z niej wszystko? Logan skinął głową. Znowu buczenie.

- Sprawdź jeszcze raz.

Logan sięgnął do kieszeni i wyjął z niej różaniec, który dostał od matki.

- No to mamy winowajcę - stwierdził agent. - Powinieneś być go położyć na ladzie.

Chłopiec wypuścił nagromadzone w płucach powietrze.

- No, zbieraj się do autobusu - rzucił jeden z agentów.

## ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY TRZECI

*Cold Butte, Montana*

Maggie przepychała się w stronę szkoły.

Rozglądała się dookoła, szukając Logana lub Jake'a, ale wokół było tylu ludzi, że ich twarze zaczęły się zlewać ze sobą. Z minuty na minutę rosło w niej przeczucie, że niedługo wydarzy się coś złego, a ona nie będzie mogła temu zaradzić. Przed jej oczami przetaczały się kolejne obrazy.

Jake po powrocie z Iraku. Potworna wizja Fatimy. Zamordowana rodzina dziennikarza. Samara. Nieznajomi.

Kraksa. Oddalająca się twarz Logana...

Za chwilę wydarzy się coś strasznego.

Coś wisi w powietrzu.

Maggie starała się przesuwać do przodu, ale było jej coraz trudniej. Powietrze zadrżało, kiedy nad szkołą przeleciał kolejny helikopter.

Już prawie stała w miejscu.

Jedynie droga, którą papież miał dojechać do szkoły, była wolna, odgrodzona od tłumu barierkami, których pilnowała policja. Maggie ruszyła w tę stronę.

Papież przejedzie zaledwie parę metrów od niej.

Wielkie napięcie było wypisane na twarzach czekających dzieci, nastolatków, mężczyzn i kobiet. Niektórzy starsi

355

pielgrzymi modlili się z zamkniętymi oczami, trzymając w dłoniach różańce. Mieli spokojne oblicza. Maggie zauważyła uśmiechniętą kobietę ze srebrnym krzyżem na szyi. Plakietka, którą nosiła, wskazywała, że jest zakonnicą. Kobieta rozdawała ulotki z programem wizyty i jedną z nich wcisnęła w dłoń Maggie. Maggie przejrzała uważnie kolejne punkty i zwróciła szczególną uwagę na występ szkolnego chóru. Na ulotce znajdowało się zdjęcie dzieci, które miały wystąpić przed papieżem. Chłopiec w drugim rzędzie, drugi od prawej. Logan. W programie podano nazwisko Russell. Maggie patrzyła z niedowierzaniem na zdjęcie; a w jej oczach pojawiły się łzy.

- Przepraszam! - zawołała w stronę zakonnicy. - Sostro! Mam ważną sprawę!

Ktoś szepnął coś na ucho zakonnicy i ta wróciła do Maggie.

- Tak? W czym mogę pomóc?

W tej chwili chciała być tylko bliżej syna i zapomniała o tym, że Daniel kazał jej odnaleźć Blake'a Walkera.

- Mój siostrzeniec ma wystąpić przed papieżem. Właśnie przyjechałam z Kalifornii i nie mogę dostać się dalej. Czy może wie siostra, gdzie mogę znaleźć dzieci?

Zakonnica wskazała jej położony nieopodal szkoły parking. Był ogrodzony, a wokół kręciło się sporo policjantów z psami.

- Za chwilę przyjadą tu z rodzicami - odparła, a potem spojrzała na zegarek. - W zasadzie już powinni tu być. Policja musi ich najpierw sprawdzić, a potem wejdą do szkoły. Przykro mi, ale pewnie nie uda się pani tam przedostać. Ale gdzie pani...?

Maggie nie było już obok. Zniknęła w falującym tłumie.

Kiedy się rozdzielili z Maggie, Daniel zauważył stojący nieopodal wóz policyjny i zapytał zastępcę szeryfa, jak może dojechać pod wskazany adres.

- Najkrótsza droga na Crystal Road? - Mężczyzna podrapał się po brodzie i oderwawszy wzrok od podążających na spotkanie z papieżem tłumów, spojrzał na bezkresną, pustą równinę. - Najlepiej jechać przez Pioneer Field. Powinien pan sobie poradzić tym wozem. - Zerknął z kolei na wypożyczony samochód. - Proszę jechać tą polną drogą na południe, aż dojedzie pan do drogi przy rozwalającej się chacie. Stamtąd w lewo, jakieś półtora kilometra, a potem znowu w lewo na kolejnym skrzyżowaniu w kształcie litery T. To będzie Crystal Road, ale później trzeba jechać nią jeszcze kilkanaście kilometrów. Zupełne odludzie.

Daniel przejechał szybko polną drogą z rozkołysanymi trawami, dotarł do skrzyżowania przy starym domu, gdzie skręcił w lewo. Bez większych przeszkód odnalazł starą drewnianą tablicę z napisem Crystal Creek Road.

Ruszył szybko przed siebie, mijając kolejne, niezamieszkałe domy. Na skrzynkach pocztowych dostrzegł nazwiska takie jak Smith, Clark czy Peterson. Nigdzie jednak nie widział nazwiska Russell czy Conlin. Przejechał pięć, osiem, dziesięć kilometrów. Droga wydawała się ciągnąć w nieskończoność.

Na horyzoncie dostrzegł helikopter, który patrolował teren.

Nikt jednak nie interesował się tym bezludnym miejscem. Może tylko tracił tu czas?

A co jeśli Maggie będzie go potrzebować w szkole? Szanse, że jego telefon będzie miał zasięg na tym odludziu, były niewielkie. Spoconymi dłońmi mocniej ścisnął kierownicę.

Minął niewielki zagajnik i wzgórze, aż w końcu znalazł się znowu na bezkresnej równinie. I właśnie wtedy dostrzegł

dużą czerwoną ciężarówkę, zaparkowaną przed niewielkim, parterowym domem.

Podjechał pod skrzynkę pocztową. Znajdowała się na niej wypisana ręcznie kartka z nazwiskiem B. Russell, przymocowana do skrzynki taśmą klejącą.

B. Russell.

W końcu go odnalazł. Ciekawe, co powie mu ojciec Logana? Chociaż kiedy wydarzenie rangi światowej miało miejsce kilkanaście mil stąd, Daniel nie spodziewał się tu zastać nikogo.

Przejechał na podjazd między wysokimi trawami i zatrzymał się w pewnej odległości od ciężarówki. Po namyśle stwierdził, że warto sprawdzić, czy jednak nikogo nie ma w domu.

Mimo że instynkt podpowiadał mu, iż robi błąd, ruszył dalej.

## ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY CZWARTY

### *Helikopter papieski nad Montaną*

Kiedy helikoptery z papieskiej eskorty pojawiły się nad wielkimi równinami, Walker poczuł, że żołądek skurczył mu się do minimalnych rozmiarów.

Owładnęło nim nieodparte uczucie, jakby pominął coś ważnego, jakby przeoczył ogniwo, które mogłoby spoić wszystkie pozornie ze sobą niezwiązane wydarzenia i fakty. To wszystko, co ostatnio niepokoiło Biały Dom.

Czyżby czekało ich najgorsze?

Walker wciąż myślał intensywnie, patrząc na szachownicę pól uprawnych i zielonych łąk. Starał się określić, skąd pochodzi źródło zagrożenia.

Na próżno.

Odpowiedź gubiła się gdzieś na tej niekończącej się równinie.

Kiedy zbliżyli się do Cold Butte, Walker przeniósł wzrok na papieża i jego doradców, którzy spoglądali w dół.

Ciągnące się kilometrami korki świadczyły o dużej liczbie pielgrzymów zmierzających na spotkanie z papieżem.

Walker zauważył chmurę dymu i migające światła wozów straży i karetki. Wyglądało na to, że po zachodniej stronie miasta wydarzył się poważny wypadek.

Sprawdził komórkę. Drogówka z Montany przysłała

właśnie wstępny raport. Dwie ofiary śmiertelne o nieznannej tożsamości. Samochód z wypożyczalni. Śledztwo w toku. Policja informowała również o niegroźnej stłuczce między wynajętym autobusem a terenówką. Walker chciał już schować komórkę, kiedy ta znowu zaczęła wibrować. Nowa informacja. Tym razem skierowana tylko do niego. Policja drogowa informowała go, że kapral Daniel Graham z Kanadyjskiej Królewskiej Policji Konnej chce się z nim pilnie skontaktować.

Kapral Graham?

Walker dopiero po chwili przypomniał sobie spotkanie z Kanadyjczykiem.

Z informacji wynikało, że Graham chce z nim mówić o prowadzonej przez niego sprawie.

Chodziło więc o Raya Tarvera. Po tamtej rozmowie Walker sprawdził te jego wielkie teorie spiskowe, ale nic z tego nie wynikło. Pozostały tak samo nieprawdopodobne jak wcześniej.

Walker przypomniał sobie, że nie potraktował Grahama zbyt dobrze w Waszyngtonie i zdecydował, że do niego zadzwoni. Należy mu się ta jedna minuta.

Wybrał podany numer, ale Graham nie odpowiadał.

Spróbuj ponownie później.



## ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY PIĄTY

*Cold Butte, Montana*

Daniel przyjechał do tego domu, nie bardzo wiedząc, czego się spodziewać.

Ponieważ Tarverowie zostali zamordowani, a on i Maggie też niedawno mogli zginąć w podejrzanym wypadku, instynkt podpowiadał mu, że musi uważać.

Nie miał podstaw, by wchodzić do tego domu. Nie miał pozwolenia, nie miał broni ani radia. Znajdował się na obcym terenie i nikt nie wzywał go na pomoc. Zdecydował się jednak działać.

Nie zależało mu też zbyt na własnym bezpieczeństwie.

Zatrzymał samochód i przez chwilę czekał, czy nie usłyszy szczekania psa lub odgłosów psiego łańcucha. W końcu wysiadł.

- Halo! Jest tu kto?

Nic. Zagwizdał. Nie było tu psa.

Trawa przy domu była rzadsza i odsłaniała ścieżkę, która prowadziła w stronę budynku. Był to duży parterowy dom, pomalowany na żółto z białym szlaczkiem u góry. Na parapetach stały skrzynki z kwiatami. Kiedy zastukał do drzwi, firanki w oknach nawet nie drgnęły.

Nikt nie odpowiedział. Słyszał tylko wiatr wiejący wśród traw.

Zastukał raz jeszcze, nasłuchując, czy ktoś jest w domu. Przycisnął ucho do drzwi i coś usłyszał. Szmer rozmowy. Znowu zastukał, ale bez rezultatu. Zdziwiło go to, bo słyszał przecież rozmowę, która dobiegała ze środka.

- Halo! - zawołał.

Przeszedł na tyły budynku, gdzie znajdował się niewielki taras i przeszklone drzwi. Za nimi prawdopodobnie był salon, sądząc po tym, co mógł zobaczyć przez zasłonki.

Znowu usłyszał ludzkie głosy. Daniel przyłożył dłoń do ust i jeszcze raz zawołał.

Nikt nie odpowiedział.

Gdzieś z daleka dobiegał do niego szum silnika helikoptera. Daniel pochylił się i próbował zajrzeć przez okno. Po chwili jego oczy przywykły do półmroku. Nieco dalej zobaczył półotwarte drzwi.

Przez szparę dostrzegł zwisające z łóżka ramię.

- Halo! Jestem kapral Graham z kanadyjskiej policji. Chcę sprawdzić, czy nic się nie stało Loganowi albo Jake'owi Conlinom. Jake? Burt? Czy mnie słyszysz?

Ramię się nie poruszyło.

Ktoś śpi? A może zemdlął? Może jest ranny?

Usłyszał nowy dźwięk.

Gdzieś w głębi domu odezwał się dzwonek telefonu. Umilkł po sześciu sygnałach. Osoba na łóżku nawet nie drgnęła.

Daniel pomyślał, że musi działać zdecydowanie. Nacisnął klamkę i otworzył drzwi. Raz jeszcze powiedział, kim jest, by nie wzięto go za intruza, a potem wszedł do salonu.

Rozejrzał się ostrożnie, ale nikogo tu nie było.

Obok znajdowała się kuchnia.

Obrzucił całe pomieszczenie uważnym spojrzeniem. Stół kuchenny był czysty, wysprzątanym. Lada również. Leżały na niej rachunki i listy. Wszystkie zaadresowane do Burta Russella. Daniel wrócił do salonu, gdzie na biurku stał włączony laptop, a obok grał telewizor, z którego pochodziły

głosy, które słyszał. Telewizja nadawała relację na żywo z wizyty papieża. Łazienka była pusta.

W pierwszej sypialni stały jakieś kartonowe pudełka i materac oparty o ścianę.

W drugiej też nikogo nie było, ale Daniel zatrzymał się tu na chwilę. Zobaczył porozrzucone na podłodze i łóżku chłopięce ubranka, a na szafce oprawione zdjęcie Jake'a i Logana na tle ciężarówki. Jake miał kozią bródkę i wygoloną głowę.

Daniel przeszedł do kolejnej sypialni i w tym momencie z telewizora zaczął dobiegać kobiecy głos. On jednak skupił się nad tym, co miał przed sobą, i nie zwracał uwagi na jej słowa:

„Nazywam się Samara. Nie jestem dżihadystką...”.

## ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY SZÓSTY

*Hrabstwo Lone Tree, tereny targowe, Montana*

Kiedy papieski helikopter zaczął schodzić do lądowania, wszyscy zobaczyli niewielkie miasteczko Cold Butte. Wyglądało dziwnie, ponieważ praktycznie wszędzie, również na jego obrzeżach, parkowało mnóstwo samochodów. Walker i pozostali agenci zwrócili szczególną uwagę na miej sce, gdzie miała się odbyć msza polowa w Buffalo Breaks.

Na scenie za ołtarzem stał trzydziestometrowy krzyż. Całe miejsce znajdowało się w dolince. Walker był tu wcześniej parę razy i sprawdzał, gdzie ewentualnie mogliby się ukryć zamachowcy.

Teraz znajdowało się tam ponad sto tysięcy czekających na papieża osób. Walker poczuł, jak robi mu się niedobrze, kiedy helikopter zaczął nagle opadać na lądowisko, położone na terenach targowych hrabstwa Lone Tree.

Po wylądowaniu papieża i innych dostojników powitała delegacja złożona z miejscowych notabli i przedstawicieli lokalnej społeczności. Następnie osoby odpowiedzialne za bezpieczeństwo zebrały się na szybką naradę w jednym z pawilonów.

Walker spodziewał się, że zaczną od bardzo szybkiego sprawdzenia planu wizyty, ale stało się inaczej.

Colby rozmawiał przez komórkę. Dostawał kolejne raporty z Waszyngtonu i był bardzo zaniepokojony. Machnął

na Walkera, a następnie zaczął rozmowę z przedstawicielami Watykanu.

Walker podszedł bliżej. Dyskusja stawała się coraz bardziej zażarta i wyglądało na to, że Colby przerwał ją tylko po to, by odebrać telefon.

Monsignore Paulo Guerelli, jeden z najważniejszych członków papieskiego orszaku, kręcił głową.

- Te sugestie Waszyngtonu nie mają potwierdzenia w faktach, agencie Colby.

- Chciałem tylko przedstawić stanowisko naszego rządu, Wasza Eminencjo - tłumaczył Colby. - W świetle najnowszych doniesień zalecamy odwołanie dalszej części dzisiejszej wizyty.

- Czy istnieje jakieś oczywiste zagrożenie zamachem?

- Nie. Nie mogę tego powiedzieć z całkowitą pewnością.

- Więc może przynajmniej ma pan dowody na to, że ktoś planuje zamach?

- Nie, Wasza Eminencjo, mamy jedynie poszlaki. I to właśnie z ich powodu zalecamy daleko posuniętą ostrożność...

- Ale przecież mamy tu i CIA, i FBI. Czy Biały Dom nie wierzy w skuteczność własnych służb wywiadowczych?

Colby przełknął tę gorzką uwagę.

- No dobrze - podjął Guerelli. - Mówił pan o tych zdarzeniach i o zapowiedzianym przez Issę al-Issa zamachu...

- Właśnie.

- Ale czy komuś udało się powiązać te wszystkie zdarzenia z tą groźbą?

- Jeszcze nie, ale nasi analitycy uważają, że ryzyko jest bardzo duże.

Monsignore zastanawiał się przez chwilę nad tymi słowami.

- Papież ryzykuje za każdym razem, kiedy spotyka się z wiernymi, panie Colby - powiedział w końcu. - W Seattle mieliśmy dwa poważne incydenty, ale przecież nic się nie stało.

- Tak, ale...

- Ojciec Święty podróżuje po całym świecie, musi więc

podejmować ryzyko. Tak jest od prawie dwóch tysięcy lat i tak pewnie zostanie, co nie znaczy, że da się z tego powodu zastraszyć...

Colby wytarł dłonią pot z czoła.

- Tak, ale...

- Pana zadanie to ochrona papieża. Uważam, że pańscy ludzie dobrze się z niego wywiązują i proszę tylko, by nadal robili to, co do tej pory. Proszę przekazać rządowi, że nie zmieniamy planu wizyty. Ojciec Święty chce koniecznie posłuchać dzieci i móc zamienić z nimi kilka słów.

Guerelli wraz z paroma innymi dostojnikami przeszedł do pokoju papieża, gdzie ten przeglądał swoje kazanie na temat siostry Beatrice.

- Wcale mi się to nie podoba - powiedział jeden ze starszych agentów, Lloyd Taylor. - Pamiętacie, jak Kennedy nie chciał osłony na samochód w Dallas? Niech przynajmniej założy kamizelkę kuloodporną.

Colby pokręcił głową.

- Próbowaliśmy go do tego przekonać, ale odmówił.

- Ten kardynał ma trochę racji - mruknął Taylor. - Gdybyśmy odwołali pozostałą część wizyty, byłaby to plama na honorze naszych służb specjalnych, a nawet całego narodu.

Colby machnął ręką.

- I tak nie mamy na to wpływu. Ludzie z rządu są przerażeni. Woleliby raczej odesłać do Watykanu papieża wkurzonego niż martwego.

Dopiero teraz rozpoczęła się właściwa część spotkania i Colby zaczął dzielić między nich poszczególne obowiązki.

Następnie odeskortowali papieża do jego samochodu, a część ochrony wsiadła do przygotowanych aut.

Kawalkada opuściła tereny targowe, kierując się w stronę szkoły. FBI, CIA, policja i inne służby kontaktowały się bez przerwy przez krótkofalówki.

Walker jechał w drugim samochodzie, tuż za autem dowódcy.

Kiedy znaleźli się między wiwatującymi ludźmi, serce zabiło mu szybciej.

## ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY SIÓDMY

*Cold Butte, Montana*

Maggie parła w stronę szkoły, objając się o kolejne osoby. Była obolała z powodu szturchnięć, ale nie zwracała na to uwagi. Nikt nie mógł jej zatrzymać.

Była już tak blisko Logana. Czowała, że ma go na wyciągnięcie ręki.

Tuż nad jej głową, ze wschodu na zachód, przeleciał helikopter. Potem kolejny. Ludzie zaczęli wiwatować. Maggie przepychała się dalej, słuchając fragmentów raportów radiowych: „Spodziewamy się, że papieski samolot wyląduje za chwilę na terenach targowych hrabstwa Lone Tree, gdzie powitają go... Następnie Ojciec Święty przejedzie w stronę szkoły w Cold Butte, gdzie wysłucha piosenek zaśpiewanych... Po tej uroczystości papież przejedzie na tyły szkoły, do doliny zwanej Buffalo Breaks, gdzie odprawi mszę dla zgromadzonych... Chór zaśpiewa Ojcu Świętemu trzy pieśni o charakterze religijnym...”.

W końcu Maggie znalazła się przy barierkach nieopodal parkingu i zobaczyła żółty autobus, z którego zaczęli wysiadać rodzice z dziećmi. Uzbrojeni w M16 funkcjonariusze prowadzili ich do miejsca, gdzie odbywała się szczegółowa kontrola. Wszędzie kręcili się policjanci z psami. Żołnierze zaczęli sprawdzać podwozie autobusu

lusterkami na wysięgnikach. Ich skupione miny kontrastowały z radością, jaka malowała się na twarzach pielgrzymów.

Autobus znajdował się zaledwie około dwudziestu metrów od Maggie.

Zacząła się przeciskać dalej, ignorując protesty tych, którzy zajęli miejsca przy barierkach o wschodzie słońca.

Było jej wszystko jedno.

Patrzyła tylko w kolejne okna autobusu.

Nagle stanęła jak wryta.

Wykrzyknęła imię syna, zanim zdołała pomyśleć. Logan był w autobusie!

Zacząła skakać i machać do niego rękami jak szalona. Jakże inaczej niż wtedy, kiedy widzieli się po raz ostatni. Tyle że syn jej jeszcze nie widział.

- Logan! Logan!!! Maggie ruszyła dalej.

- Halo! Proszę pani...

- Co pani?!...

- Niech pan mnie puści! Muszę zobaczyć się z synem!

- Gdzie ona się pcha? Dzwon do sierżanta. To jakaś wariatka!

Agenci prowadzili kolejnych pasażerów autobusu do bramki kontrolnej. Przed wejściem do szkoły utworzyła się spora kolejka. Rodzice mieli na sobie garnitury i kostiumy, a dzieci najlepsze stroje.

Funkcjonariusze o kamiennych twarzach prowadzili je do bramki, gdzie dzieciaki zdejmowały buty, wyjmowały wszystko z kieszeni i poddawały się szczegółowej kontroli.

Logan przeszedł szybko przez punkt kontrolny. Maggie poczuła, że za chwilę może stracić go na zawsze.

- Looogan!!! - zawołała.

Odwrócił się, ale jej nie dostrzegł. Maggie wgramoliła się na metalowa barierkę i przeskoczyła na jej drugą stronę.

Biegła za synem i wołała.

368



Ludzie zaczęli wzywać policję, wskazując na Maggie palcami.

Policjanci i agenci błyskawicznie sięgnęli po broń. Ich radioodbiorniki nadawały alarmowy komunikat: „Zagrożenie w sektorze dwudziestym siódmym, uwaga, zagrożenie w sektorze dwudziestym siódmym”. Tuż nad nią leciał helikopter. Dziennikarze ze stacji telewizyjnych skierowali kamery na rozhisteryzowaną kobietę, która usiłowała wdrzeć się do szkoły. „Mamy ją” - poinformowali przez radio snajperzy, znajdujący się na dachu budynku.

„Czekajcie na rozkaz” - usłyszeli komunikat z dowództwa. Snajperzy zamarli z palcami na językach spustowych. Pierwszy dopadł ją policjant z Missouli i powalił na ziemię, aż jęknęła. Następnie rzucił się na nią i skuł kajdankami. Helikopter wciąż latał nad szkołą. Po chwili otoczyli ich inni policjanci.

Logan zauważył tę scenę, ale nie miał pojęcia, że zatrzymana kobieta jest jego matką.

Maggie raz jeszcze wykrzyknęła jego imię i wyciągnęła w górę skute ręce. Jednak Logan już na nią nie patrzył. Hałas silników helikoptera był ogłuszający.

Kiedy policjanci ją podnieśli, Maggie zauważyła, że ktoś pchnął delikatnie jej syna w stronę szkoły.

Kobieta ze zdjęcia w restauracji.

Samara.

Ich oczy spotkały się na chwilę w chaosie, który panował wokół.

Patrzyły na siebie dwie zrozpaczone matki z innych światów. Obie były gotowe zrobić wszystko, by odzyskać swoją rodzinę. Maggie zauważyła, że oczy Samary płoną świętym ogniem, że jest w nich jakieś postanowienie. Ale pojawiła się w nich także niepewność.

Maggie wyciągnęła rękę w jej stronę.

- Ona porwała mojego syna! - krzyknęła. - Ta kobieta jest niebezpieczna! Musicie ją aresztować. Wezwijcie natychmiast agenta Blake'a Walkera. Logan!

381

Żaden z policjantów i agentów nie rozumiał, o co jej chodzi. Helikopter jeszcze się obniżył, a poza tym wokół panował straszny rozgardiasz.

Dla nich to Maggie była niebezpieczna.

Jeden z policjantów pchnął ją w stronę wozu.

- Ma pani prawo milczeć...

- Logan!

Samara nie weszła do środka z Loganem, ale zaczęła coś szeptać na ucho wyższemu rangą agentowi. Jednocześnie pokazała mu swój identyfikator.

- Jestem pielęgniarką, która pomaga przy tym wydarzeniu - powiedziała Samara. - Tamta kobieta jest niezrównoważona psychicznie. Kiedy ostatnio była w szkole, groziła, że się pozbędzie papieża...

Agent skinął głową, a następnie zapisał jej słowa i dane. Kiedy Samara weszła do szkoły, sięgnął po mikrofon.

## ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY ÓSMY

### *Indian Head, Maryland*

Bezpośrednio po przeprowadzeniu eksperymentu Takayasu polecił swoim ludziom, by zaalarmowali wywiad, a także agencje zajmujące się podobnymi badaniami.

Informacje od Takayasu pojawiały się rzadko, ale były zwykle bardzo ważne. Te ostatnie miały najwyższy priorytet z zaznaczeniem, że chodzi o bezpieczeństwo kraju. O nowym materiale wybuchowym udało się poinformować niemal wszystkich, którzy mogli nim być zainteresowani, nawet jeśli znajdowali się na wakacjach.

Przekazali też kody wynikające z obliczeń i wszystko, czym dysponowali w związku z substancją z Pysht, wybuchem w Malmstrom i testem w Indian Head. Natychmiast zwołano telekonferencję, w której brali udział najważniejsi eksperci odpowiedzialni za bezpieczeństwo narodowe.

Okazało się, że tym samym problemem zajmowały się zespoły Biura Bezpieczeństwa Narodowego, NASA, jednostki wywiadu wojskowego i wywiadu marynarki wojennej, a także inne ośrodki. Jednak to właśnie zespołowi Takayasu udało się osiągnąć jakieś efekty.

Zanim Takayasu zaczął, pojawiło się pierwsze pytanie.

- Czy ta substancja stanowi rzeczywiste zagrożenie? - zapytał przedstawiciel Biura Bezpieczeństwa Narodowego.

- Tak, w dodatku bardzo duże i dlatego powinniśmy działać szybko. Musimy zablokować sygnał albo go przejąć i rozbroić. Czy to możliwe?
  - Możemy skorzystać z technologii SDI albo z naszych urządzeń satelitarnych NASA - zauważył ktoś.
  - Ale musimy znać cel - rzucił przedstawiciel NASA.
  - Jeśli idzie o cel, sprawa jest prosta. Hrabstwo Lone Tree w Montanie - powiedział Takayasu pewnym głosem. Wszyscy, znajdujący się na linii, na chwilę zamarli.
  - Miej sce papieskiej wizyty - rzucił ktoś ponuro, a potem dodał z nadzieją: - Przed chwilą aresztowano tam jakąś rozhisteryzowaną kobietę.
  - Tak, ale trzeba odwołać wizytę. I to już! - rzucił szef wywiadu wojskowego.
  - Próbowaliśmy, ale Watykan nie chce wyrazić zgody - odparł szef CIA. - Zagrożenie nie jest potwierdzone. Poza tym Watykan prawie nigdy nie odwołuje zapowiedzianych wizyt. W końcu na papieża czeka w Montanie ponad sto tysięcy osób.
  - Naszym zdaniem ktoś zechce wykorzystać tam ten nowy środek wybuchowy - stwierdził Takayasu.
  - A może jednak to się stanie w Chicago? - rzekł z nadzieją szef CIA. - Dałoby nam to trochę czasu.
  - Niestety, informacje uzyskane od Issy al-Issa nie były zbyt dokładne. Dlatego musimy zachowywać się tak, jakby zagrożenie mogło pojawić się w każdej chwili. Wszyscy usłyszeli, jak szef CIA wpisuje coś do komputera.
  - Hrabstwo Lone Tree znajduje się sześćset siedemdziesiąt sześć metrów nad poziomem morza. Długość i szerokość geograficzna wynoszą... Zaraz. Nasi eksperci już zajęli się obliczeniami. Jedyńy sposób na rozbrojenie tej bomby to wysłanie impulsu przez satelitę.
  - Ile to zajmie? - spytał Takayasu.
- Szef CIA milczał przez chwilę, zapewne wysłuchując kolejnego raportu.

- Jakieś dwadzieścia minut - odparł w końcu.
- Może być niebezpiecznie...
- Pozostaje też ryzyko, że impuls nie rozbroi tej bomby dodał ekspert komputerowy.

## ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

*Cold Butte, Montana*

Papamobile i kawalkada samochodów jechały ulicami Cold Butte. Wyły syreny i migały niebieskie światła. Zbliżały się ciężkie chwile.

Walker jechał tuż za samochodem papieża. Obserwował twarze rozradowanych pielgrzymów, zadowolony, że papież tylko pozdrawia ich z jadącego wozu.

Tak było bezpieczniej.

Po historiach w Seattle podwyższono stopień gotowości.

Policja przeczesła całą trasę aż siedem razy. Zespoły K-9 sprawdziły budynki. Mosty, ulice i inne ważne miejsca patrolowali policjanci z pięciu okolicznych hrabstw. FBI wspomagali ludzie z Great Falls, Lewistown i Billings, a także stanowa drogówka.

Każdy miał za zadanie „zwracać na wszystko uwagę” i „reagować natychmiast, gdy tylko zajdzie potrzeba”.

Nad miastem krążyły cztery helikoptery. Trzy zajmowali agenci służb specjalnych, a z czwartego nadawano transmisję telewizyjną z wizyty papieża.

Na dachach wyższych budynków znajdowali się snajperzy i obserwatorzy. Na szczęście większość domów była w tym rejonie dosyć niska. Drapacze chmur stanowiły bowiem prawdziwy raj dla różnej maści zamachowców.

Po obu stronach ulicy widać było transparenty powitalne. Ludzie wymachiwali amerykańskimi i watykańskimi flagami. Niektórzy śpiewali, inni krzyczeli, kolejni zaś modlili się w skupieniu. Ekipy telewizyjne filmowały to wszystko na bieżąco.

Kiedy zbliżyli się do szkoły, Walker poczuł wibracje telefonu.

- Blake, tu Jackson. - Kumpel z trudem łapał powietrze. - Jakaś kobieta usiłowała przedostać się przez barierki. Nie miała przy sobie broni.

- Co z nią?

- Wpadła w histerię i chciała biec za dziećmi. Krzyczała, że porwano jej syna. Na szczęście udało się nam ją złapać. Według pielęgniarki ze szkoły była tam wcześniej i groziła papieżowi.

- Opanowałaś sytuację?

- Tak, tylko wiesz, ta kobieta pytała o ciebie. Wymieniła twoje nazwisko.

- Pytała o mnie? Skąd może o mnie wiedzieć. Jest z Waszyngtonu?

- Nie, z Blue Rose Creek w Kalifornii. Nazywa się Margaret Conlin.

Blue Rose Creek w Kalifornii.

Walker miał wrażenie, że słyszał już gdzieś tę nazwę. W tej chwili nie mógł jednak sobie przypomnieć gdzie i kiedy.

- Spytałeś, czego ode mnie chce?

- Trudno powiedzieć. Mówi bardzo nieskładnie.

- Zatrzymajcie ją w waszej ciężarówce. Zajmę się nią później, najpierw szkoła.

## ROZDZIAŁ OSIEMDZIESIĄTY

*Cold Butte, Montana*

Daniel wszedł do sypialni Jake'a Conlina. Pokój pogrążony był w półmroku. Słońce z trudem torowało sobie drogę przez zaciągnięte zasłony. Na łóżku leżał mężczyzna. Miał odwróconą głowę.

- Jake Conlin! - zawołał Daniel.

Po chwili dotknął jego ramienia i poczuł kleisty chłód. Mężczyzna się nie poruszył. Cienie na pościeli były wielkimi plamami krwi.

Ktoś poderżnął mu gardło.

Daniel wyszedł z sypialni i odnalazł telefon bezprzewodowy. Wziął go ostrożnie do ręki i końcem ołówka wybrał 911.

- Tu telefon alarmowy hrabstwa Lone Tree. Czy chodzi o policję, pogotowie czy straż pożarną?

- Policję. I pogotowie. Na adres 10230 Crystal Creek Road.

- Zaraz wysyłam wozy. O co chodzi?

- Nieżyjący biały mężczyzna, około trzydziestu pięciu lat. Najprawdopodobniej zamordowany.

- Zamordowany? Przy Crystal Creek Road?

- Tak. Jedźcie już?

- Przepraszam, ale dotarcie tam zajmie trochę czasu. Proszę się nie rozłączać, potrzebuję pańskich danych.

388



Daniel podał dyspozytorowi imię, nazwisko, stopień i numer odznaki, a potem dodał:

- Uwaga, żądam, by poinformowano o tym morderstwie CIA i FBI. Może mieć ono związek z zamachem na autostradzie numer 87 na wschód od Lewistown i planowanym zamachem na papieża w Cold Butte.

- Proszę powtórzyć.

Daniel zaczął powtarzać, a jednocześnie lewą ręką wyjął komórkę i wybrał numer Blake'a Walkera. Zadzwoił, ale znowu nikt nie odebrał.

Przeszedł do salonu. Miał wrażenie, że dzieje się tam coś dziwnego. Że znalazł się w jakiejś dziwnej pętli czasowej. Jakby to wszystko działo się już wcześniej.

Znowu spróbował zadzwonić, ale bezskutecznie.

Daniel nie rozłączał się, ale jednocześnie zaczął się rozglądać po pokoju. W telewizji leciała transmisja z wizyty papieża. Na stoliku stał laptop z włączoną kamerą. Poza tym były w nim uruchomione jednocześnie różne programy.

Daniel pochylił się w stronę komputera i zobaczył zdjęcia Samary, którą wcześniej widział z Jakiem i Loganem.

Teraz jednak wyglądała inaczej.

Była z innym mężczyzną i innym chłopcem. Wszyscy byli weseli i uśmiechnięci. Stali w pobliżu palmy na jakimś placu, przy bramie wjazdowej do miasta.

Bliski wschód. Zapewne Bagdad, pomyślał Daniel.

Nagle zauważył coś jeszcze i aż wstał, żeby podejść do komputera. W rogu ekranu wciąż odtwarzało się jedno nagranie wideo. To właśnie głos kobiety z filmu sprawił, że miał wrażenie powtarzalności.

Znowu zobaczył Samarę.

Miała na sobie biały hidżab. Jej oczy płonęły gniewem. „Nie jestem dżihadystką...”.

Kiedy zaczęła mówić o swoim bólu i planach, Daniel zrozumiał, z czym ma do czynienia.

Wideo męczenniczki. Kobiety gotowej oddać życie, by się zemścić.

Nie!

Następnie dostrzegł wiązkę podłączonych do laptopa kabli, które wychodziły za okno. Kiedy za nie wyjrzał, zobaczył ustawioną na trójnogu antenę satelitarną. Poza tym do komputera podłączono też jakieś pudełko z anteną i migającymi, zielonymi i czerwonymi światełkami. Na zegarze wyświetlały się kolejne cyfry.

Kolana ugięły się pod nim, kiedy pojął, co ma przed sobą.

Próbował przełknąć ślinę, ale zaschło mu w ustach.

Ktoś chciał coś aktywować z tego laptopa.

Odliczanie już się zaczęło!

## ROZDZIAŁ OSIEMDZIESIĄTY PIERWSZY

*Cold Butte, Montana*

Papież wraz ze świtą wszedł do szkoły. Przeszedł do holu, gdzie uściskał przede wszystkim księdza Stone'a.

- Niech cię Bóg błogosławi, bracie - powiedział z uśmiechem.

Zalśniły flesze. Kamery stacji telewizyjnych z całego świata rejestrowały to spotkanie.

- Witaj, Ojciec Święty! - Stone zaczął przedstawiać papieżowi władze miasteczka i szkoły, za którymi stali rozradowani uczniowie.

Po krótkim spacerze po szkolnych korytarzach, papież przeszedł do sali gimnastycznej, gdzie powitano go entuzjastycznie. I znowu rozbłysły flesze aparatów fotograficznych, by uwiecznić ten moment.

Wśród klaszczących znajdował się Walker, który wcisnął głębiej w ucho słuchawkę i poprawił mikrofon. Następnie zaczął przyglądać się zebranym.

Chórzyści zajęli już swoje miejsca na podium.

Pod ścianami stali policjanci w mundurach i dziennikarze. W sali znajdowali się też agenci CIA i FBI, w tym parę kobiet, które najmniej wyróżniały się w tym miejscu. Do obserwacji zebranych używano specjalnych kamer, które

połączone były z wozem transmisyjnym ustawionym tuż koło szkoły.

Walker wraz z drugim agentem zajął miejsce przy scenie - on po lewej, a kumpel po prawej stronie.

Papież wstał i wyciągnął ręce do zebranych, przekazując im znak miłości i pokoju. Następnie powiedział parę ciepłych słów pod adresem władz lokalnych i dyrekcji szkoły oraz podziękował za tak gorące przyjęcie w Cold Butte.

Walker pomyślał, że tym razem udało się dobrze przygotować tę wizytę. Wszyscy są w gotowości. Pomodlił się więc w duchu jak każdy policjant: „Boże, spraw, by nic nie stało się na mojej zmianie”.

## ROZDZIAŁ OSIEMDZIESIĄTY DRUGI

*Cold Butte, Montana*

Chór zaczął przygotowywać się do występu, a Walker próbował łączyć ze sobą poszczególne informacje.

Przypomniał sobie wczorajszy fałszywy alarm i niepotwierdzone informacje od Issy na temat planowanego ataku, a potem wybuch w Malmstrom.

Czy to wszystko jest ze sobą powiązane?

Śmierć na drodze, telefon od Grahama, który zapewne badał sprawę Tarvera (ale dlaczego zadzwonił właśnie teraz?), nagłe wtargnięcie rozhisteryzowanej kobiety na teren szkoły.

Z Blue Rose Creek w Kalifornii.

W dodatku znała jego nazwisko. Jak to możliwe?

Znowu próbował połączyć ze sobą te zdarzenia. Czy ten policjant z Kanady nie pojechał właśnie do Blue Rose Creek? Czy teoria Tarvera nie dotyczyła jakiegoś planowanego zamachu?

Usłyszał trzask w słuchawce.

- Tu Baker do agenta specjalnego Walkera. Proszę odebrać pilny telefon od dyspozytora spod 911 z Lone Tree.

- Co? Nie mogę teraz... Przekaż to...

Baker zignorował jego protesty i poczuł wibracje swojej komórki. Zaklął, a potem odebrał połączenie.

Nie był to jednak dyspozytor. - Tu kapral Daniel Graham.

Samara siedziała w swoim nowym kostiumie w pierwszym rzędzie i ścisnęła nerwowo aparat fotograficzny.

Starła się zapanować nad zdenerwowaniem, gładząc przyciski aparatu. Jej podniecenie było jednak czymś naturalnym tu, na tej sali. Wciąż pamiętała niedawne spotkanie z matką Logana. Miała szczęście, że zapamiętała ją ze zdjęć Jake'a.

Jak to się stało, że ta kobieta odnalazła ich tu, w Cold Butte? Znaczyło to, że Maggie Conlin wie coś na jej temat.

Samara rozejrzała się dookoła.

A jeśli ona wie, to może ktoś jeszcze?

Jak to dobrze, że udało jej się odwrócić uwagę Logana, zanim rozpoznał matkę. Miała teraz pewność, że jej misja jest słuszna, gdyż czuwała nad nią Boża Opatrzność.

Już wkrótce ją wypełni.

Trzy piosenki i sześć sekund. Jedna minuta potrzebna na aktywację, potem można zdetonować bombę. Znowu dotknęła przycisku od aparatu i kalejdoskop wspomnień ze swojego życia przeleciał jej przed oczami. Miała wrażenie, że unosi się w powietrzu.

Znajdowała się tak blisko papieża.

Zanim ktokolwiek zdoła ją powstrzymać, jej dzieło się wypełni.

Kiedy oklaski ucichły, Sobil Mounce-Bazley postukała pałeczką w pulpit.

Chórzyści otworzyli nuty i zaczęli chrząkać. Czują, jak bardzo są zdenerwowani. To był ich pierwszy tak ważny występ. W dodatku dzieci były onieśmiałe z powodu policji, psów i dziennikarzy.

To było naprawdę ważne wydarzenie.

Mieli przed sobą papieża.

Coś takiego może się już nie zdarzyć w ich życiu.

Sobil uniosła pałeczkę i oczy dzieci zwróciły się w jej stronę. Wszystkich poza Loganem, który wciąż myślał o matce.

Musi zadzwonić do niej raz jeszcze. Trochę się przestraszył, widząc rozkrzyczaną kobietę, którą zatrzymała policja. Odniósł wrażenie, że przypomina trochę jego mamę.

A gdzie jest tato?

Zaczął się rozglądać wśród publiczności, ale Sobil ponownie postukała pałeczką i spojrzała na niego znacząco. Czas zaczynać.

Walker przycisnęła aparat do ucha i przeszedł nieco dalej, by odebrać telefon od Grahama.

Dzieci zaczęły śpiewać, ale Walker słyszał tylko Kanadyjczyka, który szybko tłumaczył mu wszystkie powiązania. Powiedział też o zamordowaniu Jake'a Conlina i o filmie Samary.

Wszystko.

Poszczególne fragmenty tej historii pasowały do siebie jak ulał, chociaż ona sama wydawała się zupełnie nieprawdopodobna.

- Posłuchaj, musisz coś zrobić - rzucił na koniec Daniel.

- Jak się nazywa? Możesz mi podać jej nazwisko? Powinienem mieć ją na liście.

- Samara. Samara Russell albo Ingram. Wciąż wyświetla mi się to jej samobójcze wideo. - Daniel zaczął przeglądać papiery, które znalazł w domu. Nagle zwrócił uwagę na telewizję. Pokazywano właśnie występ chóru. - Czeka, ona musi tam być. O, jest! To ona!

- Gdzie?

- Bierz ją!

- Gdzie?

- W pierwszym rzędzie. Ma na sobie szary dwuczęściowy kostium i gładko zaczesane, związane z tyłu ciemne włosy. Chce właśnie zrobić zdjęcie.

Kiedy Walker rozmawiał z Danielem, jego szef, Hank

Colby, odebrał właśnie telefon od Tony'ego Takayasu. Tony miał jednoczesne połączenie z kilkoma ważnymi osobami ze służb specjalnych.

- Agencje Colby, podają najświeższe informacje dotyczące znalezionej substancji. Udało nam się zidentyfikować potencjalne zagrożenie. Te substancje mogą tworzyć bombę uruchamianą drogą radiową.

- Psy i skanery sprawdziły tu wszystko - powiedział Colby. - Nie wykryto żadnej podejrzanej substancji.

- To nowy środek wybuchowy. Praktycznie niewykrywalny. Można go umieścić w zwykłej bawełnie...

W bawełnie? Colby rozejrzał się po sali, a potem zerknął na swój garnitur i poczuł, jak krople zimnego potu wystąpiły mu na czoło.

- Nie możemy podejmować ryzyka - dodał Tony. Colby z trudem przełknął ślinę.

- Mogę prosić o szczegóły?

- Nie mamy na razie niczego konkretnego, sprawdzamy połączenia satelitarne z Cold Butte. Będziemy też wiedzieli, jeśli ktoś da sygnał do odpalenia bomby i powinno nam się udać go zablokować poprzez silny impuls elektromagnetyczny, ale...

- Ale? - podchwycił Colby.

- Są pewne minusy takiego rozwiązania. Na minutę lub dwie wysiądzie wam prąd i w ogóle wszelkie połączenia. Właśnie wtedy należy usunąć papieża w bezpieczne miejsce.

- Czy Watykan zgodzi się na odwołanie dalszej części wizyty? - spytał szef Colby'ego.

- Nie, jeśli nie będziemy mieli konkretów - odparł z westchnieniem Colby.

- Masz moją zgodę na to, by użyć siły, jeśli zajdzie taka potrzeba, Hank.

Colby poczuł pieczenie w żołądku. Cholerne wrzody. Odszukał wzrokiem Walkera, który rozmawiał właśnie ze swoimi ludźmi.



## ROZDZIAŁ OSIEMDZIESIĄTY TRZECI

*Cold Butte, Montana*

Chór skończył pierwszą pieśń. Papież podziękował dzieciom oklaskami wraz z całą salą.

Samara uniosła aparat fotograficzny do góry. Położyła palec na przycisku, który go uruchamiał.

Za minutę zmieni historię świata.

Za minutę świat dowie się o jej bólu.

Za minutę połączy się z mężem i synem.

Miała zamiar aktywować w tej chwili bombę, a potem, po minucie, podbiec do papieża i ją odpalić. Dotknęła palcem gładkiej wypukłości, a następnie ustawiła aparat na swój cel.

Nagle ktoś na nią wpadł.

Ktoś chwycił jej aparat, a pozostałe dwie mocne dłonie złapały ją pod ramiona.

Dwaj mężczyźni w garniturach niemal unieśli ją do góry.

- Mamy przypadek zasłabnięcia, pani Russell - powiedział jeden z nich. - Prosimy z nami.

Zebrani popatrzyli za nimi bez większego zainteresowania, jednak dziennikarze na wszelki wypadek sfilmowali całe zajście. Wszyscy patrzyli przede wszystkim na papieża.

Maggie Conlin siedziała na metalowym krześle z rękami

i nogami w plastikowych kajdankach i obserwowała rozwój wypadków.

Stanowisko dowodzenia znajdowało się we wnętrzu przystosowanej do tego celu ciężarówki. Pomieszczenie od dołu do góry było wypełnione radiostacjami i komputerami, a na zewnątrz znajdowało się kilka silnych anten. Maggie mogła na bieżąco śledzić przebieg spotkania z papieżem, i to z różnych perspektyw.

Ona pierwsza zobaczyła na ekranie Samarę, a potem z satysfakcją patrzyła, jak ją aresztowano.

- Bogu dzięki, w końcu ją mają.

Agenci byli źli na Walkera, że kazał tu trzymać panią Conlin, zamiast wsadzić ją do samochodu policyjnego.

Niektórzy uważali, że to dlatego, by nie mogła skontaktować się z prasą.

- Chcę rozmawiać z agentem Walkerem - powtarzała Maggie.

- Proszę zachować ciszę - powiedział z westchnieniem jeden z mężczyzn. - Bo inaczej każemy panią przenieść do samochodu policyjnego.

W pustym holu agenci skuli Samarę plastikowymi kajdankami. Ręce miała unieruchomione z przodu. Następnie dołączył do nich Walker i szybko wyszli ze szkoły, prowadząc ją do miejsca odgrodzonego od budynku rzędem stalowych kontenerów na śmieci. Zaraz też przeszukali ją saperzy w ochronnych ubraniach.

Dziennikarze oczywiście zwęszyli sensację, ale agenci nie pozwalali im się zbliżyć do Samary. Obserwowali więc z odległości to, co się działo przy kontenerach.

Walker odebrał telefon od szefa, który poinformował go, że bomba może być ukryta w ubraniu. Walker przekazał tę wiadomość saperom, ale ci mimo to nic nie znaleźli.

Polecili jej więc, by przeszła do wolnego rejonu w pobliżu wozu saperskiego. Znajdowało się tam osłonięte i zabez-

pieczone miejsce, gdzie można było przechowywać materiały wybuchowe. Tam właśnie mieli zamiar trzymać Samarę.

Walker zdecydował się wrócić do szkoły. Zadzwoił też do Daniela, by sprawdził, jakie nowe bawełniane lub inne materiały kupiono w tym domu.

- To może być cokolwiek, choćby flaga.

Kiedy znalazł się w sali gimnastycznej, rozejrzał się uważnie dookoła. Obawiał się, że Samara może mieć jakichś wspólników.

Niemal po drugiej stronie kuli ziemskiej, w Addis Abebie, ukryty w bunkrze pod sklepem blawatnym Amir również obserwował przebieg wizyty wraz ze swymi starszymi rangą dowódcami.

Wszyscy mieli przed sobą ekrany komputerów, na których widać było salę gimnastyczną i występy chóru, lecz także wyświetlał się film z próbnej eksplozji z flagą i jeleniami. Te materiały wraz z samobójczym filmem Samary miały zostać niebawem przekazane mediom.

- Coś się nie zgadza - powiedział jeden z dowódców. - Powinna już aktywować bombę, a nie mamy sygnału.

- Patrzcie, aresztowali ją! - wykrzyknął drugi, wskazując palcem ekran.

Agenci wyprowadzali właśnie Samarę z sali gimnastycznej.

- Musimy zrezygnować z akcji i się wycofać - powiedział pierwszy dowódca. - Inaczej to zniszczy całą naszą sieć.

To może ich doprowadzić do nas. Czy wszyscy się ze mną zgadzają?

Amir zamyślił się na chwilę, a następnie zaczął przeglądać notatki przysłane przez Samarę. Chór zaśpiewa trzy piosenki. Następnie papież podziękuje dzieciom. Osobiście.

- Cierpliwości. Dokończymy naszą akcję z tego miejsca.

Daniel patrzył na scenę aresztowania Samary z uczuciem ulgi, ale potem poczuł niepokój. Gdzie jest Logan? Sprawdził najpierw wśród widzów, a potem zaczął się uważniej przyglądać chórzystom. Zaraz też zadzwonił do Walkera.

- Blake, tu Daniel. Mam ważne informacje.

- Usunęliśmy już zagrożenie - powiedział Walker. - Aresztowaliśmy Samarę.

- Tak, wiem. Powinna być z dziewięcioletnim chłopcem. Nazywa się Logan Conlin albo Logan Russell.

- Logan?

- Tak. Jego też musicie usunąć.

W tym samym momencie w schronie w Addis Abebie Amir skinął głową i informatyk wprowadził kod do komputera.

Zaczął się odliczanie przed aktywacją bomby. Sekundy pędziły jak szalone.

W hrabstwie Lone Tree na komputerze Samary zapaliło się czerwone światelko, a na zegarze cyfrowym zaczęły się pojawiać kolejne liczby.

Daniel poczuł, jak skurczył mu się żołądek.

- Blake! - krzyknął do aparatu. - To już się zaczęło. Zaczął się odliczanie!

Gdzie jest Logan? Gdzie jest Maggie?!

Daniel zapomniał o niej. Być może udało jej się odnaleźć syna.

Sięgnął po drugi telefon.

Walker zaalarmował centrum dowodzenia i jeden z agentów szybko wyszukał Logana w bazie danych.

- Jest w chórze - poinformował agent. Jednocześnie na ekranie pojawiło się jego zdjęcie.

- Tak, to Logan! To mój syn! - wykrzyknęła Maggie.

Chór skończył ostatnią pieśń i rozległy się brawa. Walker poinformował dowódcę SWAT o miejscu, w którym znajdował się Logan - trzeci od prawej w drugim rzędzie. Ma na sobie ciemny garnitur i srebrno-granatowy krawat.

- Co mu chcecie zrobić?! - krzyknęła Maggie. Ukryty w systemie wentylacyjnym snajper zameldował, że namierzył cel.

Colby zaalarmował Takayasu przez telefon.

- Mamy sygnał aktywacyjny, wysyłamy impuls elektromagnetyczny.

Colby i Walker wzięli na stronę Monsignore Guerelliego.

- Wasza Eminencjo, musimy wyprowadzić papieża z budynku! Istnieje poważne zagrożenie!

Guerelli przestał się uśmiechać i spojrzał z rozczarowaniem na chórzystów.

- Zagrożenie? Tak jak w Seattle?

Ekran pokazywały dzieci, które po kolei podchodziły do papieża. Sześć sekund na każde z nich. Papież obejmował je i wręczał prezenty.

- To konieczne! - nalegał Colby.

Monsignore skontaktował się z ochroną watykańską, a następnie skinął głową.

- Dobrze, po ceremonii pożegnania chóru. Walker wciąż miał łączność z Danielem.

- Blake, znalazłem rachunek! Samara i Logan mają nowe ubrania!

Logan zbliżył się do papieża. Walker zaalarmował dowódcę SWAT.

- To ten chłopiec! To on jest bombą! Musicie go wyprowadzić.

Maggie usłyszała rozkaz zastrzelenia Logana. Nie!!! - zawołała.

Snajper miał chłopca na celowniku. Logan uśmiechnął się, a papież otworzył ramiona.

Snajper wycelował wprost w jego głowę.

401

- Mam go - zameldował. Maggie jęknęła głucho.

Kod, który miał zdetonować bombę, opuścił bunkier w Addis Abebie i przemieknął z szybkością światła do Montany. W tym samym momencie Takayasu wysłał impuls elektromagnetyczny.

- Namierzyłem cel. - Snajper dotknął delikatnie spustu. Walker wraz z innymi agentami podbiegł do papieża. W domu na zegarze pojawiły się dwa zera, a czerwone światełko zmieniło barwę na zieloną. Daniel chwycił laptop i cisnął nim o podłogę.

Logan poczuł, że jego garnitur zrobił się nagle gorący. Jednocześnie zniknął w bieli papieskich szat.

- Cholera! - zaklął snajper.

W sali gimnastycznej zgasły światła. Zanikła łączność radiowa.

Widzowie na całym świecie mieli przed sobą śnieżące ekrany telewizorów.

W bazie dowodzenia agencji klęli bezradnie, patrząc na wyłączone komputery i monitory. Próbowali dzwonić, ale nie mieli sygnału.

- Do licha! - Kamerzysta z Brazylii filmował właśnie Samarę, kiedy nagle przerwano mu połączenie z Sao Paulo.

Okrzyki ekipy filmowców odwróciły uwagę agentów i właśnie wtedy Samara zdołała się im wymknąć. Biegła właśnie do szkoły, kiedy dotarł do niej sygnał z komputera Amira.

Samara połączyła się w nagłym rozbłysku ze swym synem i mężem oraz rodzicami. Uśmiechnęła się jeszcze, zanim nagły wybuch rozerwał jej ciało, przenosząc wszystkie jego części do wysnionego raju.

Fala wybuchu była tak duża, że dotarła do agentów i dziennikarzy, którzy rozbiegli się, szukając schronienia.

Jego odgłos przetoczył się niczym grzmot nad szkołą.

Snajper strzelił, ale chybił.

390

Wystrzał wywołał panikę, ale agenci opanowali sytuację-  
Sygnał śmierci dotarł do Samary, ale osłona Takayasu zdołała ochronić Logana. Walker odciągnął go od papieża i zakrył własnym ciałem.

Papież obserwował tę scenę ze zdumieniem. Kręcił jeszcze głową, kiedy agenci ochrony prowadzili go na tyły budynku. Po chwili wsiadł do kuloodpornego wozu.

Walker zdarł z chłopca marynarkę i spodnie, a inni agenci mu przy tym pomagali.

Dzieci płakały, rodzice starali się do nich dotrzeć. Jednocześnie otwarto na oścież wszystkie drzwi i zarządzono ewakuację.

- Wszyscy wychodzić! - krzyknął Walker, a następnie wskazał swoim ludziom stojące za sceną worki z piaskiem. -  
Przykryjcie nimi ten cholerny garnitur.

Szybko przywalili ubranie workami, a następnie wyprowadzili chłopca z sali gimnastycznej w samych majtkach, koszuli i krawacie.

Siedząca w wozie Maggie odchodziła od zmysłów.

- Powiedzcie mi, co się stało?!

Agenci włączyli w końcu agregat i komputery znowu zaczęły działać. Nie zdało się to jednak na wiele, bo nic nie widzieli na ekranach. Starali się jednak przywrócić funkcjonowanie całego sprzętu, nie zważając na pytania i prośby Maggie.

Konwój z papieżem przejechał w obłoku kurzu na tereny targowe. Agenci wyprowadzili z wozu Ojca Świętego, a następnie wsadzili go do helikoptera, który czekał z włączonym silnikiem. Odleciał eskortowany przez myśliwce w nieznane miejsce.

Po chwili włączono prąd.

W miejscu wybuchu płonął ogień, który ugasiła straż pożarna. Ratownicy pogotowia opatrywali rannych agentów i dziennikarzy. Nie były to jednak poważne obrażenia.

Agenci FBI starali się oszacować skalę ataku, natomiast policja pomagała zgromadzonym opuścić teren szkoły. Colby zarządził ewakuację wiernych, czekających w Buffalo Breaks.

- Uważajcie, żeby nie wpadli w panikę. Niech się rozchodzą sektorami, poczynając od najdalszych - zarządził. Dziennikarze trajkotali jak najęci, nareszcie mogąc skontaktować się ze swoimi redakcjami.

Po dwóch minutach i czterdziestu siedmiu sekundach pojawiła się pierwsza informacja na portalu internetowym: WYBUCH W CZASIE WIZYTY PAPIEŻA. SĄ ZABICI I RANNI.

Cały świat zamarł, wsłuchując się w najnowsze doniesienia. Ludzie w Nowym Jorku, Londynie, Tokio, Hong Kongu, Berlinie i Szanghaju.

Po paru minutach już wszyscy wiedzieli o zamachu.

W całym tym zamieszaniu Walker zarzucił Loganowi na ramiona bluzę z napisem FBI i poprowadził go w stronę parkingu. W tym momencie zadzwonił do niego Daniel. Po tej rozmowie Walker kazał wypuścić Maggie Conlin, a następnie skierował się w stronę wozu dowodzenia.

Kiedy Maggie wyszła na zewnątrz, od razu zobaczyła syna. Padła na kolana i wyciągnęła do niego ramiona.

Logan pobiegł do niej.

Wokół unosiły się dymy po pożarze wywołanym przez eksplozję, ale oni nie zważali na to, tuląc się do siebie.



## EPILOG

Watykan nie chciał się ugiąć przed atakiem terrorystów. Zaledwie parę godzin po zdarzeniu kardynałowie postanowili, że msza polowa w Buffalo Breaks jednak się odbędzie. Pielgrzymi wykazali dużą cierpliwość i pojawili się w niej tłumnie, a papież wygłosił płomienne kazanie na temat siostry Beatrice. Wezwał również wszystkich do braterstwa, pokoju, tolerancji i miłości.

Śledztwo przeprowadzone przez rząd Stanów Zjednoczonych i międzynarodowe agencje wywiadowcze doprowadziło do wykrycia grupy najemników nieznanego pochodzenia. Przyznali się oni do ataku na dzielnicę, w której mieszkała rodzina Samary. Ich proces odbył się przed sądem wojskowym w Bagdadzie.

Wszystkich najemników powieszono.

Inne śledztwo doprowadziło do aresztowania większości członków siatki Amira, głównych dowódców i agentów z komórek rozmieszczonych na terenie USA, Etiopii, Maroka, RPA, Hiszpanii, Włoch, Malezji, Indii, Pakistanu, Afganistanu, Kanady, Australii i Nowej Zelandii.

Nie udało się jednak schwycić „Wyznawcy”, który prawdopodobnie zaszył się gdzieś w Jemenie albo Arabii Saudyjskiej.

Kanadyjska Królewska Policja Konna w porozumieniu

z kanadyjskim wywiadem, a także CIA, FBI i agencjami wywiadowczymi innych krajów ustalili, że rodzinę Tar-verów zamordowali najemnicy z organizacji Amira.

Przesłuchania członków organizacji, których ujęto w Berlinie, Kairze, Rzymie i Paryżu, pozwoliły poskładać szczegóły tej zagadki.

Kiedy agenci organizacji terrorystycznej dowiedzieli się, że Ray Tarver wpadł na trop spisku związanego z atakiem na papieża i mógł udaremnić ich plany, Amir zdecydował, że należy się go pozbyć. Człowiek Amira obiecał Tarverowi ujawnienie dalszych szczegółów dotyczących tego zamachu, dzięki czemu dziennikarz przyjechał w wyznaczone miejsce. Ray Tarver i jego rodzina zostali tam zamordowani w sposób, który miał upozorować tragiczny wypadek w leśnej głuszy.

Kate Morrow, koleżanka po fachu Raya Tarvera, zaczęła pisać książkę o nim, jego tragedii i cenie, którą przyszło zapłacić Rayowi i jego rodzinie. Część z wpływów miała zasilić fundusz dla początkujących dziennikarzy imienia Raymonda Tarvera.

Na okładce książki znalazło się zdjęcie Maggie i Logana Conlinów obejmujących się w Cold Butte po długiej rozłące. Zrobił je wówczas Luke Rappel, student wydziału dziennikarskiego. Zdjęcie zdobyło wiele nagród i stało się znane na całym świecie jako symboliczny obraz ludzkiej tragedii.

Daniel Graham nie śledził tego wszystkiego, co działo się po zamachu na papieża. Zaszył się w Górach Skalistych w prowincji Alberta i przesiadywał nad Faust River, poszukując odpowiedzi na nurtujące go pytania. Nie było go tam od pamiętnego dnia, kiedy to wsypał do rzeki prochy swojej żony Nory. Zrozumiał, że gdyby nie znalazł się w tym miejscu, aby opłakiwać żonę, nigdy nie spotkałby Emily Tarver, której słowa doprowadziły go do Conlinów.

Czy stało się tak z jakiegoś powodu?

Tego jeszcze nie wiedział.

Nie wiedział też, czy znalazł wystarczające odkupienie.

Powiedziano mu, że zostanie odznaczony medalem Gubernatora Generalnego za odwagę. Mówiło się też, że Daniel, agent Walker i zespół Takayasu mogą otrzymać medale od prezydenta Stanów Zjednoczonych. Poza tym wszyscy dostali zaproszenie do Watykanu, gdzie papież osobiście podziękował im za to, co zrobili.

Ponieważ informacje Maggie doprowadziły do rozbicia siatki Amira, firma prawnicza z Manhattanu zaproponowała, że będzie ją bezpłatnie reprezentować, tak by Maggie mogła dostać należną jej część nagrody wyznaczonej za walkę z terroryzmem. Prawnicy oceniali, że będzie to co najmniej pół miliona dolarów.

Jake'a Conlina pochowano na małym cmentarzu w Północnej Kalifornii, koło miasta, gdzie jego rodzice zwykle spędzali wakacje. Jake zawsze lubił otwarte przestrzenie i to miejsce najlepiej nadawało się na jego ostatnią podróż. Po pogrzebie Maggie pocieszała się, czytając jego ostatni e-mail. Pokazała go też Loganowi, by mógł cieplej myśleć o ojcu.

- Pamiętaj, kochanie, że w końcu do nas wrócił. Zawsze o tym pamiętaj.

Samara żyła na swoim filmie.

Dzięki niemu cały świat poznał jej przesłanie. Z tego powodu odbyto szereg dyskusji na temat polityki międzynarodowej, bezpieczeństwa, religii i tolerancji.

W kolejnych tygodniach po ataku, Maggie wielokrotnie oglądała ten film. Czuła nienawiść do Samary, bo uważała, że ta kobieta zniszczyła jej rodzinę. Jednak później, kiedy poznała jej tragiczną historię, zaczęła myśleć o niej inaczej.

Przypominała sobie ten moment, kiedy patrzyły sobie w oczy. W końcu zrozumiała, że nie były wrogami, a jedynie matkami i żonami z innych światów. Zjednoczyła je tragedia ich rodzin.

I kiedy Maggie nie mogła zasnąć w nocy, zadawała sobie to samo pytanie, co Samara, chociaż nigdy się nie dowiedziała, że ten problem nurtował je obie.

Co my sobie nawzajem robimy?

Odwieczne pytanie bez odpowiedzi.

Po jakimś czasie Daniel zadzwonił do Maggie i Logana, by spytać, jak sobie radzą. Pół roku później pojechał do Kalifornii na szkolenie.

Maggie zaprosiła go do siebie.

Poszli na plażę, gdzie Logan puszczał kupionego mu przez Daniela latawca.

Maggie i Daniel patrzyli, jak zabawka unosi się w górę, walcząc z kolejnymi podmuchami wiatru.

## NOTA AUTORA

Często otrzymuję pytania, skąd biorę pomysły do moich książek. W wypadku mojej dziewiątej powieści sensacyjnej trudno o jednoznaczną odpowiedź. Wynika ona z bardzo różnych inspiracji.

Kiedy Jan Paweł II odwiedził moje miasto, byłem studentem i pamiętam, że w czasie ceremonii powitania jeden z zagranicznych studentów powiedział, że nie przepada za papieżem i że żałuje, iż nie ma przy sobie broni. Później zapewniał mnie, że tylko żartował.

Kiedy potem brałem udział w mszy polowej, wciąż o nim myślałem.

Parę lat później pracowałem jako reporter i zajmowaliśmy się wraz z kolegą nieudanym planem zamachu na Richarda Nixona. Miałem wówczas okazję porozmawiać z agentami służb wywiadowczych na temat ich pracy i o rozmaitych, związanych z nią zagrożeniach, a także o szczegółach technicznych, związanych z ochroną VIP-ów. Następnie parę miesięcy po ataku terrorystycznym na World Trade Center pojechałem służbowo do Afryki, gdzie w Nigerii widziałem małego chłopca w koszulce z Osamą bin Ladenem i napisem: „Mój bohater”. Takie momenty i wiele innych pozostawały we mnie, jak choćby wędrówka po bazarach Rabatu w Maroku, rozmowa z uzbrojonymi

strażnikami pałacowymi w Dakarze czy też odwiedziny w glinianych chatach w Etiopii albo obserwacje pracy tkaczek ze slumsów Addis Abeby. Myślałem też o nich, jadąc przez północną pustynię Kuwejt do granicy z Irakiem, gdzie negocjatorzy z ONZ-u opowiadali o irackich dzieciach, które weszły na miny przeciwpiechotne. „Sześć sekund” powstała jako mieszanka tych wszystkich zdarzeń, emocji, a także innych moich doświadczeń i wyobraźni. Książka opowiada o zwykłych ludziach, którzy stanęli nagle w obliczu wydarzeń, które tworzą historię świata.